



# FANFIK

NATALIA OSIŃSKA

FANFIK

NATALIA OSIŃSKA

# SPIS TREŚCI

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

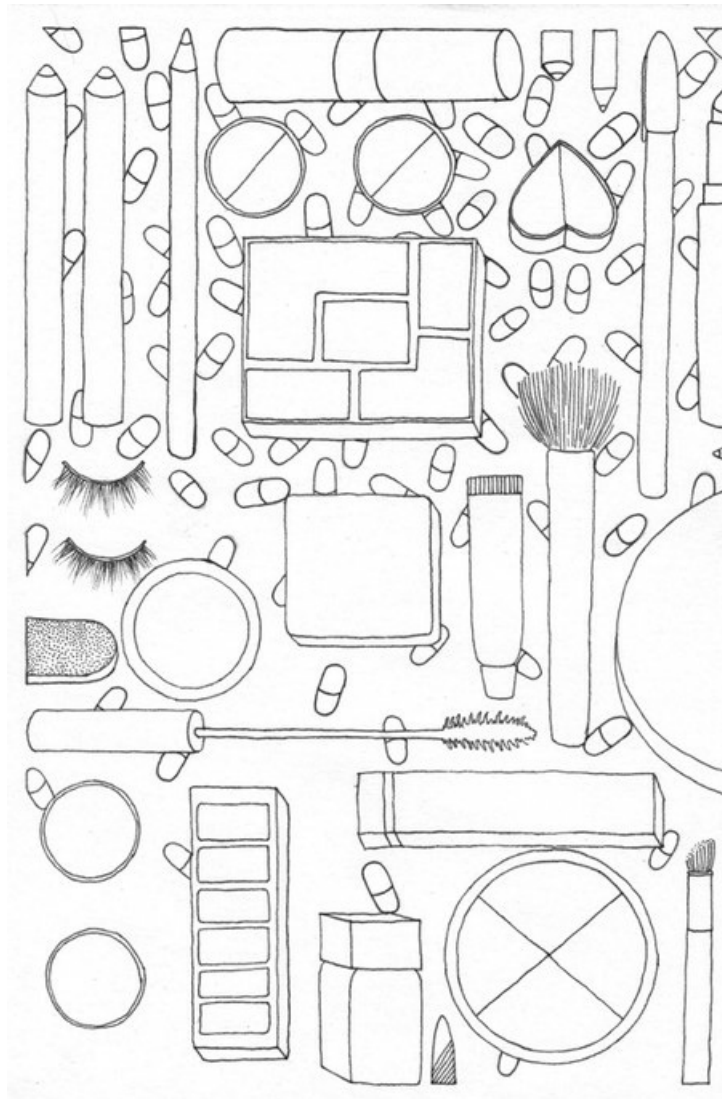
[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Epilog](#)

*Coś się zmieniło we mnie,  
Inaczej tętni krew.  
Już nigdy nie zostanę  
Cudzym pionkiem w cudzej grze.  
Za późno na wahanie,  
Nie wrócę spać, o nie,  
Coś mówi mi: kochanie,  
Zaufaj sobie, leć!  
Czas wzlecieć ponad prawa fizyki,  
Wzlatuję ponad prawa fizyki.  
Nie zatrzymasz mnie.*

*(Elfaba, Wicked)*



## ROZDZIAŁ I

Tosia wymiotowała w szkolnej toalecie. W tym samym czasie sopran przejętej dyrektor Jastrzębskiej rozbrzmiewał w auli i wzmocniony przez głośniki roznosił się echem także po korytarzach i łazienkach:

– Niech w tym roku szkolnym zdobywanie wiedzy będzie dla was ekscytującą przygodą, odkrywaniem nowych lądów, poznawaniem waszego przeznaczenia. Kochani, nie zapominajcie nigdy, że liceum to nie tylko sprawdziany i testy, to także miejsce, w którym uczyć się rozumieć świat i samych siebie, w którym zawieracie najcenniejsze przyjaźnie...

Tosia usiłowała jednocześnie zapanować nad skurczami żołądka i nad fałdami białej sukienki. Projektant ciasnej kabiny nie przewidział, że będzie się w niej musiała zmieścić kreacja z pełnego koła wzmocniona sztywną halką. Tosia przeklinała ciocię Idalię i jej wyrafinowany gust, nade wszystko jednak własną głupotę. Poczwórna dawka proszków i to bez śniadania, coś ty sobie właściwie myślała, kretynko?

– ...w gablocie naprzeciw wejścia oraz na stronie internetowej szkoły...

Niech to się już skończy – błysnęło w głowie Tosi, nim znów zgięła się w pokłonie przed muszlą. Nie była pewna, czy życzy rychłego zgonu jedynie sobie, czy również Jastrzębskiej. Dyrektorka miała zwyczaj akcentować każde zdanie w szczególnie obiecujący sposób, tak jakby zmierzała już do ostatecznej konkluzji. Jej głos wznosił się coraz wyżej w piętrowych antykadencjach, publiczność zamierała w oczekiwaniu na finał, a ona zdążyła dalej, z coraz większym przejęciem, i mogła tak wzlatywać przez długie kwadranse.

Tosia oparła czoło o cienkie drzwi kabiny. Mdłości powoli odpuszczały, mimo to za nic w świecie nie wyszłaby teraz na zewnątrz. W głowie miała watę, z trudem kojarzyła fakty. Podłoga z beżowych płyt ugięła jej się pod stopami. Trzeba czekać. W końcu ktoś zabierze Jastrzębskiej mikrofon. Tłum licealistów wyleje się z auli, przepłynie przez szkołę i wycieknie na ulicę, do kawiarni i pubów, celebrować rozpoczęcie kolejnego semestru niewoli. Może wtedy Tosia odważy się wreszcie przemknąć do domu.

– ...o składkach na ubezpieczenie poinformują was także nauczyciele na lekcjach wychowawczych...

Tosia zezowała na haczyk przykręcony do drzwi kabiny. Jej wzrok na przemian tracił i odzyskiwał ostrość. Kolejny interesujący skutek uboczny połykania proszków zamiast śniadania. A chciała tylko przeżyć w spokoju ten koszmarny pierwszy dzień szkoły! Wiedziała, że będzie koszmarny, przeczuwała to już od kilku dni.

Wakacje spędziła komfortowo w zaciszu własnego pokoju. Czytała książki, pisała fanfiki, przeglądała fanarty, obejrzała na YouTubie bootlegi z zaległej listy, słowem robiła to wszystko, do czego ma prawo każdy uczeń, który zdołał przeżyć pierwszą klasę liceum. Ale pod koniec sierpnia zaczął ją męczyć niepokój. Za plecami cioci Idalii podwoiła sobie dzienną dawkę kapsulek, ale to nie pomogło. Tego poranka łyknęła trzy, a po namyśle jeszcze czwartą. Nie oczekiwała wiele, chciała tylko zagłuszyć to wewnątrz rozstrojenie, które odczuwała za każdym razem, gdy musiała wychynąć z własnego świata i zmierzyć się z rzeczywistością.

No i miała za swoje. Już na początku szkolnej akademii dopadła ją rzeczywistość w wersji Pro, z efektami specjalnymi i bonusem w postaci kompletnego zaćmienia umysłu. Ledwo zdołała

dobiec do łazienki.

Jastrzębskiej chyba skończyło się powietrze w płucach, bo ucichła na sekundę. Natychmiast rozbrzmiał huragan braw, który trwał i trwał. Najwyraźniej zdesperowani uczniowie postanowili zrobić wszystko, by nie dopuścić jej już więcej do głosu. Zabrzmiały słabo takty szkolnego hymnu, a chwilę później drzwi łazienki otworzyły się z trzaskiem. Na płytkach zastukały czyjeś obcasy. Tosia usłyszała podwójny zgrzyt otwieranych kosmetyczek.

– ...jeszcze lepsze ciacho niż przed wakacjami.

– A Witolda widziałas? Jak urósł!

– ...że pękne ze śmiechu, Roksana wyglądała jak panda z tym makijażem. Jak ktoś ma takie żabie oczy, to mu już nic nie pomoże.

Beztrouski dziewczęcy śmiech odbił się echem po wykafelkowanej po sufit łazience. Potem ucichł – dziewczyny poprawiały usta.

Tosia czekała. Znów ktoś wszedł, szarpnął za klamkę jej kabiny. Chciała krzyknąć „Zajęte!”, ale gardło miała zaciśnięte i nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Czekala cierpliwie. Wreszcie dziewczyny wybiegły, stukając obcasami.

Zza uchylonego okna wciąż dobiegały odgłosy wrzawy z boiska. Tosia nie ruszała się z miejsca. Minął kwadrans i radosny szczebiot młodzieży nieco przygasł. Po raz ostatni usłyszała trzaśnięcie furtki. Odczekała dla pewności jeszcze dziesięć minut, zdjęła torebkę z haczyka i powoli uchyliła drzwi.

Nad umywalkami przez całą szerokość ściany ciągnęło się duże lustro. Tosia umyła rozdygotane ręce i przepłukała usta, unikając wzrokiem swojego odbicia. Był to nawyk, nad którym się już nawet nie zastanawiała. Nie lubiła patrzeć na siebie i już. Ale kiedy otrzepywała ręce z wody, jej wzrok podążył odruchowo za rozbrzgującymi się na lustrze kroplami i choć nie chciała, spojrzła sobie prosto w twarz.

Szybko odwróciła głowę, ale to, co zdążyła zobaczyć, pozostało jej przed oczami jak blady slajd. Całkiem ładna dziewczyna, choć należałoby chyba powiedzieć: bardzo dobrze zrobiona dziewczyna, profesjonalnie umalowana i wykonturowana w sposób, który zmyślnie maskował jej nieco zbyt wydatny podbródek i podkreślał po kociemu kości policzkowe. Duże niebieskie oczy pod wyregulowanymi brwiami. Wokół fale jasnych włosów, przedzielone pośrodku i spływające na policzki. I nie zapominajmy o tej wykwintnej białej kreacji, przylegającej u góry, sutej u dołu, nie pominęmy wypielegnowanych paznokci, pończoch i lśniących pantofelków.

Tosia właśnie próbowała zapomnieć. Wygrzebała z torebki miętową gumę i przeżuwając ją z wysiłkiem, niepewnym krokiem podążyła do wyjścia. Potknęła się na progu, ale jakimś cudem udało jej się odzyskać równowagę. Śmieszne rzeczy działy się w jej głowie. Bardzo chciało jej się spać, ale jednocześnie czuła przymus wpakowania się w jakąś awanturę. Tylko w ten sposób mogłaby zapomnieć, że wygląda dziś jeszcze bardziej niż zwykle jak przzerośnięta wersja Alicji w Krainie Czarów. Na ogół kiedy ta świadomość zaczynała jej szczególnie doskwierać, oznaczało to, że już czas na kolejną kapsułkę. Ponieważ jednak organizm dopiero co dał jej do zrozumienia, że ma już dosyć kapsułek, dziękuję bardzo, Tosia musiała sobie jakoś poradzić sama.

Dotarła do schodów i zawahała się chwilę, po czym rozpoczęła długą wędrówkę w dół na półpiętro. Stopień za stopniem, stopień za stopniem, jakby dopiero uczyła się po nich schodzić. Zaczynała już nabierać wprawy, gdy z opóźnieniem dotarło do niej, że słyszy szybkie kroki, i w następnej chwili ktoś na nią wpadł.

Straciła równowagę, w ostatniej chwili jednak udało jej złapać poręcz i nie upaść.



– O, przepraszam – usłyszała poprzez szum w uszach.

Młody człowiek, który z rozmachem wziął zakręt na półpiętrze i nie zauważył, że ktoś nadchodzi z góry, przystanął o kilka stopni niżej.

– Dostanę się tędy do sekretariatu?

Tosia musiała się chwilę zastanowić, a myślenie nie było w tej chwili jej mocną stroną. Zmysły płatały jej figle, pracując wybiórczo i dostarczając tylko przypadkowych detali. Chłopak miał piwne oczy w ciemnej oprawie, co ją niejasno oburzyło, bo nie znosiła procesu tuszowania własnych jasnych rzęs. Bezwiednie poprawił węzeł zmiętego krawata i zauważyła lśniące paznokcie o podłużnym kształcie – kolejny dowód na bezsensowną dystrybucję dóbr natury. Pytał o sekretariat. Chętnie by mu odpowiedziała, gdyby tylko była w stanie skojarzyć, w którym skrzydle szkoły się znajdują.

– Chyba tak – odezwała się wreszcie, bo cisza przedłużała się ponad miarę, a chłopak zaczynał jej się przyglądać z tym charakterystycznym zainteresowaniem, które zazwyczaj poprzedza pytanie w rodzaju „Czy wszystko z tobą w porządku?” – Chyba w górę i na prawo. – Nie była do końca pewna, czy to, co w tej chwili było w jej głowie prawą stroną, jest nią również dla reszty świata.

– Dziękuję – powiedział chłopak i dodał z wahaniem: – Czy ty się dobrze czujesz?

W swoim szesnastoletnim życiu Tosia słyszała to pytanie już tyle razy, że mogła na nie odpowiadać automatycznie. Oczywiście, że się dobrze czuje. Doskonale. I wyniosłe spojrzenie: kimże w ogóle jesteś, by pytać? Broda w górę, dąs księżniczki.

Dziś jednak coś nie wyszło, bo kiedy wstępnie zarzucała lokiem, zakręciło jej się w głowie i musiała jeszcze mocniej zacisnąć ręce na poręczy. Odchrząknęła.

– Zaspałam i nie zjadłam śniadania. – To była tylko częściowo prawda, ale Tosia nie przeżywała z tego powodu moralnych dylematów. Prawda jako taka była dla niej mało interesującym konceptem ludzi z niedostatkiem wyobraźni. – Zjem coś w bufecie na dole. – Miała nadzieję, że teraz chłopak się od niej odcepi, ale natręt tylko się ożywił i postąpił krok wyżej.

– Macie tu bufet? Pokażesz mi drogę?

– A sekretariat?...

– To nic pilnego. A nic nie jadłem od rana. Chodźmy.

Wyciągnął rękę w jej stronę. Tosia zawahała się. Rola niewiasty prowadzonej jak bezwolne cielec zupełnie jej nie odpowiadała, z drugiej jednak strony obawiała się trochę, że jeśli się nie zgodzi, spędzi na tych schodach resztę przedpołudnia. Zacisnęła usta i podała nieznanemu rękę, starając się na niego nie patrzeć.

Na szczęście chłopakowi nie udzieliło się jej skrępowanie. Sprowadzał ją na parter stopień po stopniu, a jednocześnie nie przestawał mówić – o tym, że to jego pierwszy dzień w tej szkole, że nikogo jeszcze nie zna, ale chętnie pozna, że jest głodny jak wilk i że w jego poprzednim liceum dyrektor nie wygłaszał aż tak długich przemówień. Ani słowa o pożałowania godnym stanie Tosi, ani słowa o jej drżących rękach i chwiejnym kroku. Nie starał się też jej na siłę zaimponować, żadnych przechwałek, żadnych głupawych komplementów. Traktował ją tak swobodnie, jakby była jego kolegą. Nie była do tego przyzwyczajona, ale zaczynała z wolna dochodzić do wniosku, że jej się to podoba.

Gdy znaleźli się na dole, Tosia trochę już odzyskała orientację w terenie i mogła wskazać drogę do szkolnego baru. Student, który go obsługiwał, przecierał właśnie stoły mokrym ręcznikiem i na widok wchodzących wrzasnął przez ramię, że już zamyka.



– Ale możemy coś kupić? – upewnił się towarzysz Tosi.

– Byle szybko!

I nim zdążyła się zorientować, nowy znajomy kupił jej wielką, ociekającą majonezem kanapkę owiniętą w kawałek folii i herbatę w papierowym kubku.

– Możemy zjeść na boisku – powiedział, wciskając jej bułkę do ręki. Własną kanapkę trzymał pod łokciem, a w obu dłoniach kubki. – Widziałem ławki przez okno. Tędy da się wyjść?

Otworzył ramieniem drzwi na boisko. Ciepły podmuch wrześniego wiatru uderzył Tosię w twarz, oślepiło ją słońce. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo zatęchłe było powietrze szkolnego korytarza. Poza nimi na boisku nie było już nikogo. Usiedli na odrapanej ławce pod kasztanem i chłopak uznał za stosowne się przedstawić.

– Jestem Leon – oznajmił, gdy tylko przełknął pierwszy kęs bułki. Ponieważ nie doczekał się żadnej reakcji, zapytał wprost: – A ty?

– Tosia – odparła z ociąganiem i poruszyła ramionami, jakby strząsała z siebie coś nieprzyjemnego. Nie znosiła się przedstawiać, chyba jeszcze bardziej niż patrzeć w lustro. Ot, jedna z jej rozlicznych małych fobii. Lubiła pozostawać w cieniu, a teraz jakby nagle stanęła na scenie w blasku reflektora – skulona, wybrakowana, niespełniająca oczekiwań.

Leon był jednak zbyt zajęty pożeraniem kanapki, by zwrócić uwagę na jej zakłopotanie. Powiedział tylko „aha” i upił herbaty z kubka.

– Do której klasy chodzisz? – spytał po chwili.

– Do drugiej.

– Ja też. Ale powtarzam klasę. Mam nadzieję, że się tu nie zanudzę przez to. Jak jest w tej szkole? Ludzie są w porządku?

– Chyba tak – powiedziała Tosia. Osobiście wszyscy wydawali jej się nie do zniesienia, ale nie było powodu, by Leon miał się czuć uprzedzony tylko dlatego, że ona ma coś nie tak z głową.

– Coś ciekawego można robić po lekcjach? Jakies kółka? Kluby? Teatr?

– Jest koło matematyczne – odparła po chwili namysłu, skubiąc folię na kanapce. – Tak, na pewno. Teatru nie ma. I... ja nie wiem. Po lekcjach idę do domu. Po co zostawać i spotykać się z ludźmi, których i tak musisz oglądać przez pół dnia?

Zorientowała się, że wyrzuciła z siebie więcej, niż zamierzała powiedzieć, i speszona spuściła głowę. No i już, stało się. Przybędzie kolejna osoba w licznej grupie ludzi, którzy uważają ją za stukniętą. Jedna mniej, jedna więcej, co za różnica. Zdenerwowana upiła łyk herbaty ze swojego kubka i skrzywiła się.

– Też nie przepadam za ludźmi – odezwał się Leon. Wyłowił ze swojego kubka torebkę po herbacie i rzucił ją w stronę pobliskiego śmietnika. Trafił. – Wciąż czegoś chcą, czepiają się głupot. Dlatego się z nimi spotykam... Żeby lepiej poznać wroga. Czemu nie jesz?

Tosia otworzyła usta i je zamknęła. Zdecydowanie nie była dziś w wystarczająco dobrej formie, by nadążać za cudzym tokiem myślenia. Chciała wyjaśnić Leonowi, że majonez jest bardzo niezdrowy, podobnie jak białe pieczywo i czarna herbata z torebki, ale nim zebrała się w sobie, chłopak znów zmienił temat.

– Mieszkasz gdzieś niedaleko? – zapytał. – Znasz okolicę? Muszę zrobić zakupy. Łyżeczki, jakieś talerze, garnek, kubeł na śmieci. Są tu gdzieś sklepy z takimi rzeczami?

– Jest sklep z gospodarstwem domowym. Za rogiem.

Tosia próbowała się skupić i podać bardziej precyzyjne wskazówki, ale ciężko jej było dziś zmusić mózg do myślenia.

– Może cię tam po prostu zaprowadzę?...

– O, świetnie – ucieszył się Leon. – Ale nie ma pośpiechu. Poczekam, aż skończysz.

Tosia zamruwała kilka razy i nie wiedząc, co powiedzieć, odpakowała w końcu kanapkę z folii. Starła się nie myśleć za dużo o prawdach życiowych wdrukowanych jej do głowy przez ciotkę Idalię: że majonez w kupnych kanapkach zawsze jest nieświeży; że lepiej się nawet nie domyślać, z czego zrobiono ten plasterek szynki; że nikt na pewno nie umył tej sałaty zbyt dokładnie. Zamiast tego skupiła się na Leonie, który znów gadał jak najęty:

– Przyjechałem trzy dni temu i jedną noc spałem na dworcu, a drugą w noclegowni, bo wcale nie tak łatwo wynająć mieszkanie we wrześniu. Ale cudem mi się udało, mam już coś. Straszna nora, ale blisko do szkoły. Nie będę musiał płacić za dojazdy. Tylko że nic tam nie ma, nawet krzesła.

Leon nawijał i nawijał, aż Tosia zjadła całą kanapkę. Wszystko wskazywało na to, że jej organizm zdecydował się wchłonąć te tłuste kalorie bez żadnych protestów. Nie miała już zawrotów głowy i zaburzeń widzenia. Ręce przestały drżeć. Nawet siły jakby jej przybyło. Naśladując Leona, cisnęła mokrą torebką od herbaty w stronę kosza na śmieci i prawie trafiła.

– Bravo – mruknął Leon, otrzepując garnitur. – Ohydna była, no nie? Może kiedyś zaproszę cię na prawdziwą herbatę. Jak już się dorobię dzbanka.

Tosia miała na swoim koncie kilka męczących randek i jedną bardzo nieudaną studniówkę, ale jeszcze nigdy żaden chłopak nie poprosił jej o to, by pomogła mu wybrać szcztokę do WC. Żadnemu z jej kolegów taka propozycja zapewne nie przeszłaby nawet przez usta. Leon bez zbędnych ceregieli zostawił ją w kąciu z akcesoriami do łazienek i uzbrojony w listę zakupów poszedł buszować między półkami zastawionymi po sufit szkłem i fajansem.

W sklepie było ciasno. Pośrodku stała wyspa regałów, a wokół niej pozostawiono tylko wąskie przejście. Tosia w swojej szerokiej sukience bała się poruszyć, by niczego nie strącić. Gapiła się więc na mydelniczki i dozowniki, a gdy się jej znudziło, zaczęła śledzić wzrokiem Leona i przypatrywać się, jak ogląda dokładnie każdy przedmiot, dopytuje się o cenę, wkłada do koszyka, po namyśle wyjmuje, odstawia z powrotem na półkę i szuka czegoś tańszego. Poczła niejasny żal, gdy zobaczyła, że rezygnuje z zakupu dzbanka.

Nie uważała swojej rodziny za szczególnie zamożną, ale nigdy jeszcze nie spotkała człowieka, który byłby naprawdę biedny. Nawet sąsiad z parteru, Pokrzywniak, choć dorabiał do emerytury zwożeniem butelek i złomu do punktu skupu, przypuszczalnie miał w domu meble i zastawę stołową. W szkole nie wypadało być biednym, biedni byli społecznie martwi. Dotąd Tosia żyła w przekonaniu, że prawdziwie biedni ludzie zdarzają się tylko w literaturze i sztuce, ewentualnie gdzieś daleko, na drugim końcu globu, a oto miała przed sobą żywe wcielenie baśniowej sierotki. Prawie jakby mała Cosette, dyżurna biedula jej wyobrażeń, zstąpiła na ziemię z krainy fabuły. Leon był co prawda wyrośnięty, wręcz barczysty, i sprawiał wrażenie zaradnego nastolatka, niemniej w Tosi narastało pragnienie ratowania go z opresji.

– Już chyba mam wszystko – pochwalił się Leon, podchodząc bliżej. Zerknęła do koszyka. Jeden talerz, jeden kubek, komplet sztućców, mały ronderek. Poczła łyzy pod powiekami, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy czytała *Dziewczynkę z zapałkami*. A potem przypomniała sobie, że zafundował jej dziś śniadanie, i zrobiło jej się głupio.

– A dzbanek?

– Nie zmieścił się w budżecie – wyjaśnił Leon. – Zresztą, co mi po dzbanku, skoro nie mam go na czym postawić? Co z tą szcztoką?

– Weź najtańszą – w Tosi obudził się duch praktycznej cioci Idalii. – Nie będzie ci potem żal wyrzucić. Stołu też nie masz? Jak będziesz odrabiać lekcje?

Leon wzruszył ramionami i podążył w stronę kasy ze szczotką pod pachą, a Tosia ostrożnie drobila za nim, przyciskając liczne fałdy sukienki do siebie.

– W bibliotece. Poza tym to tylko chwilowe. Spróbuję trochę dorobić, może korepetycjami.

– Ale przecież powtarzasz klasę?

Leon spojrział na nią zdziwiony.

– No to co?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wydawało jej się oczywiste, że klasę powtarzają tylko osoby niezbyt lotne. Sama uważała się za tępą z większości przedmiotów, więc nie przeszkadzało jej, że Leon też nie jest orłem, ale dawanie korepetycji z definicji wymagało chyba jakiejś elementarnej wiedzy?

– Leżałem trochę w szpitalu na koniec roku – mruknął Leon, zgarniając drobniaki do chudego portfela. – Nie udało mi się wszystkiego pozaliczać na czas i... nieważne. Nie będziemy o tym mówić.

Wziął do ręki reklamówkę ze swoimi sprawunkami popakowanymi w szary papier i nie oglądając się na Tosię, podążył szybkim krokiem do wyjścia.

Tosia pobiegła za nim, tknięta nagłą myślą.

– Mam całą piwnicę pełną mebli – oznajmiła z przejęciem. – Moja ciocia wszystko chomikuje, ale potem tego nie używa. Możesz je sobie pożyczyć!

– Na pewno mogę?

Tosia z zapalem kiwała głową.

– Nikt ich nie potrzebuje. Kurzą się tylko.

– Lepiej się upewnij – poradził Leon, przystając przed sklepem.

Tosia wyciągnęła telefon z torebki i wybrała numer do taty.

Marcin Graczyk długo nie odbierał. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie brzmiała panika.

– Co się stało?!

– Nic – zdziwiła się Tosia, nieświadoma faktu, że po raz pierwszy w życiu zadzwoniła do ojca z własnej inicjatywy. – Czy ja mogę nasze meble z piwnicy oddać koledze ze szkoły?

W słuchawce słychać było odgłosy remontu: daleki wizg wkrętarki, jakieś stuki no i oczywiście muzykę z radia. Tata westchnął z ulgą.

– Jasne – powiedział. – Wreszcie zrobi się tam trochę miejsca. Szkoła organizuje jakąś zbiórkę?

– Mhm – mruknęła Tosia, nie chcąc się wikłać w wyjaśnienia. – To cześć. – Przerwała połączenie. – Możesz je sobie zabrać – przekazała radosną nowinę Leonowi, który ucieszył się bardziej, niż byłby to skłonny okazać. Uśmiechnął się z wdzięcznością, bardziej samym spojrzeniem niż ustami, mrużąc oczy w słońcu; ona uśmiechnęła się również. Pogoda była jedną z tych rzeczy, które jakoś pozostawały na peryferiach jej świadomości, ale teraz właśnie dostrzegła, że jest ciepło i słonecznie, że brzozy na pobliskim skwerze szumią, a ich srebrzyste liście mieniają się w słońcu jak zaśniedziałe monety.

– Pomogę ci je przenieść – zaofiarowała się z mocą. To się działa naprawdę, nie tylko w jej głowie. Była bohaterem ratującym nieszczęśnika w potrzebie. Potrzebował jej!

– Na własnych plecach?

– Dam radę!

Leon się zaśmiał, a Tosia mu zawtórowała. A ponieważ nie pamiętała, by śmiała się na głos kiedykolwiek przedtem, natychmiast się speszyła i ucichła, jakby śmiech był czymś kompromitującym, jak czkawka.

Tosia mieszkała na drugim końcu osiedla, więc podjechali jeden przystanek autobusem. Nabiła Leonowi przejazd na własną kartę i zaczęła wyjaśniać zasady działania systemu biletowego, nim jednak dojechali na miejsce, pogubiła się we własnych wyjaśnieniach.

– Wszyscy uważają, że to skomplikowane – oznajmiła porywczo i odwróciła się do okna. Jak ciężko być bohaterem i głupkiem jednocześnie! Własna tępota przyprawiała ją o dreszcz odrazy. Dziwne, że chłopak w ogóle chciał się z nią zadawać. Na pewno zależy mu wyłącznie na meblach. Gdy już je będzie miał, zniknie jej z pola widzenia, jak wszyscy interesujący ludzie, których kiedykolwiek poznała.

Wysiedli z autobusu i Tosia, nie odzywając się już ani słowem, poprowadziła swojego nowego znajomego w głąb osiedla, między pudełkowane bloki rozsiane na znacznej przestrzeni, poprzedzielanej pasami zieleni i placów zabaw. Nadłożyła trochę drogi, żeby nie mijać salonu urody ciotki Idalii – czasami przed wejściem stały pracowniczki i paliły papierosy. Wszystkie znały Tosię i na pewno zainteresowałyby je młody człowiek kroczący u jej boku; zaraz wywołałyby ciotkę z gabinetu, a ciocia zaczęłaby zadawać pytania. Ciocia miała w zwyczaju kwestionować wszystko, co nie było jej własnym pomysłem, i kto wie, do czego by to mogło doprowadzić.

– Pobiegnę po klucz do piwnicy – uprzedziła Tosia. Zostawiła Leona przed drzwiami na klatkę schodową i pognąła na swoje drugie piętro. Wróciła po dłuższej chwili, ściskając pęk kluczy. – Nie wiem, który będzie pasował – wyjaśniła z zakłopotaniem.

– Nie szkodzi, zaraz sprawdzę – Leon emanował optymizmem. Po kilku przymiarkach udało mu się otworzyć drzwi do podziemi, a gdy zeszli po betonowych schodkach i wąskim korytarzykiem dotarli do sezamu rodziny Graczyków, powtórzył całą operację przy mdłym świetle żarówki zwieszającej mu się za plecami.

Piwnica była wąska i wysoka, zarzucona prawie po sufit wszystkim, co ciocia Idalia wyeksmitowała z apartamentów na górze: torbami pełnymi ubrań i butów, starymi sankami Tosi, jakimiś sprzętami zawiniętymi w strecz i pustymi kartonami po AGD. Zeszło trochę czasu, zanim przekopali się przez to wszystko do samego dna.

– Widzę coś! – stęknął Leon, odkładając na bok pękatą reklamówkę wypełnioną nakrętkami do słoików. – Jest! To fotel!

Fotel, brzydki zawalidroga z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, miał wyleniały zagłówek i obicie, które kolorem zawsze przypominało Tosi wątrobiankę. Leon usiadł w nim i popadł w stan bliski ekstazy.

– Idealny do czytania. Idealny.

Za fotelem odkryli jeszcze politurowany stolik na pochyłych nóżkach i kuchenne krzesło. Pod piwnicznym okienkiem stał też regał, na którym ciocia Idalia trzymała kiedyś słoiki z przetworami.

– Ten regał też mogę wziąć? Przyda się do książek.

– Bierz wszystko – powiedziała Tosia szczerze. Nie miała skrupułów; tata już tyle razy powtarzał, że trzeba to wszystko wreszcie wynieść na śmietnik. Pewnie by to nawet zrobił, gdyby wiedział, w której szufladzie ciocia trzyma klucze.

Leon potarł czoło zakurczonym nadgarstkiem.

– Tylko nie wiem, jak to stąd zabiorę. Krzesło mógłbym zawieźć autobusem. Regał też. Ale fotel?

Tosia zmarszczyła brwi. Nie przyjmowała do wiadomości, że tak drobna przeszkoda mogłaby ją powstrzymać przed zapewnieniem Leonowi wyprawki na nowe życie. Podjęła się tego i zamierzała doprowadzić swój pomysł do końca. Zazwyczaj w osiągnięciu celów przeszkadzał jej łagodny stan obojętności, w który popadała po kapsułkach. Dziś było inaczej. Może dlatego, że większość proszków, które zażyła rano, spłynęła szkolną kanalizacją. Może dzięki tej kalorycznej kanapce od Leona. A może to Leon, taki dzielny, choć całkiem sam, zmotywował ją do działania.

Może i była głupia. Ale teraz miała misję do wykonania i nic nie było jej w stanie zatrzymać.

– Daleko mieszkasz? – spytała.

– Naprzeciwko szkoły.

– Poczekaj chwilę – powiedziała Tosia i stukając pantofelkami, pobiegła w górę po schodach. Zatrzymała się na parterze i zadzwoniła do drzwi sąsiada Pokrzywniaka. Przez dłuższy czas nic się nie działo, więc zadzwoniła ponownie i tym razem nie zdejmowała palca z dzwonka, dopóki nie usłyszała zbliżającego się człapania. Drzwi uchyliły się i wyjrzało zza nich zaspane oblicze.

– Dzień dobry, czy mogę pożyczyć pana wózek?

– Wózek? – zachrypiął pan Pokrzywniak, mrugając oczami, jakby nie był pewien, czy dziewczyna w przybrudzonej białej sukience stojąca w progu jego mieszkania jest tworem rzeczywistym, czy gościem z zaświatów. – To moje narzędzie pracy, panienko.

– Oddam za godzinę – obiecała Tosia, przywołując na twarz promienny uśmiech, który ciocia Idalia kazała jej zawsze robić do zdjęć. Pokrzywniak nie dał się jednak oczarować.

– Piątka za pierwszą godzinę. Dwie za każdą następną.

Tosia pospiesznie uiściła opłatę, a potem przywołała z piwnic Leona i zaprowadziła go na tyły bloku, tam gdzie pod oknami krzewiły się nielegalne ogródki mieszkańców parteru. W większości były to zadbane, kolorowe spłachetki ziemi pełne kwiatów i warzyw. Ogródek Pokrzywniaka wyróżniał się spośród nich wybujałym kłębem chaszczy i uschniętych choinek. Spomiędzy nich wystawał porzewiały wózek mleczarski. Tosia przelazła przez niską furtkę z siatki i chwyciła za dyszel. Leon podbiegł z drugiej strony i pomógł jej wypchnąć wózek z ogródka.

– Mów mi Tewje! – wysapała Tosia, gdy zaparkowali przed blokiem. – Damy radę?

– No pewnie! – Czy istniało cokolwiek, co byłoby w stanie wprawić w zakłopotanie tego człowieka? – Jeśli tylko uda nam się wytaszczyć ten fotel z piwnicy. Trochę waży.

Udało się. Tosia była nieskończenie wdzięczna Leonowi za to, że nie powiedział ani słowa, gdy na sam koniec omdlały jej ręce i upuściła mu fotel na stopę. Wkrótce potem wózek turkotał po chodniku, wyładowany stosem mebli powiązanych ze sobą sznurem do białizny, którego zwój znaleźli w kącie piwnicy. Ludzie odwracali głowy, by popatrzeć na chłopaka w garniturze, który ciągnął za dyszel, i wiotką dziewczynę w bieli, która pchała wózek od tyłu. Leon nie przejmował się tym zupełnie. Zmartwiły go tylko plamy rdzy i smaru na sukience Tosi.

– Do diabła z tym – wydyszała, ocierając czoło przedramieniem. – Ciocia jakoś je wywabi. Ciocia Idalia umie wyprać wszystko.

W ten sposób do świadomości Leona została wprowadzona postać Tosinego anioła opiekuńczego, a nim dotarli do celu, Tosia w krótkich słowach opowiedziała w zasadzie całe swoje życie: o tacie, który jest szefem ekipy remontowej i spędza poza domem całe dni; o cioci Idalii, która przychodzi co dzień gotować obiady i wychowywać siostrzenicę, co z jej punktu

widzenia sprowadza się do nieustannego zaganiania jej do porządków i innych tego typu nużących czynności. Napomknęła też o mamie, która umarła tak dawno, że Tosia nie miała żadnych wspomnień, tylko zdjęcia w albumie.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Sześć.

– Nie byłaś już taka mała.

– Wiem. Ale nie pamiętam niczego, co było przedtem – wyjaśniła Tosia pogodnie, tak jakby relacjonowała dzieje życia jakiejś obcej osoby. – Mam... mam dość krótką pamięć. A może to był szok. Tak mówi Szacki.

– Kto?

– Lekarz, do którego chodzę po kapsułki. – Tosia natężyła mięśnie, bo przetaczali wózek przez skrzyżowanie.

– Kapsułki? – powtórzył Leon podejrzliwie.

– Fluoksetyna. Sproszkowane szczęście.

Dotarli na drugą stronę ulicy i Leon zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Przysiadł na dyszlu i zerknął na Tosię spod ściągniętych brwi.

– A nie możesz być szczęśliwa bez tych kapsułek?

– Bez kapsułek – powtórzyła z namysłem Tosia, odgarniając włosy ze spoconego karku. Ręce miała tłuste od kurzu i smaru, ale nie zwróciła na to uwagi. Próbowwała się skupić i przypomnieć sobie, jak to jest, funkcjonować bez kapsułek. – Bez kapsułek wciąż mam ochotę pozabijać wszystkich, a na końcu siebie – wyjaśniła w końcu z promiennym uśmiechem.

Mieszkanie Leona mieściło się w apartamentowcu wciśniętym między dwa stare bloki. Tosia podświadomie spodziewała się osnutego pajęczynami poddasza i zdziwiło ją, że Leona stać na taką lokalizację. Zrozumiała, gdy weszła do środka, dźwigając krzesło: mieszkanie było śmiesznie, niewiarygodnie małe. W pierwszej chwili miała wrażenie, że znajdują się w czymś w rodzaju przedpokoju i że zaraz przejdą do dalszych pomieszczeń. Z niedowierzaniem rozglądała się po tym miniaturowym, niskim pokoiku, niewiele większym od windy, którą przed chwilą wwieźli meble. Jedyne drzwi zaprowadziły ją do łazienki, rozmiarami przypominającej schowek na szczotki.

Ściany były brudne i pomazane, na podłodze leżała ruda wykładzina. W kącie przy drzwiach wydzielono coś w rodzaju kuchennego aneksu: ze ściany wyrastał kran, pod nim wisiał mały zlew, obok stała kuchenna szafka, a na niej – turystyczny palnik. Obok brzęczała turystyczna lodówka.

Oprócz aneksu w pokoju znajdowała się tylko wiekowa szafa na ubrania i tapczan, a na nim śpiwór i wypchany plecak.

– Niezłe hektary, co? – zachichotał Leon, nadchodząc od strony windy z regałem na plecach. Ostrożnie odstawił go na ziemię przed progiem mieszkania. Obok stały już fotel i stolik. – Wejdz na tapczan albo coś, bo muszę przepchnąć to wszystko do środka.

Tosia posłusznie usunęła się za blat kuchennej szafki. Leon upchnął fotel w kąt pod oknem, co zredukowało wolną przestrzeń do mniej więcej metra kwadratowego powierzchni. Zagracił zaraz ten fragment stolikiem, obok którego ustawił krzesło. Przy ścianie umieścił regał.

– No, teraz mogę mieszkać! – wysapał z satysfakcją, po czym opadł na fotel, rozluźniając w locie węzeł krawata.

Tosia usiadła na krześle i oparła łokcie o blat. Była wykończona, ale było to zmęczenie



człowieka, który wykonał kawał uczciwej roboty. Nie to obezwładniające znużenie, które często dopadało ją bez żadnego powodu.

– Musimy jeszcze odprowadzić ten wózek – przypomniał sobie Leon.

– Zdążymy...

Przez długi czas żadne z nich się nie odzywało. Tosia wodziła wzrokiem po tej brzydkiej, ubogiej klitce. Jedyнным przyjemnym dla oka szczegółem był Leon, drzemiący w fotelu jak małe książątko. Ciemny lok opadł mu na czoło, klatka piersiowa unosiła się miarowo. Choć naharował się tak samo jak Tosia, w ogóle się nie ubrudził. Garnitur miał co prawda wymięty, ale wydawało jej się to zrozumiałe: najwyraźniej nie było go jeszcze stać na żelazko.

Czas mijał, on drzemał, a ona bała się nawet poruszyć. Nie chciała go obudzić. I nie chciała iść jeszcze do domu. Jej własne mieszkanie było większe, rzecz jasna, ładniejsze, z firankami, z pralką, zmywarką i w ogóle, no, tym wszystkim, co powinno mieć prawdziwe mieszkanie; z jakiegoś jednak powodu właśnie tu, za tym kuchennym blatem, używanym przez poprzednich lokatorów jako deska do krojenia, dopiero tu poczuła się jak w domu. Nikt nie smęcił, że się znów ubrudziła. Nikt nie wyrażał zdegustowania jej postępami i niezdarnością. Nikt się nie czepiał.

W tok jej myśli wdarł się zniecka monumentalny finał uwertury do *Upiora w operze*. Leon się poruszył, podniósł ciemne rzęsy. Pomasażował sobie kark. Tosia nerwowo przebierała palcami w torebce. Wyciągnęła telefon i gniewnym gestem podniosła do ucha.

– Tak?

– Jesteś już w domu?

– Ciociu – powiedziała Tosia. – Jest pierwszy września. Wszyscy są na kawie i opowiadają sobie, jak świetnie było na wakacjach.

– Jesteś z koleżankami? – ucieszyła się ciocia Idalia w słuchawce.

– Mhm.

– Wejź na chwilę do mnie, kiedy będziesz wracać. Mam dla ciebie niespodziankę.

Tosia mogłaby się założyć, że niespodzianka oznacza jakiś nowy cień do powiek albo pomadkę. Ciocia dostawała mnóstwo próbek kosmetyków.

– Dobrze, ciociu. Cześć.

Schowała telefon z powrotem do torebki i zagryzła wargę, hamując złość.

– Wracamy? – spytał Leon z fotela.

– Nie ma pośpiechu.

– Ale ten wózek...

– Pokrzywniak na pewno śpi jak zabity.

Leon przeciągnął się, aż chrupnęło mu w stawach.

– Kiedyś zaproszę cię na herbatę – przypomniał sobie. – Ale dziś mam tylko wodę w kranie i jeden kubek.

– O, tak. – Tosi chciało się pić. Rozpakowała zakupy Leona i nalała sobie wody do kubka, ignorując głos cioci Idalii w swojej głowie: „Pij tylko przegotowaną wodę, kochanie!”. Poświstując przez zęby partię Thenadiera z *Nędzników*, ustawiła wszystkie nowe naczynia na blacie. Podniosła głowę, gdy usłyszała, że Leon, mocujący się z regałem, gwizdże to samo.

– On nie chce stać prosto – wyjęczał z frustracją.

– Musisz go przykręcić do ściany – doradziła Tosia. – Masz jakieś wkręty? I kątowniki? A wiertarkę?

– Wyglądam, jakbym miał?

– Mogę ci pożyczyć. Przyniosę ci ją jutro do szkoły. Albo od razu tutaj, zaraz po lekcjach. – Miała nadzieję, że nie słyhać w jej głosie, jak bardzo chciałaby tu jeszcze wrócić.

– Okej – powiedział z podłogi Leon. – Dobrze znasz *Nędzników*?

– Tak! A ty?

– Nie żebym uwielbiał. Widziałem tylko raz.

– W Romie? – głos Tosi był pełen zazdrości i szacunku zarazem.

– Nie, w kinie.

– Ach. – Starła się ukryć zawód. Nowy znajomy przypatrywał się jej uważnie.

– Lubisz musicale?

– O, tak! Najbardziej *Upiora*. I *Dzwonnika*. I *Wicked*. I... – Tosia urwała, a jej entuzjazm przygasł. No bo jaka była szansa, że ten człowiek w ogóle wie, o czym ona mówi?

– Niezła galeria straszyleł – mruknął Leon. – Brakuje tylko Sweeneya Todda.

– Och tak! I jego też!

– Gdzie ty to wszystko oglądasz? Wystawiają w Poznaniu musicale?

– Oglądałam bootlegi – wyznała Tosia z żalem w głosie. – Tylko *Evitę* widziałam w zeszłym roku w Teatrze Muzycznym. Ale tata powiedział, że jeśli będę mieć dobre stopnie, zabierze mnie do Londynu i pójdziemy na *Wicked*. – Jej błękitne oczy zamgliły się w rozmarzeniu. – I może na *Upiora*, jeśli starczy pieniędzy... – znów urwała, bo wspomnianie o takich zbytkach człowiekowi, którego nie stać na dzbanek do herbaty, wydało jej się niestosowne. Ale Leon wydawał się szczerze zainteresowany.

– I co, będziesz mieć te dobre stopnie?

– Nie wiem – burknęła Tosia i nerwowo upiła wody z kubka. – Pierwszy rok był taki sobie...

– Szczerze mówiąc, pierwszy rok był fatalny, prawie go oblała. W podstawówce i gimnazjum dawała jej fory opinia „tego biednego dziecka bez mamusi”. W liceum nie mogła już na to liczyć. – Będę się starać.

– Może kiedyś będę mógł ci pomóc. W zamian za te meble.

– Nie są moje – powiedziała i zdenerwowana odstawiła kubek z głośnym stukiem. – Nie... nie musisz mi za nie płacić! – Była teraz naprawdę zła. Leon podniósł się z wykładowiny zwinnie jak kot i stanąwszy po drugiej stronie blatu, złapał ją za rękę i lekko ścisnął. Wpiła w niego rozognione spojrzenie, czując, jak gniew ulatuje z niej jak powietrze z przekłutej dętki. Coś było w tym chłopaku – jakiś spokój, jakaś wewnętrzna dojrzałość wykraczająca poza jego wiek – co sprawiało, że i ona zaczynała odzyskiwać poczucie równowagi. Gdyby tak ścisnął jej rękę co rano, może byłaby w stanie przeżyć dzień bez kapsułek.

Przynajmniej tak jej się wydawało w tej chwili.

– Po prostu chcę, żebyś pojechała do tego swojego Londynu – wyjaśnił Leon.

– Dziękuję – powiedziała nieswoim głosem i wyrwała rękę. Głupie, dziecinne zachowanie, ale na nic innego nie było jej stać w tej chwili.

Chłopak postać jeszcze chwilę, popatrzył na równy rząd naczyń, wreszcie podniósł głowę i powiedział przyjaźnie, rzeczowo:

– Musimy wracać. Nie chcę, żebyś miała kłopoty.

Tosia pożegnała go przed ogródkiem Pokrzywniaka. Patrzyła, jak odchodzi i znika za blokiem, a potem otrzepała ręce z rdzy, a sukienkę z suchego igliwia, które ją oblepiło, gdy wpychali wózek z powrotem w choinki. Westchnęła i powlokła się niechętnym krokiem w stronę salonu urodzioci Idalii.

Salon mieścił się w sąsiednim bloku, na parterze. Jego okna były wyklejone folią z podzielonym na ćwiartki banerem reklamowym, który głosił: SALON KOSMETYCZNY „IDALIA” \* MANICURE \* PEDICURE \* PIELĘGNACJA TWARZY I CIAŁA. PODARUJ SOBIE CHWILĘ RELAKSU!”. Tosia zawsze miała dreszcze, kiedy czytała ten napis, bo wydawało jej się, że to sama ciocia krzyczy na nią z okna. Dotarła przed drzwi lokalu numer jeden i przez chwilę stała niezdecydowana, kopiąc wycieraczkę zakurzonym czubkiem pantofelka. W końcu zebrała się w sobie i weszła do środka.

Przedsiónek zaaranżowany w dawnym przedpokoju lśnił sterylną czystością. Dominowała biel, przełamana tu i ówdzie beżem i bladym różem. Drzwi do gabinetów były pozamykane – dochodziły zza nich monologi klientek i kojące, łagodne głosy pracowniczek salonu. Za kontuarem siedziała zaś ciocia Idalia we własnej osobie i rozmawiała przez telefon.

Ciocia Idalia była elegancką kobietą nieco po czterdziestce, ale nikt nie dałby jej więcej niż trzydzieści parę lat. Tosia słyszała wielokrotnie przy różnych okazjach, że ona i ciocia wyglądają jak siostry, uważała jednak, że ludzie mówią to głównie po to, by się przypocholecić cioci. Ciocia miała jasne włosy do ramion, nieco już siwiejące, ale umiejętnie podfarbowane na naturalny blond. Miała też duże niebieskie oczy i na tym, zdaniem Tosi, podobieństwa się kończyły. Tosia wiedziała, że choćby starała się sto lat, nigdy nie nauczy się tego wdzięku, tego opanowania, tej bezkompromisowej pewności siebie, którą ciocia emanowała z natury. Prowadziła właśnie rozmowę z jakąś infolinią i choć jej spokojny głos nie zmienił się nawet o ton, Tosia mogła sobie z łatwością wyobrazić, jak jej rozmówca po drugiej stronie słuchawki zmienia się w psychiczny wrak człowieka. Kiedy ciocia wchodziła w tryb ofensywny, była jak pratchettowski chleb krasnoludów, tyle że bogato inkrustowany lukrem: słodki do mdłości i nie do skruszenia.

– Poczekam, aż pan to sobie zanotuje – mówiła teraz przyjaznym głosem osoby, której jedynym celem w życiu jest nieść światu ukojenie w troskach. – Ja wiem, że pan ma wyczerpującą pracę i takie informacje mogły panu ulecieć z głowy. Ja wiem, skarbie. Nie szkodzi, nie szkodzi. Ja się nie gniewam. Jak pan już zapisze, proszę dać mi znać. – Odłożyła słuchawkę bez przerywania połączenia, podniosła wzrok na siostrzenicę i zamrugła szybko trzy razy, co w mimice cioci Idalii oznaczało głęboki szok. – Tosiu?...

– Cześć, ciociu.

– Jak ty wyglądasz? Nie byłaś w kawiarni z koleżankami?

– To była bardzo brudna kawiarnia – bąknęła Tosia.

Ciocia Idalia wstała i wyszła zza kontuaru. Tosię owionął kwiatowy zapach jej perfum i jak zwykle w podobnych okolicznościach opanowało ją poczucie zupełnej niemocy. Ciocia ujęła ją za ramiona i jak lalkę odwróciła w stronę dużego lustra, które wisiało przy wejściu.

– Aż tak?

Tosia wykręciła głowę w bok, żeby nie patrzeć, ale i tak zdążyła zarejestrować, że jej sukienka jest szara z brudu, że na policzku ma ciemną smugę, a włosy wiszą jej w strąkach. Na szczęście w tym momencie zaburczało jej w brzuchu i w cioci odezwał się instynkt matki karmicielki.

– Jesteś głodna, kochanie?

– Tak! – Tosia mówiła szczerą prawdę, przepychanie wózka przez miasto zaostrzyło jej apetyt. A Tosia, nad czym ubolewała ciocia Idalia, rzadko kiedy bywała głodna.

– Całe szczęście mam pieczeń już gotową, tylko odgrzać – ucieszyła się ciocia. – Edytko! – zawołała w stronę gabinetów. – Wychodzę na chwilę, otwórz, gdyby ktoś dzwonił! – Przytknęła do ucha słuchawkę telefonu i skonstatowała, że jej rozmówca się rozłączył.

– To młode pokolenie nie ma za grosz cierpliwości. Chodź – otworzyła drzwi i wypuściła

Tosię na klatkę schodową.

Dwupokojowe mieszkanko ciotki Idalii znajdowało się tuż obok salonu, w lokalu numer dwa. Jego wnętrze wyglądało bardzo podobnie: ten sam porządek, ta sama biel przełamana różem i beżami. Ciocia nakazała Tosi się umyć, a sama pospieszyła do kuchni, skąd chwilę potem doleciał zapach odsmażanego mięsa. Dokładne wyszorowanie rąk i paznokci zajęło Tosi trochę czasu; gdy pojawiła się w kuchni, przygotowany dla niej talerz stał już na stole, a gospodyni w nieskazitelnym czystym fartuchu tarła warzywa na surówkę.

– Za chwilę ziemniaki będą gotowe – oznajmiła i odłożyła tarkę. – Usiądź. Pokażę ci swoją niespodziankę.

Opłukała ręce i wyszła na chwilę. Wróciła z niedużym kwadratowym pudełkiem, wykonanym z ekologicznej surowej sklejki. Na wieczku wytłoczone było tłuste logo producenta kosmetyków.

– Zobacz, jakie ładne! Pan przedstawiciel przyniósł to dziś rano.

Ponieważ Tosia gapiła się przed siebie szklanym wzrokiem, ciocia sama podniosła wieczko.

W środku stały w równym rzędku buteleczki kolorowych lakierów do paznokci. W osobnej przegródce leżały akcesoria: nożyczki, obciążki, pilniczki. Tosia zrozumiała, że oczekuje się od niej jakiejś reakcji, więc powiedziała:

– Śliczne.

– Prawda? Jak ładnie będzie wyglądać na stoliku w twoim pokoju, obok doniczki z kwiatkiem, tym nowym...

Uwaga Tosi odplynęła daleko, nim jeszcze zdanie wybrzmiało do końca. Nie było chyba dziedziny, którą darzyłaby mniejszym zainteresowaniem niż kwiaty doniczkowe, ale ciocia regularnie kupowała jej nowe i równie regularnie wyrzucała wyschnięte do śmietnika. Ciocia była odporna na tego typu delikatne sygnały. Sprzeciwianie się jej miało w sobie coś z wydobywania głazu z ziemi patyczkiem do lodów. Miała swoje niezmiennie wyobrażenia na temat tego, co jest najlepsze dla jej siostrzenicy, i kierowała się nimi od lat. Trzeba przyznać, że Tosia rzadko kiedy demonstrowała jawny sprzeciw – najczęściej było jej wszystko jedno, poza tym doświadczenie nauczyło ją, że potrzeba stalowej woli i nerwów z tytanu, by poruszyć przekonania ciotki choć o milimetr. Znacznie łatwiej było pozwolić myślom ulecieć, niczego nie słyszeć, utonąć we własnym wewnętrznym świecie.

Z odmętów wewnętrznego świata wydobyło Tosię na powierzchnię stuknięcie salaterki o stół – ciocia postawiła przed nią surówkę.

– Czy tam jest seler? Nie lubię.

– Nie, to jabłko – zapewniła ciocia pospiesznie. – Już nakładam ci mięsko.

– Nie lubię selera – wymamrotała Tosia, obojętnym wzrokiem wodząc po ścianie. Ciocia Idalia była zwolenniczką otwartych półek. W większości domów koncept tego rodzaju szybko zamienia się w kompromitującą wystawkę zakurzonych rupieci; u ciotki szeregi czystych talerzy, kubków, salaterki i pater stały w karnym porządku, w każdej chwili gotowe do użycia.

Wzrok Tosi przemknął po najwyższej półce, gdzie pyszniła się kolekcja malowanych dzbanków z Bolesławca i Włocławka.

Mogłaby się założyć, że choć były regularnie pucowane, od lat nikt ich nie użył.



## ROZDZIAŁ II

Następnego poranka na przystanku autobusowym obok szkoły wysiadła dziewczyna w płaszczyku błękitnym jak jej oczy i sukience tylko nieznacznie mniej rozkloszowanej niż jej wczorajsza, świąteczna kreacja. Przez prawe ramię przewiesiła elegancką skórzaną torebkę na pod ręczniki i zeszyty; na lewym ciążyła jej mniej elegancka, charakterystyczna granatowa torba z Ikei, wypchana jakąś tajemniczą zawartością.

Tosia odwiesiła torbę w szkolnej szatni i zamaskowała ją rozpostartym płaszczykiem. Raczej nikt nie powinien się na nią poślakomić, ale kto to wie? Postanowiła przybiegać tu po każdej lekcji i sprawdzać, czy torba jeszcze wisi. Trochę ją martwiła logistyka tego zamiaru: szkoła była rozległa, plan zajęć też nie ułatwiał jej zadania. Ciekawe, czy którykolwiek z Avengersów musiał się kiedyś zmagać z podobnymi problemami.

Dumając nad nieprzystawalnością jej ulubionych fabuł do realiów tego świata (czy też może na odwrót?), wyszła z szatni i na korytarzu prawie zderzyła się z człowiekiem, którego zamierzała dziś ratować. Leon maszerował szybkim krokiem, to wbijając wzrok w swój nowy plan lekcji, to znów rozglądając się uważnie na boki. Miał dziś na sobie dżinsy i ciemną bluzę z kapturem, tak jak większość męskiej populacji szkoły, ale mimo to emanowało z niego coś, co wyróżniało go spośród wszystkich innych chłopaków, choć Tosia nie potrafiła zdefiniować, co to jest.

– Cześć! – zawołała. – Mam wiertarkę!

– O, cześć – Leon zatrzymał się i spojrzał na drzwi najbliższej klasy. – To ekstra. Powiesz mi, gdzie jest sala 2c? Macie tu jakieś trzecie skrzydło?

– Musisz wyjść na boisko i znaleźć taką śmieszna przybudówkę obok sali gimnastycznej.

– Aha. – Chłopak poprawił szelkę plecaka. – O której kończysz dzisiaj?

– O wpół do trzeciej.

– Ja godzinę wcześniej. Będę czekał w domu, może tak być?

– Tak!

Chciała jeszcze coś powiedzieć, cokolwiek, na przykład przestrzec go, że schody na boisko są krzywe i wyszczerbione, ale Leon już pomknął przed siebie i zanim zniknął jej sprzed oczu, widziała jeszcze, jak przeskakuje te schody jednym zwinnym susem. Jak na jednostkę wymagającą jej troski i pomocy był irytująco samodzielny.

Dzwonek! Oderwała wzrok od zatraskających się drzwi i przypomniała sobie, gdzie sama ma dziś pierwsze zajęcia – dokładnie na drugim końcu budynku.

Minęła pierwsza lekcja, minęła druga i trzecia. Tak jak można się było spodziewać, większość nauczycieli zapowiedziała generalne powtórki. Prawie wszyscy uznali za swój obowiązek przypomnieć drugoklasistom, że to już prawie klasa maturalna i że żarty się skończyły. Lekcje trwały po czterdzieści pięć minut, ale zdawały się ciągnąć godzinami. Zza okien kusiło późne lato, wróble wydzierały się w żywopłotach, a Tosia notowała w zeszycie jakieś oderwane fragmenty wykładów i czuła się, jakby ktoś właczał jej trociny do mózgu.

Tuż przed ostatnią lekcją poczuła, że jeśli nie odetnie się na moment od tego gwaru i wrzucanych na jej barki coraz to nowych zobowiązań, zacznie chyba krzyczeć. Uciekła do najbliższej łazienki, umościła się na parapecie okna i wyciągnęła z kieszeni słuchawki. Miała



sobie właśnie podłączyć reanimującą kroplówkę z A.L. Webberem, gdy drzwi trzasnęły i do łazienki wpadły dwie dziewczyny.

– Ha, Tośka! Powiesz nam wreszcie, kto to był? – zawołała ta wyższa, Emilia, samica alfa klasowej hierarchii i nominalnie najlepsza przyjaciółka Tosi. Druga dziewczyna, Matylda, nadstawiła uszu.

– Kto? – bąknęła Tosia, z rezygnacją nawijając kabelek na palec.

– Ten chłopak, z którym rozmawiałś rano przed szatnią.

Wywiad Emilii jak zawsze działał bez zarzutu.

– No? – przynagliła koleżanka i wyciągnęła grzebień z torebki.

– To był Leon.

– Chodźcie ze sobą?

– Nie – powiedziała Tosia. – Jesteśmy kumplami.

Dziewczyny zachichotały. Emilia przecesała ciemne włosy i spryskała je nawilżającą mgiełką, a Matylda, jak wierny duch, zrobiła dokładnie to samo.

– Ciekawe – odezwała się Emilia. – Czy my też możemy być kumplami Leona? – Mrugnęła do Matyldy poprzez lustro, a ta zaśmiała się gorliwie.

– Nie wiem. – Tosia wyczuła, że sobie z niej kpią, i odwróciła się do nich plecami. Wbiła wzrok w grupkę licealistów spacerującą w dole po boisku.

– Bo jeśli nie możemy, to znaczy, że ze sobą chodźcie! – oświadczyła Emilia, a w szkolnym mikrokosmosie jej słowa miały moc dekretu.

Tosia wzruszyła ramionami. Słyszała za plecami grzechot kosmetyków w torebkach, a potem zapadła cisza. Tosia mogłaby się założyć, że Emilia i Matylda, jednoczesnymi ruchami, jak bliźniaczki, nakładają sobie błyszczący na usta.

– Dostałaś ostatnio jakieś próbki? – rzuciła lekko Emilia.

To był ten moment, kiedy Tosia zwykle sięgała do torebki, by wyciągnąć z niej wypchaną kosmetyczkę. Tak zrobiła i tym razem. Cisnęła ją za siebie, na blat między umywalkami. Dziewczęta rzuciły się przeglądać łupy.

– Cienie Chanel! – pisnęła Matylda. – Szczęściara, ile ja bym dała za taką ciocię. Moi starzy robią raban, jak tylko bardziej zrobię sobie oko.

Emilia, obojętna i pełna godności, leniwie przeglądała saszetki i niby to przypadkiem zagarniała dla siebie co lepsze kąski.

Tosia wetknęła słuchawki w uszy, ale chichoty za jej plecami i tak przebijały się przez uwerturę do *Upiora*. Zapatrzyła się ponuro w swoje paznokcie. Czuli, że powinna się odwrócić i przyłączyć do dyskusji – tego by na pewno oczekiwała ciocia Idalia – ale nie mogła się zmusić.

Pierwszy rok w liceum nauczył ją podstawowych zasad szkolnej mimikry, ale choć trzymała z najpopularniejszymi dziewczynami w klasie i opłacała ich przyjaźń w luksusowej walucie, nigdy tak naprawdę nie poczuła przynależności do ich świata. Zawsze nudziła się w ich towarzystwie, a one nudziły się z nią. Tosia uważała, że to jej wina. Gdyby nie była tak tępa i rozkojarzona przez cały czas, zapewne potrafiłaby wyłowić coś godnego uwagi spośród wszystkich zagadnień, które Emilia i Matylda uważały za zajmujące.

Dziewczyny potrafiły spędzać długie godziny, rozkładając na czynniki pierwsze każde spojrzenie, którym zostały zaszczycone ze strony co bardziej atrakcyjnych kolegów. Analizowały rozmowy. Analizowały treści esemesów. Analizowały komentarze i lajki na Facebooku, a także ich brak. Gdy z całej trójki to Tosia jako pierwsza poszła na randkę – co zdarzyło się w okolicach października zeszłego roku – męczyły ją w nieskończoność, żądając

szczegółów. Tosia potrafiła tylko powiedzieć, że było nudno i że biedak miał spocone ręce. To wtedy Emilia spojrzała na koleżankę jak na osobę niespełna rozumu i zaczęła podejrzewać, że chyba – choć nie przyznałaby się do tego nawet przed sobą – po raz pierwszy pomyliła się w ocenie.

Tosia bowiem wystartowała w nowej szkole z pozycji gwiazdy. Rok temu pierwszego września ciocia Idalia przeszła samą siebie, wyprawiając ją do szkoły jak księżniczkę. Jej rówieśnice wciąż jeszcze uczyły się eksperymentować z makijażem – Tosia od pierwszego dnia oszałamiała wypracowaną urodą i toaletami jak z innej epoki. Nic dziwnego, że formujący się wir społecznych zależności błyskawicznie wyniósł ją na szczyt jak Dorotkę w Oz. Nieświadoma sensacji, którą wzbudza, zawsze trochę nieobecna i senna jak modelka na kokainie, elektryzowała otoczenie i przyciągała chętnych do kąpienia się w jej blasku. Natychmiast przyciągnęła Emilię i zostały najlepszymi przyjaciółkami, cokolwiek to miało oznaczać. Przyciągnęła też kilku obiecujących młodzieńców, w tym jednego z klasy maturalnej. Wszystkich traktowała z tą samą uprzejmą obojętnością.

Minęło zaledwie kilka miesięcy i czar opadł; młodzieńcy zaczęli grawitować ku Emilii i potakiwać jej, gdy mówiła tonem zatroskanej dobrej wróżki:

– Tośka to taka miła dziewczyna, naprawdę... Wielka szkoda, że ma coś z głową.

Tosia wyczuła tę zmienioną atmosferę wokół własnej osoby, ale zbyt małą wagę przykładając do tego, co się działo wokół, by się przejąć. Łasa na próbki kosmetyków Emilia nadal trzymała ją przy sobie, co zapewniało Tosi mocną pozycję w klasie; nikt jej nie dokuczał, nikt na nią więcej nie zwracał uwagi. Uczyła się kiepsko, ale wielu innych pierwszaków też miało problem z przestawieniem się na licealne standardy, więc nie wyróżniała się aż tak bardzo na ich tle.

– Tych nie chcemy – oznajmiła Emilia, zwracając Tosi kosmetyczkę z kilkoma szaszetkami w środku. Zawsze coś zostawiała; stało się to już w pewien sposób rytuałem, który miał pokazać, że w gruncie rzeczy aż tak jej nie zależy. – To zielone mnie kiedyś uczuliło.

– Przekażę cioci – mruknęła Tosia.

Zaterkotał ogłuszająco dzwonek. Dziewczyny z pośpiechem zgarniały z blatu swoje kosmetyki.

– Lecimy? – Matylda ostatni raz poprawiła włosy. – Jeszcze tylko geografia i wuef. Ty pewnie znów masz zwolnienie, co, farciaro?

– Aha – Tosia po raz pierwszy wykazała jakieś oznaki ożywienia. Ostatnie czterdzieści pięć minut nudy! A potem będzie wreszcie można wyrwać się na wolność.

Ciekawe, czy Clark Kent też się tak potwornie nudził w pracy?

Profesor Mielnik z rosnącym zaangażowaniem wyjaśniał uczniom, czego będą się uczyć w tym roku na geografii, a Tosia zerknęła na komórkę, osłaniając ekran ramieniem. Czytała ukradkiem komentarze pod fanfikiem o Fiyero i Cedriku Diggorym, który osobiście opublikowała w zeszłym tygodniu. Komentarze były pochlebne, co ją ucieszyło, bo dopiero od niedawna pisała po angielsku i bała się głupich błędów. Na szczęście jej odbiorcy nie mieli zbyt wybrednego gustu. Zapewniali ją gorąco, że jej opowiadanie jest *awesome* i *wonderful*, i dopytywali się, czy Tosia zamierza napisać dalszy ciąg. Owszem, rozważała taką możliwość. Dała to do zrozumienia w swojej ostrożnie wystukanej odpowiedzi – nie obiecując niczego, rzecz jasna, żeby jeszcze trochę przytrzymać fandum w niepewności. Jak łatwo było być *awesome* i *wonderful* w internecie! Szkoda, że zupełnie nie potrafiła tego przełożyć na szkolne realia.

Wcisnęła *Send* i jakiś cień padł jej na ekran.

– Radziłbym panie skupić się na lekcji – zauważył Mielnik zjadliwie.

Tosia podskoczyła na krześle i telefon wyślizgnął się jej z dłoni na blat ławki. Usłyszała za plecami chichoty. Zapłonęły jej policzki i niemal poczuła, jak jej iloraz inteligencji spada do poziomu ameby. Choćby chodziło o kwestię życia i śmierci, nie byłyby się teraz w stanie odezwać.

Mielnik odwrócił się w stronę tablicy i podjął swój wykład. Był krępy facecikiem około pięćdziesiątki, zakręconym na punkcie realizacji programu. Miało to swoje plusy: nigdy nie znęcał się nad uczniami przesadnie długo, zawsze mając w pamięci, że cenny czas ucieka. Nie minęła minuta, a już całkiem zapomniał o Tosi.

Ona jednak pamiętała i musiała mocno zaciskać dłoń na krawędzi blatu, by nie zerwać się i nie uciec na korytarz. Głupi odruch, ale Mielnik odezwał się do niej przy całej klasie, nazwał „panną” przy wszystkich, wywołał z tego iluzorycznego fotela, w którym siedziała zwykle jak widz w teatrze, pozwalając, by codzienny spektakl toczył się bez jej udziału. Ile razy to się zdarzało, ogarniał ją kompletny paraliż.

Po dzwonku wybiegła z sali jako jedna z pierwszych, roztrzając łokciami klasowy plankton. Potrzebowała przestrzeni jak powietrza. Zabrała z szatni płaszcz oraz torbę i była już prawie na przystanku, gdy zorientowała się, że musi jeszcze dostarczyć do sali gimnastycznej swoje zwolnienie z ćwiczeń. Zawróciła więc, z płaszczem pod pachą i niebieską torbą objającą się jej boleśnie o uda.

Powód zwolnienia był ten sam co w zeszłym roku: zawroty głowy po przyjmowanych lekach. Tosia czekała niecierpliwie w ogonku podobnych do niej interesantów, a trener Bednarek, usadowiony za biurkiem w swoim kantorku ze sprzętem sportowym, sprawdzał każde zwolnienie z marszem na czole. Wszystko wydawało mu się podejrzanym, począwszy od kontuzji kolana zadeklarowanej przez ponurego punka o imieniu Konrad, a skończywszy na astmie wiotkiej Eweliny. Wieszcząc całej gromadzie plagi egipskie w postaci wad kręgosłupa i nadwagi, Bednarek odprawił ich wreszcie, chowając zwolnienia do opasłego segregatora.

Wolność! Wreszcie wolność! Gdyby nie ciężka torba na jej ramieniu, Tosia opuściłaby teren szkoły sprintem. Czekając na zmianę świateł na przejściu dla pieszych, przyglądała się okienkom apartamentowca wyrastającego naprzeciwko i zastanawiała się, czy wszystkie mieszkanek są równie ciasne jak lokal Leona. Czy w każdym, jak w małej szkatułce, mieszka tylko jeden, wolny od towarzystwa rodziny i znajomych, pozostawiony sam sobie lokator?

Jeśli tak, bardzo im wszystkim zazdrościła.

Leon wyjął z zielonej walizeczki największe wiertło i przyglądał mu się z taką obawą, jakby trzymał w ręku rdzeń plutonowy. Tosia nie zwróciła na to uwagi, zbyt przejęta wypakowywaniem z torby kolejnych dóbr.

– Zapraszam na herbatę! – obwieściła radośnie, wyciągając malowany dzbanek z Bolesławca i wymachując nim nad głową jak pucharem. – Herbatę też przyniosłam – zagrzechotała puszką z mieszanką jaśminową. – I mój kubek. Mogę go zostawić u ciebie?

– Jasne – powiedział z roztargnieniem chłopak, ostrożnie wkładając wiertło do wiertarki.

– A tu masz obiad na jutro – Tosia postawiła na blacie dwa duże, zawekowane słoiki. Leon spojrzął na nią z podłogi.

– Obiad?

– To jest gulasz, a to chyba żeberka w sosie.

– Chwila. – Leon odłożył wiertarkę i wstał. – Przyniosłaś mi obiad? Po co?

– Noo... wydałeś wczoraj wszystkie swoje pieniądze, prawda? Co teraz będziesz jadł?

Leon patrzył na Tosię z namysłem.

– Nie do końca – powiedział. – Wydałem wszystko z budżetu na wyposażenie. Nie mam za dużo środków, więc staram się jakoś sensownie zarządzać wydatkami. Ale nie martw się, budżet na wyżywienie się jeszcze nie wyczerpał.

Do Tosi dotarło, że znów wszystko zrozumiała po swojemu i zupełnie na opak. Poczula, że palą ją policzki. Zdenerwowana chwyciła za słoik, ale Leon przytrzymał jej rękę.

– Oczywiście będzie mi bardzo miło zjeść taki domowy obiad – dodał szybko. – Dobrze zgaduję, że sponsorką jest szanowna pani ciotka?

– Tak.

– A wie o tym?

– Nie.

– Na pewno będzie pyszne – zapewnił Leon. – Bo wiesz, na razie jem głównie chleb i zupy w proszku. To mieszkanie kosztuje dużo więcej, niż zakładałem. Pewnie powinienem wynająć tylko pokój, ale potrzebowałem być sam przez jakiś czas.

Tosia go doskonale rozumiała.

– W każdym razie radzę sobie i nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

– Ale mogę zrobić herbatę?

– No jasne. Zapraszasz mnie. Ja też cię kiedyś zaproszę. – Leon uśmiechnął się i wrócił do kontemplowania wiertła.

Uspokojona Tosia rozejrzała się za czajnikiem, ale ponieważ go nie znalazła, nalała wody do rondelka i wstawiła na palnik. Nasypała herbaty do dzbanka cioci Idalii, usiłując wykalkulować, czy dwie łyżeczki to akurat. Stała niezdecydowana z trzecią zawieszoną w powietrzu nad dzbankiem. Podniosła wzrok i zaniemówiła na moment, a herbaciany susz posypał się jej z łyżeczki na blat.

– Chcesz się przewiercić do sąsiadów?!

Spłoszony Leon opuścił wiertarkę.

– Nie, a co?

– Nic, tylko... Spróbuj może szóstką na początek?

– Szóstką?...

Zafrasowana Tosia potarła nos wierzchem dłoni. Wszyscy mężczyźni, jakich dotąd знаła – głównie znajomi taty, jego współpracownicy lub podwykonawcy – sprawiali wrażenie istot, które urodziły się ze sprzętem budowlanym w rękach. Myśl o tym, że można być mężczyzną i nie wiedzieć, jak się używa wiertarki, nigdy wcześniej nie powstała jej w głowie. Leon, dotąd promieniujący spokojem i pewnością siebie, patrzył na nią z paniką w oczach. Zachciało jej się śmiać.

Zagryzła jednak wargi. On się z niej nie śmiał, choć znalazłby się niejeden powód. Ona też się śmiać nie będzie.

– Ja to zrobię – powiedziała i odłożyła łyżeczkę. – Ty się zajmij herbatą.

Podświadomie oczekiwała protestu, ale na szczęście Leon nie należał do osób, które z powodu byle głupstwa unoszą się ambicją. Z ulgą uciekł za kuchenny blat i zaczął go pedantycznie wycierać szmatką. Tosia wyjęła z torebki ołówki oraz szkolną linijkę i zabrała się za wyznaczanie miejsc wiercenia.

– Właściciel mieszkania nie będzie miał nic przeciwko dziurom w ścianie? – upewniła się, zmieniając wiertło na mniejsze.

– Nic nie mówił.

– Zawsze mogę ci je zagipsować – zaofiarowała się, po czym włączyła wiertarkę.

Gdy tylko zanurzyła wiertło w tynku, sypnął się z otworu czerwony pył i opadł jej na sukienkę. Ponieważ wizg wiertarki i tak wszystko zagłuszał, zaklęła sobie soczyście jak prawdziwy budowlaniec.

– Słodzisz?! – wrzasnął Leon znad dzbanka.

Pokręciła głową i zanurzyła głębiej wiertło. Musiała się mocno napocić, żeby wwiercić się na odpowiednią głębokość. Wiertarka zachowywała się w jej rękach trochę jak zwierzę, które ktoś chce wepchnąć do wrzątku. Dziwne. Tata nigdy nie miał takich problemów.

– Pewnie nie masz odkurzacza? – spytała niefrasobliwie, gdy oba otwory w ścianie były już wywiercone, a ceglany pył unosił się wokół niej jak krwawa aureola i osiadał na wykładzinie.

– Gdzieś w szafce widziałem zmiotkę. Zajmę się tym potem.

Tosia nawierciła jeszcze otwory w regale i przykręciła go do ściany za pomocą kątowników, które przyniosła z domu. Dziury nie wyglądały zbyt estetycznie i gdy położyła ołówek na półce, uparcie staczał się na lewą stronę, ale czy to ważne? Regał stał stabilnie i nie przewracał się, a Leon zamierzał trzymać tu książki, nie rodową porcelanę. Skrycie jednak cieszyła się, że tata nigdy nie zobaczy tego partactwa.

Leon postawił oba kubki na stoliku i nalał do nich herbatę z dzbanka, patrząc z przyjemnością na strumyczek parującego płynu wylewający się z dzióbka.

– Brakowało mi tego – wyznał.

– Herbaty?

– Kawalka normalności, który nie jest kompletną prowizorką. Zaraz ułożę książki na moim regale i prawie będę miał dom.

– Gdzie one są?

– W tapczanie. – Leon odstawił dzbanek i uniósł wieko swojego legowiska. Sprężyny jęknęły przeraźliwie. – Za dużo ich nie ma. Tylko tyle, ile się zmieściło do walizki.

– Pomogę ci!

– To umyj ręce.

Tosia spojrzała na swoje dłonie obsypane rudym pyłem i bez słowa ruszyła do łazienki. Przybytek ten stanowił osobliwość: miał niewiele więcej niż metr kwadratowy i, wykafelkowany od podłogi po sufit, pełnił jako całość funkcję kabiny prysznicowej. Na ścianie wisiała słuchawka, odpływ znajdował się bezpośrednio w podłodze. W kabinie stał też sedes, nad nim wisiała miniaturowa umywalka i wodoodporna szafka z plastiku. Przynajmniej nie ma problemu ze sprzątnięciem łazienki – pomyślała Tosia, gnębiona w domu tym uciążliwym obowiązkiem.

Gdy wróciła do pokoju, Leon wypakował już większość książek z tapczanu na stolik. Z entuzjazmem zabrała się za ustawianie ich na półkach. Starła się pilnować porządku alfabetycznego i już wkrótce odkryła zastanawiającą prawidłowość.

– Tu są tylko książki od P do T! – nie wytrzymała.

– Miałem mało czasu na pakowanie – burknął Leon, zamykając tapczan.

Kolekcję rozpoczynał Pratchett, a kończył Tolkien. Przestrzeń między nimi wypełniała fantastyka, trochę chłopięcej beletrystyki, kilka dramatów i parę tomów poezji. Tosia domyśliła się, że ma przed sobą część większej całości, tak jakby Leon, zamiast wybrać swoje ulubione lektury, po prostu zgarnął do walizki książki z kilku przypadkowych półek.

– Brakuje kilku pierwszych tomów Pratchetta – zauważyła. – Musiały stać gdzieś wyżej.

Nie zaprzeczył. Dopiero teraz zorientowała się, że odkąd zajęła się książkami, Leon ucichł

i jakoś stracił humor. Siedział na tapczanie, pił herbatę, nieobecny wzrok wbił w ścianę.

– Pewnie wolałbyś je sam układać?...

– Nie, wszystko mi jedno – brzmiała odpowiedź.

Tosia strzepnęła drobiny tynku z ostatniej, pustej półki, a potem objęła kolana ramieniem i popijając ze swojego kubka, czekała, aż Leon do niej powróci. Jego ciemne oczy zasnuły się mgłą jakichś niewesołych rozważań. Nie wiedziała, ile czasu to potrwa. Zazwyczaj to ona była po drugiej stronie tej mgły. Bardzo nie lubiła wtedy, gdy jej przeszkadzano.

Gdzieś za ścianą zadudniła muzyka. Leon spojrzał przytomniej i odstawił pusty kubek.

– Mogę ci pożyczyć te pierwsze Pratchetty, jeśli będziesz chciał – odważyła się zaproponować Tosia.

Uśmiechnął się uprzejmie.

– Pewnie przydadzą się zimą, jak już przeczytam wszystko po dziesięć razy.

– Możemy skajpować.

– Nie mam tu jeszcze sieci, ale do zimy może się dorobię. Muszę szybko stanąć na nogi. No i muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ci się jakoś odwdziżyć za to wszystko.

– Już ci mówiłam, że nie musisz mi płacić!

Muzyka za ścianą zadudniła jeszcze głośniej, przydając słowom Tosi złowieszczonego wydźwięku.

– Wiem. Równy z ciebie chłop – powiedział Leon, a ona zamruła szybko, dziwnie zmieszana tym oryginalnym komplementem. – Ja nie mówię o zapłacie – dodał, wodząc palcem po krawędzi swojego kubka. – Mówię o tym, że jeśli ty będziesz mnie kiedyś potrzebować, będę blisko.

Marcin Graczyk cisnął telefon na półkę samochodową. Znowu to samo. Kolejny glazurnik zrobił mu brzydki dowcip i urwał się na pilną wykończeniówkę na drugim końcu miasta. Doświadczenie mówiło Marcinowi, że praca była nie tyle pilna, co lepiej płatna, i choć nerwy nim trzęsły, kalkulował na szybko, o ile mógłby jeszcze podnieść dniówkę ludziom, by samemu nie pójść z torbami. Jakby nie liczył, wychodziło mu, że niewiele.

Miał jechać i sprawdzić, jak idą postępy prac, ale w tej sytuacji mógł sobie darować, skoro robota i tak stoi. Przy pierwszej okazji nawrócił i skręcił w kierunku własnego osiedla. Przynajmniej zje obiad o normalnej porze. Zje, odpocznie chwilę i przygotuje się na to, co nieuniknione: telefon od wkurzonego klienta.

Liczył się z tym, że sam będzie musiał położyć te przeklęte płytki, ale wcale mu się to nie uśmiechało. Ile razy pracował w parterze, kręgosłup dawał mu się mocno we znaki; chodził potem jak połamany, cholera go brała z byle powodu, a co najgorsze, Idalia zaczynała go wysyłać do lekarza, jakby był smarkaczem z ospą wietrzną. Marcin miał dla szwagierki wiele szacunku i wdzięczności za to wszystko, co robiła dla jego córki, osobiście jednak wolał pozostawać poza jej nadzorem.

Skręcił w boczną uliczkę. Cudem udało mu się znaleźć miejsce do zaparkowania już przy pierwszym okrążeniu – zwykle długo kluczył po zakamarkach osiedla, projektowanego w czasach, gdy na samochód było stać najwyżej kilka osób w całym bloku. Odkąd za osiedlem nabudowali biurowców, samochody stały wszędzie, nawet na trawnikach. Marcin wysiadł, zatrzasnął drzwiczki, obrzucił ponurym wzrokiem auta blokujące drogę pożarową i już chciał dzwonić po straż miejską, gdy jego uwagę przykuło niecodzienne zjawisko.

Po krawężniku stapało tanecznym krokiem jasnowłose dziewczę w rozchełstany płaszczu,



z słuchawkami na uszach, i nuciło sobie pod nosem jakąś arię. Marcin rozpoznał córkę od razu; ani słuchawki, ani aria go nie zdziwiły, nie odczuł też zaskoczenia na widok jej kreacji – do tych rozłożystych sukienek godnych Audrey Hepburn był przyzwyczajony. Gust jak gust, inne nastolatki mają dziwniejszy. Dopóki Idalia była w stanie nabywać te wykwintne toalety po rozsądnych cenach, Marcin nie widział powodu, by się sprzeciwiać.

Nie, zaniepokoiło go coś innego. Po pierwsze – wielka, rdzawa plama na froncie Tosinej sukienki. Po drugie – dobrze mu znana, zielona walizka z napisem Bosch, którą Tosia niosła przed sobą, jakby to był kufer podróżny. Oba te szczegóły spletały się Marciniowi w świadomości i przywołały niejasne skojarzenia z kryminałem, który widział ostatnio w telewizji.

Nie tylko Marcin był poruszony tym widokiem. Za dziewczyną z wiertarką oglądali się wszyscy, których mijają, począwszy od sąsiadki z jamnikiem, a skończywszy na wychylającym się ze studzienki pracowniku Aquanetu. Tosia swoim zwyczajem pogrążona w rozmyślaniach nie zwracała uwagi na świat zewnętrzny i zmierzała ze wzrokiem utkwionym we własne stopy prosto na Marcina.

– *...in the meantime I'll practise on less honorable throats...* – nuciła z nienagannym akcentem, o ile Marcin był w stanie ocenić, nie znając języka. Szczerze podziwiał ją za łatwość, z jaką przyswoiła sobie angielski, oglądając te wszystkie filmy i seriale. Wszyscy mówili, że z językiem człowiek sobie poradzi w świecie. Chwytał się tej nadziei, ilekroć przynosiła ze szkoły złe oceny albo zakłopotana nie nadążała za konwersacją. – *...And I'm full of jo- ooooo- oy... Tata?...*

– Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie słuchała muzyki, kiedy chodzisz po ulicy – burknął Marcin, kiedy Tosia wydłubała słuchawki z uszu.

– Tu jest chodnik – odparła córka.

– Po co ci wiertarka?

– Co? – Tosia spojrzała na walizkę z takim zdziwieniem, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że ją niesie. – A, wiertarka. Musiałam coś wywiercić.

Marcina opanowało uczucie znużenia, które towarzyszyło mu zawsze, ilekroć wchodził z córką w interakcję dłuższą niż dwie minuty. Nie miał do tego cierpliwości. W pracy komunikował się systemem zwięzłych komend, gdy trzeba było, wsparty dobitnym epitetem. Z Tosią tak się nie dało. Zresztą poprzysiągł Idalii, że nie będzie się wyrażał przy dziecku ani czynił mu zbędnych przykrości.

– Może ja ją wezmę – powiedział więc tylko, mając cichą nadzieję, że Idalia, prowadząc nieuchronne śledztwo w sprawie plam na sukience, dociecze ich przyczyny i on już nie będzie musiał.

– O, fajnie. Ciężka jest.

Marcin przejął wiertarkę i podążyli razem w stronę domu.

– Jak było w szkole? – spytał, jak na dobrego ojca przystało.

– Nudno – odparło dziecko.

Myśli Marcina zaczęły krążyć wokół glazurnika i jego potencjalnych zastępców, nie mógł się jednak skupić. Zielona walizka ciążyła mu w ręce. Ta wiertarka... Coś mu mówiło, że może jednak powinien więcej rozmawiać ze swoim dzieckiem. Nieczęsto miał okazję. Z reguły wracał późno, a Tosia większość czasu spędzała we własnym pokoju, przy komputerze albo przy książkach. No i prawie co dzień bywała u nich Idalia, a przy niej mało kto miał szansę się wypowiedzieć. Idalia posiadała szczególny dar monologowania, który wywoływał w obecnych

przekonanie, że biorą udział w wartkiej dyskusji, choć w rzeczywistości nie odzywali się prawie wcale. Teraz Marcin nie bardzo wiedział, jak w ogóle podjąć rozmowę. W końcu wymyślił:

– Czytałaś ostatnio coś ciekawego?

Zdziwione spojrzenie sennych oczu.

– Tak, mprega o Fiyero.

– Słucham?

– To był crossover – dodała Tosia z pewnym ożywieniem. – Z uniwersum Avengersów. Fiyero był tam superbohaterem i przyjaźnił się z Tonym Starkiem.

– To jakaś książka? – spytał Marcin, bardzo starając się wykazać zainteresowanie tematem.

– Nie, fanfik.

– To znaczy?

– To takie opowiadanie w obrębie fandomu – odpowiedziała cierpliwie Tosia. – Albo dwóch.

– Kto je napisał?

Tosia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Jakaś dziewczyna ze Stanów.

– Czytasz po angielsku? – spytał Marcin z rozpaczą.

– No chyba – mruknęła Tosia po nosie. – Po polsku trudno znaleźć dobry slash o *Wicked*.

– Aha – odparł Marcin. – To dobrze – dodał bez przekonania – przynajmniej poznajesz język.

Zatrzymali się przed wejściem na klatkę.

– Powiedz mi, co wierciłaś tą wiertarką? – spytał Marcin, któremu nie dawało to spokoju.

Czy mu się wydawało, czy Tosia jakby spięła się na moment, a jej spojrzenie z podejrzaną prędkością uciekło gdzieś w bok?

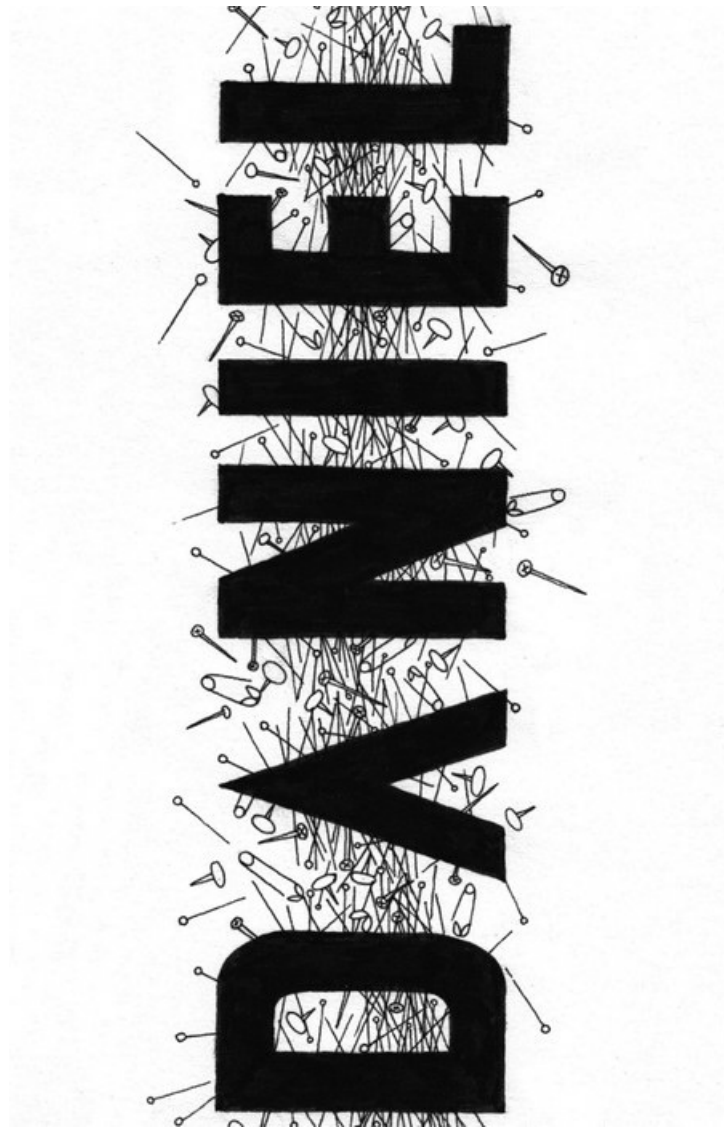
– Przykręcałam regał do ściany.

– W szkole wam każą robić takie rzeczy?

– Nie każą, to był wolontariat – mruknęła wymijająco córka i wcisnęła w uszy słuchawki.

Marcin otworzył przed nią drzwi. Był zmęczony i głodny. Marzył o tym, by się położyć i odpocząć. Zastanawiał się, czy inni ojcowie nastoletnich córek też czują się czasem, jakby mieszkali pod jednym dachem z przybyszem z innej planety. Liczył na to, że kiedyś to się skończy, że Tosia dorośnie i wreszcie będzie mógł z nią pogadać jak z normalnym człowiekiem.

Póki co pozostawała mu wiara w kobiecą intuicję jego szwagierki. Że Idalia czuwa nad jego córką i ma wszystko pod kontrolą.



## ROZDZIAŁ III

Tosia czekała na Leona, a on nie przychodził.

Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nigdy się specjalnie nie umawiali, ale jakoś tak utarło się w ostatnim czasie, że spędzają dużą przerwę razem. Spotykali się w szkolnym bufecie, kupowali herbatę z automatu, ona wyciągała pojemnik ze swoim zbilansowanym posiłkiem, a on grubą kanapkę z serem i kiełbasą. Jedli, wymieniali się nowinkami, narzekali na ilość nauki. Nic specjalnego.

Oczywiście plotkowano o nich, a ponieważ w szkole plotka raczej poprzedza prawdę, niż podąża za nią, nastąpiło powszechne mniemanie, że Leon i Tosia chodzą z sobą. Tosia nie była tego taka pewna. Przede wszystkim nie chodzili, a głównie siedzieli. Od czasu przykręcania regału minął już prawie miesiąc, a on ani razu nie zaprosił jej do siebie, nigdy też nie zaproponował żadnego wyjścia na miasto czy do kina. Czasem, owszem, w roztargnieniu brał jej dłoń w swoją i nieświadomie przeciągał kciukiem po polakierowanych paznokciach – czymże to było, jeśli nie jawną pieśczętą?

Poza tym jednak nie narzucał się jej zupełnie, zawsze uprzejmy, zawsze zdystansowany. Tosi to odpowiadało. Nie zniosłaby chyba, gdyby Leon stracił głowę i zaczął prawić jej komplementy jęśliwym głosem, najbardziej bowiem ceniła sobie swobodę, z jaką potrafiła z nim rozmawiać. Nie peszył jej jak inni ludzie, nie patrzył jak na idiotkę, gdy traciła wątek. Miał swój własny gust muzyczny i literacki, a jednocześnie orientował się na tyle w bezkresach jej zainteresowań, że nie czuła się głupio, opowiadając mu z przejęciem o swoich ulubionych fandomach. Jeśli o nią chodzi, ten niezobowiązujący etap ich przyjaźni mógłby trwać w nieskończoność.

Poprawiła się na niewygodnym krzeselku. Do bufetu napływało coraz więcej ludzi; jeśli Leon nie pojawi się wkrótce, ktoś w końcu podbierze drugie krzesło od jej stolika. Próbowiła nie myśleć o tym, tylko skupić się na lekturze *Sonetów krymskich*, których podniszczony egzemplarz leżał przed nią, od kilku dni przełożony zakładką wciąży w tym samym miejscu.

„U stóp moich kraina dostatków i krasy...”

Tosia westchnęła i dała za wygraną.

Szkoła jak zwykle nie ustawała w wysiłkach, by pochłonąć cały jej wolny czas. Oprócz lektur obowiązkowych nadeszły też pierwsze sprawdziany i projekty do zaliczenia. Tosia kuła, póki jej sił starczyło, czasem przez pół nocy, ale ledwo się budziła rankiem, cała wiedza ulatniała się z jej głowy razem ze snem. Co rano wchodziła do szkoły i owijała się w mentalny kokon obojętności, żeby jakoś znieść nudę, monotonię i całą tę rozwrzeszczaną przyszłość narodu pałętającą się po korytarzach. W okolicach południa nadchodził kryzys: sama miała ochotę wrzeszczeć i rozszarpać każdego, kto by czegoś od niej chciał. Na szczęście wtedy przychodziła duża przerwa, a wraz z nią drugie śniadanie z Leonem.

Leon dla odmiany wchłaniał wiedzę bez wysiłku, jakby mimochodem, a do tego rzucił się w wir życia społecznego. Podczas gdy Tosia zredukowała się do formy przetrwalnikowej, on podbijał szkołę na wszystkich frontach. Ile razy spotykali się w kawiarni, miał dla Tosi nowe wieści.

– Zgłosiłem się do redakcji gazetki. Na razie pozwalają mi tylko robić korektę, ale może niedługo coś napiszę...

– Byłem na obradach samorządu szkolnego. Mówiłem o tym, jaką fatalną herbatę sprzedają tu w bufecie. Wkrótce to się może zmienić!

– Koło historyczne zaprosiło mnie do siebie! Ale nie wiem, czy pójdę, mam w tym czasie próbę kabaretu.

– Kabaretu?

– No. Zakładamy kabaret. Ja, Darek z mojej klasy i Artur z trzeciej B. A co, nie wierzysz, że możemy być zabawni?

Tosia była w stanie uwierzyć we wszystko, a kiedy jeszcze dowiedziała się, że Leon swoją hiperaktywność towarzyską łączy z udzielaniem korepetycji przez trzy dni w tygodniu, mogła już tylko trwać w niemym zadziwieniu. Nic dziwnego, że wobec tego całego nawału zajęć znajdował dla niej tylko dwadzieścia minut dziennie na szybką pogawędkę.

Sprawdziła godzinę w komórce. Minęło już dziesięć minut przerwy, kawiarnia była pełna ludzi i Tosia miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią i myślą sobie: „O, siedzi sama. Leon nareszcie się nią znudził. Od początku wiedzieliśmy, że tak będzie!”. Wgryzła się w jabłko i żuła je powoli, zastanawiając się, jak da radę przeżyć dzisiejszy dzień. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby teraz wstać i poszukać Leona, albo chociaż do niego zadzwonić. Nigdy nie robiła takich rzeczy. To świat organizował się wokół niej, a ona pozwalała się nieść – i teraz też czuła się jak rozbitek niesiony prądem, coraz dalej od brzegu. Zaczęła żałować, że nie zażyła dziś rano podwójnej dawki kapsułek, tak jak to ostatnio robiła zawsze wtedy, gdy dzień zapowiadał się wyjątkowo parszywie.

– No, jestem – usłyszała za sobą. Leon śmignął obok niej w stronę automatu z herbatą i wrócił po krótkiej chwili, w czasie której Tosia bardzo się starała powściągnąć wybuch radości. – Jastrzębska mnie przydybała na korytarzu i nie chciała puścić.

– Co przeskrobałeś?

– Jeszcze nic. – Leon przysunął sobie krzesło i usiadł. – Pytała o nasz kabaret. Chce, żebyśmy przygotowali akademię na Dzień Nauczyciela. Mamy mało czasu, ale chyba damy radę.

Leon promieniał energią i zapalem, a Tosia czuła, że ładuje się przy nim jak bateria słoneczna.

– I teraz uważaj, bo mam do ciebie prośbę – ciągnął Leon, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu śniadania. – To ważne. – Rzucił na stół pakunek z kanapką i chwycił Tosię za rękę, wychylając się do niej tak, że ich czoła prawie się zetknęły. – Jest w twojej klasie osoba, którą chciałbym poznać.

– Ręce ci się pocą – powiedziała Tosia ponuro. – Kto to taki, Emilia?

– Nie, nie Emilia.

– Matylda?

Leon westchnął i puścił jej rękę.

– Nie Matylda. Potrzebny mi Konrad.

– Konrad – powtórzyła zdziwiona Tosia. Przywołała z pamięci obraz naburmuszonego, grzywiastego chłopaka w koszulce z napisem *PUNK IS NOT DEAD*, który zazwyczaj pólleżał w ostatniej ławce na plecaku w pacyfki i nie udzielał się. – No, jest taki jeden. Po co ci on?

– Doszły mnie słuchy, że gra na gitarze. Potrzebne nam tło muzyczne.

– Jakoś go sobie nie wyobrażam w kabarecie – odezwała się Tosia, dotknięta. Leon już drugi raz użył tego słowa: potrzebować. Nigdy nie powiedział, że potrzebuje jej, no, do czegokolwiek. A Tosia niczego bardziej nie pragnęła, niż wreszcie przydać się na coś.

– Zostaw to mnie – powiedział wesoło Leon i ugryzł chleba.

– Mam ci go przedstawić czy jak?...

Leon zakrztusił się przełykanym kęsem i zakaszał w dłoń.

– Nie! Powiedz mi tylko, jak mogę go złapać, no, bez tłumy ludzi dookoła.

Tosia spojrzała na niego podejrzliwie. Co on kombinował? Nie potrafiła przejrzeć jego myśli.

Leon przeżuwał kanapkę i przyglądał się jej spokojnie, wyczekując.

Zabrział dzwonek i Tosia dała za wygraną.

– Konrad nie chodzi na wuef – burknęła. – W środy wychodzi wcześniej niż reszta.

Leon rozjaśnił się jak choinka na święta.

– Dzięki. Jesteś wielka. Wielka i potężna jak Elfaba. – Upił herbaty, rzucając jej swawolne spojrzenie ponad krawędzią kubka.

Tosia prychnęła jak kot i podniosła się, zabierając torebkę z oparcia krzesła.

– I piękna jak Fiyero! – krzyknął Leon w stronę jej oddalających się pleców.

O tak, znali się niecały miesiąc, a on już dobrze wiedział, jak ją podejść.

Tosia też nie chodziła na wuef, więc kiedy skracała sobie drogę do domu wąską ścieżką za salą gimnastyczną, miała okazję zobaczyć, jak Leon z właściwą sobie swobodą nawiązuje nową znajomość. Wlokła się potem o kilkanaście kroków za chłopakami – nie, nie śledziła ich, to oni złośliwie szli akurat jej trasą, a co to kogo obchodzi, że akurat tego dnia postanowiła wracać do domu na piechotę? – a ponury nastrój wzbierał w niej jak chmury przed burzą.

Teraz to już naprawdę zbliża się koniec – przewidywała, kopiąc przed sobą kamyki i kapsle. – Będzie miał coraz więcej kumpli, będzie coraz bardziej zajęty, lada dzień po prostu sobie zniknie. – Przechodząc na przełaj przez jeden z osiedlowych skwerków, kopnęła ze złością krawężnik i stuknęła sobie duży palec u nogi. Au!... Własna bezsilność doprowadzała ją do pasji.

Usłyszała przed sobą dwuosobowy męski rechot i zacisnęła pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę. No proszę, Leon nawet takiego ponuraka potrafi skłonić do śmiechu. Nic dziwnego, że wszyscy go rozchwytują. A ona sama była tak tępa, głupia i nudna, że nawet nie potrafiła o sobie myśleć bez mdłości.

Leon i Konrad skręcili z chodnika w stronę budki z kebabem. Wszystko wskazywało na to, że obiad też będą jeść dziś razem. Wzburzona Tosia poszła dalej prosto, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Rozpierał ją coraz większy gniew. Miała wrażenie, że lada moment jak małe tornado zacznie pustoszyć przestrzeń wokół siebie.

Niedobrze. Niedobrze. Nie wolno się tak złościć.

Na szczęście wiedziała, co powinna teraz zrobić. Gdy tylko dotarła do domu, przemknęła za plecami taty, który szukał czegoś w szafce z narzędziami, wpadła do kuchni, wygrzebała z apteczki dobrze jej znane pudełko i połknęła dwie nadprogramowe kapsułki.

Przez cały wrzesień Idalia zawracała Marcinowi głowę cieknącą rurą pod zlewem w kuchni i obluzowanym kontaktem w pokoju u Tosi. Marcin się opierał. Miał dużo pracy, wracał późno, rura nie ciekła aż tak bardzo, by sprawa zdawała się poważna. Równie dobrze mógłby jednak walczyć z wiatrem erodującym skały – Idalia nieustępliwie powracała do tematu. Ciężko wdychała, zmieniając pełen wody kubełek pod rurą, wymownie przewracała oczami, kiedy tylko zamrugała żarówka. Wreszcie Marcin nie wytrzymał psychicznie i ogłosił, że już dobrze, dobrze, zajmie się tym wszystkim. Idalia uśmiechnęła się zwycięsko.

– Można by też odmalować ścianę w przedpokoju. I powiesić nad łóżkiem Tosi tę półkę, którą kupiłeś w zeszłym roku.

– Tyś mi ją kazała kupić.

– Tosia potrzebuje tej półki. Rzuca książki pod łóżko, a na nocny stolik nie ma już miejsca.  
– Nie przeszkadzają mi książki pod łóżkiem – mruknął Marcin, a Idalia to usłyszała i posłała mu Spojrzenie.

– Ja tylko próbuję nauczyć twoją córkę porządku.

Zabrał się więc do dzieła i stało się dokładnie to, czego się najbardziej obawiał: gdzie tylko się dotknął, mała usterka okazywała się dużą, tynk się sypał, korki zniecałkowały wysiadały – i w ten oto sposób końcówka września zastała Marcina w chaosie. Terminy wisiały mu nad głową, klienci dzwonili, nowy glazurnik, młody chłopak, narzekał na stresującą atmosferę w pracy i groził odejściem.

W tę środę Marcin postanowił przykręcić wreszcie półkę u Tosi. Odsunął łóżko od ściany, zauważając przy okazji, że sterta książek, kabli, skłębionych pończoch i ogryzków jabłek istotnie żyje pod nim własnym życiem. Zerknął na córkę, żeby wygłosić jakiś dydaktyczny komentarz, ale coś go zastanowiło. Tosia siedziała przy swoim biurku nad podręcznikiem do chemii, ale nie czytała, tylko wpatrywała się tępo przed siebie. Z korkowej tablicy szczyrzyły się do niej fotografie jej idoli, jakichś nieznanym Marcinowi młodzieńców o fircykowatym wyglądem. Tosia zdawała się ich nie widzieć. Pomyślał, że może ona tylko w skupieniu powtarza materiał z podręcznika, ale ponieważ minuty mijały, a córka się nie poruszała, nie wytrzymał i powiedział głośno:

– Tosiu!

Brak reakcji.

– Tosiu! – krzyknął Marcin, dziwnie niespokojny.

Mrugnęła i odwróciła głowę w jego stronę. Wzrok miała senny i nieobecny.

– Tak?...

– Tak myślałem... może chciałabyś mi trochę pomóc? – palnął Marcin, nie wiedząc, co powiedzieć. Tosia patrzyła na niego ze ściągniętymi brwiami, jakby zrozumienie jego słów przychodziło jej z wielkim wysiłkiem.

– Pomóc?

– Tak sobie dobrze radzisz z wiertarką – brnął Marcin, czekając na jakąkolwiek żywszą reakcję. I rzeczywiście, przez twarz Tosi przemknął cień uśmiechu. – Dobrze ci robi, jak wstaniesz na chwilę zza tego biurka. Za dużo się uczysz.

– Muszę pojechać na *Wicked* – wymamrotała Tosia i przytknęła oczy, jakby miała zamiar zasnąć na krześle.

Marcin przypomniał sobie, że poprzedniego dnia odrabiała lekcje prawie do trzeciej w nocy, i pomyślał, że już wszystko rozumie. Pomyśl z Londynem był inicjatywą Idalii i z początku Marcin był pełen podziwu dla jej intuicji – nigdy wcześniej Tosia nie wydawała się równie zmotywowana do nauki. Teraz jednak zaczął wątpić w słuszność całego planu.

– Chodź mi tu potrzymać miarę – odezwał się. – Gdzie chcesz tę półkę? Ta wysokość będzie dobra?

Tosia pokiwała głową i przelazła na łóżko. Pozwolił jej wywiercić otwory – trochę się wahał, widząc, jak bierze wiertarkę w swoje chude ręce, ale z chwilą, gdy wiertło dotknęło ściany, jej ospałość natychmiast przeszła w stan maksymalnego skupienia. Wiertarka latała jej w rękach, ale zdołała ją utrzymać. Nie musiał jej pomagać. Gdy skończyła, odruchowo zdjęła wiertło i sięgnęła po większy rozmiar, żeby poszerzyć otwór. Przypomniał sobie, że gdy była mała i nie miał co z nią zrobić, wiele razy zabierał ją ze sobą do pracy. Idalia położyła temu w końcu kres, twierdząc, że to niebezpieczne dla dziecka. Nie przypuszczał, że córka wciąż jeszcze pamięta to

wszystko, czego ją wtedy nauczył.

Przygotował grube wkrety. Idalia kazała mu kupić elegancką półkę bez wsporników, wiszącą wyłącznie na dwóch wystających ze ściany trzpieniach. Marcin nie przepadał za tego typu nowomodnymi rozwiązaniami. Wbił trzpień w ścianę i przytaszczył półkę z korytarza. Była ciężka.

– Musisz mi pomóc – powiedział. – Sam jej nie nakieruję. Chwytaj za drugi koniec.

Tosia podniosła się z łóżka i posłusznie chwyciła za deskę.

– Równy – mruknął Marcin. – Trochę do siebie. Do góry.

Nakierował otwór w desce na trzpień. Po swojej stronie jego córka zrobiła to samo. Ciekawe, czy kafelki też by dała radę układać – błysnęła mu w głowie niedorzeczna myśl. – Trzymasz? Nakładamy. Teraz!

Nabił otwór na trzpień, wymagało to sporej siły. Tosia wciąż się męczyła.

– Mocniej! – huknął Marcin i w tym momencie ciężka deska wyślizgnęła się Tosi z rąk. Na moment zawisała na jednym pręcie, po czym wyrwała go ze ściany wraz z kawałkiem cegły i tynkiem. Półka huknęła o podłogę. Pył uniósł się i zaczął opadać na poduszkę. Marcin zaklął.

Tosia z opóźnieniem zareagowała na to, co się stało. Spojrzała ze zdumieniem na dziurę w ścianie, na deskę, wreszcie na Marcina, w którym wzbierała zawodowa złość z powodu spięrzanej roboty. Pociągnęła nosem.

– Tak, wiem – powiedziała żałośnie. – Żadnego ze mnie pożytku.

Marcin stłumił gniew. Bezbrzeżny smutek w jej głosie niedobrze mu się kojarzył. Zeszłej zimy też była taka smutna, a potem wioził ją do szpitala na szycie.

– Nic się nie stało – burknął. – Będzie z ciebie pożytek, jeśli zagruntujesz tę dziurę pod gips. W szafie jest baniak z podkładem, biegnij i przynieś. – Ugryzł się w język, żeby nie dodać „tylko nie wylej”.

W ciągu następnej godziny Tosia nieznacznie odżyła. Sama posprzątała gruz i zagruntowała dziurę za pomocą pędzelka. Marcin zajął się ścianą w przedpokoju, przygotowaną już pod malowanie. Ledwie zdążył machnąć trzy razy wałkiem, Tosia wytknęła jasną głowę ze swojego pokoju.

– Mogę ja?... Tam już skończyłam.

Tak bardzo jej zależało, żeby się zrehabilitować, że nie miał serca jej odmówić, choć wiedział, że jeśli ściana zostanie pomalowana byle jak, Idalia będzie mu suszyć głowę przez następny kwartał.

– Przebierz się chociaż – mruknął, widząc, jak Tosia ochoczo, ale nieporadnie chwyta za wałek.

– W co?

– W jakieś portki robocze.

– Nie mam żadnych portek – wystękała córka, jedną ręką przeciągając wałkiem po ścianie, a drugą zagarniając sukienkę do siebie.

Marcin wyartykułował wreszcie tę śmieszna myśl, która od jakiegoś czasu brzęczała mu w głowie:

– Może powinienem cię kiedyś zabrać na robotę do klienta!

Tosia zamarła, a farba z wałka zaczęła kapać na dywan.

– Zabierzesz mnie? Naprawdę?

Już miał odpowiedzieć, gdy sygnał domofonu zaterkotał przy drzwiach. Oboje wzdrygnęli się, jakby przyłapano ich na jakimś wielkim przestępstwie. Usłyszeli dobrze znany stukot obcasów



na schodach.

– Nie zabierzesz – mruknęła Tosia pod nosem i przeciągnęła wałkiem po ścianie. – Wiem, że nie.

– To tylko ode mnie zależy! – oświadczył butnie Marcin i w tym momencie zazgrzytał klucz – ciocia Idalia stanęła w progu.

Tosia zagryzła wargi i nie patrząc na ciocię, przeciągała wałkiem w górę i w dół. Była to zaskakująco ciężka praca, ale choć ręce jej mdlały, nie przestała ani na chwilę. Tata stał obok, patrząc, jak sobie radzi; ręce włożył w kieszenie spodni, starając się wyglądać swobodnie.

– Wyręczasz się dzieckiem? – spytała ciocia i odwiesiła płaszcz.

– To już nie dziecko – burknął Marcin. – Dobrze jej idzie.

Ciocia zaszeleściła torbą termiczną, w której przyniosła mięso. Miała swoje własne źródła jedynych bezpiecznych dostaw drobiu i wieprzowiny. W środy zdobywała ekologiczne kurczaki i rozdzielala je międy dwi lodówki.

– Wypakuję je, zanim się rozmrozą – powiedziała. – Dobrze widzę, że kolejna sukienka do wyrzucenia? Niedługo nie będziesz miała w czym chodzić, Tosiu.

– Trzeba jej sprawić jakieś ciuchy robocze – zauważył Marcin.

– No właśnie – wtrąciła Tosia. – Wtedy tata weźmie mnie na robotę do klienta. – Z determinacją machnęła wałkiem na ukos.

Ciocia nic nie powiedziała, tylko poszła schować kurczaki do zamrażalnika, ale Tosia wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Ciocia zawsze miała ostatnie zdanie.

Tata przysunął łóżko z powrotem do ściany i schował baniak z gruntem. Gdy zamykał szafkę, ciocia Idalia jak duch pojawiła się obok.

– Mogę cię poprosić na chwilę? – spytała z łagodnym uśmiechem. – Musimy chwileczkę porozmawiać.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi kuchni, Tosia wetknęła wałek do wiaderka z farbą i zaczęła nasłuchiwać. Ciocia mówiła coś swoim spokojnym, cichym głosem, było słychać tylko niewyraźne szemranie.

Tosia mogła się domyślać, o czym ciocia tak peroruje: o tym, co dziewczynom przystoi, a co nie; o tym, że dziecko powinno się skupić na nauce, a nie pracy fizycznej; że od wdychania farby można dostać alergii, a od machania wałkiem – jakichś straszliwych schorzeń w łokciu. Drgnęła, gdy usłyszała podniesiony głos taty:

– Do diabła, ty masz jakąś obsesję!

– Naprawdę? – głos cioci również podniósł się o ton. – Naprawdę uważasz, że nie ma o czym mówić? A pamiętasz Daniela?

Słyszając to ostatnie słowo, wyszczone scenicznym szeptem, Tosia zachwiała się, jakby nurt niewidzialnej rzeki podciął jej nogi. Ogarnęło ją déjà vu. Uczucie było tak silne, że na moment straciła kontakt z rzeczywistością i wydawało jej się, że jest gdzieś indziej. Daniel. Daniel. Nie znała żadnego Daniela. Ale przez sekundę miała wrażenie, że ciocia mówi o kimś bardzo jej bliskim. Tosia napięła do granic możliwości całą świadomość, chcąc zatrzymać to uczucie przy sobie, ale słabło. Uciekło. Zniknęło.

– Daniel nie ma z tym nic wspólnego – mówił tymczasem tata.

– Skąd wiesz? Ile czasu z nią spędzasz, żeby mieć taką pewność? Bo ja wcale nie jestem pewna!

– Przesadzasz...

– Ja przesadzam? Ja po prostu słyszałam od ludzi dość historii, by wiedzieć, czego się

trzymać. Chcesz też posłuchać? – głos Idalii znów przycichł i zaczął wściekle szemrać. Po chwili powiedziała głośniejszym głosem: – Tego właśnie chcesz dla Tosi?

Tosia nie usłyszała odpowiedzi taty. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Ale w ogóle mało dziś rozumiała i oczy jej się kleiły. Czowała jednak, że stało się coś ważnego, że powinna się domagać wyjaśnień. Coś przed nią ukrywali.

Drzwi otworzyły się i ciocia z tatą wyszli z kuchni. Tosia spojrzała na tatę, szukała wzrokiem jego oczu, ale on nie spojrzął na nią. Przygarbiony, jakby nadmiar trosk go przerósł, wbijając wzrok we własne kapcie, przemknął korytarzem i zniknął w swoim pokoju. Nie spodziewała się niczego innego, ale mimo to poczuła piekące łzy tuż pod powiekami, jak gdyby ktoś ją właśnie podle oszukał.

– Wystarczy na dzisiaj, kochanie – powiedziała ciocia Idalia, podchodząc do Tosi i osnuwając ją lekkim zapachem perfum. – Bardzo ładnie pomalowałaś, ale już jest późno. Tatusz jutro za ciebie dokończy.

– Kto to jest Daniel?

– Nie znam żadnego Daniela, skarbie. Jadłaś już kolację?

– A czy ja znałam? Bo...

– Chodź, przygotujemy coś razem – zaproponowała przyjaźnie ciocia i pokierowała siostrzenicę w stronę kuchni. – Co byś chciała? Masz ochotę na omlet?

– Nie... nie jestem głodna – zająknęła się Tosia, zdezorientowana zmianą tematu. Myśli zaczynały jej się rwać, wkładało się pomiędzy nie zdradliwe zobojętnienie na wszystko. Głos cioci, monotony i kojący, usypiał jej niepokój.

– Trzeba coś jeść, kochanie. Usiądź tu przy stole. Nakroisz ładnie szczypiorku.



## ROZDZIAŁ IV

Kiedy wychowuje cię dwoje ludzi, którzy tolerują się nawzajem tylko ze względu na ciebie, momentami życie staje się trudne do zniesienia. Od czasu tajemniczej wymiany zdań za zamkniętymi drzwiami kuchni tata i ciocia Idalia byli wobec siebie przesadnie grzeczni, tą lodowatą uprzejmością, która skuwa lodem wszystko dookoła. Doświadczenie mówiło Tosi, że to minie, przeczekiwała więc w swoim pokoju, z słuchawkami na uszach, gapiąc się na swoją nową półkę nad łóżkiem, którą tata sam zawiesił, kiedy była w szkole. Sam pomalował też ścianę w przedpokoju i już nigdy nie powrócił do tematu wspólnej pracy zarobkowej, ale gryzło go to najwyraźniej, bo kupił Tosi w prezencie najnowszego Pratchetta. Ciocia natychmiast go przebiła, zabierając siostrzenicę na wycieczkę do Warszawy, gdzie obejrzały w Romie *Mamma mia*.

Tosi podobało się, owszem, ale chyba wolałaby, gdyby tata i ciocia choć raz się po prostu porządnie pokłócili, gdyby wykrzyczeli to wszystko, co im leży na wątrobie, i jakoś się do tego nawzajem odnieśli. Ale nie, wciąż ostrożnie krążyli po własnych orbitach, jak dwie planety związane ze sobą tylko wspólnym punktem odniesienia. Tosia w roli słońca czuła się nader nieswojo i uparcie schodziła im z drogi, zamykała się w swoim pokoju, zagłuszała się muzyką, a gdy i to przestało działać, zaczęła łykać po dwie kapsułki dziennie.

W szkole, gapiąc się apatycznie przez okno i gryząc końcówkę jasnego pasma włosów, próbowała wywołać w sobie to tęskne uczucie, które ją ogarnęło, gdy usłyszała wtedy tamto imię: Daniel. Ale czas zacierał jej wspomnienia; nie minęły dwa tygodnie i zaczęła przypuszczać, że coś źle usłyszała albo zrozumiała – jak zawsze. Coś się jednak w niej zmieniło. Daniel – kimkolwiek był – zawładnął jej wyobraźnią. Wyobrażała sobie, że jest jej zaginionym bratem albo wujem, albo może tylko dawnym przyjacielem wyrugowanym z jej życia z powodu jakichś ciemnych sprawek. Kimś bez wątpienia podejrzanym i niebezpiecznym, skoro budził w cioci taki lęk, ale zarazem kimś, za kim chorobliwie tęskniła, choć nie znała przyczyny.

– Elfi, odlatujesz – zwrócił jej uwagę Leon, gdy po kwadransie rozplływania się nad scenariuszem przedstawienia, które przygotowywał z okazji Dnia Nauczyciela, zorientował się, że nikt go nie słucha.

– Przepraszam – wyszemrała Tosia, krzywiąc się, jakby ją kto budził ze snu. – Oblałam dziś test z chemii.

To nie test z chemii zajmował jej myśli, ale rzeczywiście go oblała, więc wydawał się bezpieczną wymówką.

– Znowu? Może jednak pomóc ci trochę przygotować się do poprawki?

Tosia wzruszyła ramionami. Jak miała mu wytłumaczyć, że było jej po prostu wszystko jedno? Choćby się bardzo starała, nie była w stanie zmusić sennego mózgu do zainteresowania się czymkolwiek. Ot, drobny efekt uboczny stanu odrętwienia, który udało jej się osiągnąć dzięki zdobyciom współczesnej farmaceutyki. Tak leniwie mijała jej pierwsza połowa października. Tosia nie miałaby nic przeciwko temu, by w podobnie niemrawym tempie upłynęło jej całe życie.

Pewnego poranka jak zwykle sięgnęła do apteczki, by zapewnić sobie kolejną dawkę spokoju ducha, i z przestachem odkryła, że skończyły się jej kapsułki.

Wytrząsnęła ulotkę z pudełka, w rozpaczliwej nadziei, że gdzieś tam na dnie zabłąkał się jeszcze jeden blister, ale pudełko było puste. Zerknęła na kalendarz wiszący obok lodówki – do wizyty kontrolnej, wpisanej w kratkę kaligraficznym pismem cioci, pozostały jeszcze ponad dwa tygodnie.

– Skończyłaś już śniadanie? – krzyknął tata z głębi mieszkania. – Jeśli się pospieszysz, mogę cię podwieźć do szkoły, bo mam po drodze.

– Idę! – odkrzyknęła i zaczęła usilnie podliczać te wszystkie dni, kiedy przekraczała dawkę. Z łatwością uzbierało się kilkanaście przypadków. Poczuła lęk oblepiający ją jak tłusta sadza. Co teraz? Mogła powiedzieć o wszystkim tacie i cioci albo przetrwać dwa tygodnie bez proszków. Pierwszego rozwiązania w ogóle nie brała pod uwagę. Nawet nie chciała sobie wyobrażać tej więziennej kurateli, którą roztoczyłaby nad nią ciocia na wieść o tym, że siostrzenica łyka antydepresanty jak cukierki. A doktor Szacki? Pewnie też nie będzie zadowolony. Do tego ciocia tak się namęczyła, żeby znaleźć lekarza, który będzie przepisywał recepty, a nie tylko skierowania na terapię rodzinną! Drugie wyjście – przymusowy odwyk od proszków – zwiastowało kłopoty. Tosia nie do końca wiedziała, co miałyby się stać, ale strach paraliżował ją już teraz. W ostatnim czasie nauczyła się wierzyć w kapsułki jak w magiczne remedium na wszystkie jej kłopoty. Teraz nie pozostało jej już nic, żadnej pociechy w smutkach. Czy powróci czarna rozpacz, która dopadła jej zeszłej zimy? Czy będzie jeszcze bardziej nienawidzić szkoły? Czy zacznie pochlipywać za zamkniętymi drzwiami toalety jak mała, gruba Roksana albo krzyczeć do siebie jak Tomek z trzeciej A? Wlokąc się za tatą w stronę parkingu, szukała w sieci informacji o tym, co jej grozi. Znalazła objawy syndromu odstawienia i z narastającym niepokojem czytała kolejne punkty.

– Czy ty musisz się non stop gapić w ten telefon? – spytał tata, gdy potknęła się o krawężnik.

– Już, już – wymruczała Tosia nieuważnie, wsiadając do auta. „Odczucie przechodzenia prądu”. Trochę swędział ją kciuk. Czy to już pierwszy objaw? „Obniżenie nastroju”. Jeszcze bardziej? „Objawy grypy, katar”. Tosia pociągnęła nosem. Zdecydowanie czuła się coraz bardziej chora. Serce biło jej szybciej niż zwykle, w uszach szumiało. Zerknęła na tatę, który skupiony za kierownicą nie zwracał na nią większej uwagi. Mogłaby mu powiedzieć, ale jakoś nie mogła, gryzło ją poczucie winy. Kapsułki były drogie. Sesje z psychoterapeutą, na których wciąż się uparcie nie odzywała, też sporo kosztowały. Tata nie omieszkiał wspomnieć o tym kilka razy. To jakoś utwierdziło w niej przekonanie, że tata uważa jej humory za kosztowną, babską fanaberię.

Tosia zacięła usta i utkwiała wzrok w bocznym lusterku. Nic nie powie. Wytrzyma.

Tata wysadził ją przed szkołą i pojechał dalej. Było jeszcze dość wcześnie i chłodno. Usiadła na murku przed wejściem do budynku; drżały jej ręce – czy to mogły być drgawki, o których czytała przed chwilą? Obserwowała, jak nadciągają do szkoły kolejne grupy uczniów, rozgadane i swobodne, i czuła się na swoim murku samotna jak kundel w schronisku, choć otoczona śmiechem i gwarem. Zawsze wierzyła, że któregoś dnia będzie wreszcie zdrowa, że kapsułki spowodują w końcu, że stanie się taka jak oni wszyscy – wesoła, gadatliwa i szczerze zainteresowana tymi śmiesznymi sprawami, które zaprzętały głowy jej rówieśników. Ale to się nigdy nie stało i teraz właśnie niespodziewana myśl zapaliła się w jej głowie jak alarm.

A jeśli już jest zdrowa? A jeśli ten żałosny stan, w którym się znajduje, jest po prostu jej normalnym stanem? Może jest z natury głupia, nudna i tępa, a żadne kapsułki nie są w stanie tego zmienić?

*Nie będzie mnie dziś w bufecie. Mam próbę cały dzień.*

Tosia odczytała wiadomość i schowała telefon do torebki. Jeszcze i to. Nie powinna się dziwić, akademia na Dzień Nauczyciela miała się odbyć następnego dnia i Leon już od jakiegoś czasu nie mówił o niczym innym, a nawet zaczął przejawiać pewne oznaki tremy. Nigdy dotąd jednak nie wystawił jej w ten sposób, tuż przed dużą przerwą. Wyszła z klasy ostatnia i bez przekonania powędrowała korytarzem. Nie była głodna („jadłowstręt”) i czuła się słaba („zawroty głowy”). Zastanawiała się właśnie, czy da radę dotrzeć na trzecie piętro i przeczekać przerwę w bibliotece, gdy u obu jej boków, jak dwa anioły zwiastujące nieszczęście, wyrosły jej ulubione koleżanki.

– Co tam, Tośka, nie leczysz na herbatkę?

– Leon ma próbę cały dzień.

– Ach, prawda. – Emilia prychnęła. – Leon ma próby, ty nie chodzisz na wuef, niektórzy umieją się ustawić. – Z jakiegoś powodu była wściekła. Tosia nie musiała się długo domyślać, o co chodzi, bo Matylda pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Emilia nie umie stanąć na rękach.

– Umiem! – warknęła Emilia i skrzyła w stronę wyjścia na boisko. – Nie takie rzeczy robiłam na jodze. Ale nie lubię się wydurniać, kiedy po drugiej stronie sali stoją te jełopy i się gapią. Faceci z naszej klasy – uściśliła, choć Tosia nie wyrażała zainteresowania.

Wyszły na dwór. Dni były coraz chłodniejsze, ale wciąż pogodne; na wszystkich miejscach zdatnych do siedzenia wygrzewały się w słońcu grupki młodzieży. Emilia obrzuciła ich oburzonym wzrokiem i ostatecznie przysiadła na płotku okalającym rabatki przywiedłych róż.

Tosia słuchała jednym uchem, jak Emilia rozwodzi się nad incydentem na wuefie. Jednocześnie zastanawiała się, czy narastające w niej poirytowanie można podciągnąć pod kolejny objaw zapaści, czy też jest to najzupełniej prawidłowa reakcja na czyjeś drętwe wynurzenia. Emilia nadawała, Matylda jej potakiwała, Tosia dłubała czubkiem pantofelka w ziemi za płotkiem i nudziła się.

Z opowieści Emilii wynikało, że niejaka Martyna z drugiej B, dziewczę chude i sprężyste, nie tylko bez problemu stanęła na rękach, ale także od niechcienia wykonała szpagat, czym wywołała oklaski i entuzjastyczne gwizdy z męskiej części sali gimnastycznej. Nie dość tego jednak: rozochoczone powodzeniem dziewczę zaczęło jawnie kreować się na siódmy cud świata, rzucać odzywkami, monopolizować uwagę innych dziewcząt w szatni, słowem, bezczelnie wkraczać na terytorium przynależne Emilii. Ta zaś nie zamierzała tego tolerować.

– Głowa mi pęka, ile razy słyszę ten jej piskliwy głos – zżymała się. – Ani cycków, ani tyłka, na twarz tylko torbę założyć, a wyobraża sobie, że jest co najmniej miss szkoły. Co to w ogóle za pomysł, żeby na wuefie ćwiczyły razem dwie klasy. Ledwo się możemy pomieścić w szatni, a te dziewczuchy z drugiej B non stop wrzeszczą, czy one nie potrafią mówić normalnie?

Tosia nie wątpiła, że gdyby dziewczuchy z drugiej B oddawały swoje hołdy Emilii, a nie Martynie, Emilia nie powiedziałaby o nich złego słowa. Dowiedziała się jeszcze, że Martyna podlizywała się Emilii przez cały wrzesień i że Emilia nawet łaskawie zaprosiła ją na swoje urodziny, czego obecnie żałowała gorzko.

– Przylezie i będzie się mizdrzyć do wszystkich, co za wesz.

Tosia rozważała honorową ucieczkę do toalety. Od hamowania ziewania bolała ją już szczęka. Zgon z nudów nie występował na liście skutków odstawienia kapsulek, ale zaczynała się go właśnie obawiać. Zawsze nudziła się w towarzystwie Emilii, ale po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że wcale nie musi tego znosić, że marnuje tylko czas, a mogłaby po prostu wstać i odejść.

I właśnie to zrobiła.

- Idę do bufetu – oznajmiła, przerywając Emilii w pół słowa. – Do zobaczenia na polskim.
- Ale przecież Leon...?
- Nie muszę tam siedzieć zawsze z Leonem – zauważyła tonem odkrycia. – To cześć.

Na polskim Tosia w dalszym ciągu wsłuchiwała się w siebie, oczekując symptomów zwiastujących rychłe zejście, ale ponieważ nic się nie działo i nawet humor jej się poprawił, odkąd w bufecie spożyła kanapkę i jabłko, mogła część uwagi poświęcić zajęciom. Profesor Kozłowska zwana Koziółkiem, kobieta o gołęmbim sercu i świętej cierpliwości, spędziła pół lekcji, wyjaśniając subtelny różnicę między inspiracją a plagiatem, biorąc za przykład pracę domową niejakiego Przemka. Przemek upierał się, że przepisanie trzech akapitów z Wikipedii można podciągnąć pod inspirację („przecież nie przepisałem wszystkiego”), profesor Koziółek cytowała ustawę o prawie autorskim. Tosia słuchała ze zmarszczonymi brwiami, próbując odnieść te rewelacje do świata fandomów. Czy profesor Koziółek słyszała kiedyś o fanfikach? Gdyby słyszała, chyba nie plotłaby tych wszystkich bzdur.

- Mogłeś chociaż przepisać bez błędów.
- Skąd mam wiedzieć, że to błąd?
- Nie masz w domu słownika?
- A Wikipedia to nie słownik?...

Profesor Koziółek potarła skronie.

– Zaczniemy od podstaw. Kto jest dzisiaj dyżurnym? Tosia, Roksana – idźcie do biblioteki i przynieście mi tu zaraz kilka słowników. Leksykony, encyklopedie, co tam znajdziecie.

Tosia niechętnie podniosła się z ławki. Nie do końca podzielała zdanie Przemka w kwestii plagiatów, ale zgadzała się z tym, co mówił o słownikach – że ciężkie, grube, nikomu niepotrzebne. Razem ze swoją krępą koleżanką powędrowały na drugi koniec szkoły, wdrapały się na trzecie piętro do biblioteki, pobrały po naręczu zakurzonych woluminów i właśnie taszczyły to wszystko z powrotem w dół, gdy Roksana wysapała:

- Możemy przejść przez aulę, będzie szybciej.

Do auli nie wolno było na co dzień wchodzić, mimo że stanowiła wygodny łącznik między dwoma skrzydłami szkoły. Woźny narzekał, że młodzież robi tam bałagan i przesuwa krzesła, które sam pracowicie ustawiał w równe rzędy, uczniowie musieli więc schodzić na parter, ile razy chcieli przejść z jednego skrzydła do drugiego – jeden z wielu małych szkolnych absurdów, nad którymi Tosia nigdy się szczególnie nie zastanawiała. Dziś jednak słowniki bardzo już jej ciążyły w ramionach, bo starała się nieść je tak, by nie zapaskudzić sukienki smugami kurzu – ciocia mogłaby tego nie przeżyć. Bez protestów podążyła za Roksana i wślizgnęła się za nią do auli.

Ledwo weszła, usłyszała zbiorowy wybuch śmiechu od strony sceny. Trwała próba; na podeście siedzieli w swobodnych pozach dwaj koledzy Leona – Artur i Darek – i rozmawiali z wysokim chłopakiem o rozwichrzonej, miedzianoblond czuprynie. Tosia domyśliła się, że to Witold z kółka historycznego, Leon wspominał o nim kilka razy.

Konrad siedział w głębi na krzeselku i pobrzękiwał na gitarze, a Leon przycupnął u jego stóp i trzymał przed nim kartkę z akordami. Wyglądał na tak zrelaksowanego, że Tosi podskoczyło ciśnienie. To taki był zajęty, że nawet nie miał dziś dla niej czasu? Nie wyglądał na sparalizowanego tremą. Wyglądał, jakby... jakby było mu tu całkiem dobrze bez niej.

Za jej plecami zamknęły się z łupnięciem drzwi auli. Dopiero wtedy rozbawieni członkowie



zespołu oderwali się od swoich zajęć i spojrzeli w stronę dziewcząt.

– Pomóc wam z tymi książkami, słoneczka?

– Nie – warknęła Tosia i przemaszerowała środkiem auli w stronę drugich drzwi. Targała nią złość, jakiej nie odczuwała nigdy wcześniej, i nie chodziło już o Leona ani o Witolda i jego protekcyjną ofertę pomocy. W zasadzie to nie do końca wiedziała, o co jej chodziło, ale zalewało ją poczucie dotkliwej niesprawiedliwości. Oni siedzieli sobie swobodni, roześmiani, pewni siebie, a ona nigdy jeszcze nie czuła się bardziej głupio i niezdarnie. Kąsała ją dzika zazdrość – chciała być tam, po ich stronie, chciała brzdąkać na tej przeklętej gitarze, chciała zarykiwać się śmiechem nad fragmentami scenariusza i oferować pomoc nieszczęsnym kretynkom.

– Ja bym się nie obraziła, gdyby pomogli, szczególnie Witold – zauważyła półgłosem Roksana.

– Chodźże, idiotko – syknęła Tosia, którą trawił gwałtowny atak mizoginii. – Ja mogę pomóc, skoro ci rączki mdleją.

– Nie o to chodzi!

Skłócone wyszły na korytarz. Chwilę potem drzwi auli uchyliły się znowu i wysunęła się zza nich głowa Leona. Jego pytające spojrzenie przyprawiło Tosię o kolejny paroksyzm gniewu.

– Wszystko w porządku – powiedziała ze złością. – Idziemy.

Odwróciła się na pięcie i pospieszyła w stronę klasy. Gdzieś za jej plecami Roksana upuściła na ziemię jeden z leksykonów. Tosia wiedziała, że Leon niesie go teraz za tą idiotką. Och, mogłaby kogoś pobić.

Wpadła do sali i trzasnęła słownikami o biurko profesor Koziółek, po czym oświadczyła, że musi umyć ręce z kurzu, i nie czekając na zezwolenie, uciekła z powrotem na korytarz. Była przerażona. Co się z nią działo? Czy to przez brak kapsulek? Przerastała ją jej własna złość i to, że zupełnie nie była w stanie jej kontrolować. Rozzłościła się zupełnie bez powodu! A co, jeśli była szalona, jeśli kiedyś naprawdę zrobi komuś krzywdę? Bo przez moment miała wielką ochotę pobić Roksanę za jej głupotę, Leona za jego troskę, Konrada za... sama nie wiedziała, za co, chyba za tę jego grzywkę spadającą na oko.

Była już w połowie drogi do łazienki, gdy usłyszała za sobą szybkie kroki i Leon ją dogonił.

– Idź sobie – burknęła. – Wracaj do auli, czekają tam na ciebie.

– Chcesz grać z nami?

– Co?...

– Sam nie wiem, przez chwilę myślałem, że chcesz.

– Nie chcę. – Tosia nie zwalniała kroku. Co za pomysł. Ona na scenie i ci wszyscy ludzie gapiący się na nią z widowni!

– To o co chodzi? Powiedz!

Leon chwycił ją za rękę, więc musiała się zatrzymać. Spojrzała na niego wielkimi oczami pełnymi gniewu i rozpaczy.

– Nie wiem – odparła. – O to właśnie chodzi. Nie potrafię tego wyjaśnić. Jestem głupią, popieprzoną dziewczyną. Wracaj do swoich kumpli.

– Mogę zostać, aż ci będzie lepiej.

Prychnęła i wyrwała rękę. Schowała ją za siebie.

– Mnie nigdy nie będzie lepiej – powiedziała z goryczą w głosie. – Ale to nie powód, żeby tobie miało być gorzej. Wracaj na próbę, macie mało czasu.

– Mogę zostać, jeśli chcesz.

– Ale ja nie chcę! – krzyknęła cienko i zacisnęła pięści. – Odczep się już ode mnie!

Ledwo to powiedziała, przejął ją lęk i złość jej minęła. W popłochu zatrzepotała rzęsami ciężkimi od maskary, jak motyl skrzydłami. Leon przypatrywał się jej chłodnym spojrzeniem entomologa.

– Dobrze – powiedział. Odwrócił się i odszedł korytarzem. Znow łupnęły głośno drzwi auli.

Następnego dnia Tosia nie zaszczyliła auli swoją obecnością. Słyszała tylko potem, że akademia okazała się wielkim sukcesem i że Emilia zgłosiła się na ochotnika do jednego ze skeczy, wywołując gorący aplauz z widowni i błagania o bisy. Dzień po przedstawieniu Leon nie raczył nawiedzić bufetu podczas dużej przerwy, a nieco później, w trakcie obiadu, Tosia przypomniała cioci Idalii, że nie lubi selera, i huknęła miską z surówką o podłogę w kuchni.



## ROZDZIAŁ V

– Ja nie wiem, czy to dobry pomysł – powątpiewała ciocia.

Był piątek, siódma rano. Walizka i neseser cioci stały w przedpokoju, gotowe do podróży. Marcin miał odwiedzić Idalię na dworzec, ale choć wcześniej zadeklarował, że pojedzie autem pod jej blok, i tak nadciągnęła o poranku, by jak zwykle pomóc Tosi z makijażem i po raz ostatni upewnić się, czy szwagier i siostrzenica dadzą sobie bez niej radę.

– Obiady pomroziłam i schowałam do zamrażarki, wszystko jest opisane.

– Tak, wiem.

– Nie jedz świństw na mieście, wiesz, że ci to szkodzi.

– Uhm.

– Wietrzcie mieszkanie.

– No.

– Nie zapomnij robić Tosi kanapek do szkoły.

– Nie umie sama?

– Umie, ale zapomina. – Idalia zerknęła na drzwi łazienki, za którymi jej siostrzenica, zawodząc jakąś żalobną pieśń, przygotowywała się do szkoły. – Może jednak powinnam odwołać ten wyjazd. To nie jest dobry moment. Po tym, co się wczoraj zdarzyło...

– Damy sobie radę – powtórzył Marcin po raz kolejny. – Mówiła ci ze sto razy, że nie lubi selera, to czego się spodziewałaś? To się musiało tak skończyć. Dobrze, że się uczy stawiać na swoim.

Nie powiedział tego głośno, ale musiał przyznać sam przed sobą, że córka tłukąca salaterki przeraża go znacznie mniej niż córka gapiąca się tępo w ścianę przez całe godziny.

– Dobrze? Ty to pochwalasz?!

– Po prostu nie mam czasu przejmować się takimi głupotami – wyznał Marcin. – Jeśli nie chcesz się spóźnić na pociąg, musimy już wychodzić.

– Marcin, ja cię proszę, miej na nią oko.

– Dobrze.

– Tosiu, wyjeżdżam! – krzyknęła Idalia w stronę drzwi łazienki.

– Myślałam, że już cię nie ma! – odwrzaśnięto ze środka.

Idalia sięgnęła po neseser.

– Wyjeżdżasz raptem na tydzień – przypomniał jej Marcin. – Baw się dobrze. I błagam, nie przywoź nam żadnych pamiątek, te wszystkie żółwie z muszli śnią mi się potem po nocach.

Podniósł walizkę i otworzył drzwi, przepuszczając Idalię przodem.

– Tak, to tylko tydzień – powiedziała ciocia, wsłuchując się w rzewne pienia, które znów rozbrzmiały w łazience. – Szybko zleci i wrócę...

Ogarnięta duchem Mariusa Pontmercy'ego Tosia z uczuciem zakończyła swoją elegię na cześć poległych na barykadzie i ostrożnie wystawiła upudrowany nos z łazienki. Pusto, poszli sobie – ciocia wreszcie wyjechała!

Co roku udawała się ze swoimi pracowniczkami na wояż szkoleniowo-integracyjny, sponsorowany przez producenta kosmetyków używanych w salonie. W tym roku do końca nie było wiadomo, czy pojedzie – wahała się do ostatniej chwili. Wszystko z powodu jednej

brzydkiej salaterki z selerem w środku. Tosia bardzo się starała niczym więcej nie podpaść, już niczego więcej nie stłukła, choć miała ochotę, sprzątała po sobie w łazience i nawet z własnej inicjatywy podlała kwiaty w swoim pokoju. Wszystko po to, by wywołać w cioci wrażenie, że jest jednostką godną zaufania i odpowiedzialną, nietarganą bynajmniej atakami złości w losowych momentach życia.

Zjadła śniadanie, chłonąc panującą w domu ciszę. Tego ostatnio łaknęła najbardziej – świętego spokoju. Choć fizycznie nic nie dolegało, nie potrafiła się pozbyć uczucia wewnętrznego rozedrgania. Jej umysł, pozbawiony swojej chemicznej protezy, chwiał się jak kulawy stolik. Kolory zrobiły się bardziej krzykliwe, a dźwięki głośniejsze. Co bardziej ekspresyjna gestykulacja przypadkowych ludzi na ulicy przyprawiała ją o ból głowy. Wszystko ją złościło, a ciocia Idalia najbardziej, może dlatego, że to ona zazwyczaj była blisko.

Tosia dopiła sok i zerknęła na zegar – za kwadrans ósma, już najwyższy czas, by się zbierać do szkoły. Siedem lekcji w szkolnym kieracie; czuła, że dziś może temu nie podołać. Założyła botki i płaszcz, ale bez przekonania, jakby już podjęła decyzję, i poszła piechotą na przełaj przez osiedle, choć było naprawdę późno. Myśl o tym, że miałyby się wcisnąć do przepełnionego ludźmi autobusu, napawała ją odrazą.

Przez osiedlowe skwerki tylko z rzadka ktoś się przemykał, najczęściej jakiś emeryt z psem. Na rabatkach dokonywały swojego żywota ostatnie kwiaty, na balkonach pyszniły się wrzosy. Niebo, wciąż jeszcze szarawe, wysycalo się powoli błękitem, powietrze zdawało się krystalicznie czyste. Tosia zaciągała się nim chciwie jak narkotykiem, ale to nie pomagało; im bliżej była szkoły, tym czarniejsza ogarniała ją rozpacz. Dlaczego? Dlaczego tak musiało być? Na jednej z sesji terapeuta powiedział jej, że wahania nastroju i chandra są typowe dla okresu dojrzewania, ale jakoś nie potrafiła mu uwierzyć – jej koleżanki też dojrzewały, ale z pewnością żadna z nich nie odczuwała tych nagłych skoków agresji i uczucia wstrętu, jakby cały świat był obrzydliwym, włochatym pajakiem. Poza tym Tosia nie miała poczucia, że dojrzewa, wręcz przeciwnie – wydawało jej się, że z każdym dniem robi się coraz bardziej infantylna i niepozbita.

Dotarła przed szkołę i zatrzymała się. Tak jak się spodziewała, było już po dzwonku. Mogłaby się jeszcze wślizgnąć do klasy i jakoś wytłumaczyć ze spóźnienia, ale nogi jakby wrosły jej w chodnik. Nie, nie, nie. Całe jej ciało broniło się przed przekroczeniem bramy tego budynku, przed jego nudą, hałasem, zatechłym powietrzem korytarzy. Tu, na zewnątrz, była sobą, choć może nie znaczyło to aż tak wiele, zważywszy na jej aktualny stan umysłu. Po tamtej stronie drzwi zawsze czuła się wyłącznie jak kołek, który ktoś z uporem usiłuje wbić w niepasujący otwór.

Jakiś spóźniony uczeń przekłusował obok niej, po czym wyhamował przy samych drzwiach, prawie gubiąc plecak, który dyndał mu na jednym ramieniu. Tosia nawet się nie zdziwiła, gdy rozpoznała Leona. Leon, zawsze Leon. Był jedyną osobą, na której mogła polegać, a i tak go niedawno odepchnęła w jakimś bezsensownym napadzie szału. Teraz będzie jej unikał, to jasne jak słońce.

– O, cześć – zdziwił się. – Wchodzisz?

– Nie.

– Aha. – Leon zrobił pół kroku za drzwi, po czym zatrzymał się, westchnął i wreszcie się cofnął. Poprawił plecak, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. – To co będziesz robić?

– Chyba pójdę na spacer.

– Dokąd?

– Nie wiem, gdziekolwiek. Muszę odpocząć od ludzi.

– Ode mnie też?

Tosia pokręciła głową.

– Ty mi nie przeszkadzasz.

Leon wnikliwie przyglądał się własnym paznokciom.

– Słyszałem, że ogród botaniczny dobrze wygląda o tej porze roku – mruknął do siebie. – Da się tam dojechać autobusem?

W ogrodzie botanicznym nie było o tej godzinie nikogo, nie licząc kilku młodych mam z wózkami. Ścieżki spowijała srebrna mgła, przez którą świetlistymi smugami przebijało się słońce, z drzew sypały się liście, a w trawie buszowały wiewiórki.

Leon usiadł na ławce i oddał się kuciu słówek na angielski. Tosię pozostawił samą sobie, ale gdy przemierzała samotnie ścieżki, wsłuchując się w szum fontann i kopiąc przed sobą szyszki, cały czas czuła na sobie jego wzrok, ścigający ją zza liści. Obawiała się z początku, że Leon będzie ją indagował z powodu jej niedawnego wybuchu, ale nawet się nie zająknął na ten temat. Właściwie nic nie mówił. Nie była pewna, czy jest obrażony, czy po prostu daje jej czas na to, by zaczęła mówić sama.

Nie czuła się na siłach, by to analizować, chwilowo wystarczyło jej, że nikt od niej niczego nie wymaga. Przysiadła na zwalonym pniu, wyciągnęła kajecik i oddała się skrobaniu kolejnego fanfika. Zapomniała o całym świecie i mogłaby tak pisać cały dzień, gdyby nie to, że w końcu usłyszała kroki za sobą.

– Odpytaj mnie – poprosił Leon, wciskając jej zeszyt do ręki. – A potem pójdziemy gdzieś na herbatę, bo przemarzłem. Jakoś tak chłodno. Słyszałem rano w radiu, że nadchodzi zmiana frontu, i chyba właśnie mamy ją za plecami.

Tosia odwróciła się. Z oddali nadciągała siwa chmura. Poczowała uderzenie wiatru na twarzy. Odgarnęła włosy z policzków i spojrzała w zeszyt Leona.

– Mieliśmy te słówka chyba ze dwa tygodnie temu!

– My też, ale ja mam trochę zaległości z powodu prób.

– Nie byłam na twoim przedstawieniu – wyznała.

– Wiem – mruknął Leon i ruszył przed siebie ścieżką, wciskając zmarznięte ręce w kieszenie bluzy. Pobiegną za nim.

– Podobno było bardzo dobre.

– Zrobiliśmy furorę – oświadczył Leon skromnie. – Jastrzębska już się pytała, czy chcemy obstawić Dzień Niepodległości. Zamierzam się zgodzić.

– Znowu będziesz bardzo zajęty.

– Zawsze jestem bardzo zajęty, ale to nie znaczy, że nie mam czasu dla ciebie. – Zerknął na nią kątem oka. – To ty nie chciałaś ze mną rozmawiać.

Tosia skrzywiła się.

– Bo nie było o czym.

– Aha. To odpytasz mnie czy nie?

– Zuchwały.

– *Audacious.*

– Matko, co za akcent.

– Zawsze byłaś taka milutka czy dopiero ostatnio ci się to zrobiło? – sarknął Leon i zabrał jej zeszyt. Siwa chmura przysłoniła słońce i nagle zrobiło się zimno.

Tosia dygotała w swoim cienkim płaszczyku, zastanawiając się nad uczciwą odpowiedzią na jego pytanie.

– Odkąd skończyły mi się proszki.

– Ach! – powiedział Leon. – To wiele wyjaśnia.

– Sam widzisz – rozzaliła się, podczas gdy wzmagający się wiatr zaczął szarpać jej włosami. – Mam trochę problemów ze sobą. Nie chciałam cię do tego mieszać.

– Nie przeszkadzają mi twoje problemy. Każdy jakieś ma.

– Ale ja jestem jednym wielkim problemem. Gdybym miała wymieniać wszystko, co jest ze mną nie tak, to nie wiedziałabym, od czego zacząć. Strasznie się z tym męczę i nawet sobie nie wyobrażam, jakie to musi być męczące dla kogoś obok.

Leon naciągnął kaptur na głowę, bo zaczął siąpić deszcz.

– Każdy ma jakieś problemy – powtórzył. – Zdziwiłabyś się, gdybym ci zaczął opowiadać o swoich...

– Ale nie opowiadasz.

– Może kiedyś ci powiem. Każdy się z czymś zмага. To jeszcze nie powód, żebyśmy się wszyscy do siebie odwracali plecami. Głupio by to wyglądało. Mieliśmy o tym nawet skecz... Żałuj, że nie widziałeś. Brakowało mi tam ciebie.

– Głupiej, tępej Tośki?

Leon zatrzymał się i spojrzał na nią ze zdumieniem. Deszcz spływał mu po czerwonym z zimna nosie.

– No chyba nie myślisz tak o sobie na serio.

– Myślę.

– No to faktycznie jesteś głupia.

Podjął swój marsz. Zbliżyli się już do bramy parku, deszcz siekł coraz bardziej. Tosia czuła, że przemakają jej cienkie podeszwy botków, a mokry dół sukienki lepi się do kolan. Powinna być chyba obrażona, ale nie była. Leon potraktował ją obcesowo, ale przynajmniej się do niej nie umizgiwał. Szarpnęła go za rękaw.

– Powiedz mi – powiedziała, podczas gdy zimny, kłujący deszcz zalewał jej głowę i ramiona.

– Ty nie chcesz, żebym była twoją dziewczyną, prawda? Nie chcesz tego?

– Nieszczęśliwie – odparł Leon ostrożnie, przyglądając się jej z ukosa. – Jeśli tak strasznie się tego obawiasz, to mogę ci nawet obiecać, że to się nie zdarzy.

– To dobrze.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. I myślę, że powinniśmy zacząć biec.

Pierwszy autobus, jaki udało im się złapać, odwiózł ich z powrotem pod szkołę. Ledwo wysiedli, ulewa chlusnęła na nich ścianą wody. Leon pociągnął Tosię za rękę.

– Chodźmy do mnie! – krzyknął poprzez szum deszczu. Skinęła głową.

Musieli poczekać chwilę na przejściu dla pieszych, ale to wystarczyło, by przemokli do suchej nitki. Wiatr szarpał konarami i toczył śmieci po ulicach. Pociemniało i zrobiło się chłodno. Gdy dotarli do mieszkania, ona trzęsała się z zimna, a jego bluza była całkiem mokra.

– Przepraszam cię, ale żarówka mi padła wczoraj – przypomniał sobie Leon, kiedy Tosia próbowała zapalić górne światło. – Miałem dziś kupić nową, ale wypadło mi to z głowy. – Zapalił małą lampkę nad blatem kuchennym; niewiele to pomogło. W mieszkaniu wciąż panował półmrok, bo okno wychodziło na sąsiedni blok. Wyżej przetaczały się ciemne chmury, deszcz siekł w szyby.



– N-nie szkodzi – wyjąkała Tosia, szczękając zębami i ściągając mokre botki z mokrych nóg. Płaszcz też miała przemoczony, podobnie jak cały dół sukienki, pończochy i włosy.

Leon otworzył szafę i wygrzebał z jej czeluści czarny T-shirt i burą bluzę, mocno sponiewieraną przez życie. Z dolnej półki wydobył też zwitek skarpet oraz czarne portki, zerknął na Tosię krytycznie i dorzucił jeszcze skórzany pasek. Zrzucił to wszystko na tapczan.

– Masz, przebierz się – polecił. Wziął sobie z szafy drugi komplet odzieży i zniknął w łazience.

Tosia przebrała się szybko, rozglądając się po mieszkaniu. Niby wszystko było takie samo, jak gdy była tu po raz ostatni, ale jednak dostrzegła parę zmian. Na blacie kuchennym stał elektryczny czajnik i kilka nowych kubków, tapczan był okryty pasiastym pledem, a obok regału stała gitara. Tosia odwiesiła mokrą sukienkę na zimny kaloryfer pod parapetem. Za oknem złota, ciepła jesień właśnie dogorywała w ostatnich konwulsjach; między blokami dał wicher, po mizernym trawniczku toczył się połamany parasol.

Tosia zauważyła na parapecie niewielką stertę świeżego prania: poskładane koszulki, powłoczka na poduszkę, kilka kuchennych ręczników. Bez skrupułów pożyczyla sobie jeden i wytarła nim mokrą twarz i włosy, pozostawiając na materiale smugi pudru i tuszu do rzęs. Nieco skonsternowana tym faktem zamierzała cisnąć ręcznikiem w głębiny szafy i szybko ją zamknąć, ale gdy tylko uchyliła jej ciężkie, drewniane drzwi, zatrzymała się jak zaczarowana.

Po wewnętrznej stronie drzwi szafy przysrubowane było długie, wąskie, nieco zmętniałe ze starości lustro. Tosia nienawidziła luster; nauczyła się ich nie widzieć, tak jak nie widzi się reklam i banerów w internecie, ale tego dnia, gdy w nie spojrzała, nie mogła już oderwać wzroku.

Widziała kadr jak z filmu noir: ciemną sylwetkę podświetloną od tyłu nikłym blaskiem lampki. Mokre włosy miała gładko przyklepane do głowy i zgarnięte do tyłu. Jej twarz, pozbawiona makijażu, ledwie wydobyta z półmroku ostrym światłowieniem, wyglądała blado i bardziej kanciasto niż zazwyczaj. Portki Leona i jego zbyt obszerna dla niej bluza dopełniały obrazu.

Z lustra patrzył na Tosię chudy, wielkooki chłopak.

Tosi nie podobał się jego wylęknioty wyraz twarzy, więc zmarszczyła czoło i spojrzała groźnie spode łba, a chłopak w lustrze nastroszył się w dokładnie ten sam sposób. Wciąż nie do końca wierząc w to, co widzi, Tosia poruszyła się i wykonała leniwy, nonszalancki piruet. Serce zabiło jej mocniej, gdy zobaczyła, z jakim wdziękiem chłopak w lustrze naśladuje każdy jej ruch. Odczuwała jakąś dziwną euforię, jakby się właśnie zakochała. Nagle wszystko było na swoim miejscu. Nagle wszystko było takie, jak być powinno. Uczucie wewnętrznego rozbicia, które towarzyszyło jej zawsze, zniknęło. I dopiero gdy zniknęło, zdała sobie sprawę, jak potwornie ciążyło jej przez ten cały czas. Dotknęła lustra. Było takie zimne. Patrzyła na własne palce, dotykające przez tafłę palców tamtego chłopaka, i poczuła, że drży, choć nie z zimna. Co się z nią działo? O co tu chodziło? Czy to wszystko oznaczało, że tym razem już naprawdę oszalała? Nie potrafiła się tym jakoś przejąć. Jeśli to miało być szaleństwo, to była to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła jej się w życiu.

– Całkiem przystojny z ciebie Tosiek – przyznał Leon gdzieś za jej plecami.

Tosia parsknęła nerwowym śmiechem, który zabrzmiał jak szloch, i zaraz potem dwie łzy pocięły jej po policzkach. Nie, nie płakała. Nie chciała, by chłopak w lustrze płakał, głupio to wyglądało. Szybko otarła twarz rękawem bluzy. Leon krzątał się w tle: wstawił wodę na herbatę, wyjął kubki. Widziała jego odbicie w lustrzanej tafli. Podniósł wzrok i zobaczyła jego kpiące

spojrzenie.

– Możesz sobie pożyczyć te ciuchy, jeśli tak bardzo ci się podobają – usłyszała jego głos. – W spodnie się nie mieszczę, a bluza ma z dziesięć lat i potwornie się mechaci.

– Dziękuję – powiedziała Tosia nieco schrypniętym głosem. Nieswoim głosem, ale do chłopaka w lustrze pasował doskonale.

Leon odłożył łyżeczki i podszedł do niej bliżej.

– Wszystko w porządku?

Och, słyszała to pytanie już tyle razy w swoim życiu, ale po raz pierwszy mogła odpowiedzieć na nie szczerze.

– Tak. Nigdy nie było mi lepiej.

– To czemu ryczysz?

– Nie wiem. – Tosia obronnym gestem założyła ręce i nachmurzyła się, gdy chłopak w lustrze zrobił to samo. Chyba powinna się nauczyć panować nad tymi babskimi odruchami. – To znaczy wiem. Myślę, że zwariowałam. Nie wiem, co z tym dalej zrobić.

– Może ci po prostu wreszcie ciepło – podsunął Leon.

Zgromiła wzrokiem jego odbicie w lustrze.

– To nie to. Nie rozumiesz. Ja się czuję, jakbym... jakbym – oczy rozjaśniły jej się, gdy znalazła wreszcie odpowiedź: – Jakbym nigdy więcej nie musiała już brać kapsułek.

– O – powiedział Leon. Czajnik za ich plecami wyłączył się z cichym pstryknięciem. – Z cytryną?

– Może być.

Tosia wciąż nie odrywała wzroku od lustra. Bała się, że jeśli to robi, znów poczuje się głupia, tępa i zupełnie rozbita. Leon przygotowywał herbatę w dzbanku i co jakiś czas popatrywał na nią zagadkowym wzrokiem. Nie odzywał się. Słysząc był tylko, jak deszcz siecze w okna, a wiatr gna przed sobą jakąś puszkę.

– Powiedz mi – powiedział w końcu. – Po co ci w ogóle te kapsułki?

– Mówiłam ci już, bez nich wszystko mnie złości i nienawidzę wszystkich.

– Siebie też?

– Też, ale najbardziej innych. Nie mogę znieść, kiedy... W ogóle nie mogę ich znieść. Kiedy mnie zauważają. Może gdybym była niewidzialna i mogła tylko obserwować innych, jakoś dałoby się żyć. – Tosia ledwo zwracała uwagę na to, co mówi, zbyt przejęta faktem, że kiedy ona przemawia, chłopak w lustrze przemawia również i wygląda to tak przekonująco! Całkiem jakby udało jej się ożywić lalkę. Mówiła więc dalej: – Po co w ogóle zwracają na mnie uwagę? Tu nie ma nic ciekawego do oglądania. Ale oni muszą się czepiać, muszą mówić Tosiu to, Tosiu tamto, uch, nienawidzę tego najbardziej na świecie! Czy oni nie widzą, że ja do diabła nie jestem... nie jestem...

– Tosią? – odpowiedział Leon, stawiając kubki na stolik.

Cały wigor uleciał z niej w jednym momencie.

– Ale przecież jestem – powiedziała ponuro. – Kiedy to się wreszcie skończy? Co dzień mi się wydaje, że już nie może być gorzej, a następnego ranka się budzę i czuję się jeszcze bardziej stuknięta. Kiedy w końcu dotrę do samego dna i zacznę być już tylko lepiej?

– Przed chwilą mówiłaś, że ci właśnie lepiej.

– Tylko dlatego, że on tu jest – dźgnęła palcem w swoje odbicie.

Leon spojrzał na nią dziwnie.

– Ale przecież on to ty. Skoro ci z nim tak dobrze, może po prostu powinniście się

zaprzyjaźnić. Cześć, Tośku.

Leon pomachał ręką. Tosiek w lustrze anemicznie odpowiedział tym samym.

– Zwariowałam – powiedziała Tosia z rozpaczą.

– Herbata ci wystygnie. Siadasz czy będziesz piła do lustra?

– Aż tak źle jeszcze nie jest – odparła i z lękiem oderwała wzrok od swojego odbicia. – Ale boję się, że on zniknie.

– Mam go cały czas na oku – zapewnił ją Leon. – Bardzo przystojny młody człowiek. Czy on zje z nami obiad?

Przy szumie ulewy zjedli razem słoje klopsików w sosie pomidorowym i kilka pająd chleba z masłem. Tosia z nieukrywana satysfakcją oddawała się drobnym przyjemnościom w rodzaju prostackiego wyjadania sosu prosto z rondelka, siedząc po turecku na podłodze. Leon spożywał swój posiłek kulturalnie, przy blacie kuchennym, i z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Jeszcze chwila i zaczniesz bekać i puszczać bąki, a wtedy słowo daję, będę cię musiał wyprosić.

Tosia zademonstrowała mu swoje stanowisko środkowym palcem i spokojnie jadła dalej. Czuła się doskonale. Leon nie należał do osób, które tracą głowę tylko dlatego, że komuś w ich towarzystwie odebrało rozum. Mogła robić, co chciała i jak chciała, i nikomu to nie przeszkadzało. Przeczynała oczywiście, że jej problemy wcale nie zniknęły. Jej radość była euforią pacjenta, któremu po latach postawiono wreszcie wstępną diagnozę. Miała głowę pełną pytań, ale na razie odsuwała je od siebie. Cieszyła się chwilą. Za oknem wciąż szalała wichura i zaciskał swój kordon cały ten nieprzyjazny, uprzykrzony świat, ale tu, jak w bąblu normalności, była bezpieczna.

Po obiedzie pomogła Leonowi z oświetleniem – wymyśliła, że można wykręcić żarówkę w łazience i przykręcić do dużej lampy w pokoju – i potem, gdy Leon zleżał w fotelu z zeszytem, w którym smarował kuplety z okazji Dnia Niepodległości, sama umościła się na tapczanie z Sapkowskim i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w literki.

– Pisziesz coś na akademię? – spytała.

– Uhm.

– Inne rzeczy też piszesz?

– Co? – Leon z trudem oderwał się od pisania. – Nie, nie bardzo mam czas. Nie jestem zakamuflowanym królem fanfików, jeśli o to pytasz.

Wrócił do gryzmolenia w zeszycie. Tosia próbowała się skupić na lekturze, ale jakaś myśl nie dawała jej spokoju.

– Ale gdybyś pisał... o czym by to było?

– Nie wiem – mruknął Leon, gryząc końcówkę długopisu. – Pewnie fantasy, bardzo kiepskiej jakości. Ja umiem tylko rymować wierszyki. A ty o czym piszesz? Nigdy mi nie powiedziałaś.

Tosia wyprostowała się jak struna.

– Nie twoja rzecz.

– Aha – Leon zerknął na nią z pewną złośliwością w oku. – To chyba już wiem.

– Akurat.

– Nie bocz się, nie mam zamiaru szukać w sieci twoich arcydzieł. Ale głowę dam, że w co drugim, jeśli nie w każdym, występuje jakiś sympatyczny seme i jakiś niemniej sympatyczny uke, i...

– Milcz – powiedziała Tosia, której krwawy rumieniec buchnął na twarz.

– Przecież wiem, o czym takie miłe, grzeczne dziewczynki pisują fanfiki – chichotał Leon. Sapkowski z furkotem przeleciał mu obok głowy i uderzył w ścianę za fotelem. – Z tym że ty, oczywiście, nie jesteś grzeczną dziewczynką.

– No właśnie – burknęła Tosia i pobiegła do lustra, żeby się upewnić.

Za oknem zaczynało już zmierzchać. Powinna zbierać się do domu, ale wolała o tym nie myśleć. Za jej plecami Leon oddawał się ukradkowej wymianie esemesów.

– Twoja klasa ma w poniedziałek kartkówkę z chemii – mruknął. – A jeśli chcesz notatki z dzisiaj, Konrad ci pożyczycy.

– Mogę wziąć od Emilii – odparła nieuważnie Tosia, zajęta robieniem min do lustra. Podskoczyła jak przyłapana na gorącym uczynku, gdy uwertura do *Upiora* rozbrzmiała z mocą w jej torebce. Rzuciła się wygrzebywać telefon spod podręczników.

– Czemu cię jeszcze nie ma w domu? – zagderał w słuchawce tata.

– Jadłam na mieście – odparła Tosia, nieco poirytowana jego ostrym tonem. – I spacerowałam trochę.

– W tej ulewie?

– Nie, przedtem. Niedługo wracam.

– Masz wracać zaraz – usłyszała w słuchawce. – Punkt szósta chcę cię widzieć w domu.

Tosia oderwała komórkę od ucha, by zerknąć na zegar. Za dziesięć szósta! Nie miała pojęcia, że minęło już tyle czasu.

– Nie dam rady! – oznajmiła buntowniczo. – Będę za pół godziny.

– Czekam – powiedział tata i rozłączył się.

Tosia zagotowała się wewnątrz. Tata chyba uznał, że pod nieobecność cioci Idalii powinien przejąć obowiązki rodzinnego tyrana. Wcześniej nie miałyby to znaczenia, bo Tosia tak czy owak biernie poddawała się zakazom i nakazom; teraz zaczęło ją to drażnić. Schowała komórkę do kieszeni bluzy i spojrzała z żalem na rozżalonego Tośka w lustrze.

– Odprowadzę cię – odezwał się z fotela Leon. – Mam gdzieś tu parasol, ale będziesz musiała iść w tych mokrych butach.

– Wytrzymam.

– Ta sukienka też jest wciąż mokra, zapakuję ją w jakiś worek.

– Wyrzuc ją po prostu – powiedziała Tosia ze złością.

Ulewa na szczęście nieco osłabła, ale za to wzmógł się wicher i miotał parasolem na wszystkie strony. Autobus akurat podjeżdżał na przystanek, więc podbiegli do niego w mroku przez kałuże i wcisnęli się w ostatniej chwili. Tosia zablokowała ramieniem zamykające się drzwi, żeby zdążył do nich dobiec także jakiś siwy staruszek, i podskoczyła w swoich mokrych botkach, gdy staruszek wysapał przez ramię:

– Dziękuję ci, chłopcze.

– Tak, słyszałem – mruknął Leon, gdy rozjaśniona jak słońce zwróciła się w jego stronę. – Widziałeś, jakie ma grube okulary? Niedowidzi.

Wysiedli na następnym przystanku i kuląc się pod uderzeniami wiatru, dotarli pod drzwi bloku Tosi.

– Wejść z tobą?

– Nie trzeba.

– To do poniedziałku?

– Uhm.

– Będę pod telefonem – powiedział Leon, nagle trochę niespokojny. – Zadzwoń, gdyby coś się

działo, albo przyjedź.

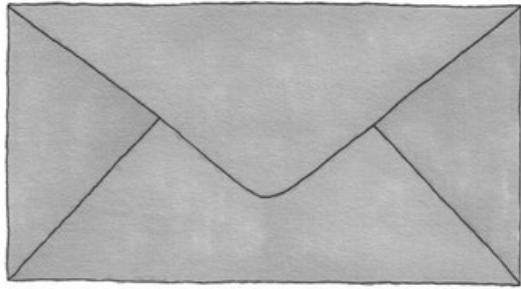
- Jasne – mruknęła z roztargnieniem Tosia, wklepując kod domofonu.
- Cokolwiek się stanie, przejdziemy przez to razem, obiecujesz?
- Tak, tak – mruzczała. – To lecę. Cześć.

Trudno jej się było skupić na Leonie i jego neurozach, bo pewna myśl przyszła jej do głowy. Ważna myśl. Że też wcześniej o tym nie pomyślała! Wbiegła po schodach na swoje drugie piętro, otworzyła drzwi do mieszkania i wpadła do ciepłego przedpokoju. Z ulgą zrzuciła z nóg mokre buty i cisnęła w kąt torebkę.

Zerknęła w lustro. Był i tu, wciąż tak samo przystojny. Poczowała w sobie przypływ nowych sił.

Zajrzała do pokoju taty. Marcin siedział w półmroku przed migoczącym telewizorem i przeglądał plik faktur. Gdy podniósł wzrok i zobaczył Tosię, zerwał się na równe nogi, a papiery wyleciały mu z rąk i z cichym szelestem opadły na dywan.

- Tato – powiedziała bez tchu Tosia, nim zdążył się odezwać. – Kto to jest Daniel?



## ROZDZIAŁ VI

Marcin miał za sobą ciężki dzień. Młody glazurnik ostatecznie rzucił robotę i Marcin spędził kilka godzin na kolanach z packą i szpachlą. Kiedy się wreszcie podniósł, coś chrupnęło mu w krzyżu i od tej pory poruszał się w zwolnionym tempie, z kurczowym grymasem przyklejonym do twarzy. Wydał pracownikom ostatecznie dyspozycje i kuląc się pod siekącym deszczem, z trudem wcisnął się do auta. Jakoś udało mu się dotrzeć do domu i pokonać schody, ale kiedy wreszcie zasiadł na kanapie, postanowił sobie, że tego dnia już się z niej nie ruszy.

Po niedługim czasie zorientował się, że nie ma w domu Tosi. Zazwyczaj oznaczało to, że jest u Idalii w domu albo w salonie, ale przecież szwagierka wyjechała! Zaniepokojony wybrał połączenie – Tosia na szczęście odebrała szybko. Przywołał ją do domu krótko i oschle – plecy napieprzały go ostro, nie był w nastroju na czułości – i słysząc jej naburmuszony głos w słuchawce, zirytował się jeszcze bardziej. Mógłby wyzionąć ducha, układając te przekłete płytki, a i tak nikt by tego nie docenił.

Umościł się wygodniej na poduszkach i włączył sobie wiadomości w telewizji. Zabrał się za porządkowanie zaległych papierów, co chwila zerkając na zegar. Miał nadzieję, że Tosia pojawi się w ciągu pół godziny, tak jak obiecała. Nie wyobrażał sobie, jak miałby jej szukać w swoim obecnym stanie; nie wiedziałby nawet, od czego zacząć. Zapewne od rozpaczliwego telefonu do Idalii. Nie znał żadnych koleżanek córki, nie wiedział, co porabia po lekcjach, nic nie wiedział. Nigdy mu to nie przeszkadzało; miał ważniejsze sprawy na głowie. Teraz jednak pomyślał, że chciałby mieć choć jeden punkt zaczepienia. A jeśli utknęła gdzieś przez tę ulewę i nie ma pieniędzy na taksówkę? A jeśli jest głodna? A jeśli zaraz padnie jej bateria w telefonie i nie będzie z nią kontaktu?

Te wszystkie niespokojne myśli uleciały z jego głowy, gdy tylko usłyszał terkot domofonu. Odprężył się natychmiast. Głupiec z niego – oczywiście, że wróciła, a on zachowuje się jak kwoka, gorzej jeszcze niż Idalia. Uspokojony pochylił się nad papierami i jego uwaga odpłynęła gdzie indziej, w stronę jednego z klientów, który upierdliwie domagał się faktur na wszystko.

Wtedy kątem oka zobaczył ciemną sylwetkę w progu. Złowrogie przeczucie zjeżyło mu włoski na karku, a instynkt kazał zerwać się na równe nogi. Ktoś obcy był w domu! Przeszył go ból w krzyżu, wyprostował się jednak ostatekiem sił. Rozpoznał Tosię.

Co u diabła ona miała na sobie? I czy musiała się bawić w przebieranki akurat dzisiaj, kiedy był skonany, skręcony bólem i ledwo przytomny ze zmęczenia? W dodatku krzyczała na niego.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! Kto to jest Daniel, tato!

Ignorując koszmarny ból promieniujący na całe ciało, Marcin usiadł i usiłował zebrać myśli.

Zawsze przeczuwał, że Tośka kiedyś o to zapyta. Wydawało mu się, że jest przygotowany, ale za cholerę nie przewidziałby, że będzie wtedy ledwie zdolny do życia! Córka, jak to ona, nawet nie zauważyła jego stanu. Podeszła bliżej, wyglądała na rozgniewaną. Jej dziwnie nijaka twarz wydawała mu się obca, tylko niebieskie oczy świeciły w niej znajomo.

– Tato?...

– Zaraz – burknął i poprawił się na poduszkach, wyciągając spod nich pilota. Wyłączył telewizor. – Co ty masz na sobie?

– Zmokłam i musiałam pożyczyć ciuchy od Leona.

– Kto to jest Leon?

– Kolega.

– Chodzisz po domach kolegów i przebierasz się u nich?

– Kto. To. Jest. Daniel – powtórzyła Tosia, zaciskając pięści. Jej twarz zmieniła się. Teraz patrzyła na niego prosząco, choć wciąż z tą samą desperacją w oczach. – Tato, proszę...

Wyglądała, jakby miała zacząć płakać, i Marcin poddał się w jednej chwili.

– Co o nim wiesz? – spytał niechętnie.

Szybko przysiadła obok na kanapie. Wpatrywała się w niego chciwym, wyczekującym spojrzeniem.

– Nic. Wiem tylko, że był kimś ważnym, ważnym dla mnie. Tak to pamiętam. Zwariuję, jeśli sobie nie przypomnę.

– Otwórz szufladę w moim biurku – powiedział Marcin. Domyślał się, jakie piekło zrobi mu Idalia po powrocie. – Tę na samym dole. Pod papierami powinna być taka żółta koperta.

Tosia rzuciła się na poszukiwania, a Marcin znów poprawił się na poduszkach. No dobrze, powie jej, i co dalej? Osobiście uważał, że to stara historia bez żadnego znaczenia. Nawet by o niej nie pamiętał, gdyby nie histeryczne podejście Idalii. Przypomniał sobie, jak siedziała nad albumem ze zdjęciami i metodycznie, nożykiem do papieru odklejała fotografie i chowała do żółtej koperty. Już wtedy wydawało mu się to dziwaczne, ale Idalia potrafiła z takim przekonaniem nadać absurdalnym czynnościom pozory rzeczy właściwej, że w końcu jej uwierzył.

Tosia wygrzebała kopertę. Nie czekając na jego pozwolenie, zajrzała do środka. Ze zmarszczonymi brwiami przeglądała zdjęcia. Nie było ich wiele, może cztery albo pięć. Nie odrywając oczu od fotografii, podeszła do niego i znów przysiadła na kanapie.

– Więc jednak miałam brata – powiedziała z radosnym zdumieniem. – Co się z nim stało?

Zajrzał jej przez ramię. Na pierwszej fotografii widniał ten sam pokój, w którym się teraz znajdowali, jeszcze sprzed remontu. Na fotelu w kolorze wątrobianki siedziała z książką żona Marcina – uśmiechnął się bezwiednie do zamyślanej blondynki, tak niewiarygodnie podobnej do Tosi. Na dywanie u jej stóp bawiło się jasnowłose dziecko – ze skupieniem oglądało centymetrówkę, tę samą, którą wciąż przechowywał w skrzynce na narzędzia.

– Nie miałś brata – odezwał się Marcin przez zaciśnięte zęby, bo tłumiona dotąd tęsknota za dawnym szczęściem chwyciła go za gardło. – Daniel to ty.

Tosia siedziała bez ruchu, wpatrując się w fotografię tak intensywnie, jakby samą siłą spojrzenia zamierzała z niej wyciągnąć odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Jednak wciąż nic nie rozumiała. No dobrze, miała kiedyś krótką czuprynę i chodziła w spodniach, jak wiele dzieci obojga płci. Ale przecież nie mogła być wtedy chłopcem, to nielogiczne... chyba. Spojrzała bezradnie na tatę. Wzruszył ramionami i wykrzywił się.

– Miałś ten... etap. – Przerwał, żeby z irytującą niezdarnością poprawić się na poduszkach. – Zaczęło się chyba w przedszkolu. Zaimponował ci jakiś chłopiec, miał na imię Daniel. Też chciałaś być Danielem, chciałaś, żebyśmy tak cię właśnie nazywali. Kazałaś sobie obciąć włosy, nie chciałaś spódniczek.

– I ciocia Idalia na to pozwalała?

– Idalia nie miała w tamtym czasie za dużo do gadania – powiedział tata z pewną melancholią w głosie. – Twoja mama uważała, że nie ma się czym przejmować, że dzieci tak mają i że to minie. Poza tym byłaś bardzo stanowczym dzieckiem. Zawsze umiałaś postawić na swoim.



– Naprawdę?

– Byłaś diabłem wcielonym – burknął tata. – Darłaś się o byle co, tarzałaś się po chodnikach jak szczeniak, strach było z tobą wyjść do sklepu.

Tosia wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Ja?!...

– Na szczęście z tego wyrosłaś – dodał tata jakoś bez przekonania i podejrzanie szybko odwrócił od niej wzrok.

Zerwała się z miejsca, jakby nagle coś sobie przypomniała, i pobiegła do przedpokoju, do lustra. Tosiek wciąż tam był. Nieco zdezorientowany i znów przestraszony. Ale nigdzie sobie nie poszedł. Tosia przyklepała do głowy włosy, które już jej wyschły i zaczęły falować po swojemu. Wróciła do taty.

– Co się stało potem? – spytała i natychmiast odpowiedziała sobie sama: – No tak, mama. Ciocia się mną zajęła i pewnie nagle w domu były same sukienki?

Tata przewiercał wzrokiem ciemny telewizor. Znów się skrzywił.

– Jakie to ma teraz znaczenie – powiedział, wierząc się na poduszkach. – Żadnego. Stara historia, którą Idalia rozdmuchała ponad miarę. Zapomnij o tym. Schowaj już te zdjęcia i podaj mi jeszcze jedną poduszkę z fotela.

– Sam sobie węz – rzuciła Tosia przez zęby. Próbowwała nadążyć za gonitwą myśli we własnej głowie. Żadnego znaczenia? Żadnego? Fakt, że przez całe lata nie była sobą i że doprowadziło ją to niemal do obłądzenia, nie miało żadnego znaczenia? Przypomniała sobie tę bezdenną rozpacz zeszłej zimy, kiedy po kilku dziwnych randkach miała ochotę wydrapać sobie twarz aż do czaszki, byleby tylko pozbyć się z głowy tego uporczywego uczucia, że musi być jakimś obcym, pasożytem zamieszkującym ciało idiotki Tosi. Przypomniała sobie niekończące się mdłości i tępą obojętność po kapsułkach. Ach, umiała kiedyś postawić na swoim? Była kiedyś diabłem wcielonym? Wyrosła z tego? Jeszcze zobaczymy, czy wyrosła!

Spojrzała na tatę z niechęcią. Cały czas wiedział i nie powiedział jej nic! Wyglądał na całkiem zaabsorbowanego sobą, poduszkami, fakturami, po które usiłował sięgnąć, czy ten człowiek nie miał za grosz empatii?! Schowała zdjęcia do koperty.

– Biorę je sobie – oświadczyła. Ponieważ tata wciąż zajmował się wyłącznie jakimś własnym urojonym schorzeniem, wpatrywała się w niego jak we wroga, zastanawiając się, gdzie uderzyć, by zabolalo najmocniej.

– Chyba cię nienawidzę – odezwała się, a on wreszcie znieruchomiał i wciąż wykrzywiony boleścią, spojrzał na nią z osłupieniem. Dobiła go: – Ale myślę, że i tak cię to niewiele obchodzi.

Zadarła nos, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju.



## ROZDZIAŁ VII

Wciąż padało.

Nocna wichura powaliła akację na chodnik przed blokiem. Tosia stała przy oknie, szorowała paznokcie wacikiem nasączonym zmywaczem i przyglądała się przez mokrą szybę, jak służby porządkowe odrąbują konary i ładują na wywrotkę. Niebo było szare i ponure, drzewa straciły wszystkie liście przez tę jedną noc. Przechodnie kulili się od chłodu i wiatru. Tosia zastanawiała się, w czym pójdzie w poniedziałek do szkoły. Kwestie odzieżowe nigdy jej zbyt nie zajmowały, ale teraz niespodziewanie pojawiły się na pierwszym miejscu listy jej zainteresowań. Miała do wyboru rozłożysty płaszcz z bufkami albo pastelową kurteczkę w kwiatki. Ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę.

Tosia spędziła cały wieczór i pół nocy na przeszukiwaniu sieci. Głęboko wierzyła we wszechstronność jej zasobów i można powiedzieć, że się nie zawiodła. Kilka klików myszką zaprowadziło ją w te rejony internetu, na które zdecydowanie nie była gotowa, ale uparcie klikała dalej i dalej, coraz bardziej zszokowana i przejęta. Zasnęła z nosem na klawiaturze i obudziła się o brzasku, bogatsza o kilka koszmarów i dużo bledsza. Nadal chciało jej się spać, ale szukała dalej, napędzana gorączkowym pragnieniem zrozumienia swojej sytuacji. Zafascynowały ją profile androgynicznych modeli na Instagramie, ni to kobiet, ni to mężczyzn, tak nierealnie pięknych, jak z innego świata. Przeglądała ich zdjęcia z radosnym zdumieniem, jakby po latach tułaczki po obcej planecie odnalazła wreszcie ślady istnienia własnego gatunku.

Z zachłannością dziecka przypatrywała się temu, w co byli odziani, i pożądała wszystkiego – skórzanych kurtek, jedwabnych koszul, swetrów ze szlachetnej wełny, ciężkich butów, wszystkiego! Chwilowo musiała jej wystarczyć powyciągana bluza Leona i jego czarne portki, które okropnie łąpały kurz i wszystkie paprochy. Ale co dalej? Oszczędności z kieszonkowego wystarczyłyby jej może na jedną koszulę, a to było zdecydowanie za mało. Potrzebowała wszystkiego, najbardziej butów, wnioskując z tego, co działo się za oknem.

Zakreśliła zmywacz i schowała głęboko na dno szafy. Nie będzie jej już potrzebny. Związała włosy czarną gumką i schowała jasny ogon pod bluzę. Przyklepała uparte fale nad czołem, zużywając bardzo dużo pianki. Nie umalowała twarzy, nie zamierzała tego robić nigdy więcej. Co za nieprawdopodobna ulga! A to był dopiero początek. Tosia miała już w głowie cały plan.

Po pierwsze ćwiczenia. Tosiek był chudy i wiotki jak lilija, aż żal patrzeć. Już ona się za niego weźmie. Stworzyła sobie osobny folder z treningami. Spróbuje wszystkiego. Tosiek będzie kiedyś piękny, giętki jak Fiyero, barczysty jak Leon. Właśnie, czy Leon też ćwiczy? Trzeba go zapytać.

Będzie chodzić do szkoły tylko na piechotę, żeby mieć dobrą kondycję, będzie też więcej jeść. Więcej się odzywać, zawsze stawiać na swoim. Wszystko będzie inaczej. Koniec z głupią Tością, koniec z przesypaniem na jawie całych dni. Zmarnowała już tyle czasu!

No i to też ważne, trzeba pogodzić się z tatą. Głupio zrobiła, obrażając go wczoraj. Mimo wszystko wciąż go potrzebowała – ktoś musiał w końcu kupić te wszystkie niezbędne ubrania, no i stać za nią murem, gdy wróci ciocia Idalia.

Tosia skrzywiła się, jakby przegryzła seler. To był na razie najsłabszy punkt jej zamierzeń. Nie miała pojęcia, jak zdoła przekonać ciocię do swojego nowego wcielenia. Coś wymyśli,

jeszcze cały tydzień do jej powrotu.

Ale wolała o tym za dużo nie myśleć.

Tata siedział u siebie na fotelu i rozmawiał przez telefon. Tosia przyoblekła oblicze w swój najbardziej promienny uśmiech i podeszła bliżej.

– ...rrwa mać, nie dam rady – pinił się tata do słuchawki. – Róbcie kuchnię, a łazienkę skończymy w poniedziałek. – Zauważył Tosię i machnął ręką, by sobie poszła. – Tak, wiem, że dzwonił. Gadałem z nim. Nawciskałem mu kitu, że czekamy, aż klej wyschnie. – Znów zerknął na Tosię i przykrył telefon ręką. – Sama sobie zrób śniadanie, rączki ci chyba nie uschły? – zawarczał i ciągnął dalej: – Jakby znowu się odezwał, przekieruj go do mnie. Ja z nim pogadam.

Twarcz Tosi stężała z obrazy. Zadarła nos do góry i sztywnym krokiem wymaszerowała do kuchni. Co za człowiek, co za człowiek. Jeszcze będzie tego żałował. Ona do niego w najlepszych intencjach, z sercem na dłoni, a on... Usmażyła sobie jajecznicę z boczkiem i cebulą, tak żeby zapach rozszedł się po całym domu i żeby tata na pewno się dowiedział, że Tosia sztukę gotowania ma w małym palcu. Trochę co prawda spaliły się jej tosty, kiedy w zapamiętaniu siekała szczypiorek, ale któżby zwracał uwagę na drobiazgi. Kończyła już jeść, gdy tata wetknął głowę do kuchni.

– Coś chciałaś – powiedział, mimowolnie zaciągając się zapachem znad patelni.

– Już nic.

– Na pewno?

– Tak.

Tata obrzucił krótkim spojrzeniem jej zgrzebne odzienie, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko wziął sobie ze stołu pudełko z tabletkami przeciwbólowymi.

– Nie zapomnij posprzątać po sobie – burknął na odchodnym.

Ciskając skorupkami do śmietnika i wycierając upaprany białkiem blat, Tosia pomrukiwała pod nosem przeróżne inwektywy, a jednocześnie jakby z boku analizowała własne wzburzenie. Owszem, była zła jak diabli, ale nie był to jeden z tych niekontrolowanych wybuchów gniewu, których tak się dotąd obawiała. Była zła, ponieważ chciała być zła i czuła, że jeśli tylko bardzo zechce, może przestać. To było coś nowego.

Chwilowo nie miała oczywiście zamiaru płaszczyć się przed tatą ani dopraszać się o jego uwagę – niech się teraz zastanawia nad sobą, niech się męczy. W dalszej perspektywie wciąż jednak wisiała nad nią konieczność zasygnalizowania mu swoich potrzeb finansowych. Dumając nad najlepszą strategią wyciągnięcia funduszy na te wszystkie piękne rzeczy z internetu, wróciła do swojego pokoju i do komputera.

W domu panowała cisza. Zazwyczaj sobota oznaczała ciężkie niewolnictwo z mopem i odkurzaczem, przecieranie szmatką wszystkich bibelotów i szorowanie fug w łazience starą szcztoteczką do zębów. Na szczęście ciocia Idalia wyjechała daleko, tata pogrążał się w hipochondrii na kanapie, a Tosia nie zamierzała niepytana wychodzić przed szereg. Chętnie puściłaby sobie głośno jakiś musical i popatrzyła, jak Tosiek w lustrze radzi sobie w którejś z jej ulubionych ról, ale cóż – tata. Swoją drogą jego obecność w domu w sobotnie przedpołudnie była dość nieoczekiwana. Soboty spędzał w terenie – jego klienci, na co dzień przyrośnięci do swoich etatów, w weekend mieli wreszcie chwilkę, żeby pogadać. Chwilki te potrafiły trwać godzinami i zdarzało się, że tata wracał dopiero na kolację.

Może został dziś w domu specjalnie ze względu na nią? Miło byłoby wiedzieć, że tak. Nie liczyła jednak na aż tyle zainteresowania z jego strony.

Kompulsywnie zerknęła do małego lusterka od puderniczki, jedyne, jakie miała w pokoju. Tosiek wyglądał w nim dziś jak smutny, wyskubany kurczak. Daniel byłby inny. Myślała o nim tęsknie jak o kimś zaginionym dawno temu, kto być może już nie żyje. Jaki byłby, gdyby dano mu szansę dorosnąć? Kimś, kogo można by polubić?

Na pewno nosiłby zarąbiste ciuchy i nie siedziałby sam w pokoju w sobotnie przedpołudnie.

Jej telefon wydał z siebie serię elektronicznych pisków. Zerknęła na ekran. Ktoś wysłał jej kilka prawie identycznych zdjęć przedstawiających rozłożony zeszyt z notatkami. Fotki przysły z nieznanego jej numeru i nie były opatrzone żadnym komentarzem, ale domyśliła się, kto je przesłał, i nie zdziwiła się, gdy chwilę potem przysłała wiadomość od Leona.

*Konrad przesłał ci notatki z piątku. Wszystko OK?*

Musiła się chwilę zastanowić nad odpowiedzią. W końcu odpisała, że OK. Nie chciała psuć mu soboty, nie chciała być tą beznadziejną, zagubioną Tosią wymagającą nieustannej troski.

Przepisanie notatek zajęło jej trochę czasu, a skoro i tak miała zeszyty przed nosem, odrobiła od razu zadania domowe na poniedziałek. Niewiarygodne, do czego człowiek jest zdolny, kiedy nikt nie siedzi mu za plecami i nie dopytuje się co chwila, czy odrobiła już lekcje. Za nic nie przyznałaby się przed sobą, że jej nagła pilność wynika z tajonego poczucia winy, ale co jakiś czas podnosiła głowę i nasłuchiwała odgłosów z pokoju taty, a gdy usłyszała szuranie jego kapci w przedpokoju, wyprostowała się z nadzieją. Tata poszedł jednak tylko do łazienki.

Zdenerwowana wstała od biurka, a nogi same wyniosły ją z pokoju. Poszła do kuchni po jabłko i kiedy płukała je pod bieżącą wodą, usłyszała, jak kroki taty zaszurały w progu, po czym się oddaliły – tak jakby tata też chciał wejść do kuchni, ale widząc ją, zmienił zdanie. Świat stanął na głowie. Do tej pory żyła w przekonaniu, że dorośli – przynajmniej ci, z którymi osobiście miała do czynienia – są z definicji istotami, które wiedzą, co robić i jak się zachować w każdej sytuacji. Tymczasem tata zachowywał się trochę, no... jak dziecko – te dąsy i uciekanie przed nią. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że może dorośli tylko udają, że wiedzą wszystko i na wszystko mają odpowiedź, a w środku są tak samo zagubieni i niepewni jak ona. I to dopiero było przerażające.

Nadeszła pora obiadu. Tosia wyjęła z lodówki pojemnik opisany okrągłym pismem cioci Idalii: *SOBOTA – gulasz. Ugotuj kaszę. Zrób surówkę z selera*. Uznała ostatni dopisek za celową złośliwość i otworzyła słoik z kiszonymi ogórkami, czując się jak prawdziwy buntownik.

Tata podczas obiadu nie odezwał się ani słowem i nie zaszczycił ją ani jednym spojrzeniem, pogrążony we własnych myślach.

Próbowała sobie przypomnieć, jak bywało dawniej – czy w ogóle ze sobą rozmawiali? Głównie nawijała ciocia Idalia, ale przecież czasem jej nie było. Czy też siedzieli tak jak dwoje obcych ludzi? Pamięć ją zawodziła, choć to było nie tak dawno, zaledwie kilka dni temu, ale wtedy brała te przekłete kapsułki i nic jej nie obchodziło, a fakt, że jest w tym domu pępkiem świata, rozumiał się sam przez się.

Po południu zadzwonił Leon. W tle słychać było jazz, rozmowy i śmiech.

– Wszystko w porządku? – krzyknął poprzez gwar i synkopy.

– Tak.

– Przyjdiesz do szkoły w poniedziałek czy znowu wagarujemy?

– Przyjdę. Podziękuj Konradowi za notatki.

– Okej. – Leon powiedział coś ciszej, po czym dodał głośno: – Mówi, że nie ma sprawy, ale następnym razem mamy go wziąć ze sobą. – Jego głos był teraz kpiący, przerywany śmiechem,

jakby się z kimś droczył, a Tosia wcale nie miała pewności, czy akurat z nią.

– Muszę kończyć – powiedziała chłodno i rozłączyła się.

Tata nie odezwał się ani słowem także podczas kolacji, którą spożył szybko i nieuważnie, z telefonem przy uchu. Tosia poszła spać z poczuciem, że nikogo na tym świecie nie obchodzi.

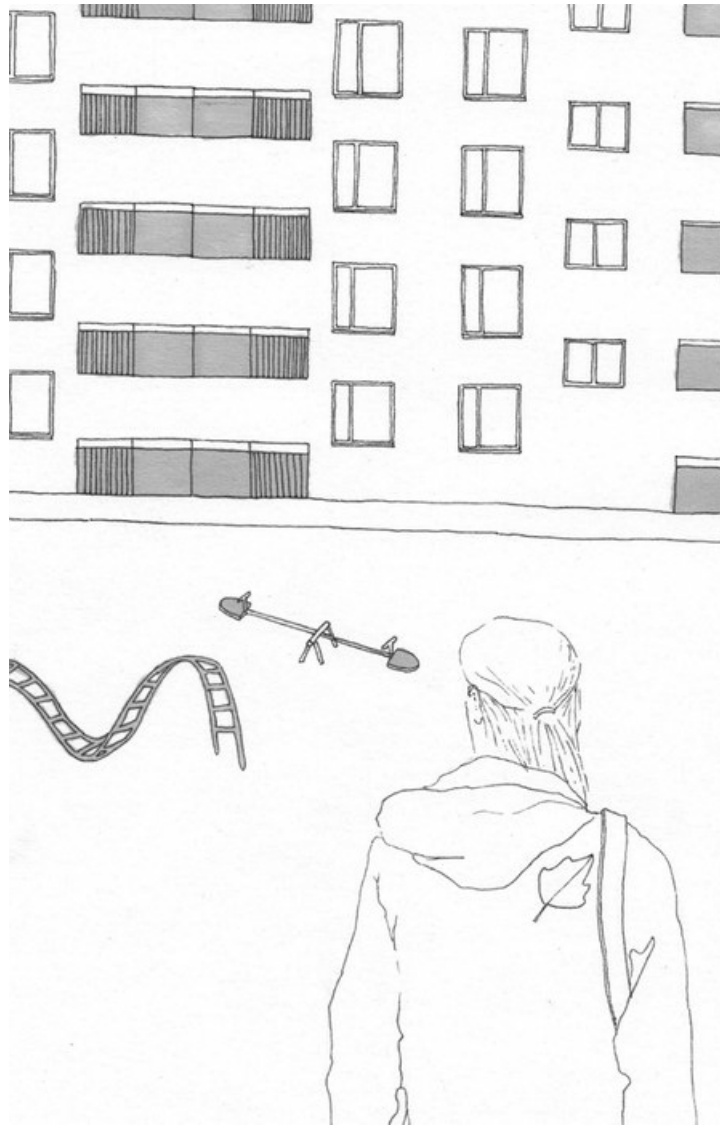
Obudziła się w środku nocy z męczącego koszmaru i nie mogła już zasnąć, więc przeglądała swoje nowe ulubione tagi na Instagramie i słuchała muzyki w słuchawkach, a gdy się jej znudziło, zapaliła lampkę i w jej świetle oglądała zdjęcia z żółtej koperty.

Mama. Nie pamiętała jej. Nigdy za nią nie tęskniła, nie odczuwała żadnej duchowej więzi. Dopiero teraz, gdy już wiedziała, że była dla mamy Danielem, obudził się w niej żal i jakaś rzewna tkliwość. Gdy była mała, ciocia Idalia uczyła ją modlitw za mamę i to chyba wtedy Tosia była najbliżej jakiejś formy kontaktu – przez kilka tygodni zwierzała się mamie, udając przed ciocią, że się modli, z różnych swoich dziecięcych niepowodzeń i prosząc o interwencję z zaświatów. Pozostały zastęp świętych i duchów niebieskich nie wzbudził jej zaufania; byli w jej dziecinnym przekonaniu uległymi wykonawcami żelaznej woli cioci Idalii: błogosławili tym, którym ciocia dobrze życzyła, i zsyłali dopusty na tych, których uczynków nie pochwałała. Na wszelki wypadek Tosia wolała nie rzucać im się za bardzo w oczy, ale mama to było co innego.

Nigdy nie odniosła wrażenia, że otrzymała jakąkolwiek odpowiedź, więc w końcu przestała próbować.

Przypatrywała się fotografii mamy i jasnowłosego berbecia u jej stóp, czując, jak na powrót ogarnia ją senność. Jeszcze nim opadły jej powieki, przyszła jej do głowy śmieszna, dziecinna myśl.

A może nie otrzymała nigdy żadnej odpowiedzi, bo adresat się nie zgadzał?...



## ROZDZIAŁ VIII

W niedzielę tata wyszedł wreszcie z domu, z telefonem przy uchu i paracetamolem w zębach. Tosia rzuciła się przetrzepywać wszystkie możliwe szafy w poszukiwaniu czegoś, w czym mogłaby wyjść nazajutrz do szkoły. Ponieważ tata w dalszym ciągu zbywał ją półsłówkami, chwilowo musiała zawiesić swoje wielkie plany odzieżowe i zadowolić się czymkolwiek – na przykład starą kurtką taty z czasów, gdy był nieco szczuplejszy. Przy odrobinie wyobraźni był z niej całkiem niezły płaszcz. Odnalazła też czarne śniegowce, które ciocia kupiła jej kilka lat temu z okazji wyjazdu na ferie w góry. Ubrała się w to wszystko i zerknęła w lustro.

Tosiek był sobą zdegustowany.

– To tylko chwilowe – obiecała mu i upchnęła kurtkę do szafy we własnym pokoju. Potem rozebrała się do T-shirta i przez godzinę ćwiczyła, z zapałem powtarzając trening z internetu, który, według zapewnień autora, miał każdemu w ciągu miesiąca wyrzeźbić ramiona godne kulturysty.

Następnego dnia obudziła się z bólem barku i szyi. Podesbrała tabletkę paracetamolu, który wciąż leżał na stole w kuchni. Taty już nie było, wyszedł wcześniej rano, gdy jeszcze spała. To nawet lepiej, nie będzie jej nękał pytaniami o tę kurtkę i o parasol, który pozwoliła sobie pożyczyć. Spojrzała po raz ostatni w lustro, a ponieważ Tosiek wciąż wyglądał jakoś markotnie, wysunęła podbródek i zmarszczyła krnąbrnie czoło. O, już lepiej.

Szła piechotą przez osiedle. Wicher wciąż miotał gałęziami drzew i przechodniami, ale jej to nie przeszkadzało. Znacznie łatwiej było stawić mu czoła, kiedy się było w wojowniczym nastroju i adekwatnym odzieniu. Parasol tylko jej przeszkadzał, więc go złożyła i niosła jak miecz, celując ostrym szpikulcem w mokre liście poniewierające się po chodniku jak ścierki. Im bardziej wiatr uderzał ją w twarz, tym bardziej narastał w niej gniew, inny niż dotychczas, przekorny gniew dający jej poczucie mocy, co było jej potrzebne, bo nigdy dotąd nie czuła się aż takim chuchrem.

Leon czekał na nią przed szkołą, co było trochę dziwne, bo w poniedziałki nawet nie zaczynali lekcji o tej samej porze. Choć wypatrywał jej, siedząc na murku, nie rozpoznał jej i nie zauważył, nawet gdy przemaszerowała mu przed samym nosem. Tłumiąc śmiech, stanęła obok niego.

– Na mnie czekasz? – spytała schrypniętym głosem, który długo ćwiczyła wczoraj w łazience.

Leon przez dłuższą chwilę nie mógł się otrząsnąć z szoku.

– Co ty odstawiasz? – spytał ostro.

Tosia nastroszyła się.

– Nic nie odstawiam. Sam mówiłeś, że mam się zaprzyjaźnić...

– Szybko ci to poszło – burknął Leon.

Przysiadła obok na murku.

– Bardzo ci to przeszkadza?

Wzruszył ramionami.

– Ja się do wszystkiego przyzwyczaję, ale nie wiem, jak inni.

– Inni mnie nie obchodzą – zapowiedziała Tosia wojowniczo. – Zresztą prawie wszystkie dziewczyny z mojej klasy chodzą w spodniach. Wielka mi rzecz. Nikt nawet nie zauważy, że



inaczej wyglądam.

Leon chwycił jej rękę, którą wymachiwała mu przed nosem.

– Nie chodzi o to, jak wyglądasz. Chodzi o to, kim próbujesz być. Jeśli się zorientują, mogą się poczuć odrobinę niekomfortowo.

– Patrzysz na kogoś, kto przez całe życie czuł się niekomfortowo – fuknęła Tosia. – Niech teraz inni się męczą.

Leon przyglądał się z uwagą jej krótkim, matowym paznokciom. Na niektórych widać było resztki lakieru. Spojrzał na nią z żalem.

– Już nigdy ich nie pomaluję.

– Domyślam się. Naprawdę musisz to robić?

– Muszę. Nie mogę być sobą i Tosią jednocześnie. Ona jest głupia.

– Nie wszystkie dziewczyny są głupie.

– Ale Tosia jest.

Leon puścił jej rękę. Zapatrzył się we własne buty. Tosi było już trochę zimno i najchętniej czmychnęłaby do środka, ale jeszcze jedna rzecz wymagała wyjaśnienia.

– Jeśli nie chcesz się już ze mną zadawać, to cóż, okej – powiedziała. – Zrozumiem. Teraz już nie będziemy tak ładnie razem wyglądać przy stole w bufecie.

– W kiecy czy bez, wciąż tak samo głupia – sarknął Leon przez ramię. – Umiesz wrzeszczeć? Ale tak naprawdę głośno?

– Nie wiem. Czemu?

– Gdyby działa się coś złego, wrzeszcz. Postaram się być blisko.

– Odbiło ci? Niby co miałyby się dziać?

Zajrzała mu w twarz, jakby chciała się przebić do samego sedna jego obaw. Zamknął oczy. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku, po czym, zaskoczona własnym odruchem, szybko cofnęła dłoń. Nigdy dotąd nie nawiązywała kontaktu fizycznego z własnej woli, nawet nie podawała ludziom ręki na powitanie.

– Pójdę już – powiedziała z zakłopotaniem.

– Uhm, zaraz dzwonek – przytaknął Leon, gapiąc się gdzieś przed siebie. – Masz kartkówkę z chemii, pamiętasz?

Korytarz szkolny w poniedziałek dwie minuty po ósmej przypomina lotnisko międzynarodowe: wszyscy są spóźnieni i się spieszą, większość ziewa i powarkuje na innych. Na parapetach trwa gorączkowe przepisywanie zadań domowych. Następują niespodziewane wędrówki ludów wywołane wieściami o nieobecności tego czy innego nauczyciela. Tosia pruła nieulękle przez cały ten Armagedon, pomagając sobie w razie konieczności łokciami. Nigdy więcej trwożnego przemykania się pod ścianami, o nie. Rozpierała ją energia i nieodczuwana wcześniej śmiałość. Niemal chciała, by ktoś zastąpił jej drogę i spytał, czemu się u licha tak rozpycha. Ależ by mu dała do wiwatu! Nikt jej jednak nie nagabywał i w panującym wokół chaosie nikt jej nawet nie zauważył. Dopiero gdy dotarła pod drzwi swojej klasy, wwiercило się w nią zdumione spojrzenie Matyldy, a Emilia z wrażenia upuściła zeszyt.

– O matko, ktoś ci umarł?...

– Poniękad – mruknęła Tosia.

U wylotu korytarza pojawiła się sylwetka Zalewskiego, profesora od chemii, więc tłum przed salą zafalował i stłoczył się razem jak stado pingwinów pod naporem wiatru. Po lekcji wszystko mi opowiesz – mówiło taksujące spojrzenie Emilii.

Zalewski porozsadzał wszystkich według jakichś sobie tylko znanych, przemysłnych kryteriów, na skutek których Tosia wyładowała w ostatniej ławce z Konradem. Wciąż nieusatisfakcjonowany profesor podzielił jeszcze klasę na grupy i polecił wyciągnąć karteczki. Tosia machinalnie zanotowała pytania i ogryzając długopis, z niedowierzaniem stwierdziła, że zna na nie odpowiedzi. Owszem, uczyła się wczoraj trochę, jak zwykle bez przekonania, bo zazwyczaj wiedza ulatywała jej z głowy w ciągu kilkunastu minut. Tym razem jakimś cudem nie uleciała. Zagryzła całą kartkę, wciąż nie do końca wierząc, że to się dzieje naprawdę. Zerknęła przez ramię na kartkę Konrada – wciąż biedził się nad trzecim pytaniem, najłatwiejszym z możliwych. Co za głupek, przecież miał to wszystko w swoich własnych notatkach! W porywie altruizmu zapisała odpowiedź na zapasowej kartce i szturchnęła go lekko w ramię. Przesunęła kartkę nieco bardziej w jego stronę, by lepiej widział.

Serce biło jej mocno z radości. Znów była bohaterem ratującym ludzkość z kłopotów. W dodatku nawet nie lubiła tego smutasa, a mimo to mu pomogła. Wzruszyła się własną wielkodusznością. A to był dopiero początek!

Konrad nawet nie miał możliwości jej podziękować, ale Tosia nie wątpiła, że zrobiłby to, gdyby nie Emilia i Matylda. Ledwie bowiem przebrzmiał dzwonek na przerwę, ujęły ją pod ramiona i wymanewrowały w stronę toalet. Miała nadzieję, że Konrad przynajmniej wspomni Leonowi o jej szlachetnej i jakże bezinteresownej postawie.

Pozwoliła się zaprowadzić przed lustrzaną ścianę w łazience i pierwszy raz w życiu spojrzała w nią z przyjemnością. Tosiek wyglądał dziś naprawdę dobrze, mimo swojego siermiężnego odzienia. Miał taki zadziorny błysk w oku. Włosy, zaczesane na Legolasa i ujarzmione pianką, przestały wreszcie falować. Tosia posłała swojemu odbiciu krzepiące mrugnięcie ponad umywalkami.

Emilia przyglądała się temu z domyślnym uśmiechem.

– No dobrze, a teraz opowiadaj.

– O czym?

– Nie wypieraj się. To Leona rzeczy. Spałaś u niego przez weekend?

– Ja?

– I nie miałaś się czym umalować rano. Wszyscy to już wiedzą.

– To nie tak. Chodzę w jego rzeczach, bo nie mam swoich, i...

– Następnym razem spakuj sobie drugi komplet na rano – poradziła jej Emilia od serca i poprawiła sobie kolczyk. – Ja słowa nie powiem, ale są w klasie różne małe wydry, co każdego obsmarują za jego plecami. Nie ma się co obnosić w ten sposób – z jej tonu można było jednoznacznie wywnioskować, że Emilia przyznaje sobie na tym polu wyłączność na obnoszenie się.

Tosia dała za wygraną. Najwyraźniej gdzieś pomiędzy kartkówką a dzwonkiem na przerwę ustaliła się już w klasie jedyna słuszna wersja wydarzeń. Dziewczyny wyciągnęły swoje pomadki, Tosia komórkę. Przeczytała wiadomość od Leona – dziękował jej za pomoc Konrowi. Wystukała szybko, że och, doprawdy, drobiazg, nie zwracając uwagi na chichoty za jej plecami.

– Wyglądasz w tej fryzurze jak chłopak – zauważyła z troską Matylda. – Zaczesz sobie chociaż włosy na twarz.

– Tak mi odpowiada – burknęła Tosia, umykając w bok przed jej pomocną dłonią.

– Co za zmiana upodobań – chichotała Emilia. – Chodziłam kiedyś z gościem, który lubił

mnie w czerwonym. Więc nosiłam się na czerwono, choć wyglądałam jak klaun.

– Jeśli Tośka ubiera się tak, jak lubi Leon, to Leon ma dość dziwne upodobania – dorzuciła Matylda i obie dziewczyny popłakały się ze śmiechu.

– Och, zamknijcie się już – fuknęła groźnie Tosia, zniżając głos w okolice rejestrów Tanity Tikaram. Chichoty umilkły jak ucięte nożem. Emilia przypatrywała się Tosi zafrapowana, ostrożnie wydłubując palcem łzę spod wytuszowanej powieki.

– To było niezłe – powiedziała z rezerwą. – Gdyby tu zajrzała teraz woźna, chyba by cię wyprosiła z naszej łazienki. Naprawdę nie wiedziałabym, co jej powiedzieć.

– Że wszedłem przez pomyłkę?

Dziewczyny znów się zaśmiały, ale jakby z wahaniem.

– Mam pomysł – odezwała się Emilia. – Genialny pomysł. Przyjdiesz na moje urodziny, prawda?

– Masz urodziny?

– A nie zaprosiłam cię? Musiałam przeoczyć... Przyjdź, ubrana tak jak teraz, udawaj chłopaka. Przystawiaj się do Martyny, ona cię nie zna. Leci na każdego, kto na nią zwraca uwagę

– Emilia nabierała rozmachu. – O matko, wyjdzie na taką idiotkę.

– Zrobimy zdjęcie i wrzucimy jej na walla – podpowiedziała Matylda.

– I otagujemy.

– A potem Tośka przyjdzie do szkoły jak gdyby nigdy nic i powie, że ona tak tylko wpadła wtedy na imprezę w ciuchach Leona, bo znowu nie miała w czym chodzić.

Emilia parsknęła w dłoń.

– Tośka, przyjdiesz?

– Tylko nie Tośka – zachrypiąła Tosia z niesmakiem.

– To kto?

– Może być Tosiek – zezwoliła łaskawie. – Przyjdę.

Intrygi Emilii niewiele ją obchodziły, ale pomysł, by pójść między obcych ludzi w swoim nowym wcieleniu, wywołał w niej przyjemny dreszcz oczekiwania. Czy da radę? Nabiorą się? Musi jeszcze poćwiczyć, i głos, i poruszanie się, zdobyć skądś wyjściowe ciuchy. W co właściwie Tosiek powinien ubrać się na imprezę? Trzeba zapytać Leona.

– W co ubrałbyś się na imprezę? – spytała Tosia i cisnęła torbę na krzesło. Emilia i Matylda, które przyszły razem z nią do bufetu, pomachały jej czule na pożegnanie i usiadły kilka stolików dalej.

– A ciebie gdzie znowu nosi? – zaniepokoił się Leon. – Nie chodzę na imprezy. Dobrze słyszałem, że ona powiedziała do ciebie „Tośku”?

– Tak.

– Świat staje na głowie. Ja w podobnej sytuacji gryzłbym już pewnie gruz za śmietnikiem.

– Masz okropne zdanie o swoich kumplach.

– Mam oczy, to wszystko. Gdzie twoje śniadanie?

– Zostało w domu. – Prawda była taka, że zupełnie nie pomyślała, by je przygotować. Zazwyczaj leżało gotowe na stole, uszykowane przez ciotkę. – Kupię sobie coś, poczekaj.

Podeszła do lady i zamówiła hotdoga z keczupem. Przeżyła chwilę upojenia, gdy usłyszała „Czy będziesz miał trzynaście groszy końcówki?”. Żaden odlot po kapsułkach nie mógł się z tym równać, żaden – a dopiero się rozkręcała. Nie miała jeszcze tyle odwagi, by zaprezentować Tośka nauczycielom i na lekcjach siedziała cicho, nie licząc ponurego „Obecny!” wymruczanego

podczas sprawdzania obecności, ale podczas przerw bez oporów testowała swój nowy image na ubawionej Emilii i nieco skonfundowanej Matyldzie. Reszta klasy przypatrywała się jej w niemym szoku, jak ławica ryb o wytrzeszczonych oczkach. Najwyraźniej potrzebowali nieco więcej czasu. Tosia nie widziała powodu, by się nimi przejmować.

Odebrała swojego hotdoga i jak na skrzydłach pofrunęła z powrotem do stolika. Opadła na krzesło i obdarzyła Leona najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

Odpowiedział jej grymasem Frankensteina, rozciągając poziomo kąciki ust, choć po oczach widziała, że wcale mu nie jest do śmiechu.

– Coś taki ponury? – spytała, żując kawałek parówki. – Przystań się zamartwiać, to tylko takie wygłupy.

– Naprawdę? Zastanawiam się tylko, co by było, gdybym ja się tak zaczął wygłupiać.

– Zaczynam podejrzewać, że mi zazdrościsz.

– Ja tylko widzę pewne fundamentalne nierówności i wyrażam troskę! Obywatelską.

– Uhm. – Tosia przełknęła kawałek bułki. – Wiesz, jeśli tu są jakieś nierówności, to chyba na twoją korzyść. W moim przypadku można mówić o upgradzie do lepszej wersji. – Z entuzjazmem odgryzła następny kawałek, równie niezdrowy co poprzedni.

– Czyli gdybym zaczął paradować w sukience, to byłby downgrade?

– Aha.

– Aż takie złe pojęcie masz o dziewczynach?

– Zawsze mają gorzej.

– Czy ja wiem.

– Mają. – Tosia ugryzła parówkę. – Na szczęście problem ciebie nie dotyczy. Bo przecież ty nie przejawiasz żadnych takich popieprzonych ciągotek, prawda.

– Prawda – odparł Leon spokojnie.

Tosia żuła końcówkę bułki.

– A jak tam próby? – spytała uprzejmie. – Już wznowione?

Można by się spodziewać, że skierowanie konwersacji na ulubiony temat Leona choć trochę poprawi mu humor, ale on tylko się skrzywił.

– Kółko historyczne ciągle się nas czepia. To oni zawsze robili Dzień Niepodległości i nie podoba im się nasza koncepcja. Witold przyłazi na próby jak do siebie i się wtrąca, a przecież go nawet oficjalnie nie przyjęliśmy do zespołu, choć bardzo by tego chciał.

– Jest jeszcze trochę czasu, zdążycie się dogadać.

– Albo zaczniemy się napażać.

– Rekonstrukcje są teraz w modzie...

Leon prychnął w swój kubek z herbatą.

– Tak, to pewnie będzie nasz plan B! O, patrz, to chyba jeden z nich stoi przy automacie. Sebastian. Z kółka historycznego.

Tosia z czystej uprzejmości obejrzała się za siebie, ale nim zdołała spojrzeć na domniemanego Sebastiana, wyraz bólesci wykrzywił jej twarz. Chwyciła się za kark.

– Co się dzieje?

– Nic, chyba mam zakwasy albo coś.

– Ćwiczysz?

– Od wczoraj.

– Nie zrób sobie tylko krzywdy. Pamiętaj o rozgrzewce.

– O czym?

Leon przymrużył oczy.

– Chodziłaś ty kiedykolwiek na wuef?

– Nie bardzo – przyznała Tosia. – Może w podstawówce. Cioci się nie podobało, że ciągle mam jakieś siniaki. Ale teraz tylko robię różne takie przysiady i skłony... Od tego nie ma siniaków.

– Ale można sobie zaszkodzić. Jakie robisz ćwiczenia?

– Z internetu. Na ramiona. Będę mieć takie ładne, jak twoje.

– Ach. – Leon wyglądał na wzruszonego i zakłopotanego jednocześnie. – Uhm, dzięki? Tylko nie przypakuj za bardzo, bo zacznę się ciebie naprawdę bać.

Oparł policzek na pięści i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z uwagą.

– To już nie są wygłupy – powiedział, bardziej do siebie niż do niej. – Jakoś mi to nie wygląda na wygłupy.

Poruszyła się niespokojnie.

– To taka... zabawa – powiedziała z uporem. – Sprawdzam, na ile mogę być Tośkiem, bo tylko wtedy, kiedy nim jestem, jest mi dobrze. To tylko chwilowe. Kiedyś na pewno znajdzie się lepszy sposób. Na razie go nie znam.

– Ach tak – Leon uciekł wzrokiem w swój pusty kubek po herbacie. – Tylko co do tego czasu? Co jeśli komuś się nie spodoba twój sposób radzenia sobie z tym wszystkim? Chciałbym być wtedy obok, ale nie wiem, czy będę, nie wiem, czy dam radę...

– Przestań histeryzować – zdenerwowała się Tosia. – Są inne metody radzenia sobie z ludźmi niż tylko siłą. Pamiętasz kapitana Marchewę? Jak sprawiał, że wszyscy wokół chcieli być najlepszą wersją samych siebie?

– A ty wiesz, że prawdziwe życie to nie literatura?

– Wiem, co to jest prawdziwe życie.

– Tak? Skąd wiesz? Z *Upiora* czy z *Wicked*?

– Z fanfików.

Leon wydał z siebie przeciągły jęk i jednocześnie na korytarzu zaterkotał ogłuszająco dzwonek. Przy stolikach zrobiło się poruszenie, ludzie wstawiali, zbierali z krzeseł swoje torby i kurtki, pakowali zeszyty. Tosia też podniosła się z miejsca, a Leon który do tej pory uparcie gapił się we własny kubek, podniósł głowę i chwycił ją za rękaw.

– No co?

– Nic, uważaj na siebie – powiedział i zobaczyła w jego twarzy lęk, którego nie potrafił już ukryć. – I pamiętaj o rozgrzewce.

Tosia nie musiała o niczym pamiętać, bo gdy wróciła do domu, jej skrzynka była wręcz zaspamowana materiałami od Leona, a telefon wciąż popiskiwał, anonsując kolejne wiadomości. Linki do artykułów, zestawy ćwiczeń w załącznikach, motywacyjne memy, brakowało doprawdy tylko prezentacji w PowerPoincie. Przeczytała wszystko z wielką uwagą, a tymczasem na skrzynkę zaczęły napływać porady żywieniowe, tabelki składników odżywczych („podziel na pół, wyjdzie akurat dla ciebie”) i jadłospisy, od których zaczęło jej burczeć w brzuchu, więc poszła do kuchni i naruszyła porządek wszechświata, rozmrażając pojemnik z napisem CZWARTEK. Uzupełniła kalorie kotлетem schabowym i kawałkiem chleba z masłem, a karteczkę z notatką „ugotuj do tego ziemniaki i przygotuj mizerię” beztriosko zgmiotła i wrzuciła do kosza.

Ciekawe, skąd u Leona ta nagła chęć pomocy. Czyżby widok Tosi pożerającej hot doga

zamiast jabłka tak nim wstrząsnął? Czy też postanowił wesprzeć ją w walce z jakimś urojonym zagrożeniem? Tak czy owak wszystko wskazywało na to, że czeka ją huk pracy. Będzie musiała wstawać wcześniej i wykonywać pierwszą serię ćwiczeń jeszcze przed śniadaniem, a drugą wieczorem, już po kąpieli, żeby tata się nie zorientował. Nie wiedziała, dlaczego właściwie założyła z góry, że tata nie powinien zostać wtajemniczony w jej nowy harmonogram zajęć – w końcu nie było niczego godnego potępienia w aktywności fizycznej. Coś kazało jej jednak zejść do konspiracji, coś, o czym wołała nie myśleć za dużo. Coś, co usłyszała w głosie Leona, gdy powiedział „To już nie są wygłupy”.

Leon podchodził do jej działań z przesadną powagą, oczywiście. Ubzdurał sobie, że powinien ją chronić jak bezwonną królową, właśnie teraz, gdy najmniej życzyła sobie takiej asysty. Nie chciała, by tata podążył tą samą ścieżką. Nie, niech zajmuje się swoimi sprawami tak jak dotychczas i się nie wtrąca, przynajmniej do czasu, aż Tosiek będzie dość silny i gotowy, by okazać go światu.

Sprzątnęła kuchnię i udała się do pokoju z zamiarem odrabiania lekcji, ale po drodze duże lustro w przedpokoju przyciągnęło ją jak magnes i zamiast iść dalej, oddała się bezgranicznej afirmacji Tośka. Czuła, że on tego potrzebuje, że staje się coraz mocniejszy i bardziej zdeterminowany. Nigdy dotąd nie rozumiała, po co ludzie marnują czas przed lustrem, po co pstrykają sobie tyle zdjęć i w ogóle sprawiają wrażenie, że są beznadziejnie zakochani we własnych obliczach. Teraz już wiedziała. Przyglądała się Tośkowi z czułym oddaniem, robiła miny, eksperymentowała z fryzurą, a gdy wreszcie oderwała od niego wzrok, wciąż miała przed oczami powidoki wysmukłego nastolatka o pytającym, badawczym spojrzeniu. Czuła wreszcie, że naprawdę nim jest, z każdą chwilą coraz bardziej. Już nie płynęła przez życie jak bezcielesny bąbel powietrza, bez żadnego celu ani wpływu na to, dokąd zmierza.

Właśnie zaczynała dochodzić do wniosku, że obiektywnie patrząc, jest całkiem przystojnym młodym człowiekiem, gdy telefon rozdzwonił się jej w kieszeni bluzy. Spodziewała się, że to Leon nie wytrzymał i dzwoni przypomnieć o rozgrzewce. Serce łupnęło jej ciężko pod mostkiem, gdy zobaczyła napis CIOCIA IDALIA na wyświetlaczu.

– Tak?

– No cześć, kochanie, jesteś już w domu?

– Tak – odparła Tosia, czując, jak gorąco wylewa się jej na twarz i uszy. Pytanie było całkiem niewinne, a ona już była bliska paniki.

– Jesteś przeziębiona?

– Nie, dlaczego? – Zaczęły się jej pocić ręce.

– Masz jakiś inny głos. Możesz zrobić dla mnie jedną rzecz? Idź do kuchni i sprawdź, czy twoja wizyta w ośrodku jest w tym tygodniu czy w przyszłym?

– Już. – Tosia powłokła się do kuchni jak skazaniec. Spojrzała w kalendarz. – W ten piątek.

– Nie wiem, jak to się stało, że to przeoczyłam – przejęła się Idalia w słuchawce, a Tosia bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak ciocia wyskakuje spod rąk masażystki i gna w szlafroku na dworzec, by złapać pierwszy lepszy pociąg do domu. – Głowę bym dała, że dopiero za tydzień. Słuchaj, kochanie: próbowałam dzwonić do twojego taty, ale ma ciągle zajęte. Musisz mu powiedzieć, żeby pojechał z tobą w piątek na wizytę.

– Ehe.

– Ma się dowiedzieć, czy nadal masz brać lekarstwa i jakie. I czy masz nadal chodzić na tamte spotkania. Niech powie, że i tak się na nich nie odzywasz. Niech cię przepiszą do jakiegoś lepszego terapeuty. Zapamiętasz?

- Tak.
- Jak się czujesz w ogóle, słonko?
- Fenomenalnie – odparła Tosia, wyrywając z kalendarza kartkę z październikiem.
- To mnie cieszy, kochanie. A jak w szkole?
- Chyba dostanę piątkę z chemii. – Otworzyła szafkę pod zlewem i zmiętą kartkę upchnęła głęboko w koszu na śmieci.
- To wspaniale, naprawdę. Powiedz tatusiowi, ucieszy się.
- Uhm.
- Kończę, bo będą mi tu zaraz zmywać maseczkę. A właśnie, nie masz problemów z makijażem?
- Nie.
- Nie przesadzasz z rozświetlaczem?
- Ciociu.
- Tylko pytam, kochanie. Pamiętaj, że twoją buzię trzeba trochę zredukować na dole, ale nie przesadz, bo będziesz wyglądać, jakbyś sobie czymś ubrudziła brodę.
- Yhy.
- To do widzenia, dziecko, zobaczymy się w sobotę.
- Do widzenia – powtórzyła machinalnie Tosia i odjęła słuchawkę od ucha. Bezmyślnie przyglądała się, jak wyświetlacz ciemnieje i gaśnie. Ręce miała spocone z wrażenia, kark też i serce wciąż biło jej jak oszalałe. Musiała w końcu zmierzyć się z faktem, że wystarczyło jej usłyszeć głos cioci Idalii i już truchlała jak dziecko przyłapanie na grasowaniu w spiżarni. Jak wobec tego miałyby jej stawić czoła w sobotę?

Potrzebuje sprzymierzeńców. Potrzebuje Leona. Potrzebuje taty. I potrzebuje Tośka w jego najbardziej olśniewającej postaci. Tosiek musi zacząć mówić, musi się nauczyć stawać we własnej obronie, i to szybko, zanim nadciągnie ciocia z rozświetlaczem w jednej dłoni oraz brązerem w drugiej i zredukuje go z powrotem do Tosi o cielęcym spojrzeniu.

Brązer i rozświetlacz...

Tosia schowała telefon do kieszeni i poświęciła więcej uwagi uporczywej myśli, która od dłuższej chwili próbowała przebić się jej do świadomości. Brązer i rozświetlacz – ciocia potrafiła działać nim cuda. Skoro potrafiła przy ich pomocy z kanciastego Tośka wyczarować słodką lalkę – to czy dałoby ich użyć w odwrotnym celu?

Wystarczyły trzy minuty szybkich poszukiwań w telefonie, by upewnić się co do tego, że mądrość zbiorowa internetu nie zawiedzie jej i tym razem. Zacytana w tutorialu dla cosplayowców przyniosła sobie z łazienki niezbędne kosmetyki i rozpoczęła eksperymenty.

Nie miała zbyt wielkiej wprawy, ale za to całą teorię w małym palcu, więc metodycznie, jak ciocia Idalia, zaczęła nakładać na twarz kolejne plamy światła i cienia, to zerkając w instrukcję, to znów zdając się na własną intuicję. Kilka razy musiała zmywać twarz i zaczynać od początku, ale ostateczny efekt był olśniewający. Jeśli przedtem wydawało jej się, że Tosiek jest przystojny, to teraz spoglądał na nią z lustra w przedpokoju rasowy księżę o pociągłej twarzy i uwodzicielskim uśmiechu. Gdyby jeszcze miał do tego odpowiednią fryzurę i coś lepszego do ubrania! Mógłby wtedy stawić czoła każdemu. Każdemu.

Tosi chciało się płakać ze wzruszenia. Był piękny. Tak bardzo go kochała. Nie mogła się doczekać chwili, gdy pokochają go inni.

Gdy tata wrócił z pracy, Tosia wybiegła mu naprzeciw. Już zdążyła zapomnieć, że całkiem

niedawno rzuciła mu w twarz te przykre słowa o nienawiści i braku zainteresowania. Ostatnią godzinę spędziła na Pinterescie, przeglądając zdjęcia fryzur oraz ciuchów i jedyne, co miała w tej chwili w głowie, to kwestie własnej aparycji.

– ...chyba żartujesz – burzył się tata, trzymając telefon przy uchu, a drugą ręką wysupłując się z kurtki. – Mówił, że wpłaci. Zaraz sprawdzę.

– Cześć, tato! – wrzasnęła Tosia z entuzjazmem.

– Cześć – mruknął tata, nie podnosząc wzroku. – Była umowa, że w poniedziałek leci druga transza. – Ze ściągniętą gniewem twarzą wysłuchał odpowiedzi. Opadł na ławkę pod wieszakiem i zaczął zzuwać but. – Nie, nie było warunku, że łazienka ma być gotowa. Dzisiaj to dodał.

Tosia niecierpliwie kiwała się na piętach. Czy on zawsze musiał być taki przyklejony do telefonu? Ciocia Idalia nieraz zwracała mu uwagę, że dom to nie praca, ale odkąd zniknęła z horyzontu, tata zupełnie przestał się tym przejmować.

– Powiedz chłopakom, że jutro będą wypłaty – mówił tata znużonym głosem. – Tak, przyjadę i przywiozę. Wypłacę z domowego. Potem z nim pogadam, tylko uspokój chłopaków. Najgorzej, jak się nam teraz wykruszą. Cześć.

– Ciocia nie pozwala ci ruszać domowego konta – przypomniała mu Tosia, niespokojnie zaplatając ręce. Z wolna zaczynało do niej docierać, że to może nie być dobry moment na wyjednywanie sobie nadprogramowych funduszy.

– Tylko na parę dni – odparł tata, z wysiłkiem ściągając drugi but. Plecy najwyraźniej wciąż mu dokuczały. Tosia wielkodusznie powstrzymała się od uwag na temat wpływu regularnych ćwiczeń fizycznych na ogólną sprawność, choć wiedzy teoretycznej wystarczyłoby jej na obszerny referat. – Klient zaraz nam zapłaci i wpłacę wszystko z powrotem.

– Ciocia mówiła...

– Ciocia mówiła też, żebyś lekcje odrabiała zaraz po przyjściu ze szkoły. Odrobiłaś już?

Tosia wzniosła oczy do żyrandola. Dorośli. Mają tylko jeden argument na wszystko. Podczas gdy tata mył ręce, a potem rozbijał się po kuchni, szukając obiadu, ona wciąż tkwiła pod wieszakiem, uderzając czubkiem kaptka w kubelek na parasole. Nie może pozwolić, by ją tak rozstawiano po kątach. Musi się wreszcie zawziąć i pokazać, że nie jest już dzieckiem, że trzeba z nią rozmawiać jak z dorosłym, przykładając należną wagę do jej słów. Zebrała się w sobie i wkroczyła do kuchni.

– Tato...

– Co jest na obiad? – rzucił tata, przeglądając zawartość lodówki.

– Kotlety – powiedziała Tosia grobowo. – Leżą w pojemniku na stole. Możesz zjeść z chlebem albo zrobić sobie burgera z bułką i sałatą.

– Aha.

– I pomidorem. Tato...

– Tak? Pardon – tata sięgnął do kieszeni spodni, bo jego telefon znów zaczął brzęczeć. Tosia z frustracji miała ochotę gryźć blat kuchenny. Albo przynajmniej czekoladę. Wybrała to drugie. I nic nie powiedziała, gdy tata wsunął kotlet do mikrofalówki, choć ciocia pewnie dostałaby ataku, widząc tę profanację jej sztuki kulinarnej. Tata gadał, przytrzymując telefon ramieniem i jednocześnie przyrządzając sobie prowizoryczną sałatkę z pomidora i cebuli, Tosia pożerała czekoladę wbrew wyraźnym wytycznym cioci („jedna kostka dziennie wystarczy, kochanie”) i walczyła z ponurym przeświadczeniem, że to jedyny bunt, na jaki ją stać.

– Daj mi chociaż zjeść obiad – zrzędził tata do słuchawki. – Który to gówniarz? A, ten. Dobra. Powiedz mu, że zaraz przyjadę z kasą. Tak, dzisiaj. Zjem, pójdę wypłacić i przyjadę.



Przytrzymaj go jakoś. Musi skończyć to cholerne malowanie.

Na Tosię spłynęło natchnienie.

– Tato – wybełkotała ustami zaklejonymi czekoladą. – Ja ci mogę pomóc. Ja ci mogę wszystko pomalować!

– Nie – uciął tata znad pomidora. – Nic, nic, do córki mówiłem. Tak, zaraz będę. Za pół godziny. Cześć.

– Dlaczego nie? – chciała wiedzieć Tosia.

Mikrofalówka brzęknęła. Tata wyciągnął ze środka talerz z kotлетem, zgarnął na niego sałatkę i usiadł przy stole.

– Bo muszę skończyć ten remont w ciągu tygodnia, a nie w pół roku. Podaj mi sztuce z łaski swojej.

Tosia zamarła, purpurowa z oburzenia i urazy. Tak ją zatkało, że nie mogła z siebie wykrztusić słowa i tylko w głuchym milczeniu patrzyła, jak tata nalewa sobie do szklanki soku z kartonika.

– Tosiu, sztuce – powtórzył tata łagodnym tonem, którego zwykle używał, gdy jego głupia córka z opóźnieniem reagowała na to, co się dzieje wokół.

W Tosi wezbrało.

– Danielu – poprawiła basem, przedrzeźniając ton jego głosu, łagodny i przyjazny, jakby mówiła do opóźnionego przedszkolaka.

Wtedy tata wreszcie na nią spojrzał, po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru.

– Danielu – powtórzyła z naciskiem, wbijając wzrok w jego stropione oblicze.

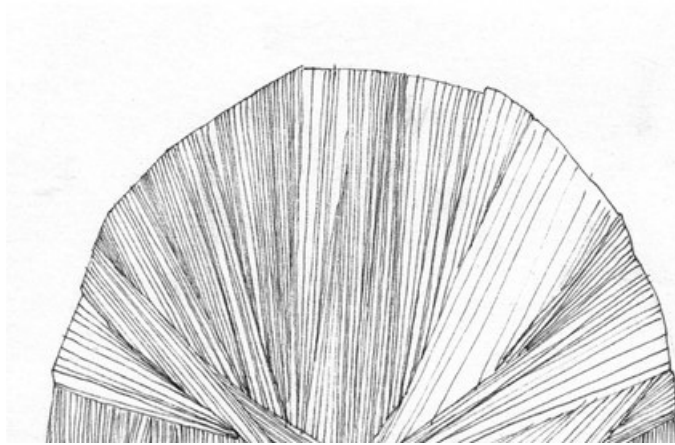
– Danielu – powtórzyły bezgłośnie jego usta.

Wyciągnęła z szuflady nóż i widelec i położyła przed nim na stole. Serce biło jej tak, jakby miało jej za chwilę wyskoczyć gardłem. Powiedział to, powiedział. Teraz już wszystko jest na dobrej drodze.

Ale przecież czuła, że to nieprawda. Widziała to. W jego wahaniu, nieszczerym uśmiechu, w uciekającym spojrzeniu, uldze, którą zobaczyła na jego twarzy, gdy telefon znów zaczął dzwonić.

Z wariatami ludzie też nie wdają się w dyskusje, by ich niepotrzebnie nie denerwować.

– Młody, przecież słyszałeś, że zaraz będę – tata znów pieklił się do słuchawki, poświęcając jakiemuś obcemu człowiekowi więcej uwagi, niż swojej córce poświęcił kiedykolwiek.



## ROZDZIAŁ IX

Tosiek był wkurzony.

Napiął mięśnie, zacisnął pięści i powiedział, że da sobie radę sam. Dławił się własną złością i nie pozwalał jej zelżeć, bo gniew był jedynym uczuciem, które dodawało mu jeszcze sił. Wykonał ćwiczenia z wszystkich zestawów od Leona. Ćwiczył niezmordowanie aż do północy, aż omdlały mu wiotkie ramiona, a nogi uginały się w kolanach. Leżał potem długo na dywanie, gapił się na lampę, endorfiny w nim kipiały, a pot ściekał z czoła.

We wtorek poszedł do szkoły wykończony i jednocześnie nabuzowany energią. Zaczął się odzywać na lekcjach, zadawać pytania i dyskutować z nauczycielami. Nawet z tymi, którzy nie lubili, by z nimi dyskutować. Docinki Emilii zbywał sarkazmem nie najwyższego lotu, szeptem za swoimi plecami ignorował.

– Doigrasz się – straszyl go w środę Leon, kiedy się dowiedział, że Tosiek wyleciał z sali geograficznej za pyskowanie.

– Jakże to ma znaczenie – indyczył się Tosiek, wyciągając śniadanie z torby. – Ta planeta umiera, w ciągu kilku lat pozarynamy się wszyscy w walce o zasoby, a ja mam marnować ostatnie chwile życia na kucie przyładek? Odjął mi pół punktu za literówkę, stary bałwan.

– Nadrabiasz prasówkę z ostatniej dekady?

– Tak. Niewiarygodne, jaka ta cała ludzkość jest porębana. Wierzyć się nie chce – zrzędził Tosiek nad pojemnikiem z kopsiastą porcją owsianki z owocami, którą pracowicie przyrzędził sobie rano z przepisu od Leona. – Kurde no, nie mam łyżki.

– Weź sobie z lady.

– Nie wiem, jak wy wszyscy możecie spać spokojnie, wiedząc, do czego doprowadziliście tę planetę – wściekał się Tosiek, kiedy już przepchnął się z powrotem przez tłum, torując sobie drogę plastikową łyżką.

– Roznosi cię, jakbyś się naćpał.

– Jakbym właśnie przestał ćpać. Rozglądam się dookoła i nie wierzę w to, co widzę. Co wyście robili przez ten cały czas, kiedy mnie nie było? Przepaliliście całą ropę na głupoty. – Tosiek zamilkł na chwilę, żeby przeżuć owsiankę. Przełknął. – Pytam go, co zamierza z tym zrobić, a on mi odejmuje pół punktu, jak rany.

– Przestań się ciskać, w końcu Mielnik nie wytrębił tej ropy osobiście.

– Ale mógłby się chociaż zainteresować!

– To co, jedziemy na Hel ratować foki czy od razu na Grenlandię po misie polarne?

– Nie nazywaj ich misiami – spienił się momentalnie Tosiek. – Twoje protekcjonalne podejście powoduje, że nikt nie traktuje ich poważnie!

Leon dał za wygraną. Nie potrafił już okiełznać Tośka. Od dwóch dni chodził za nim, łagodził, gasił pożary, ale czuł, że dłużej nie da rady. Jego rycerska nadopiekuńczość niepostrzeżenie zaczęła się przekształcać w braterską lojalność – stawał w jego obronie, owszem, gdy słyszał jakiś drwiący docinek, ale nie miał już sił powtarzać Tośkowi, że nie powinien robić tego czy owego. Na przykład nadużywać męskich form gramatycznych w towarzystwie osób postronnych, kląć jak szewc czy nonszalancko drapać się po fantomowym zaroście. Tosiek wiedział lepiej.

– Zaraz wyciągniesz paczkę fajek i zaczesz kopcić w oczy Jastrzębskiej – dociał mu Leon podczas przerwy w czwartek. – To może być ten poziom emancypacji, który nawet dla twojego taty będzie trudny do przeskoczenia.

Tosiek uśmiechnął się zdawkowo i wbił wzrok w porcję jaglanki. Według oficjalnej wersji wydarzeń, którą przekazał Leonowi, jego stosunki z tatą układały się znakomicie. Pełne zrozumienie. Totalna symbioza. Leon bardzo się tym interesował. Najmniejsza wzmianka o jakimś zatargu powodowała, że Leon robił się nieswój i nadopiekuńczy jak kwoka. Jak wtedy, gdy Tośkowi wymyśliło się przypadkiem, że tata opieprzył go za chodzenie w ubłoconych butach po kuchni. Leon kręcił głową z dezaprobatą i powtarzał, by nie przeginać. Uważać jak na zgnile jajo. Okazać cierpliwość i wyrozumiałość. Tosiek miał tego powyżej uszu.

Sprawa z tatą gryzła go bardziej, niż byłby to skłonny przyznać. Nie bardzo potrafił o tym nawet mówić. Nie chciał się nad sobą użalać. Kiedy to robił, łyzy natychmiast piekły go pod powiekami, a przecież surowo zabronił sobie beczeć. W dzień trzymał się jakoś i dopiero wieczorem, przed zaśnięciem, posępne myśli dopadały go jak stado głodnych wron. Zrywał się wtedy z łóżka i znowu ćwiczył, ćwiczył jak wariat, by babskie rozrzewnienie ustąpiło złości i poczuciu mocy.

Tata znów pracował do późna, a gdy wracał, był chłodny i jakby nieobecny duchem, w zasadzie się nie odzywał. No, chyba że rozmawiał przez telefon. Tosiek nie wiedział, co ma o tym sądzić. Czasami zdawało mu się, że sobie to wszystko wmawia, że tata zawsze był tak zaabsorbowany własnymi sprawami, a on po prostu tego nie widział, przytłoczony nadmiarem uwagi ze strony cioci Idalii.

Ale czasem myślał z lękiem, że tata nabrał tego dystansu dopiero teraz, i że to on, Tosiek, jest tego bezpośrednim powodem. Tata kochał Tosię – w to nie wątpił – ale czy choć trochę lubił Tośka? Tosiek bał się zapytać. Emocjonalna próżnia, którą odczuwał wokół siebie, wyciągała z niego całą radość. Pierwszy raz w życiu czuł się odrzucony i pozostawiony sam sobie i nie przewidział, jak bardzo będzie mu to ciążyło.

– Ziemia do Tośka – odezwał się Leon, kiedy podczas piątkowej przerwy Tosiek tylko wzdychał nad swoim musli, gapił się na łyżkę i nie jadł. – O czym tak myślisz?

– O niczym.

Tosiek rozmyślał o tym, że w zasadzie powinien w tym momencie siedzieć w zacisznym gabinecie psychoterapeuty i spowiadać mu się ze swojego samopoczucia. Nie, nie żałował, że nie siedzi, ale trochę toczyły go wyrzuty sumienia, że wyrwał kartkę z kalendarza i ukrył wszystko przed tatą. Co będzie, kiedy w końcu się dowie? Rozzłości się czy będzie mu wszystko jedno?

– Nie widziałem tu ostatnio twoich psiapsiółek – zauważył Leon. – Znudziło im się śledzenie nas na każdym kroku?

– Nie wiem.

– Nie trzymają już z tobą?

Tosiek grzebał łyżką w płatkach i żurawinie.

– Jak cię to tak bardzo interesuje, zapytaj swoją wtyczkę.

– Przepraszam?

– Konrada – odpowiedział Tosiek. – Nie udawaj, że go nie prosiłeś, żeby miał na mnie oko. Wszędzie za mną łązi.

Leon nie zaprzeczył.

– Mogę go odwołać.

– W nosie go mam. Zresztą dziś nie przyszedł.

– Wiem. Pisał, że jakaś kraksa jest na drodze. Autobusy nie dojeżdżały od niego przez dwie godziny. Na jedną lekcję nie opłaca mu się przyjeżdżać.

– Szczęściar! – powiedział Tosiek i wciągnął bez zapału łyżkę płatków.

– Czy ja wiem. Mieszka na drugim końcu miasta, wynajmuje pokój, a płaci jakiś chory czynsz, prawie tyle co ja za mieszkanie. Łatwo nie ma.

– Tak mi żal biedaczka – burknął Tosiek z ostentacyjnym brakiem zainteresowania, ale Leon nie zauważył ironii.

– Niedługo się to zmieni – obwieścił. – Podliczyliśmy wszystko do kupy i chyba znaleźliśmy rozwiązanie.

– Wprowadzi się do twojej dziupli? – spytał Tosiek złośliwie i o mało nie zadławił się żurawiną, widząc minę Leona. – O bogowie, powiedz mi, że to żart.

– Nie.

– Wyście chyba powariowali. Tam ledwo jest miejsce dla ciebie.

– Tysiąc złotych. Tyle możemy zaoszczędzić miesięcznie. Po pięćset na osobę. Ja wiem, że dla ciebie pieniądze są jak powietrze...

Twarz Tośka powlekła się szkarłatem.

– To nie tak. Ja wiem, że masz mało pieniędzy. Kto nie ma. Ale chyba są jakieś granice. Nie bądź taki ambitny i po prostu napisz do rodziców, że potrzebujesz więcej kasy na życie.

Leon zaśmiał się krótko.

– Masz fajnego ojca. Nie wszyscy mają takie szczęście.

– Mhm – mruknął Tosiek. – W rzeczy samej, tata raczej nie pozwoliłby mi zamieszkać z moim chłopakiem.

Palnął te słowa bezmyślnie, zaabsorbowany grzebaniem w płatkach i czysto hipotetycznym rozważaniem, czy tata faktycznie by mu nie pozwolił. Przejąłby się? Machnąłby ręką? A może nawet by nie zauważył? Prawie się nie widywali ostatnio. Miały się z pyszna, gdyby się po tygodniu zorientował, że... W tym momencie myśl mu się urwała, bo podniósł wzrok znad pojemnika i zobaczył, że Leon wygląda, jakby zaraz miał zemdleć. Cała krew odpłynęła z jego twarzy, a oczy zrobiły się ogromne i zarazem nieobecne, jakby Leon nie przyjmował do wiadomości tego, co usłyszał, i usilnie próbował przenieść się myślami gdzieś indziej. Tosiek dobrze znał to pragnienie.

– Leon. No naprawdę myślałeś, że ja nie wiem?

– O czym?

Tosiek sapnął z irytacją, a Leon wykonał jakiś minimalny ruch głową, który miał być zapewne błagalnym zaprzeczeniem.

– Leon – powtórzył Tosiek, a ponieważ nie doczekał się reakcji, dodał: – Popatrz na mnie! Z nas dwóch to ja jestem bardziej popieprzony, pamiętasz? Nie musisz się mnie bać.

– Nie boję się.

– Aha.

– Nawet nie będziesz wiedzieć, kiedy wypaplasz. Nie panujesz nad sobą – wymamrotał Leon bardziej do siebie niż do Tośka.

– Jakoś do tej pory nie wypaplałem.

Leon nie wytrzymał ciężaru chwili i wbrew własnym zasadom oparł łokcie na stoliku, a twarz ukrył w dłoniach.

– Skąd wiedziałeś? – spytał niewyraźnie przez palce.

Tosiek z zafrasowaniem podrapał się po skroni.

– O czym?

– Idź do diabła.

– Naprawdę nie wiem! Widocznie to nie było dla mnie dość ważne, by pamiętać!

Oko Leona zalśniło spomiędzy palców.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Nie kpię. Nie pamiętam. Tak samo jak nie pamiętam, kiedy zauważyłem, że masz piegi na nosie i bliznę tam z tyłu za uchem, bo kogo to obchodzi? Po prostu w pewnej chwili już wiedziałem. I tyle.

Leon pociągnął nosem, zabrzmiało to dość sceptycznie i żałośnie zarazem. Tosiek wzruszył ramionami i wpakował sobie do ust łyżkę pełną musli. Podczas gdy on przeżuwał rozmiękle płatki, Leon za fasadą z dłoni oddawał się intensywnym rozmyśleniom, przerywanym westchnieniami i siąkaniem. Łatwo było tego nie słyszeć w gwarze, który ich otaczał, toteż Tosiek postanowił, że nie słyszy.

– Nigdy nie rozumiałem, po co w ogóle chciałeś się zadawać z tą durną Toską – wyznał melancholijnie, wyskrobując ostatnie żurawiny z pojemnika. – Ale już chyba wiem. Ładna, głupia, nie zadaje dużo pytań, łatwo zapada ludziom w pamięć.

– Nie: głupia. Tak nigdy nie pomyślałem.

– Ale reszta się zgadza.

– Przepraszam.

– Niestety okazała się najslabszym ogniwem twojego misternego planu – zadrwił Tosiek.

Leon opuścił ręce. Wyglądał dokładnie tak samo nieskazitelnie jak zawsze, no, może nos miał odrobinę bardziej czerwony.

– Nie jesteś najslabszym ogniwem. Jesteś silniejszy niż ja.

– O, dzięki – odparł łaskawie Tosiek. – Też tak uważam. I myślę, że trochę przesadzasz z tą konspiracją. Nikogo nie obchodzimy. Wszyscy są zbyt zajęci kuciem, by się nami przejmować. Domyślam się, że ktoś ci dokuczał w poprzedniej szkole, ale ona była chyba jakaś inna.

Leon mrugnął powoli, jego spojrzenie znów stało się szkliste.

– Wszystkie szkoły są takie same – powiedział głosem bez wyrazu. – Daj słowo, że nie wypaplasz.

– Nie wypaplam. Mógłbyś mi zaufać choć trochę.

– Ufam.

– Akurat.

Dźwięk dzwonka poderwał wszystkich z krzeseł. Tosiek wcisnął do torby pusty pojemnik po płatkach, Leon refleksyjnie szarpał troki przy kapturze bluzy.

– Ufam – powtórzył bez przekonania. – Idę dziś z chłopakami do pubu wieczorem, chcesz pójść ze mną?

Tosiek zamarł z wyrazem ekscytacji i niedowierzania na twarzy.

– Z zespołem?

– Tak.

– Konrad też będzie?

– No... tak.

– Czyli zapraszasz Tosię.

– Idziesz czy nie?

Tośkowi brakło słów, by wyrazić entuzjazm.

Czy chciał?  
Wyjść do pubu? Z chłopakami?!...  
Marzył o tym od dawna.

Pozostawała tylko kłopotliwa kwestia przekazania tej nowiny tacie.

Tosiek wrócił ze szkoły, zjadł obiad i dłuższy czas krążył po mieszkaniu, zastanawiając się, co dalej. Najprościej byłoby zadzwonić do taty i zapytać o zgodę, ale coś powstrzymywało go przed tym krokiem. „Cześć tato, wychodzę wieczorem”. „Z kim?”. „Z kolegami”. „Jakimi kolegami?”. „Ze szkoły”. „Prześlij mi ich nazwiska i adresy”. Brrr.

Zresztą dzwonienie do taty jest bez sensu, bo i tak sygnał jest zawsze zajęty – przekonywał sam siebie Tosiek, po raz dziesiąty przemierzając drogę z kuchni do swojego pokoju.

Mógłby też poczekać, aż tata wróci z pracy, i zapytać go osobiście, ale, po pierwsze, nigdy nie było wiadomo, kiedy wróci, a po drugie na pewno będzie zmęczony i z uchem w telefonie, po trzecie Tosiek miał już trochę dosyć tego ciągłego zabiegania o jego uwagę, po czwarte, Tosiek był prawie dorosły. Pozostali chłopacy na pewno nie musieli się nikomu spowiadać, dokąd wychodzą. W każdym razie Leon na pewno nie.

Minęła czwarta, minęła piąta, zaczęło się ściemniać i był już najwyższy czas, by podjąć jakąś decyzję. Rozdarty między wpojonymi mu zasadami a rozżaleniem na tatę, Tosiek wybrał w końcu tchórzliwy kompromis. Napisał karteczkę. „Wychodzę z kolegami na miasto. Będę o 23 albo zadzwonię, gdyby coś się zmieniło”. Godzina jedenasta wieczorem wydała mu się bezpieczna – brzmiała bardziej buntowniczo niż uświęcona dziesiąta, ale nie tak definitywnie, jak „północ”. Tata nie powinien się chyba czepiać. Tosiek przykleił karteczkę na lustro w przedpokoju i zaczął się przygotowywać do wyjścia.

Zajął mu to jakieś pięć minut – zmyć z twarzy resztki brązera, otrzepać portki z paprochów, wygładzić fale nad czołem – i już. Niewiarygodne, ile czasu dotąd tracił, wywołując z niebytu głupią Tosię. Teraz, niestety, z lustro też spozierało na niego stworzenie tosiopodobne, nie budziło w nim już jednak takiej agresji jak kiedyś. Myślał o niej trochę jak o młodszej i nierozgarniętej siostrze, która wlecze się za człowiekiem i robi mu wieś przy ludziach, ale którą trzeba znosić, bo to jednak rodzina. Chętnie zostawiłby ją w domu, ale wiedział przecież, po co Leon, strachliwy i przezorny do przesady, zaprosił go dzisiaj: potrzebował zasłony dymnej. Tosiek nie zamierzał zawieść tych wątpliwych oznak zaufania, jakim Leon w końcu go obdarzył.

Wyszedł z domu przed szóstą. Miał jeszcze dużo czasu, ale nie chciał ryzykować konfrontacji z tatą, gdyby ten złośliwie wrócił z pracy wcześniej. Oglądając się czujnie za siebie, dotarł na przystanek i dopiero gdy znalazł się w autobusie uwożącym go poprzez zmierzch w stronę jasno oświetlonego śródmieścia, poczuł, jak niepokój z niego opada, ustępując podnieceniu.

Około ósmej w pubie pojawił się wreszcie pierwszy z chłopaków, Witold z kółka historycznego, wysoki chłopak z szopą rudawych kędziorów i zapadniętymi policzkami ascety. Tosiek wiedział, że nie budzi on w zespole szczególnej sympatii, ale dziękował niebiosom widząc go w drzwiach, bo serdecznie dość miał już tego siedzenia w pojedynkę. Z nudów przeczytał w telefonie cały swój internet, a gdy wyświetlił się komunikat o niskim stanie baterii, wyjął z torby notatniczki i próbował dokończyć pisanie zaległego fanfika. Wtedy jednak właśnie do pubu zaczęli napływać bywalcy, a ich rozmowy przy sąsiednich stołach, choć niegłośnie, rozpraszały go bardzo. Jeden z bywalców poczuł się w obowiązku podejść i zapytać, czy aby pani nie nudzi się tak sama, i oddalił się wielce obrażony, gdy pani warknęła na niego basem, że nie. Gdy Witold

usiadł przy stole, Tosiek był już na granicy wybuchu.

– To ty jesteś tą dziewczyną Leona?

– Krążą takie pogłoski – fuknął wściekły Tosiek, zamykając notes.

– Odrabiasz lekcje? Tutaj? Twardy z ciebie zawodnik.

– Już kończę. – Tosiek wcisnął notes do torby i nerwowo łyknął coli.

– Wypracowanie na angielski?

– Tak jakby.

– Mało kto ma tyle samozaparca, żeby się uczyć w piątek wieczorem – wyraził pochwałę Witold, rozglądając się po sali.

Jakaś protekcjonalna nuta w jego głosie wywołała w Tośku wspomnienie gitarowego pobrękiwania, zapachu zakurzonych słowników i łaskawego „Pomóc wam, słoneczka?“, które doprowadziło go do białej gorączki wtedy, w auli. Zjeżył się.

– O, idzie Artur – powiedział Witold z ulgą.

Artur, dryblasowaty maturzysta, przywitał się z Witoldem serdecznym uściskiem ręki i poklepywaniem łopatek, tak jakby byli wielkimi przyjaciółmi, a nie parą naczelnych szkolnych ideologów, którzy wyklócają się o pryncypia podczas każdej próby zespołu. Tosiek spode łba, ale z napiętą uwagą przyglądał się tym rytuałom i gdy Artur skierował na niego swój wzrok, pierwszy wyciągnął rękę.

– No cześć – zaburczał nonszalancko, również obdarowując Artura morderczym uściskiem.

– No cześć. – Artur mignął nowiutkim dowodem osobistym. – Idę po piwo. Kupić wam też?

– Pewnie.

– Pewnie – jak echo zawtórował Tosiek, naśladowując swobodny ton Witolda.

Piwo było obrzydliwe w smaku, ale Tosiek miał w sobie niewyczerpane pokłady samozaparca. Podczas gdy Artur i Witold zagłębiali się w neutralny towarzysko temat półmaratonów i treningów biegowych, on łyk po łyku wytrąbił pół kufła. Był nieco zawiedziony. O to tyle krzyku na godzinach wychowawczych? Spodziewał się czegoś bardziej uzależniającego. I smaczniejszego. Nie był pewien, czy przelanie resztki coli do piwa jest społecznie akceptowalne, więc tego nie zrobił, tylko dyskretnie popijał raz jedno, raz drugie.

– Biegam przed lekcjami – puszył się przed Arturem Witold. – Ostatnio mam za dużo zajęć, ale raz w tygodniu to jest minimum.

– Przed lekcjami? To chyba sprintem do szkoły, hehe.

– W środy chodzę na wpół do dziesiątej, więc jak nie zaśpię, to akurat znajdę czas na godzinę po parku przy Arenie.

– Ja zaczynam lekcje zawsze o ósmej – zadeklarował Artur z godnością. – Wiesz, matura.

– Ano, coraz więcej kucia. W zeszłym roku biegałem co dzień.

– W pierwszej klasie to nie problem – dowodził Artur. – Pierwszaki i tak nie mają za dużo do roboty.

Witold się z nim zgodził. Tosiek również, z przekonaniem potakując głową. Trochę mu płonęły policzki. Strasznie gorąco zrobiło się w tym pubie, czyżby klimatyzacja się zepsuła? Mitygująco popatrzył w stronę barmana, ale nim zdążył zwrócić mu uwagę (pełnym głosem, rzecz jasna, żeby przekrzyczeć się przez gwar), spostrzegł nadciągającego Leona w towarzystwie pozostałych chłopaków: niewysokiego śmieszka Darka i oczywiście Konrada, jeszcze bardziej ponurego niż zwykle.

– Tej, Leon! Tu jesteśmy! Heeej...!

– Który to kufel? – syknął Leon i opadł na miejsce obok Tośka.



- Ten jest pierwszy, a ten drugi.
- To jest szklanka z colą.
- Brawo, Watsonie – pochwalił go Tosiek, obserwując, jak Konrad sadowi się po przeciwnej stronie stołu. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego z tego powodu. Doprawdy, Leon mógłby już tak nie męczyć tego człowieka w imię swoich własnych urojeń.
- Pierwszy raz pijesz? – spytał Leon.
- A z kopa chcesz? Nie będę ci się spowiadał.
- Panowie wokół zarechotali.
- Znowu to samo – westchnął Leon, przyglądając się Tośkowi bez mrugnięcia okiem. – Zawsze jak się narąbie, wydaje jej się, że jest superbohaterem. Za dużo Marvela, kochanie. – I odstawił pusty kufel na drugi koniec stołu.
- Pub zapelniał się ludźmi. Miejsc siedzących już nie było, wielu stało przy barze albo w rozgadanych grupach pod ścianami. Z głośnika sączyły się jakieś abstrakcyjne dźwięki, które Tosiek na próżno starał się umiejscowić na liście znanych mu gatunków muzycznych. Było mu dobrze, choć gorąco. Chłopacy sobie gadali, a on, sennie wsparty policzkiem o ramię Leona, przyglądał się im z rozmarzeniem. Notował w pamięci ich gesty, grymasy, ton głosu. Witold miał w sobie najwięcej powagi i niewymuszonej pewności siebie, ale Tosiek nie był do końca pewien, czy chciałby być taki, jak Witold. Pozostali chyba nie bardzo go lubili. Za bardzo dawał im do zrozumienia, że uważa się za kogoś lepszego. Artur z kolei zgrywał się na dorosłego i bardzo popisывał, tak jakby myślał, że pozostali tego właśnie po nim oczekują. Ale gdy momentami o tym zapominał, zaczynał od razu budzić sympatię. Darek wydawał się pozbawiony ambicji zapunktowania w towarzystwie za wszelką cenę i tylko chichrał się z cudzych żarcików, co Tośkowi również nieszczęśliwie odpowiadało jako postawa życiowa.
- Konrad natomiast siedział bez humoru na swoim miejscu i nie odzywał się przez cały wieczór. Tosiek doszedł do wniosku, że Leon zadaje się z tym ponurakiem wyłącznie z litości.
- Kilka kufli później atmosfera przy stole nabrała ognia – rozmowa zeszała na drażliwy temat Dnia Niepodległości i głosy dyskutantów podniosły się o ton.
- Czasy są złe – wieszczył Witold z płomieniem w oczach. – To może być już ostatnia szansa, żeby wstrząsnąć ludźmi i pokazać, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi.
- Tak jakby tylko o tym marzyli – szydził Artur. – Nie ma nic nudniejszego niż patriotyczna akademia.
- Za kilka lat wspomnisz moje słowa – ciągnął Witold złowieszczo. – Będziesz żałować, że w takiej chwili wystawiałeś głupie bajki o rogalach.
- Chłopakom się podoba, prawda, chłopaki? – naigrawał się Artur przy wtórce chichotów Darka. Najwyraźniej prowokowanie u Witolda wzmożenia patriotycznego należało do ulubionych rozrywek zespołu.
- Czy wy nie rozumiecie, tępe cioty, że nic nie jest nam dane na zawsze?! – ryknął Witold, uderzając otwartą dłońią o blat stołu. – Trzeba o tym przypominać przy każdej okazji! Każda akademia może być ostatnią!
- Na pewno będzie, jeśli nam publiczność pomrze z nudów na widowni!
- Kiedy musisz wracać? – mruknął Leon Tośkowi w ucho.
- Jeszcze nie.
- Już po dziesiątej.
- Jeszcze nie muszę.
- Chodź, pójdziemy.

- A co, będą się bić? Chcę to zobaczyć!
- Odbiło ci? Nie, będą się tylko kłócić przez następne trzy godziny. Nic ciekawego. Znam to na pamięć.
- Ale ja nie.
- Zaśniesz z nudów. Już przysypiasz.
- Wcale nie.
- Idziemy. No, już.
- Psujesz mi całą zabawę – utyskiwał Tosiek, kiedy już pożegnał się ze wszystkimi serdecznym uściskiem dłoni i braterskim poklepywaniem po łopacie.
- Chodź, chodź.
- Jeszcze moja torba.
- Wychodzimy – zarządził Leon, odbierając torbę z rąk Konrada i wciskając ją Toškowi w objęcia. – Tamtędy. Do wyjścia. Już.

Na dworze było zimno i znów siąpił drobny deszcz, ale Tośka, ledwo przeszedł parę kroków, zaczęła wypełniać miłość do świata.

- To był najlepszy wieczór mojego życia – oświadczył tkliwie, kiedy pieli się ulicą w stronę przystanku autobusowego. – Dziękuję ci. Dziękuję. Jesteś mądry, dobry i piękny.
- Wiesz co – odezwał się Leon. – Przejdziemy się jeden przystanek. Co najmniej jeden.
- Poważnie mówię – perorował Tosiek, potykając się i w ostatniej chwili unikając upadku poprzez wykonanie wdzięcznego *pas de poisson*. – Masz takie piękne ramiona.
- Już to słyszałem.
- Piękne bicepsy, absy i peksy – rozmarzył się Tosiek, kreśląc w powietrzu odnośne szczegóły. – Jak Aaron Tveit.
- Trochę mnie przeceniasz.
- Pokażesz mi kiedyś?
- Co?
- Twój sześciopak.
- Tosiek, narąbałeś się w trzy dupy kuflem piwa. Gratuluję osiągnięcia, ale nie rób tego więcej. Myślisz, że mnie cieszy, że odstawię cię do domu w takim stanie?
- Konradowi na pewno już pokazałeś to i owo, ha ha ha.
- Nie twoja sprawa i jak się nie uspokoisz, to oberwiesz w ucho jak prawdziwy mężczyzna.
- Chcesz się bić? Chcesz się bić? – zakwiczał Tosiek ochoczym kontratenorem, po czym pisnął jak kurczak, bo ramię Leona znieacka otoczyło mu szyję i zmusiło do zgięcia się w pół, a druga jego ręka bezceremonialnie skudliła mu włosy.
- Zamknij dziób, zanim nas zgarnie straż miejska.
- Puszczaj...
- A przestaniesz skowyczeć?
- No.

Leon wypuścił Tośka na wolność i ruszył w noc chodnikiem, a obrażony Tosiek potruchtał za nim, przyklepując czuprynę.

- Wcale nic mi nie jest – oznajmił, naciągając kaptur na głowę. – Tylko czuję się, jakbym się narodził na nowo.
- Znam to uczucie. Najczęściej kończy się rzyganiem w krzaki.
- Nic nie wiesz. Jesteś zaspawany w tej swojej zbroi prawdziwego faceta i nie masz pojęcia,

jak to jest być naprawdę tym, kim się jest, i nareszcie robić to, na co ma się ochotę.

Leon nic nie odpowiedział, tylko wetknął nos w szalik i przyspieszył kroku. Tosiek chcąc nie chcąc również podciągnął tempo, pogwizdując *Dancing Through Life* i drobiąc tanecznie w swoich śniegowcach. Minął ich ulicą jasno oświetlony autobus, uwożąc kilku apatycznych pasażerów gapiących się w okna. Tosiek przejął się ich losem.

– Wszędzie widzę smutnych ludzi – powiedział. – Dlaczego nic ze sobą nie robią? Marnują sobie życie.

– Może nie mają czasu na takie rozważania. Może muszą, nie wiem, zarabiać przez cały dzień pieniądze, żeby jakoś przeżyć do następnego poranka. Takie tam nudne sprawy dorosłych ludzi.

– Sarkazm uszami ci się wylewa jak mózg Rolandowi. Na szczęście niedługo uwijesz sobie gniazdko z Konradem i będziecie się tarzać w gotówce.

– Odpieprz się. Wiesz, że lada moment będę miał dziurę w podeszwie? A ma spaść śnieg.

– Wiesz, że chodzę w twoich ciuchach, bo nie mam swoich? Ale do głowy by mi nie przyszło zamieszkać z pierwszym lepszym łepkiem, któremu się podobam, tylko po to, żeby mieć kasę na buty. Istnieje na to bardzo brzydkie słowo, Leonie.

Leon gwałtownie obrócił się, jednocześnie zaciskając pięści. Tosiek cofnął się o krok. Pierwszy raz widział Leona rozszoszczonego, ale trwało to tylko chwilę. Leon spojrzał mu w twarz i od razu ochłonął. Odetchnął zimnym powietrzem, wcisnął rękę w kieszenie.

– Co to znaczy, nie masz swoich? – spytał bardzo spokojnie. – Tata ci nic nie kupił?

Tym razem to Tosiek żwawo ruszył w drogę, wysforowując się mocno. Leon pobiegł za nim.

– Tosiek?...

– Aż tak się ostatnio nie lubimy – wymamrotał Tosiek, zły na siebie. – Nie o to zresztą chodzi, tylko o twoje finanse. Mówiłeś, że dajesz korepetycje, to nie wystarcza?

– Tak sobie – burknął Leon. – Wykupiłem sieciówkę, potem pakiet na internet i teraz zbieram na laptopa...

– Boso, ale z laptopem. Chyba powinieneś popracować nad priorytetami.

– Do diabła, przecież wiesz, że ciężko ujechać w szkole bez komputera. Poza tym...

– No? – zaniepokoił się Tosiek, widząc, że Leon zagryza wargi z wyraźnym zawstydzeniem.

– Nic. Tylko... tylko niedawno telefon wpadł mi do kibla i musiałem szybko kupić nowy, więc poszła na to większość kasy.

Tosiek stłumił chichot.

– Każdemu choć raz w życiu telefon wpadł do kibla, nie masz się czego wstydić. Bardziej tego, że nie rozejrzałeś się za jakąś okazją. Po co kupowałeś tak szybko? Może ktoś miałby coś tanio do oddania. Nie wytrzymałbyś kilku dni bez komórki?

– Nie – burknął Leon. – Obiecałem ci, że będę pod telefonem zawsze... gdyby coś.

Tosiek nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

Maszerowali więc w ciszy pod nikłym blaskiem ulicznych latarni. Minęli kolejny przystanek autobusowy, ale ponieważ z rozkładu wynikało, że autobus przyjedzie za dwadzieścia minut, zgodnie ruszyli w dalszą drogę na piechotę.

– Pożyczę ci laptopa – odezwał się Tosiek.

– Sam potrzebujesz.

– Mam też peceta, dam sobie radę.

– Ale oddam ci, jak tylko się dorobię swojego – zaznaczył Leon z godnością.

– Nie spiesz się. I... ten, no. Błagam. Przemyśl jeszcze tę przeprowadzkę.

– Nie twoja sprawa.

- Wiem.
- Ja go lubię.
- Ale aż tak?
- Leon westchnął i wzruszył ramionami.
- Przemyślę to sobie. Zadowolony?
- Jak prosię w deszcz.
- Właśnie, coraz mocniej pada. Przyspieszamy.

Przez resztę drogi Leon próbował indagować Tośka w kwestii jego stosunków z ojcem, ale Tosiek tylko sypał wykrętnymi zarcikami i nie dał się sprowokować do rozmowy. Zapewniwszy Leona po raz tysięczny, że wszystko jest w porządku, Tosiek pożegnał go przed wejściem na klatkę schodową i kazał zjeżdżać do domu.

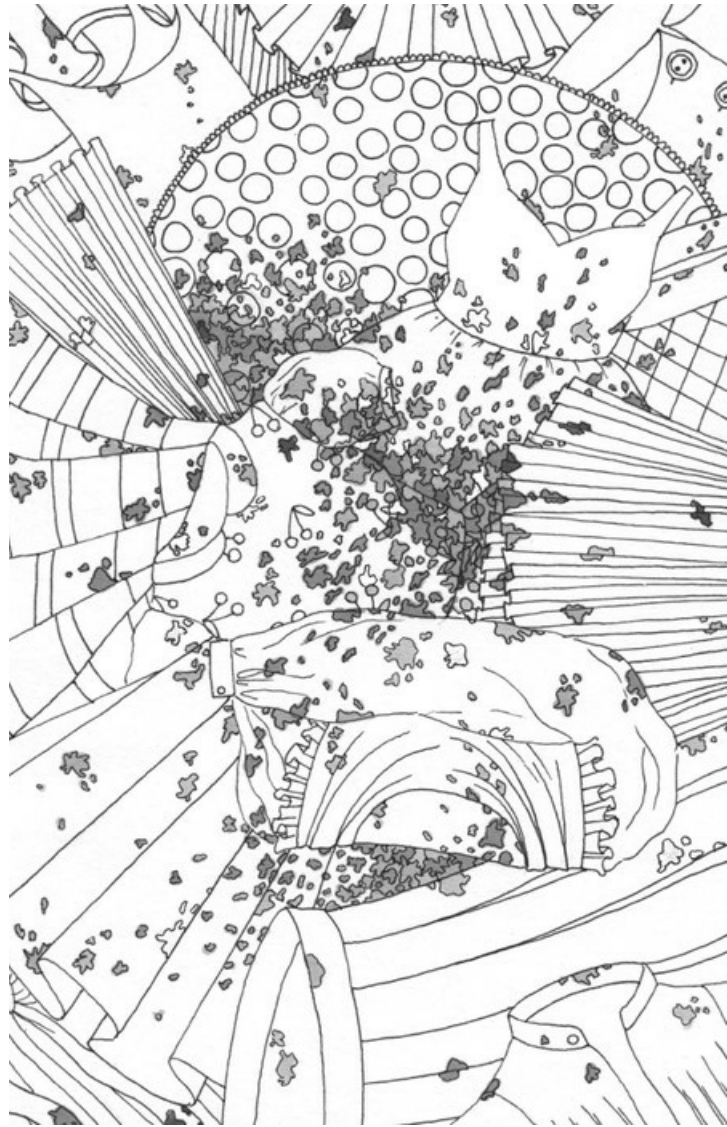
- Czujesz się trzeźwy? – zapytał Leon.
- Tajest, panie władzo.
- Masz gumę.

Tosiek posłusznie rozwinął z papierka miętówkę i wsadził sobie do ust.

- Dobranoc – oznajmił z naciskiem, wklepując kod w domofon. – Do poniedziałku.

Poczłapał na górę, żując gumę i grzebiąc w torbie w poszukiwaniu komórki. Odczuwał pewien niepokój. Chyba nie mogło być bardzo późno? Wyszli z pubu około wpół do jedenastej... Szli pieszo cztery przystanki... Nie, pięć. Zaklął cicho, kiedy odkrył, że w komórce padła bateria. Nie mógł sprawdzić godziny, ale należało chyba zakładać, że jest odrobinę spóźniony. To nic takiego. Tata pewnie już śpi. Nawet nie zauważy.

Nie do końca przekonany wygrzebał z kieszeni klucz, ale nim zdążył wetknąć go do zamka, tata otworzył drzwi.



## ROZDZIAŁ X

Marcin czuł się dziwnie staro. Tak jakby każde z tych osiemnastu nieodebranych połączeń, które wykonał, wyrzeźbiło dodatkową bruzdę na jego twarzy.

– No wiem, jest późno – zagderała Tosia, wyłaniając się z jego kurtki jak z namiotu. – Ale to dlatego, że...

Marcin w milczeniu obserwował wysiłek umysłowy malujący się na jej czole.

– ...autobus nam, ach, uciekł, więc szliśmy pieszo...

– To nie ma znaczenia – odezwał się Marcin ze znużeniem. – Od teraz nie wychodzisz już nigdzie.

– A do szkoły?

Dotąd czuł głównie obezwładniającą ulgę, teraz również narastające poirytowanie.

– Z wyjątkiem szkoły.

– Ale tato, jutro są urodziny Emilii.

– To nie pójdziesz.

– Ale ja muszę – zdenerwowała się Tosia. – To dla mnie okropnie ważne!

– Kładź się spać.

– Emilia zaprosiła mnie na szesnastą, o dwudziestą będę w domu, jak przedszkolak – przekonywała Tosia z uporem. – To tylko przyjęcie, tato, na pewno będzie tort, balony, świeczki...

– ...alkohol? – dopowiedział Marcin, chłodnym wzrokiem przyglądając się Tosi i jej chaotycznej gestykulacji.

– Oj no tato, wszyscy piją.

Marcin przymknął oczy i policzył do dziesięciu, ale to niewiele pomogło.

– Żeby tylko moje dziecko było takie jak wszyscy, żeby tylko. Ale nie jest. Zostajesz w domu. Koniec dyskusji.

Córka wytrzeszczyła na niego oczy.

– Wolałbyś Tosię... nawet gdyby piła i się szlajała... wolałbyś ją, byleby była Tosią?

– Wolałbym... – zaczął Marcin i urwał. – Wolałbym nie musieć odpowiadać na takie pytania – powiedział w końcu.

Marzył o tym, by już wróciła Idalia i wzięła fochy Tosi z powrotem na swoje barki. Czuł, że cierpliwość go opuszcza. Nie dawał sobie rady. Nawal problemów w robocie wykańczał go za dnia, a teraz jeszcze to. Nie wiedział, co ma robić, gdy, tak jak teraz, te wielkie oczy wypełniają się łzami, a jego córka wrzeszczy na niego jak stary pijak:

– Więc nie będę pytać! Mogę się w ogóle nie odzywać! – i wyminąwszy go, ucieka do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Tosiek nie płakał, no skąd. Oczy mu trochę łzawiły, ale to była najpewniej jakaś spóźniona alergia na piwo. Walczył z nią kilka godzin, przewracając się w niepościelonym łóżku, to znów wstawał i nerwowo krążył po swoim małym pokoju. Próbował też ćwiczyć, ale już przy pierwszym skłonie zrobiło mu się niedobrze, więc przestał. Zwinął się w smutną kulkę na skraju łóżka i czekał, aż zelżeje ten nieprzyjemny ucisk w żołądku. Minęło trochę czasu, zanim zaczął podejrzewać, że to nie żołądek mu dokucza. Problem leżał gdzie indziej. Był nim niepokój, który

wsączał mu się pod powieki i nie pozwalał zasnąć. Niepokój, który się pojawił, gdy Tosiek zdał sobie sprawę, że on i tata stoją jakby po przeciwnych stronach rwącej rzeki i nie mogą się porozumieć. I mógł sobie zaciskać pięści, mógł sobie krzyczeć i trzaskać drzwiami ile chciał, ale to niczego nie zmieniało. Był sam i było mu z tym bardzo, bardzo źle. Tak źle, że po raz pierwszy zatęsknił za kapsułkami i ukojeniem, jakie mu zapewniały. Pomyślał też ciepło o Leonie. Aż dziwne, że nie bombarduje go esemesami, dopytując się, czy wszystko w porządku. Gdzie jego kwocza intuicja? Tosiek wygrzebał z kieszeni telefon. Ach, no tak, martwy.

Tłumiąc poczucie winy, podłączył ładowarkę i powrócił myślami do taty, który rzeczywiście miał prawo się troszeczkę zdenerwować z powodu braku kontaktu. Tak samo jak Tosiek miał prawo być nieco poirytowany, gdy za każdym razem, gdy dzwonił do taty, słyszał, że zajęte albo „nie mogę teraz rozmawiać”. No to teraz tata poznał, jak to smakuje.

Tosiek niespokojnie rzucił się w pościeli. Telefoniczna analogia nie przyniosła mu ani ukojenia, ani satysfakcji. Nawalił. Wiedział, że nawalił. Dla własnego dobra powinien przytemperować swoją złość. Może nawet przeprosić? Ale chciał też iść jutro do Emilii, czekał na to przez cały tydzień! Miał pójść jako Tosiek między obcych ludzi. Traktował to wyjście jak generalny sprawdzian. Czy dadzą się nabrać? Czy go polubią? Nie było godziny, żeby o tym nie myślał. Poza tym obiecał to przecież Emilii, a Emilia trochę boczyła się na niego ostatnio. Nie chciał jej znowu podpaść. Nie dbał aż tak bardzo o jej przychylność, ale zaczynał zauważać, że życzliwość bliźnich bywa w życiu przydatna.

Pójdzie na te urodziny, oczywiście, że pójdzie. Tata tak tylko gada. Cioci nie ma, więc pod jej nieobecność udaje starego satrapę. Trzeba przeczekać. Tata odeśpi swoje stresy i rano wszystko będzie inaczej. W końcu to sobota. Klienci się rozdzwonią, tata zajmie się swoimi sprawami i przestanie zgrywać generała.

Poza tym – pomyślał Tosiek, znów zły – skoro tata tak kurczowo trzyma się fantomu głupiej Tośki, to ma prawo zabraniać czegokolwiek wyłącznie jej.

O dziewiątej obudziło go pukanie.

– Wychodzę po bułki! – krzyknął tata za drzwiami. – A ty nie ruszaj się z domu!

– Ymh – mruknął Tosiek sennie i naciągnął poduszkę na uszy.

Był jakiś dziwnie zmięty i wygnieciony, w ustach czuł niesmak i grawitacja działała na jego głowę bardziej niż zazwyczaj. Zebranie myśli przychodziło mu z trudem. Dlaczego bolały go wszystkie żebra, dlaczego ledwo mógł oddychać, dlaczego tak bardzo chciało mu się spać? Masując sobie czoło, odgrzebał w pamięci wczorajszy wieczór. Chłopaki w pubie. Piwo. Spacer do domu. Scysja z tatą. Urodziny Emilii.

Usiadł z trudem i ziewnął szeroko, a pasmo potarganych włosów włożyło mu w usta. Ciocia Idalia zawsze powtarzała, żeby nie spać w rozpuszczonych włosach, bo się puszą i elektryzują – teraz już wiedział, co to znaczy. Pojękując, wysnuł spod koszulki ze trzy metry bandaża i odetchnął wreszcie pełną piersią. Wciąż miał na sobie bluzę oraz portki Leona i niestety było po nich widać, że w nich spał. Nie potrzebował lustra, by się domyślić, że wygląda w tej chwili jak swoja własna karykatura. A miał przecież wyjść na imprezę! Do ludzi, w pełnej gali!

Nie miał innego wyjścia, zadzwonił do Leona.

– Co jest? – usłyszał zaspany głos.

– Nie mam się w co ubrać.

Leon wyjaśnił mu krótko i nieparlamentarnie, jak bardzo go to obchodzi w tej chwili.

– Poważnie mówię – wyziewał Tosiek, jedną ręką usiłując ujarzmić włosy, które lepiły się do

naelektryzowanego kaptura. – Idę dziś na urodziny do Emilii i muszę pożyczyć od ciebie jakieś lepsze ciuchy. Tylko na jeden dzień.

– To przyjdź i wybierz sobie coś – burknął Leon tonem kończącym rozmowę.

– Mógłbyś mi je przynieść?

– Porąbało cię?

– Myślałem o gafniture – wybełkotał Tosiek, zdejmując sobie włos z języka.

Leon przez chwilę się nie odzywał.

– Będzie na tobie wisiał.

– Jakoś to ogarnę.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Tosiek pokrótce wyjaśnił, o co chodzi z tymi urodzinami, i dlaczego to takie ważne.

– Nie podoba mi się to – powiedział Leon.

– Przyjdiesz z tym garnakiem czy nie?

– Czemu nie możesz przyjść sam?

– Bo mam kaca.

– Nie wypileś aż tyle, żeby mieć kaca.

– Mało wiesz o świecie – burknął Tosiek.

Długa, długa cisza.

– Przyjdę – odezwał się Leon. – Ale to chwilę zajmie.

– Dzięki. Jesteś moim bohaterem.

– Spadaj – powiedział Leon i rozłączył się.

Tosiek wykapał się, umył głowę i bez apetytu przegryzł jakąś starą kromkę wygrzebaną z chlebaka. Wrócił do swojego pokoju i usiadł przy biurku. Teraz mógł już tylko czekać. Tata pewnie zaraz wróci z zakupami. Trzeba będzie z nim poważnie porozmawiać. Jakoś tak... przyjaźnie. Bez krzyków. Dogadać się. Dla Tośka był to dość abstrakcyjny zamiar, bo nie miał najmniejszej ochoty płaszczyć się przed tym despotą. Cały jego plan zasadał się na optymistycznym założeniu, że tata wstanie rano wyspany i pogodny jak skowronek, przeżyje moment osobistej epifanii, pojmie swój wczorajszy błąd wychowawczy i bez oporów pozwoli mu wyjść po południu. Tymczasem tata upierał się przy swoim zdaniu do tego stopnia, że specjalnie obudził Tośka tylko po to, by mu o tym powiedzieć. Strasznie głupio zrobił. Nie byłoby rozsądniej wymknąć się po zakupy, podczas gdy Tosiek spał, i wrócić, zanim się obudzi? Przecież teraz Tosiek był sam w domu i mógł bez przeszkód wstać i wyjść, dokąd tylko chciał.

A może właśnie o to chodzi? Żeby Tosiek złamał zakaz, wyszedł, a potem wrócił i zastał drzwi zamknięte na głucho i zmienione zamki? Trochę go zemdliło, gdy o tym pomyślał. Nie, tata by nigdy nie zaaranżował czegoś tak perfidnego.

A jeśli?

Wyobraził sobie, jak tuła się po mieście zdany wyłącznie na siebie i zapobiegliwość finansowa Leona nagle przestała wydawać mu się tak śmieszna i małostkowa.

Dobrze, że jest Leon – pomyślał z ulgą. – Zawsze można do niego zadzwonić w razie potrzeby.

A co, jeśli wyczerpie się bateria w komórce? Gdzie się na mieście ładuje baterię? Tosiek nie wiedział, ale zapobiegawczo pochwycił ładowarkę i wraz z kabelkiem wepchnął sobie do kieszeni. Popada w paranoję. Niedobrze, nic się przecież nie dzieje. Zaraz wróci tata i wszystko się jakoś ułoży. Ostatecznie mógłby chyba nie iść na te urodziny.



Wiesz, że pójdziesz – podpowiedział drugi głos. – A właśnie przed tym ostrzegał cię Leon. Żeby nie przeciągać struny.

Tosiek zerwał się z miejsca i znów zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Wpadł w jakiś dziwny stan otępienia, podobny do tego, jaki czuł po kapsułkach: głowę wypełniała mu wata i nie był w stanie myśleć trzeźwo.

Spokojnie, to tylko panika.

Albo objaw szaleństwa.

Zamarł bez ruchu, gdy sygnał domofonu zabrzmiał w przedpokoju. Z bijącym sercem czekał, aż klucz zachrobocze w drzwiach. Pustka w głowie. Nie miał pojęcia, co powinien robić. Nie miał żadnego planu, wydawało mu się tylko, że go ma. Jakim był głupcem! Zamek w drzwiach zazgrzytał, a chwilę później w przedpokoju zaszurały lekkie kroki.

Och. Tego nie przewidział. Oczywiście, że nie wytrzymała do wieczora. Musiała, po prostu musiała wrócić wcześniej.

Przypadł do drzwi pokoju i zamknął je od środka, po czym oparł się o nie plecami.

– Tosiu? – powiedziała ciocia Idalia.

Tosiek starał się nie istnieć i nie oddychać.

– Tosiu, jesteś tam?

Kroki rozległy się jakoś bliżej. Tosiek chwycił za klamkę i ścisnął ją mocno, a chwilę później poczuł, że klamka się porusza.

– Idź sobie, ciociu! – zawołał, bo zaświtał mu w głowie nowy pomysł. – Nie chcę nikogo widzieć!

– Ale co się stało?

– Nic!

– Mów mi zaraz albo dzwonię do Marcina.

– Pewnie, dzwoń sobie! Dzwoń sobie do niego! To wszystko jego wina! Nie pozwolił mi iść do Emilii! Na urodziny! A ja obiecałam, że na pewno przyjdę!

– Chwileczkę – powiedziała ciocia. – Emilia to przecież twoja przyjaciółka z klasy? Taka ładna, z ciemnymi włosami?

– Najlepsza przyjaciółka! – zajęczał Tosiek ciekim głosem. – A on powiedział, że mam się nie ruszać z domu!

– Co za bzdura – zdenerwowała się ciocia Idalia, która Emilię widziała przelotnie może dwa razy w życiu, ale to wystarczyło. Dobrze umalowane i uczesane młode osoby zawsze wysoko u niej punktowały. – Co w niego wstąpiło?

– Pewnie jak zawsze mam siedzieć w domu i się uczyć! – zaszlochał Tosiek, pociągając nosem dla efektu. Tak się rozczulił własną historią, że naprawdę miał łzy pod powiekami.

Ciocia za drzwiami westchnęła.

– Tosiu, ja porozmawiam z tatusiem. Kiedy jest to przyjęcie?

– Na szesnastą. Ale ja muszę jeszcze wyjść do... księgarni. Tak, kupić prezent.

– To idź i kup, a ja zaraz zadzwonię do tatusia i mu wszystko wyjaśnię.

– Nie! – pisnął Tosiek. – On... on poszedł po bułki, wiesz, jaki w markecie jest hałas, i tak cię nie usłyszy.

– Bułki? Od kiedy jecie bułki? I to jeszcze z supermarketu? Zaraz tam idę, może go jeszcze złapię, zanim wyda pieniądze na śmieci. I od razu zrobię porządne zakupy.

Kroki oddaliły się. Tosiek zaczął knuć gorączkowo. Trzeba poczekać, aż ciocia wyjdzie, i szybko wyjść zaraz za nią. Pobiec do Leona, omijając szerokim łukiem market spożywczy.

Wolno mu. W końcu najwyższa instancja pozwoliła. A potem niech tam sobie ciocia z tatą wyjaśnią wszystko. Niech się pokłócą. Skłócony front łatwiej skruszyć, wiadomo.

Drzwi wyjściowe trzasnęły. Życie wróciło w Tośka. Wyprysnął z pokoju i chwycił za kurtkę, przypomniał sobie, że nie ma telefonu, rzucił kurtkę, wrócił do pokoju po telefon i portfel, w międzyczasie przyszło mu do głowy, że mógłby też zabrać rozświetlacz i brzązer, ale nie mógł ich znaleźć, więc miotał się przez chwilę między swoim pokojem a łazienką. A buty? Co z butami? Przecież nie może założyć śniegowców do garnituru. Jaki rozmiar buta ma Leon? Dzwonić do niego? Nie. Potem będzie się tym martwił. Gdzie szalik?

Biegając po domu, jakoś przegapił fakt, że odgłos kroków cioci Idalii, choć powinien już cichnąć za drzwiami, staje się coraz głośniejszy. Gdy to do niego dotarło, było już za późno.

– Jeszcze sprawdzę, czy jest mas... ło – powiedziała ciocia Idalia i umilkła.

Zabawne, Tosiek nigdy dotąd nie uważał, że jest podobny do cioci. Pewnie dlatego, że unikał patrzenia w lustro. Ostatnio jednak patrzył w nie wystarczająco często, by podobieństwo uderzyło go z całą mocą. Pozostawało mieć nadzieję, że nie wygląda do tego stopnia głupio, kiedy jest czymś bardzo zaskoczony.

– Tosiu – powiedziała ciocia Idalia.

– Danielu – podpowiedział Tosiek.

– Nie.

Tosiek pojął w jednej chwili, że przegrywa. Mógł sobie pyskować w szkole i krzyczeć na ojca, ale w zderzeniu z łagodnym „Nie” cioci Idalii był prochem u jej stóp.

– Nie możesz tak wyjść z domu, kochanie – wyjaśniła przyjaźnie ciocia. – Wyglądasz jak kłozard. Przebierz się, a potem pójdziemy razem do sklepu.

– Ale ciociu...

– Jadłaś już śniadanie? Jakoś mizernie wyglądasz.

– Ale...

– Kupiłam ci ładną pamiątkę znad morza, doniczkę w muszle – opowiadała z ożywieniem ciocia, zdejmując kurtkę z ramion Tośka. – Mam ją u siebie w mieszkaniu. Potem możemy w niej zasadzić ładnego kwiatka.

– Nie chcę.

– Jak uważasz, ale chyba lepiej, żebyś ją najpierw zobaczyła, prawda? – powiedziała ciocia, łagodnie popychając Tośka do jego pokoju. – Co my tu mamy. Myślę, że ta sukienka będzie najlepsza na dzisiejszą pogodę.

No oczywiście, niebieska sukienka, senny koszmar każdego stylisty z bodaj odrobiną gustu, cały w fałdach i koronce. Tosiek wyrzucił już z pamięci fakt, że kiedykolwiek wkładał na siebie takie cuda. Było to równie krępujące co świadomość, że nosił kiedyś pieluchę.

– Ciociu, jak rany, błagam, zamknij się już.

– Co to za język – zdziwiła się ciocia i pogroziła mu palcem. – Żebyś go więcej nie słyszała w tym domu. A teraz – myk-myk – doprowadzamy się do porządku. Sprawdź, jak wygląda kuchnia, a ciebie chcę widzieć za pięć minut gotową do wyjścia. Myk-myk.

– Nie.

– Czyś ty w ogóle używała odżywki do włosów przez ostatni tydzień? Zupełnie straciły blask. A takie ładne miałaś zawsze włosy, po mamusi. Ale to nic, wszystko zaraz wróci do normy.

– Nie.

Ciocia podeszła bliżej. Tosiek wykręcił głowę w bok, bo nie mógł znieść słodkawego zapachu

jej perfum.

– Taka jesteś podobna do mamusi – powiedziała ciocia z dobrotliwym uśmiechem. – Taka ładna. Nie zmarnuj tego przez swoje kaprysy. Panie płacą u mnie w salonie grube pieniądze za to, co ty masz za darmo.

– Ja tego nie chcę.

– Za mała jesteś, żeby to docenić. Kiedyś mi podziękujesz. Pięć minut, kochanie. I wychodzimy.

Tosiek został sam w pokoju.

Bardzo dobrze, nie zamierzał już nigdy więcej stąd wychodzić.

Po raz pierwszy znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Dotąd zawsze było jakieś rozwiązanie, lepsze albo gorsze. Teraz nie było żadnego. Rzeczywistość napierała na niego ze zdwojoną siłą i czuł, że za chwilę go zmiażdży. Nie było dla niego miejsca, jakby ktoś wymazał jego przyszłość gąbką. Mógł przewidzieć najbliższe pięć minut, ale potem nic, pustka. Tosiek zniknie, jakby go nigdy nie było. Pewnie w jego miejsce znów pojawi się zamroczona prochami głupia Tosia, ale jej los niewiele go obchodził. Jak topiący się człowiek, który walczy o ostatni oddech, Tosiek zaczął walczyć o więcej czasu dla siebie. Starając się nie robić hałasu, przesunął biurko pod drzwi i postawił na nim pudełko na buty w ten sposób, że zablokowało klamkę.

Co jeszcze. Co jeszcze.

Wywłókł z szafy wszystkie sukienki, spódniczki oraz pastelowe sweterki i rzucił to wszystko na podłogę przed łóżkiem. Najchętniej by je podpalił, ale nie miał czym. Po sekundzie namysłu wygrzebał z biurka pudełko farb plakatowych i z poczuciem mściwej satysfakcji wylał na kłęb odzieży zawartość wszystkich dwunastu słoiczków. Ciocia zawsze marudziła, by się bardziej interesował sztuką. Proszę uprzejmie. Jackson Pollock w trójwymiarze.

Została już tylko jedna rzecz do zrobienia, ta, przed którą podświadomie wzbraniał się przez ostatni tydzień.

Tosiek westchnął, wyciągnął z szuflady nożyczki biurowe i kosmyk po kosmyku zaczął obcinać sobie włosy. Palce lepiły mu się od farby, a nożyczki były tępe i nie mógł znaleźć lusterka, więc mozolił się z tym wszystkim strasznie, zagryzając drżące wargi. Teraz, gdy ciocia to wreszcie powiedziała, rozumiał już, czemu nie wziął się za to wcześniej. Miał włosy „po mamusi”. Czy nie słyszał tego tysiąc razy w swoim życiu? Obciąć je wydawało mu się świętokradztwem. Ale do diabła z tym. Długie czy krótkie, nadal są po mamusi, prawda?

Gdy już cały dywan zasnuty był włosami, Tosiek przyjrzał się sobie za pośrednictwem aparatu w komórce. Z wyświetlacza odpowiedział mu dzikim spojrzeniem rozgorączkowany elf w aureoli wielobarwnych pasemek.

– To cześć, Daniel – odezwał się Tosiek tonem przeproszającym. – Dobrze się bawiliśmy, no nie? Ale to już chyba koniec. – Pociągnął nosem i wytarł farbę z policzka.

– Jesteś gotowa, Tosiu? – zakrzyknęła ciocia z przedpokoju.

– Prawie! – odwrzasnął Tosiek ze złością.

Lekkie kroki cioci oddaliły się w stronę pokoju taty. No tak, chodziła po domu i otwierała okna. Zawsze miała fioła na punkcie wietrzenia pomieszczeń. Do mieszkania wdarły się odgłosy świata: wrzaski dzieciaków na placu zabaw, skrzeczenie mew, cichnący zew karetki pogotowia. Tosiek odłożył telefon. Ręka drżała mu lekko. Że też nie pomyślał o tym wcześniej. Oczywiście, że istniało rozwiązanie, jak mógł o nim zapomnieć?



## ROZDZIAŁ XI

Marcin włókł się przez osiedle z ciężką torbą zakupów w jednej ręce i telefonem przy uchu. Dzień ledwo się zaczął, a on już był wykończony. Jeden z klientów nie potrafił zrozumieć, dlaczego fugowanie szpar między deskami wycenia się w metrach bieżących, a nie kwadratowych. Marcin spędził bite pół godziny na wyjaśnianiu tej kwestii. Tłumaczył, wrzucając produkty do koszyka, stojąc w ogonku do kasy, tłumaczył płacąc, a gdy zakończył wreszcie tę jałową dyskusję, zorientował się, że zapomniał o bułkach. Wrócił więc do sklepu i przeszedł całą procedurę jeszcze raz, po drodze odbierając dwa kolejne telefony.

– Nie zajmujemy się przetykaniem rur – wycedził do słuchawki i skręcił w stronę swojego bloku. – Proszę sobie poszukać hydraulika.

Był zgrzany, zmęczony i zirytowany, ale mimo woli zwolnił kroku. Myśl o powrocie do domu przejmowała go obawa. Do czego to doszło – uciekał z mieszkania przed własnym dzieckiem. Pocieszała go jedynie nadzieja, że już lada moment przyjedzie Idalia i przywróci jego życiu rodzinnemu odpowiednie proporcje.

Marcina nie bulwersowało to, że dziecko się buntuje, że ubiera się dziwacznie i że usiłuje być kimś innym – w końcu każdy był kiedyś nastolatkiem, czyż nie? On również. Ciężka mu tylko konieczność użerania się z tym wszystkim osobiście. Nie miał teraz głowy do tego. Każdy wybryk Tosi wytrącał go z równowagi i powodował głupie błędy w pracy, z których musiał się potem tłumaczyć. Stary układ – on pracuje, szwagierka dogląda Tosi – wydawał mu się znacznie korzystniejszy. Idalia miała lepszą rękę do Tosi niż on.

Podniesiony na duchu świadomością, że Idalia wraca już wkrótce, popołudniowym pociągiem, przyspieszył nieco i zrównał się krokiem z ciemnowłosym wyrostkiem, który podążał w tym samym co on kierunku z pokrowcem na odzież przewieszonym przez ramię. Marcin miał go właśnie wyprzedzić, gdy wtem chłopak zaczął wrzeszczeć.

Marcin odskoczył o krok, przekonany, że ma do czynienia z wariatem. Młody człowiek wymachiwał rękami i darł się, patrząc w niebo.

– Nie! Stop!

Marcin spojrział w górę, ciekaw, co tak przeraziło chłopaka, ale na niebie zobaczył tylko sine chmury. Znów zbierało się na deszcz. Opuszczając głowę, zahaczył wzrokiem o ścianę własnego bloku i zrozumiał. Na jednym z parapetów kuliło się chude dziecko. Widok ten przyprawił go o potężny wstrząs psychiczny, ale było to niczym w porównaniu z uczuciem, którego doświadczył, gdy po kilku sekundach rozpoznał Tosię.

Odczuwał coś takiego wcześniej – kiedy widział w telewizji samoloty wbijające się w wieże WTC i drugi raz, gdy fala tsunami zalewała Japonię. Szok, totalne wyparcie i niewiara, rozpaczliwe przekonanie, że to musi być jakiś film albo koszmar. Teraz miał to na żywo i dotyczyło to jego. I Tosi.

Chciał jakoś zareagować, ale czuł się, jakby właśnie wpadł do wody z dużej wysokości. Wzrok mu zmętniał, wszystko wokół zrobiło się obce i nierzeczywiste, zabrakło mu oddechu i jedyne, co widział, jak słońce przez zielonkawą wodę, to tę chudą sylwetkę na parapecie. Zemdleje – przestraszył się i ten lęk przywrócił go do życia. W żyłach zawrzała mu adrenalina. Odstawił zakupy na chodnik, zwinął dłonie w tubę i huknął całą siłą płuc, aż wrony poderwały

się z drzew:

– Tośka! Do pokoju! Ale już!

Ale Tosia chyba nie słyszała. Stała bez ruchu, z plecami przyklejonymi do zamkniętego skrzydła okna, ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie, ponad dachami bloków.

– Obiecałeś, że zadzwonisz! – wrzasnął ciemnowłosy wyrostek i cisnął pokrowcem o chodnik.

– Gdybyś potrzebował pomocy! Obiecałeś!

Marcin obrzucił chłopaka szybkim spojrzeniem. Nie, nie znał go, ale to nieważne. Młody znał Tosię. Możliwe, że lepiej niż on sam.

– Kim ty... – zaczął Marcin i urwał, bo spojrzał znów w górę i zobaczył, że Tosia patrzy na niego.

W teorii plan jawił się jako całkiem dorzeczny.

Chodziło o to, by po parapecie dostać się do rynny, którą zamontowano tuż obok, i następnie zejść na ziemię po wystających z muru zakotwiczeniach. Tosiek nigdy dotąd tego nie robił, ale często planował w dzieciństwie, gdy dorośli szczególnie mu dopiekli – nawet stawał na dole pod rynną i sprawdzał jakość zaczepów. Ostatni raz myślał o tym, kiedy miał jakieś dwanaście lat i Tomka Sawyera pod poduszką, ale pamięć o tej drodze ucieczki jakoś przetrwała w jego podświadomości. Plan wydawał się pozbawiony przesadnego ryzyka – jeśli okaże się, że rynna znajduje się jednak zbyt daleko od parapetu, zawsze można zawrócić z powrotem do pokoju, prawda? A potem zamordować ciocię Idalię – pomyślał Tosiek w przyływie humoru i wylazł na parapet.

Z początku wszystko szło gładko. Dopiero po kilku krokach zaczęło do niego docierać kilka faktów. Po pierwsze, im dalej się przesuwiał, tym bardziej parapet się ugiął. Po drugie, wybranie się na tę eskapadę w domowych, śliskich kapciach chyba jednak nie należało do najlepszych pomysłów. Po trzecie wreszcie, coś było nie tak z rynną. Kiedy ostatni raz się jej przyglądał, była grubą, nieco pordzewiałą rurą zamontowaną na solidnych zaczepach. Nawet dziecko umiałoby po nich zejść. Kątem oka widział natomiast elegancką, smukłą rurkę biegnącą tuż przy ścianie, przymocowaną jakimiś cienkimi obręczami. Mógłby po niej co najwyżej zjechać, po drodze zdzierając sobie tyłek. Kiedy ją wymienili? Nie miał pojęcia. Prawdopodobnie wtedy, kiedy ocieplali blok... dwa lata temu? Głupia sytuacja. Czemu nikt go nie poinformował! Co za pech, plan nie wypalił – odwrót.

Wyrzucając sobie w myślach od kompletnych imbecyli, Tosiek przywarł plecami do szyby, starając się ograniczyć oddychanie do minimum. Zimny wiatr wiejący w twarz otrzeźwił go i przywrócił mu zdolność kojarzenia faktów, ale to, co zdołał zrozumieć, wcale mu się nie podobało. Miał wrażenie, że nawet gdy się nie porusza, jego kapcie ześlizgują się powoli po krzywiźnie parapetu. Jakim cudem udało mu się dotrzeć aż tutaj, nie miał pojęcia, ale wiedział, że za nic w świecie nie odważy się na drogę powrotną, choć od uchylonego skrzydła okna dzieliły go najwyżej dwa kroki.

Usłyszał, że Leon wrzeszczy z dołu, ale bał się nawet spojrzeć. Broda trzęsła mu się już z zimna. Jeśli teraz kichnie, zleci jak nic.

Krzyk taty rozniósł się echem po osiedlu. Tosiek drgnął cały i poczuł, jak jego stopy zsunęły się po parapecie o jakiś milimetr. Zmartwiał. Daliby sobie spokój z tymi niekonstruktywnymi poradami z dołu. Naprawdę myślą, że on ma ochotę sterczeć tu cały dzień?

– Obiecałeś! – wrzeszczał Leon. – Obiecałeś!

On beczy – pomyślał Tosiek i spojrzał w dół. Och. Wysoko. Nagle dotarło do niego, że Leon

i tata przypisują mu całkiem fałszywe pobudki. Co za bzdura, przecież nie zrobiłby tego, nie Tośkowi. Nie był aż takim tchórzem. Nawet mu to do głowy nie przyszło. Aż do teraz.

Przymknął ze strachem oczy, broniąc się przed kiełkującą myślą. Myślą o tacie, który dbał wyłącznie o Tosię. O Leonie, któremu na pewno byłoby w życiu łatwiej bez pomyłonego kumpla. Jak długo Tosiek mógł się oszukiwać? Na tym świecie nie było miejsca dla niego. Wyszarpał sobie kilka awanturniczych dni i nie miał już sił walczyć więcej. Nie był żadnym herosem, łudził się tylko, że nim jest. Całe jego życie było złudą, zlepkiem marzeń i pobożnych życzeń, fanfikiem prawdziwej egzystencji. A teraz bajka się skończyła. Nadszedł czas na napisy końcowe.

Decyzja, której jeszcze nie podjął, ale która wisiała nad nim jak cień, zmroziła mu krew w żyłach. Płynął w nich teraz stygnący cement, Tosiek nie mógł się już poruszyć, choćby nawet chciał, nie mógł zebrać myśli. Jego ciało broniło się przed swoim własnym zamysłem. Tosiek wiedział, że to bez znaczenia, bo prędzej czy później, i to raczej już niedługo, grawitacja podejmie decyzję za niego.

Otworzył oczy.

– Mieliśmy przejść przez to razem! – darł się Leon. – Ty... ty głąbie! Ja nie dam rady sam!

Wbrew okolicznościom Tosiek się uśmiechnął, choć bardziej drgnieniem samych mięśni niż ustami.

– Oni i tak mi nie pozwolą – wychrypiął przez zdrętwiałe wargi.

Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł go usłyszeć z tej wysokości, ale tata jakimś nadludzkim sposobem usłyszał – albo samą intuicją pojął, co Tosiek mówi. Usłyszał i zakręcił młynka ramionami.

– Ja przecież pozwalam! – wrzasnęła z pretensją.

Z wnętrza mieszkania też dobiegły nawoływania – ciocia zorientowała się poniewczasie, że Tosiek zabarykadował pokój. Wykrzykiwała coś o rozsądku i o tym, że już czas dorosnąć. Dorastanie, luksusowy towar. Tosiek nie do końca wierzył w to, że przysługuje mu ten przywilej.

– Bądź sobie, kim chcesz! – wrzeszczał tata z dołu. – Tylko złaż już stamtąd!

– Nie mogę – wymamrotał Tosiek już całkiem do siebie, ale tata, co zakrawało na cud, usłyszał go i tym razem.

– Stój tu – huknął Marcin do histeryzującego smarkacza. – Weź się w garść. Gadaj do niej.

Puścił się pędem w stronę drzwi na klatkę i dalej po schodach, przeskakując po trzy stopnie jak młodzieniaszek. Otworzył drzwi trzęsącym mu się w rękę kluczem i wpadł do mieszkania.

– Z drogi – warknęła i bez ceregieli usunęła na bok Idalię, która zaczęła coś głądzić bez sensu. Chwycił za klamkę pokoju Tosi, ale nie dał rady jej nacisnąć, więc napał na drzwi ramieniem. Drgnęły tylko nieznacznie, więc potraktował je z buta, pierwszy raz, drugi, trzeci. Po czwartym kopniaku szpara poszerzyła się nieco, po piątym obluzował się górny zawias. Znów zapał się ramieniem i udało mu się przesunąć drzwi wraz z tym czymś, co blokowało je od wewnątrz. Jeszcze chwila wysiłku i precisnął się do środka.

Zaraz potknął się o jakieś szmaty na podłodze, ale nawet tego nie zauważył. Tosia wciąż stała na parapecie – tylko to go obchodziło. Wciąż tu była. Podbiegł do okna i szarpnął za klamkę zamkniętego skrzydła; nie drgnęło, rzadko kiedy je otwierali. Na chwilę sparaliżował go strach, że zacięło się na dobre. Szarpnął po raz drugi i otworzył je wreszcie na całą szerokość, a ponieważ Tosia opierała się o szybę plecami, straciła równowagę i poleciała do tyłu, prosto na

niego. Chwycił ją wpół i razem przewrócili się na kupę brudnych szmat. Coś strzeliło mu w krzyżu. Wrzasnął. Tosia wrzasnęła również. Poderwał się, nie zwracając uwagi na ból. Dziecko wyglądało na całe – oszołomione i całe w farbie, masowało sobie łydkę.

– Ja w-wcale n-nie chciałem – wyszczękało sinymi z zimna ustami.

Trzymał je w ramionach i nic nie mówił. Całe się trzęsło. W Marcinie wzbierał strach. Ostatni raz czuł się tak kilkanaście lat temu, gdy wciśnięto mu do rąk noworodka, z optymistycznym założeniem, że będzie wiedział, jak się nim zająć. Nie wiedział. Nie wiedział wtedy i dotąd się nie nauczył.

Przy drzwiach wejściowych rozdzwonił się domofon, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Chryste Panie – powiedziała Idalia, zaglądając do pokoju przez szparę w drzwiach.

Dziecko zadrżało, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Marcin nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to wyraz desperackiego pragnienia znalezienia się znowu po drugiej stronie szyby.

– Idź stąd – powiedział, nie spuszczać czujnego wzroku z dziecka.

– Tego się nie da doprać. – Idalia swoim zwyczajem uciekła od dyskusji, przeskakując na neutralny temat. Zawsze go bawiła ta strategia podskakującej pchły, ale nie dziś.

– Wynoś się.

– Marcinie, nie tym tonem przy dziecku.

Marcin podniósł się z wysiłkiem na kolana, potem wstał. Jego plecy płonęły z bólu. Wiedział, że gdy adrenalina z niego zejdzie, będzie gorzej, więc musiał działać, póki jeszcze był w stanie. Z uśmiechem niemal uprzejmym podszedł do Idalii i nie zwracając uwagi na jej bredzenie, wypchnął ją z pokoju, po czym wyszedł za nią. Ujął ją za łokieć jak lalkę i powłókł do drzwi wejściowych.

– To nie jest żadne rozwiązanie...

Otworzył drzwi i nie bawiąc się w delikatność, wyrzucił szwagierkę na klatkę schodową.

– Nie chcę cię tu widzieć – powiedział na wypadek, gdyby miała jakieś wątpliwości.

Zanim zamknął drzwi, musiał jeszcze wpuścić do środka tego smarkacza z pokrowcem, który nadbiegł po schodach. Nie znał chłopaka, ale wiedział, że będzie potrzebował jego pomocy. Wyrostek śmignął do pokoju Tosi, a on sam resztką sił dowlókł się na kanapę. Położył się i dotarło do niego, że chyba już nie wstanie.

– Ja-ja wcale nie chciałem skoczyć – zaparł się Tosiek, gdy Leon zamykał okno.

– Nie wierzę ci.

– Leon...

– Nie odzywaj się do mnie.

– Beczałeś.

– To deszcz.

Leon przesunął biurko na miejsce.

– Idź się umyj i przebierz, a ja tu sprzątnę.

– Nie mam w co – bąknął Tosiek. Wciąż siedział w stercie brudnych ciuchów uwalany farbą jak wielobarwna pisanka. Leon wskazał kciukiem na pokrowiec.

– Masz. Ale jak go ubrudzisz, to cię zabiję.

– Będę pamiętać – zamruczał z godnością Tosiek i utykając nieco, opuścił pokój.

Zapadał zmierzch, gdy Marcin się obudził.

Pamiętał, że w pewnej chwili pochylał się nad nim ten ciemnowłosy znajomy Tosi i pytał:



„Czy mam zadzwonić po karetkę, proszę pana?”, a on zaprzeczył i zażądał paracetamolu. Chłopak znalazł w apteczce tylko lek na przeziębienie „na noc”, którym lubiła kurować wszystkich Idalia, ale jemu było już wszystko jedno, więc zażył trzy dawki. Mieszanka paracetamolu i środków nasennych otumaniła go na kilka godzin, jednak nawet we śnie gryzły go wyrzuty sumienia, męczył niepokój i przeświadczenie, że coś spieprzył. Coś ważnego.

Kiedy się ocknął, w mieszkaniu panowała cisza. Przez chwilę zbierał myśli, przypominając sobie, co się stało. Chciał się zerwać z miejsca, ale natychmiast przeszył go ból. W przedpokoju zaszurały kroki, zza futryny wychynęła głowa chłopaka.

– Chodź no tu – burknął Marcin. – Zapal światło. Siadaj. Co z Tosią?

– Z Tośkiem – poprawił chłopak. – On panu powie, żeby go pan nazywał Danielem, pan zrobi, jak pan chce, ale moim zdaniem żaden z niego Daniel. Narwany debil, a nie Daniel.

– Co z nim? – spytał Marcin, nawet nie próbując nadążyć za tą wariacką logiką. Zabłysła lampa pod sufitem. Chłopak podszedł bliżej i usiadł na fotelu. Postępując, Marcin podniósł się na poduszkach do pozycji półleżącej. Spozrzegł, że wciąż ma na sobie upstrzoną farbą kurtkę i że kanapa również jest cała w tęczowych smugach.

– Śpi teraz. Ma dużo do odsypiania.

Marcin w to nie wątpił.

– Słuchaj... ty...

– Leon.

– To z tobą pił wczoraj?

– No, jeśli urznięcie się jednym kuflem można nazwać piciem.

– Wolałbym, żeby to się więcej nie powtórzyło – wypowiedział życzenie Marcin, walcząc z pokusą trzepnięcia smarkacza w ucho. Kusiło go to rozwiązanie: zepchnąć całą winę na obcego chłopaka, na jego zły wpływ, i wystawić za drzwi jak kosz ze śmieciami, tak jak wystawił Idalię. To byłoby takie proste. Ale jeśli Marcin chciał w końcu porozumieć się ze swoim dziwnym dzieckiem – a chciał, choć Bóg mu świadkiem, że nic go bardziej nie przerażało w tej chwili – potrzebował sprzymierzeńców.

– Pan myśli, że on mnie słucha? – zdenerwował się tymczasem Leon. – Głupek, robi, co chce. Okłamał mnie. Mówił, że wszystko w porządku. Że pan... że on... no, że się jakoś dogadujecie.

Leon popatrzył prosto na Marcina, z wyraźnym zawodem w oczach.

– Mam taki zamiar – odparł Marcin, wytrzymując to spojrzenie.

– Super – powiedział Leon. – Najwyższy czas. Powodzenia. Niech mu pan powie, że jego ciuchy suszą się w łazience i jak tylko wyschną, ma wyskakiwać z mojego garnituru. Mam tylko jeden.

– Czemu sam tego nie powiesz?

– Bo śpi. A nie wiem, czy mnie pan wpuści jutro.

Leon spojrział na Marcina wyzywająco.

– Wpuszczę – powiedział Marcin. – Ale od ciebie zależy, jak długo tu pobędziesz.

– Będę dla niego miły, serio. W końcu jest taką biedną, skrzywdzoną sierotką. Lepiej już pójde. Te zakupy, co je pan zostawił na chodniku, przyniosłem i schowałem do lodówki.

Leon zerwał się z miejsca i wyszedł po kurtkę.

– Osioł – mrucał, owijając się szalikiem na progu pokoju. – Osioł pieprzony. – Musiał chyba odreagować wstrząs, a dotąd nie miał możliwości. Marcin przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Skoro tak cię złości, to po co chcesz wrócić?

Leon wyglądał na nieco zbitego z tropu. Zaciągnął suwak kurtki i bawił się nim przez chwilę.

– Bo jest upartym mułem? Nie myśli, nie przewiduje, prze do przodu jak taran?

– I myślisz, że to właśnie ty jesteś w stanie go zatrzymać?

Chłopak podniósł łepetynę i spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Ja? Skąd.

Naciągnął na głowę burą czapkę i kaptur, ściągnął troki.

– Ja bym chciał być taki jak on, proszę pana. Choć trochę. Tylko niech mu pan tego nie powtarza, błagam! Dobranoc.

Pojękując z bólu, Marcin wy dostał się z własnej kurtki i rzucił ją na dywan, a potem zgięty wpół powlókł się do pokoju Tosi. Dziecko spało w półmroku, zawinięte w koc po czubek nosa. Wycofał się zakłopotany, zostawiając drzwi otwarte.

W kuchni znalazł kilka podeschniętych kanapek, które Leon zapewne zrobił dla Tosi. Zjadł je szybko, zaparzył sobie herbatę i wykończony bólem poczłapał z powrotem do swojego pokoju. Odstawił herbatę na stolik, przykrył poplamioną kanapę pledem i ze stęknieniem padł na poduszki. Złość go brała na własną niemoc. Właśnie teraz, gdy najbardziej był potrzebny dziecku, ledwo mógł się ruszać.

Pił powoli herbatę i próbował rozeznac się w nawale wrażeń. Uratował swoje dziecko – powinien chyba czuć ulgę i radość. Teraz już wszystko jakoś się ułoży, z uporem przekonywał sam siebie. Bo jeśli dziecko miało w to naprawdę uwierzyć, to najpierw musiał w to uwierzyć on sam. Ale czy wierzył? Dotąd uważał się za dobrego rodzica. Może nie takiego ze ścisłej czołówki, ale jednak całkiem przyzwoitego, zważywszy na okoliczności. Ale coś zrobił źle. Był o tym przekonany. Dobrzy rodzice nie muszą spędzać swoich dzieci z parapetów. Przeraziła go myśl, że wciąż do końca nie wie, gdzie nawalił, i że to wszystko może się powtórzyć, a jego nie będzie wtedy w pobliżu – albo będzie, ale zbyt schorowany, by zareagować na czas.

Czuł się rozpaczliwie samotny z tym swoim strachem i tęsknił za żoną bardziej niż kiedykolwiek. Ona jedna czułaby to samo. Głupcem był, myśląc, że może scedować ten lęk na Idalię, lekarzy, nauczycieli. To wciąż był jego lęk i jego odpowiedzialność. Jego córka.

Coś zakłuło go w sercu i Marcin zdał sobie sprawę, że płacze, a jednocześnie zrozumiał, skąd ten przeszywający smutek. Wtedy, kiedy krzyknął „Pozwalam!”, wydawało mu się, że ratuje Tosine życie. Że to jedyny sposób, by ją ocalić – ale było dokładnie na odwrót.

To właśnie wtedy zabił Tosię.

Tosi już nie było. Pozwolił, by jego mała, śmieszna dziewczynka odeszła na zawsze.

Zamiast Tosi w jej pokoju spało teraz Coś. To Coś było zaskakująco wybujałe i silne, panoszyło się w domu już od jakiegoś czasu, a on ignorował symptomy, uciekał do pracy, przeczekiwał. Coś wytworzyło sobie własną osobowość, zwyczaje i zachcianki. Było mu obce, nic o nim nie wiedział. Krótko mówiąc, miał pod swoim dachem obcego, nieobliczalnego człowieka. Jakaś brutalna, najbardziej pierwotna warstwa natury Marcina jeżyła się przeciw obcemu pierwiastkowi w jego własnej rodzinie.

Tylko czy miał jeszcze w ogóle jakąś rodzinę? Ukrył twarz w dłoniach, przerażony samym sobą.

Drgnął, gdy usłyszał szuranie w przedpokoju. W progu pokoju stanęło jego dziecko, mrużąc zaspane oczy w jasnym świetle lampy. Było odziane w portki od garnituru i białą koszulę, wymiętą jak na panu młodym po wieczorze kawalerskim. Kosmyki jasnych włosów sterczały na wszystkie strony.

– Leon powiedział, że wyrzuciłeś ciocię Idalię – odezwało się przychrypniętym głosem i podciągnęło zbyt luźne spodnie.

– Tak – potwierdził Marcin i spojrzął z rozpaczą w niebieskie oczy, bo tylko one wydawały mu się znajome w tej naburmuszonej twarzy.

– Często to sobie wyobrażałem ostatnio – powiedziało dziecko i po chwili wahania podeszło dwa kroki. – Że krzyczysz i wyrzucasz.

– Trzeba to było zrobić wcześniej. Przepraszam.

– Zawsze sobie wyobrażałem, że wyrzucasz mnie – uzupełniło dziecko i uśmiechnęło się ze smutkiem.

Serce Marcina skuliło się jak kopnięte szczenię. Krwawa łuna wstydu zalała mu twarz, gdy usłyszał swoje najczarniejsze myśli wypowiedziane na głos. Zbyt wiele tego było. Wstyd, strach, żaloba po Tosi, wszystko zlało się w nim w rwącą rzekę gniewu, która zerwała wszystkie tamy. Marcin się wściekł.

– Czyś ty już do końca rozum stracił? Naprawdę myślisz, że ja bym wyrzucił z domu własne dziecko? Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby ktokolwiek mi takie bzdury w twarz mówił! Choćby to miał być mój własny syn! Słyszysz, co do ciebie mówię? Słyszysz?!...

– Tak, tato – kwiknęło cienko dziecko i całym swoim ciężarem rzuciło mu się w objęcia.

Gniew Marcina zgasł równie szybko, jak wybuchł. Marcin z jękiem chwycił się za krzyż, drugą ręką poklepując chlipiącego nastolatka po ramieniu.

– No, już – powiedział bez tchu. – Już, dobrze będzie, Toś...ku. Tylko złaż. Chryste, no. Siadaj tu.

Zepchnął dzieciaka z kolan i usadził obok na kanapie. Z pustką w głowie czekał, aż młody się uspokoi. W końcu łkania przycichły i mokre oczy spojrzały na niego pytająco.

– To co – odezwał się Tosiek przez zatkany nos. – Mogę w końcu iść do Emilii czy nie? Jeszcze zdążę.

Marcin zaczynał powoli rozumieć, co miał na myśli Leon, kiedy mówił o upartym mule.

– Nie – fuknął. – Zachowałeś się skandalicznie i masz szlaban.

– Aha – powiedział Tosiek i wbił smętny wzrok we własne kolana, ale nie zaprotestował.

Marcin przymknął oczy i odetchnął kilka razy, zastanawiając się z lękiem, co przyniosą mu najbliższe dni. Jeśli będą podobne do dzisiejszego, jak amen w pacierzu nie przeżyje nawet tygodnia.

– Kto będzie nam teraz gotował? – zapytał Tosiek.

– Obciąłeś sobie włosy, nie rączki – sarknął Marcin.

– Nie umiem gotować.

– Nie zmyślaj.

– Tylko jajecznicę i makaron. I płatki z mlekiem. I owsiankę.

– Jesteś głodny?

– Obiadu nie było – zauważył Tosiek zbolalym tonem zaniedbanej sieroty, po czym ożywił się i poweselał. – Mogę zamówić sobie pizzę?



## ROZDZIAŁ XII

Na dworze trochę się rozpogodziło, niewiele, tyle tylko, że chodniki przeschły i wiatr nie był już tak potępięczo między blokami. Słońce przebijało się przez chmury i znów zniknęło, a mewy, skrzecząc przeraźliwie, krążyły nad osiedlem. Tosiek przyglądał im się przez okno dawnego pokoju taty, który był teraz jego własnym. Siedział po turecku na kanapie, na kolanach trzymał podręcznik do fizyki, ale nie mógł się skupić na nauce. Czekał na Leona.

Dobiegały końca jego wakacje. Nazajutrz po incydencie z parapetem obudził się z katarem, poboлеwała go też kostka, którą stłukł sobie, kiedy upadł z tatą na podłogę. W normalnych okolicznościach wybłągałby może ze dwa dni wolnego; tym razem tata bez słowa usprawiedliwił mu z góry cały tydzień. Tosiek uczciwie przechorował trzy dni, pokaszując, kuśtykając i wmawiając sobie, że przygnębienie, które odczuwa, jest wynikiem bólu gardła i nogi. Przeziębienie jednak minęło, ból w kostce również, a podłe samopoczucie jakoś nie. Z płytkiego snu budziły go koszmary, w których albo stał na krawędzi, albo skądś zlatywał, a jego pokój, jego osobista twierdza, zaczął wzbudzać w nim lęk. Bał się nawet patrzeć w stronę okna, odwrócił tyłem biurko i spał też odwrotnie, z nogami ułożonymi w stronę drzwi, ale to nie pomagało.

Nie można zajrzeć śmierci w oczy, a potem odwrócić się do niej tyłem i bezkarnie powrócić do własnych spraw – oto czego nauczył się w ciągu tych dni. Zapierał się przed tatą i Leonem, że planował wyłącznie zleźć po rynnie, ale na wpół świadoma myśl, która wtedy przemknęła mu przez głowę, tam, na parapecie, wciąż nie dawała o sobie zapomnieć. Teraz za każdym razem, gdy coś szło nie tak, myśl powracała, nawet gdy chodziło o sprawy tak błahe jak rozlana przypadkiem herbata czy szczoteczka do zębów, która wpadła za pralkę. Tak jakby ta nowa ścieżka na skrót, którą nieopatrznie wydeptał we własnym umyśle, nie dawała mu spokoju i kusiła, kusiła nawet w snach. Jednej nocy, gdy obudził się z wrażeniem, że już umarł, a obok łóżka stał tata zaalarmowany krzykiem, Tosiek złamał się i zapytał przez łyzy, czy mogą się zamienić pokojami. Tylko chwilowo, oczywiście.

Przeprowadzka zajęła ledwie moment, bo ciuchów i tak nie miał żadnych poza tym, co na grzbiecie, i jedną żółtą sukienką, która cudem ocalała z pogromu, bo leżała pod łóżkiem. Książek na razie nie ruszał, ulubioną muzykę trzymał w telefonie, a do tych wszystkich bibelotów, kwiatków i obrazków, którymi ciocia Idalia z uporem znaczyła jego terytorium, nigdy się nie przywiązał. Leon pomógł mu przedźwigać biurko i komputer, a potem przeniósł do dawnego pokoju Tośka kartony z papierami taty, naręcze jego ubrań i telewizor.

Leon oczywiście drażył, skąd ten pomysł, więc Tosiek mu opowiedział – zalewając się łzami, niestety, bo od czasu pogodzenia się z tatą miał oczy na mokrym miejscu i chlipał z byle powodu, głównie nocą, ale i w dzień się zdarzało. Bardzo się tego wstydził. Leon siedział pod biurkiem, rozplątywał kable i milczał.

– Zamieniam się w emo – podsumował Tosiek płaczliwie.

– To minie – odparł Leon i podłączył komputer do prądu. – Musisz sobie wszystko poukładać.

Leon przychodził co dzień po lekcjach. Przynosił kserówki notatek Konrada i zazwyczaj zostawał aż do kolacji. Tosiek bał się zapytać, jak Leon łączy te wizyty z nauką, korepetycjami, próbami przed akademią i swoim życiem osobistym, ale podejrzewał, że wcale. Tosiek był teraz

wobec Leona bardzo grzeczny i starał się nie podnosić mu ciśnienia bez potrzeby. Czuł, że Leon wciąż pieklił się wewnątrz z powodu tej całej awantury, i wolał go nie denerwować. Potrzebował go bardzo. Bał się każdej chwili, którą musiał spędzać samotnie, a Leon zajmował jego myśli ploteczkami ze szkoły, odpytywał z lekcji i oglądał z nim musicale na laptopie, dyskretnie ziewając.

– Skąd wiesz, że minie? – spytał Tosiek, podczas gdy Leon podpinał monitor i klawiaturę. Leon wzruszył ramionami.

– Minie – powtórzył z roztargnieniem. – Musisz się zająć czymś pożytecznym.

Następnego dnia pojawił się z gitarą.

– Nie umiem – protestował Tosiek. – To harcerskie plimpanie nigdy mnie nie pociągało.

– No spróbuj chociaż – zachęcał Leon. – Tylko patrzeć, jak będziesz mógł sobie sam akompaniować pod *Defying Gravity*.

– Bardzo zabawne – burknął Tosiek i niezgrabnie przymierzył się do instrumentu. Leon przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Dziwne – powiedział. – Nie zauważyłem tego wcześniej.

– Czego?

– Że jesteś leworęczny.

– No, jestem. Czego to dowodzi poza tym, że mam spieprzony mózg?

– Niczego – powiedział Leon, zabierając mu gitarę. – Tylko muszę ci przełożyć struny, choć to i tak niewiele da. Powinieneś sobie sprawić gitarę dla mańkutów.

Tosiek posmutniał i zaplótł ramiona wokół kolan. To był kolejny problem, z którym nie potrafił sobie poradzić. Wciąż nie wiedział, jak przedstawia się stan domowych finansów i czy wypada mu prosić o cokolwiek. Jego nowa strategia nieprovokowania konfliktów obejmowała również tatę, więc Tosiek po prostu nie poruszał tego tematu. Miał jednak oczy i widział, że tata od soboty nie wyszedł z domu, nawet zakupy zlecał Leonowi. Jego telefon przestał dzwonić. Co się stało z tymi wszystkim ludźmi, którzy wcześniej nie dawali mu nawet kwadransa spokoju? Tosiek wyrósł w przekonaniu, że tylko dzięki temu, że tata wciąż pracuje, ich domowy budżet się dopina, w rurach jest woda, w gniazdkach prąd, a w światłowodzie internet. Możliwe, że umoralniające kazania cioci Idalii (Widzisz, jak tatuś ciężko pracuje, żeby ci niczego nie brakowało, więc nie marnuj jedzenia!) też miały pewien wpływ na wyobrażenia Tośka o domowej strukturze wydatków, w każdym razie bardzo się już niepokoił. A co, jeśli z powodu jego wyskoków popadną w skrajną nędzę? Tosiek wyobraził sobie siebie obdartego jak Gavroche oraz tatę skazywanego na galery z powodu kradzieży chleba i znów rozczulił się nad sobą prawie do łez.

Leon mocował się ze strunami. Syknął, kiedy złamał sobie paznokiec. Leon bardzo dbał o swoje paznokcie.

– Skończę jutro. Mogę ją na razie zostawić u ciebie?

– Och, jasne – mruknął Tosiek bez entuzjazmu. Miał na końcu języka kąśliwą uwagę o małych pokoikach, w których zmieści się albo jeden człowiek plus gitara, albo dwoje ludzi, ale żadną miarą cała trójka, jednak przezornie zmilczał. Nie miał pojęcia, jak przedstawiają się aktualnie relacje między Leonem i Konradem, i choć ciekawość go wręcz zżerała, nie pytał. Dzień po dniu odkrywał w sobie nowe pokłady anielskiej cierpliwości. Zmieniał się. Mijał dzień za dniem, minął tydzień, nadeszła wreszcie ta ostatnia niedziela jego prywatnych ferii i Tosiek uznał, że może już dokonać pierwszego bilansu zysków i strat. Po stronie plusów należało zanotować fakt, że już nikt w tym domu nie nazywa go Tosią, nawet tata przełamał się

gramatycznie i choć zdarzały mu się pomyłki, okazywał tyle dobrej woli, że Tosiek wspomniałomyślnie mu je wybaczał.

No i nie został mokrą plamą na trawniku przed blokiem, co samo w sobie było kartą, która bije wszystko.

Po stronie minusów należało zanotować ten nieuchwytny dystans, jakiego nabrał do niego Leon. Tosiek musiał też przyznać przed sobą, że choć nieobecność cioci Idalii jest dla niego sporą ulgą, trochę już tęsknił za jakąś pożywną zupą, pieczenią z sosem, nawet za tymi przeklętymi surówkami. Od tygodnia żywił się na zmianę pizzą oraz jajecznicą i podejrzewał, że już długo tak nie wytrzyma.

Nie wiedział też zupełnie, jak powinien zakwalifikować tę wariacką podróż bez mapy i kompasu, którą podjął wraz z ojcem.

Marcinowi trzeba przyznać, że bardzo się starał.

Większość energii przeznaczał na ukrywanie przed Tośkiem faktu, jak bardzo się boi. O niego, o jego przyszłość, o swoje własne nerwy, o tę cienką nić porozumienia, którą byle głupstwo mogłoby nadwyrężyć. Dzieciak nie powinien takich rzeczy wiedzieć. Dzieciak powinien czuć się bezpiecznie. Marcin wziął urlop i próbował, jak mógł, zorganizować na nowo życie rodzinne, począwszy od obsługi pralki i odkurzacza, a skończywszy na mozolnych konwersacjach z własnym dzieckiem, które, jak się mu czasem wydawało, poznawał całkiem od zera.

Dotąd żył w przekonaniu, że dziecko jest co prawda sympatyczne, całkiem urodziwe i na swój sposób niepozbowione wdzięku – ale jednak niezbyt mądre. Pogodził się z tym. Nie wszystkie dzieci muszą błyszczeć inteligencją. Teraz z pewnym zakłopotaniem odkrywał, że Tosiek bywa aż nazbyt błyskotliwy. Przysłuchiwał się, jak Tosiek gawędzi z Leonem podczas odrabiania lekcji albo przy oglądaniu filmów, i musiał przyznać, że czasem za nimi nie nadąża. Gdy mimo to jednak próbował podjąć dyskusję, rozmowa przypominała wbijanie gwoździ śrubokrętem. Tosiek był pełen dobrej woli, ale cóż z tego, skoro nie rozmawiali tym samym językiem. Marcin utwierdzał się w przekonaniu, że albo mieszka pod jednym dachem z przybyszem z obcej planety, albo sam jest zmurszałą skamieliną, która niczego nie jest w stanie pojąć.

Przerażał go brak rozeznania Tośka w realiach współczesnego świata. Gdy zapytał go kiedyś, jak Tosiek wyobraża sobie własną przyszłość – pytanie, które odzwierciedlało jego najskrytsze lęki – Tosiek rozmarzył się, spojrzął w sufit i zaczął snuć barwną opowieść o ratowaniu świata przed zagładą. Siedzący obok na kanapie Leon przeżuwał jakąś kanapkę i patrzył na Marcina ironicznym wzrokiem. Cierp, człowieku – mówiło jego spojrzenie. – Ja to mam na co dzień.

Świat wyobrażeń Tośka, utopijne uniwersum kształtowane librettami i zaludnione fantastycznymi postaciami o imponującej muskulaturze, którego istnienie Marcin odkrywał warstwa po warstwie, najczęściej przypadkiem, nakładał się dzieciakowi na rzeczywistość i wywoływał w nim frustrację. Czasem Tosiek naprawdę zachowywał się, jakby dopiero co pojawił się na tym padole i nie miał dotąd okazji zrozumieć, że świat jest z natury niesprawiedliwy i nieprzewidywalny.

– Ale dlaczego? – pytał jak trzylatek, oglądając ze zdumieniem wiadomości w telewizji – to była jedna z tych wielu czynności, które z inicjatywy Marcina robili teraz razem – i patrzył z wyrzutem, jakby wszystkie nieszczęścia nagłaśniane przez media były wyłączną winą jego ojca. Marcin nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że nastolatek, który pół życia przesiedział z nosem w komputerze, może do tego stopnia nie orientować się w rzeczywistości.

– Ja mam inny internet – wyjaśnił mu Tosiek. Ale odmówił szczegółowych wyjaśnień.

– Nie chce pan wiedzieć – mruknął Leon w odpowiedzi na pytające spojrzenie Marcina.

Marcin, dla którego do niedawna internet był synonimem strony startowej z serwisem informacyjnym i prognozą pogody, też wolał nie wnikać. Wystarczył mu szok poznawczy, który przeżył, gdy za pośrednictwem sieci próbował dowiedzieć się czegoś więcej o dzieciach takich jak jego, no, syn.

– Jezu, co ty oglądasz – zatroskał się Tosiek, przechodząc obok. – Włącz sobie filtr rodzinny czy coś.

Marcin nie rozumiał, jak Tosiek może z tak bezrefleksyjną obojętnością podchodzić do medycznej strony swojego przypadku. Jego osobiście kosztowało to wiele bezsennych nocy. Tosiek jednak żył w tęczowym świecie własnych wyobrażeń: postanowił, że jest chłopcem, więc nim był, a skoro wyjaśnili sobie raz na zawsze tę drażliwą kwestię, można było wreszcie zakończyć temat.

Lektura nielicznych artykułów, jakie udało mu się znaleźć, sprawiła tylko, że Marcin czuł się jeszcze bardziej zagubiony. Chętnie by z kimś o tym porozmawiał, ale w tym momencie jedyną osobą chętną do dyskusji była Idalia, a telefonów od niej nie odbierał. Początkowo diabli go brali, gdy tylko myślał o swojej szwagierce, ale ta złość szybko mu przeszła – dobrze wiedział, że Idalia nie jest tu jedyną winną. Wierzył, że chciała jak najlepiej, ale jej nie wyszło. Po kilku dniach samokrytycznych rozmyślań dotarł do punktu, w którym obwinił już wyłącznie siebie. Miał jednak świadomość, że Tosiek reaguje na ciotkę alergicznie i bał się go rozdrażnić.

Pewnego wieczoru Idalia zadzwoniła późno, gdy Tosiek tkwił już pod prysznicem i zawodził rzewnie, jak to on. Marcin przez chwilę bił się z myślami i wreszcie po siódmym sygnale odebrał.

– Dobry wieczór – powiedziała Idalia. – Chciałam ci tylko przypomnieć, że Tosia ma wizytę u stomatologa umówioną na przyszły tydzień. Wszystko jest zapisane w kalendarzu w kuchni.

– Będę pamiętał – odparł chłodno Marcin, po czym przysłonił ucho, bo w łazience Tosiek wszedł w swoje przeraźliwe kozie wibrato.

– Była też zapisana na zeszły piątek w ośrodku, ale dzwoniłam tam i dowiedziałam się, że się nie zjawiała – głos Idalii nabrał nut oskarżycielskich. – Więc pewnie nie bierze już leków, bo się skończyły. Tak tylko mówię.

– A ona się ugina! I tam są wszyscy! A naprzeciw ty! – wrzeszczał Tosiek na tle szumu wody.

– Rozumiem – mruknął Marcin, po czym wstał i zamknął drzwi od pokoju.

– Jak Tosia się czuje? – spytała Idalia głosem nieco schrypniętym, jakby brał ją katar.

– Tosi już nie ma.

– Dbasz o nią? – wybiórcza głuchota Idalii znów dała o sobie znać.

– Staram się.

– Tylko czy to wystarczy? Wiesz, że twoi sąsiedzi z dołu chcieli wezwać policję? Jakoś ich przekonałam, że to był tylko taki dziecinny wybryk, ale co będzie następnym razem?

– Następnym razem? – Marcin mocniej ścisnął telefon w rękę.

– Kiedy Tosia znowu zachowa się nieobliczalnie.

– Tosi już nie ma – powtórzył Marcin. – Póki tego nie zrozumiesz, nie mamy o czym rozmawiać.

– Rozumiem więcej, niż ci się wydaje – usłyszał przemądrzały głos szwagierki i prawie przerwał połączenie. – To ty nie masz pojęcia, w co brniesz. Dziecko potrzebuje opieki i wsparcia, a nie spełniania każdej jego zachcianki. A propos: zaganiaasz ją do obowiązków czy



sam robisz wszystko?

– Nie twoja sprawa – zaburczał Marcin, który właśnie uświadomił sobie, że Tosiek od kilku dni bezwstydnie się obija, pozwalając, by to Marcin i Leon ładowali po kolacji zmywarę, podlewali kwiaty, a nawet odnosili do pralki walające się po domu brudne skarpetki. Marcin pogodził się z faktem, że Tosiek podbiera skarpetki z jego własnej szuflady, ale pozostawianie ich potem w przypadkowych miejscach należałoby chyba jednak zacząć tępić.

– Ja ją znam – Idalia prawidłowo zinterpretowała jego milczenie. – I znam ciebie. Pozwalasz sobie wejść na głowę.

– Nie twoja sprawa – powtórzył rozdrażniony Marcin.

– Gdybyś mnie potrzebował, zadzwoń – odparła z triumfem Idalia, po czym usłyszał w słuchawce przerywany sygnał.

Marcina zdenerwowała ta rozmowa i nazajutrz zasugerował Toškowi, by ratowanie świata rozpoczął od wrzucania brudnej bielizny tam, gdzie jej miejsce. Zaczął też rozważać pójście z nim do jakiegoś lekarza specjalisty, gdy jednak napomknął o tym w bardzo ogólny sposób, twarz Toška zamieniła się w maskę i już wkrótce wiedział dlaczego. Tego samego dnia przydybał go w kuchni Leon.

– Niech go pan nie straszy! Mało panu jeszcze wrażeń?

– Co z nim?

– Poprosił, żeby mu zdjąć z szafy walizkę. I spytał, czy może się do mnie przeprowadzić. Jakbym miał za mało na głowie!

Marcin rzucił się wyjaśniać to nieporozumienie. Tosiek, blady i zacięty, siedział na podłodze i upychał poduszkę do worka ze śpiworem.

– Ty mnie chcesz wykończyć – sapnął Marcin, gdy po krótkich, ale obfitych w emocje negocjacjach udało mu się przekonać Toška do nieporzucania rodzinnego gniazda. Ze sztywnymi plecami siadł ciężko na fotel.

– Może przejdziesz się wreszcie do specjalisty? – zaproponował ten złośliwy gnom.

W tej sytuacji Marcin nie miał innego wyjścia, jak zaświecić własnym przykładem. A nie znosił chodzić do lekarza, nie znosił z tego samego powodu, dla którego nie cierpiał robić remontów we własnym mieszkaniu: czego nie tkniesz, zaczyna się sypać. Doktor zapisał mu doraźnie leki przeciwzapalne, ale i zadał kilka niedyskretnych pytań, które pozwoliły wstępnie zdiagnozować u pacjenta problemy z dyskiem, nadkwasotę i przewlekły stres. Uzbrojony w skierowania do specjalistów oraz beużyteczną sugestię, by mniej pracować, a więcej odpoczywać, Marcin wrócił do domu. Tosiek, rzępoląc straszliwie, uczył się grać na gitarze. Słuchu nie miał za grosz, głosu na szczęście też; to rozwiewało przynajmniej jedną z obaw dotyczącą jego przyszłości.

O siódmej Leon wreszcie przyszedł, ale zaznaczył, że wpada tylko na moment, bo umówił się z chłopakami na dodatkową próbę.

– Bo mamy zaległości – wyjaśnił. – Muszę ją zabrać – dodał, pakując gitarę do szmacianego pokrowca. – Potrzebujemy jej na akademii, więc wybac. Może będziesz ją sobie mógł pożyczyć w przyszły weekend.

– Okej.

– Idziesz jutro do szkoły?

– Tak. Chyba tak.

Leon mocował się z zamkiem.

– Będziesz dbać o siebie?

Tosiek westchnął i odłożył podręcznik.

– Zależy, co masz na myśli. Jeśli pytasz, czy zamierzam być grzeczną dziewczynką, odpowiedź brzmi: nie.

Leon dociągnął zamek do końca i oparł gitarę o skraj kanapy. Zaczęła się zsuwać, więc wziął ją na kolana i zapadł się głęboko w miękkie oparcie. Postukiwał palcami w obleczone pokrowcem pudło i myślał.

– Grałeś już coś? – spytał.

– Prawie wszystko z twojego śpiewniczka.

– Serio? Założę się, że nie potrafiłbyś zagrać czysto nawet zwrotki.

– Dawaj ją – zdenerwował się Tosiek.

– Już spakowałem...

– Dawaj. – Tosiek porywczo wyłuskał gitarę z pokrowca i oparł ją sobie na kolanie. Przygryzając wargi ze skupienia, wybrzdąkał ze trzy akordy do *Płoną góry, płoną lasy*, po czym poplątały mu się palce.

– Bo mnie rozpraszasz – zezłościł się, widząc uśmiezek na twarzy Leona.

– Tak łatwo cię sprowokować.

– Przestań się nabijać.

– Poważnie to mówię. Dajesz się podpuścić jak dziecko, za każdym razem. Byłoby znacznie lepiej dla wszystkich, gdybyś się nauczył panować nad sobą.

Tosiek łypnął złym okiem.

– Wiem – przyznał ku zaskoczeniu Leona. – Ale bez obaw, od jutra wszystko będzie inaczej.

– Mhm.

Tosiek skubał końcówki strun.

– Wcześniej miałem gdzieś, co inni sobie o mnie myślą, bo wydawało mi się, że Tosiek jest tylko na chwilę. Ale teraz...

Bezmyślnie bawił się pokrętłem, marszcząc brwi.

– Przestań, rozstroisz.

– ...teraz już wiem, że nie ma powrotu do Tosi. A naprawdę chciałbym, żeby wszyscy lubili Tośka. Mnie.

– „Wszyscy” to dość ambitny plan.

– Tobie się udaje.

Leon uniósł brew w zakłopotaniu.

– Bo wiele ukrywam.

Tosiek z powagą pokiwał głową. To ich różniło. Chciałby kiedyś nauczyć się tej chłodnej dystynkcji, którą Leon emanował na co dzień, ale nie miał wielkich złudzeń. Zbyt dużo nosił w sobie emocji i sprzecznych pragnień, by je tak po prostu wyciszyć. Czasem chciało mu się tańczyć i krzyknąć z radości, że wreszcie, wreszcie! – może być sobą. A gdy ogarniały go różne lęki i smutek, popadał w nastrój zaczepny i wystarczył jeden komentarz, by gotowało się w nim jak w dobrze podgrzonym szybkowarze. Hamował się, jak mógł; w domu było to łatwe, bo chwilowo obowiązywała wobec niego taryfa ulgowa. Domyślał się jednak, że w szkole nikt nie będzie się z nim cackał.

– Gdybym tylko wiedział, co im odpowiadać – wymamrotał do siebie. – Ludzie zawsze oczekują prostych odpowiedzi na wszystko, a ja nawet sam sobie nie potrafię... nie do końca wiem...

Leon zabrał mu gitarę i powtórzył żmudną procedurę upychania jej w pokrowcu. Rozmyślał

nad czymś intensywnie.

– Przegrałeś zakład – przypomniał. – Nie zapytałeś o stawkę.

Tosiek się najeżył.

– Jeśli chcesz na mnie wymusić, żebym się w szkole zachowywał jak baba...

– Wręcz przeciwnie – odparł Leon. – Chcę, żebyś aż do odwołania chodził do szkoły ubrany jak chłopak, żebyś się zachowywał jak chłopak i mówił jak chłopak.

Tosiek z namysłem podrapał się po nosie.

– Przecież taki właśnie mam zamiar.

– Wiem – mruknął Leon. – Jeśli ktoś bardzo będzie potrzebował krótkiej odpowiedzi, masz już gotową: przegrałem zakład. Ludzie lubią rozumieć. Każdy zrozumie przegrany zakład, bo to normalna sprawa.

– W odróżnieniu od Tośka, który nie jest normalny?

Leon nie dał się sprowokować. Z opuszczoną głową zapinał oporny zamek.

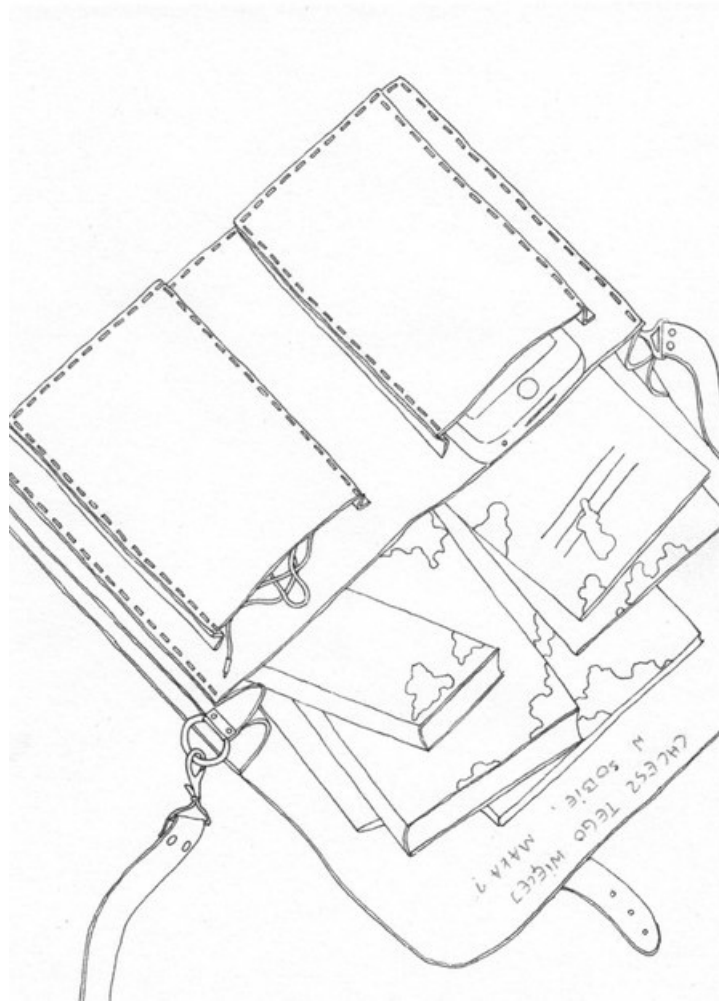
– Wiesz, że ja tak nie myślę.

– Nie wiem, co myślisz – powiedział Tosiek porywczo. – Czasami tak bardzo zajmuje cię to, co myślą inni, że trudno odróżnić twoje myśli od cudzych. Ja nie wiem... co myślisz o mnie.

Zaplótł palce, zdenerwowany bardziej, niż chciałby to przyznać. Powiedział to w końcu. W nosie miał to, co myśli o nim reszta świata. Chciał tylko, by mu zbytnio nie przeszkadzano i może okazano jakieś minimum życzliwości – ale Leon to było co innego. Nie dało się dociec, co siedzi w jego głowie. Leon był bardzo uprzejmy, uczynny i zdystansowany od czasu, gdy poryczał się pod oknem, a emocje, którym dał wtedy upust, powściągnął i dusił głęboko w sobie. Tosiek bał się, że to może jakoś negatywnie zaważyć na ich przyjaźni. Wolał dawną brutalną szczerą niż to strachliwe obchodzenie się dookoła.

Leon wygładził zmarszczkę na pokrowcu.

– Myślę o tobie same dobre rzeczy – zapewnił z rezerwą. – Pójdę już, bo późno. Zobaczymy się w szkole.



## ROZDZIAŁ XIII

Tosiek przemierzał spowite bielą osiedle. W nocy chwycił pierwszy przymrozek, na trawnikach, drzewach i szybach samochodów skrzyła się szadź. Tosiek pruł przez ten aseptyczny krajobraz z miną człowieka gotowego na konfrontację z przeznaczeniem, cokolwiek miałyby to oznaczać. Zmęczony był już tremą przed nieznanym, która zagnieździła mu się w okolicach żołądka i nie chciała odpuścić. Nie był przyzwyczajony do życia w trybie nieustannej czujności, nie potrafił się wyciszyć ani uspokoić. Świadomość, że żyje w świecie, który choruje na przewlekłą niedoskonałość, kąsała go w najmniej oczekiwanych momentach. Bardzo już potrzebował wyjść do ludzi, zrobić coś konkretnego, wziąć się wreszcie za naprawianie rzeczywistości.

Leon oczywiście nakazywał ostrożność, zadzwonił z samego rana, by uprzedzić, że nie pojawi się w bufecie, bo ma próbę, i jeszcze raz powtórzył Tośkowi, by nie szarżował. Ale im bardziej Leon obawiał się jakichś abstrakcyjnych zagrożeń, tym bardziej Tośka kusiło, by stawić im czoła, wyciągnąć przed siebie wąż pięści, wyzwąć te wszystkie bzdurne strachy na ostateczny pojedynek, pokonać je raz na zawsze i odzyskać wreszcie wewnętrzny spokój. Możliwość porażki nawet na moment nie zaświtała w jego umyśle. W końcu ostateczne pojedynki są po to, żeby dobro zwyciężyło, prawda? Tosiek nie miał wątpliwości co do tego, że jest wcielonym, choć nieco uciśnionym dobrem.

Gdy wszedł do pracowni chemicznej, na jego miejscu obok Emilii siedziała już Roksana.

Tosiek zdjął torbę z ramienia i nie bardzo wiedział, co zrobić. Krępe dziewczę o okrągłych oczkach udawało, że go nie widzi, i z zaferowaniem wyjmowało swoje rzeczy z plecaka na ławkę. Emilia i Matylda, zajęte plotkami, również zdawały się go nie zauważać. W sali pojawił się już Zalewski, więc Tosiek, czując w głowie pewien zamęt, wycofał się do ostatniej ławki.

Ach, więc Emilia była na niego obrażona. Poznał to po ostentacji, z jaką hołubiła swoją nową przyboczną, szepcząc jej coś do ucha i śląc łaskawe uśmiechy. Kiedy Emilia była obrażona, dbała o to, by wiedział o tym cały świat; co za pożytek z focha, jeśli dusi się go w sobie?

Zabazgrana kartka sfrunęła mu przed nos.

– Graczyk, pięć z minusem – zaburczał Zalewski i poszedł dalej.

A więc jednak! Tosiek z radosnym niedowierzaniem przyjrzał się tłustej czerwonej piątce na froncie kartki. Pięć z kartkówki! Jego pierwsza piątka z chemii, uczciwa, bez ściągania! Wyprostował się w ławce i z dumą rozejrzał się po klasie. Zorientował się natychmiast, że jest jednym z niewielu, którym się dziś tak poszczęściło. Większość siedziała w posępnym milczeniu. Konrad dostał cztery plus, ale nawet nie spojrzął na swoją kartkę, tylko zmiął ją i wcisnął do kieszeni. Ambitny. Może do końca zajęć mu przejdzie. Tosiek nie wątpił, że gdy tylko skończy się lekcja, Konrad zdobędzie się przynajmniej na to, by mu wreszcie podziękować. A nawet jeśli nie, Tosiek czuł się w obowiązku podziękować jemu, za te wszystkie notatki, które dostarczał Leon.

Gdy jednak zadzwieczał dzwonek i Tosiek przepchnął się na korytarz, Konrada już nigdzie nie było, jakby rozpułnął się w powietrzu.

Może poszedł na próbę, gbur jeden. A, niech idzie. Kto by się tam nim przejmował.

Tosiek poprawił torbę na ramieniu, przyglądał sterczące sztywno kosmyki, przybrał ugodowy wyraz twarzy i podążył do łazienki.

– Kartkówki powinny być zabronione – dowodziła Emilia, ze złością szarpiąc włosy grzebieniem. – Tylko najgłupszy nauczyciele robią kartkówki. Lubią nas poniżyć i się mścić.

– Może nie wliczy jej do średniej – pocieszyła ją Roksana i podała jej puder.

– Oczywiście, że wliczy. Kujony nie odpuszczą – Emilia nie wytrzymała i zgromiła spojrzeniem Tośka, po czym demonstracyjnie odwróciła wzrok.

Tosiek, którego jeszcze nigdy w życiu nie nazwano kujonem, uśmiechnął się szeroko do swojego odbicia w lustrze. Cóż za hipnotyzująco przystojny i w dodatku zdolny młody człowiek z pana, panie Tośku! Postrzępione włosy zaczesał rano na mokro, ale zmierzwiły się pod kapturem kurtki i zgodnie z zasadą, że fryzury idealne powstają zawsze przypadkiem, ułożyły się w zawadiackiego irokeza.

– Wściekli się na nas ostatnio – odezwała się Matylda, która stała pod ścianą i obracała w palcach swoją własną kartkę, złożoną z harmonijkę. – Wypracowanie na angielski już macie?

– Jakże znowu wypracowanie? – zdenerwowała się Emilia.

– O ochronie środowiska – odpowiedział Tosiek, który swoje nagryzmoilił już w sobotę.

– Na jutro – dorzuciła Matylda grobowo.

– O matko, zapomniałam. Ściągnę coś z sieci.

– W zeszłym tygodniu pół drugiej C dostało jedynki za plagiaty, bez możliwości poprawy – wymamrotała Matylda, zwijając harmonijkę w rulonik. – Jeśli dostanę jeszcze jedną pałę z anglika, Borowska nie zaliczy mi semestru.

– Ja ci mogę pomóc – wtrącił Tosiek.

– Nie rozmawiamy z tobą! – przypomniała Emilia i z trzaskiem zamknęła puderniczkę. Jej nachmurzony profil przybliżył się do lustra i wpatrywał badawczo w swoje bliźniacze odbicie. Poprawiła włosy nad czołem. Ciekawe, jak to jest, zastanowił się Tosiek, widzieć w lustrze siebie jak starego przyjaciela, którego zna się od zawsze. On sam kilka razy dziennie przeżywał nieprzyjemny dreszcz, gdy w jakimś geście czy grymasie objawiała mu się dawna Tosia. Emilia, wolna od tych przykrych doświadczeń i najwyraźniej bardzo przez to zubożona wewnętrznie, musiała sobie mnożyć problemy na własną rękę.

– Chodzi o to, że nie przyszedłem na twoje urodziny? – upewnił się Tosiek. – Coś mi wypadło w ostatniej chwili.

– Przestań – syknęła Emilia i spojrzała na niego z obrzydzeniem. – Daj sobie już spokój z tym cyrklem. Nie musisz się zgrywać, bo i tak cię już nigdzie nie zaproszę.

– Nie mogę przestać – powiedział Tosiek. Trzy pary oczu wpiły się w niego z napięciem. Poddał się od razu. – Przegrałem zakład – wyjaśnił z westchnieniem. Dotąd żywił naiwną nadzieję, że uda mu się uniknąć sięgania po koło ratunkowe Leona, ale wobec muru nieprzyjaznych spojrzeń stracił pewność siebie.

Emilia odprężyła się nieznacznie.

– Z kim? Kto mógłby wymyśleć coś tak debilnego?

Tosiek wymownie wywrócił oczami.

– Twój chłopak ma nasrane w głowie.

– Nie, wcale nie – zaprotestował Tosiek, nerwowo przeciągając ręką po włosach. Dotarło do niego, że cały ten koncept z zakładem może i chronił jego samego, ale niebezpiecznie nadszarpywał nieskazitelną reputację samego Leona. Aż dziwne, że Leon tego nie przewidział. – To tylko dla zgrywu. Moja wina, mogłem się nie zakładać.

– Leon tu nie wejdzie, możesz się przestać wygłupiać – odezwała się Matylda zza ramienia Emilii.

- To by było nieuczciwe!
- Ludzie się na ciebie gapią – powiedziała zimno Emilia. – Niektórzy mówią, że lecisz na dziewczyny.
- Kto mówi? – zdumiał się Tosiek.
- Kiedy się kończy ta głupia zabawa? Ten zakład?
- Nie wiem.
- To się dowiedz. A na razie się do nas nie zbliżaj. Nie rozmawiaj z nami. Nie podchodź.
- Naprawdę nie muszę?

Dzwonek na lekcję uwolnił Emilię od konieczności pospieszenia z ripostą. Rzuciła ostatnie lodowate spojrzenie, zagarnęła dziewczyny ze sobą i cała trójka z godnością opuściła łazienkę.

Tosiek prychnął. Co za głupie dziewczuchy. Głupie, głupie, głupie. Nawet nie wiedziały, że oddały mu tylko przysługę. Miał powyżej uszu ich drętwego towarzystwa. Co za babska, no. Ucisk w żołądku znów dał o sobie znać. O nie, mowy nie ma. Tylko nie to, nie łyzy. Nakazał sobie surowo wziąć się w garść i odetchnął kilka razy.

Skrzypnęły drzwi. Zwrócił się w ich stronę, odruchowo zaciskając pięści. Do łazienki zaglądała Matylda, policzki płonęły jej czerwienią. Odwróciła się za siebie, jakby sprawdzając, czy nikt nie nadchodzi, po czym zapytała półgłosem:

- Naprawdę możesz mi napisać to wypracowanie?
  - Pomóc – poprawił Tosiek nieufnie. – Mógłbym to rozważyć.
  - Dzisiaj?
  - Czemu nie. Na dużej przerwie, w bufecie?
  - Lepiej w bibliotece – powiedziała Matylda szybko i poczerwieniała jeszcze bardziej. – Tam są lepsze warunki.
  - Mniej ludzi, którzy mogliby cię zobaczyć i donieść Emilii?
- Matylda milczała, szarpiąc skraj rękawa, a czerwień rozlewała się na całą jej twarz.
- Bez obaw, nie jesteś w moim typie – powiedział Tosiek ze złośliwym uśmiechem. – Może być w bibliotece.

Na lekcji geografii usiadł sam, w pierwszej ławce naprzeciwko biurka profesora Mielnika. Nauczyciel lubił zniecka wyrywać do odpowiedzi tych, którzy znaleźli się w zasięgu jego wzroku, a że był krótkowidzem, pierwsze ławki na jego zajęciach zazwyczaj świeciły pustkami. Pochylony nad zeszytem Tosiek czuł na plecach świdrujące spojrzenia całej klasy. Usilnie starał się o tym nie myśleć i skupić na wykładzie.

Mielnik lubił ciszę i porządek. Jego fetyszem była bezkompromisowa realizacja programu, bez żadnych dygresji i opóźnień. Lubował się w punktach i podpunktach; gdyby tylko mógł, dyktowałby słowo po słowie, co uczniowie powinni zanotować w zeszytach. Ten typ prowadzenia zajęć był błogosławieństwem dla części rocznika, która się geografią nie fascynowała i chciała ją zaliczyć możliwie najmniejszym kosztem. Był też ostatnio wielką bolączką dla Tośka z powodu jego nagłej potrzeby zrozumienia zjawisk rządzących wszechświatem. Ile razy podnosił rękę, profesor Mielnik wzdychał ciężko i pytał „Tak, panno Tosiu?” z tak zjadliwą ironią, że Tosiek prawie zapomniał, o co chciał zapytać.

Leon, doskonale poinformowany o wyczynach Tośka, zaklinał go, by siedział cicho i nie przeszkadzał, ale Tosiek uważał, że nie czas siedzieć cicho, gdy smog spowija jego własne miasto, a ryby w rzece pływają do góry brzuchem. Dziś jednak wszystko wskazywało na to, że lekcja przeminie bez zakłóceń. Temat omawiany przez Mielnika – demografia świata w oparciu

o niekończące się tabelki z danymi – był tak drętwy, że nawet Tosiek nie potrafił wykrzesać z siebie ani cienia zainteresowania. Mielnik dotarł do końca wykładu, zerknął z satysfakcją na zegarek, schował notatki i ogłosił:

– Zostało jeszcze kilka minut, więc już nie będę zaczynał nowego tematu, ale może zdążyć przepytac choć jedną osobę.

W klasie podniósł się niespokojny szmer. Mielnik wystrzył wzrok, zauważył Tośka, westchnął i szybko otworzył dziennik. Tosiek ze swojej ławki widział najlepiej, w którym miejscu sunący po nazwiskach uczniów palec profesora zaczyna zwalniać.

– O matko, nie – usłyszał za plecami zdenerwowany szept Emilii.

Synapsy Tośka zaiskrzyły i jego ręka wystrzeliła w powietrze z chyżością, której nie powstydziliby się Barry Allen.

– Panie profesorze, ja mam pytanie.

– Dopiero teraz? – spytał Mielnik kwaśno.

– Mam pytanie o zeszłe zajęcia. Bo mnie nie było...

– A, tak. Pamiętam.

– ...i ja tu mam skserowane notatki, ale nie wszystko rozumiem. Mam punkt o odnawialnych źródłach energii i o energii grawitacyjnej wody, ale wcześniej pan psor mówił, że zasoby wody są tylko częściowo odnawialne.

– Pitnej – uściślił Mielnik, tęsknie zerkając do dziennika.

– No ale elektrownie chyba wykorzystują głównie wodę pitną, skoro buduje się je na rzekach. Czy to nie jest marnotrawstwo?

Mielnik westchnął ciężko i zaczął porządkować świat wyobrażeń Tośka zgodnie z zaleceniami Ministerstwa Edukacji. Tosiek z powagą kiwał głową. Za jego plecami znów podniósł się szmer – klasa korzystała z chwili wytchnienia, zajmując się własnymi sprawami. Tosiek zadawał kolejne pytania, Mielnik się zżymał.

– To wykracza poza program nauczania – oświadczył w końcu, kiedy Tosiek zapytał, jakim cudem na planecie, która wysyła ludzi w kosmos, wciąż nie wymyślono sposobu, by zapewnić wszystkim ludziom dostęp do wody pitnej.

– To nie może być bardzo trudne – przekonywał Tosiek. – Matt Damon w *Marsjaninie* wyprodukował sobie wodę raz-dwa. Czemu nie można jej w ten sam sposób produkować w Etiopii? Czemu nikt nas nie uczy, jak sobie wyprodukować wodę? Przecież to się może przydać. Czemu nikt o tym nawet nie pomyślał?

– A co pani zrobiła ostatnio dla ratowania planety, panno Tosiu? – spytał Mielnik zgryźliwie. – Poza marnowaniem prądu na czytanie Wikipedii?

Ugodzony ironią Tosiek zamilkł i uczciwie się zastanowił.

– Niech pani sobie zechce zanotować to pytanie w zeszycie w ramach pracy domowej. Koniec zajęć. Nie będę dziś pytał, nie ma już czasu. Podziękujcie pannie Tosi.

Akurat w tym względzie nikt z klasy nie wnosił pretensji. A Tosiek obrócił się przez ramię i uśmiechając się szelmowsko, mrugnął do Emilii.

– Przestań ją prowokować – wyszczała Matylda szeptem obowiązującym w bibliotece. – Leci ostatnio na Artura i strasznie się boi tych plotek o tobie. Boi się, że Artur pomyśli sobie, że ona też jest...

– ...wynaturzonym dewiantem? – podsunął Tosiek, widząc, że Matylda znów czerwieni się jak burak.

Praca nad esejem na angielski powoli posuwała się do przodu. Tosiek podpowiadał słówka,



a Matylda usiłowała skleić z nich zdanie po zdaniu. Gdy już minęło pierwsze skrępowanie i Matylda zyskała pewność, że nikt nie będzie jej nachalnie uwodził, atmosfera wyraźnie się poprawiła. Matylda gryzmoła na swoim karteluszkach, a Tosiek, który nigdy dotąd nie myślał o niej jako o niezależnej jednostce, odkrywał, że oderwana od swojego symbionta zaczyna nawet zdradzać pewne objawy samodzielnego myślenia.

– ...niezainteresowana – dokończyła Matylda chłodnym półgłosem.

– Zaraz, Artur z zespołu Leona? Przecież on mnie zna. Byliśmy razem na piwie.

– Lepiej się do tego nie przyznawaj – zaszepiała Matylda. – Wścieknij się, że nie zabrałaś jej ze sobą. Co dalej?

Tosiek zapisał pięć nowych słówek na skrawku kartki i czekał, aż Matylda poradzi sobie z ustawieniem ich w odpowiedniej kolejności. W sali poza nimi i zaczytaną bibliotekarką nie było nikogo. Byli sami wśród równych rzędów książek obłożonych w brązowy papier. Tosiek zawsze uważał, że książki biblioteczne są trochę jak ludzie, z pozoru wszystkie do siebie podobne, a każda z własną historią. Z tym że Tosiek, choć bardzo lubił otwierać książki, nie bardzo interesował się studiowaniem ludzi. Wydawało mu się, że jego własna historia jest już wystarczająco zagmatwana i cudze mogą go co najwyżej zmęczyć i zanudzić. Wodząc wzrokiem po regałach, pozwolił myślom błądzić, a one bocznymi ścieżkami powróciły do tego, co aktualnie doskwierało mu najbardziej: nikogo w klasie nie interesowała jego historia. Przeżył straszliwą przygodę, prawie zleciał z okna, ale nikogo to nie obchodziło. Gdyby nie pojawił się więcej w szkole, nikt by tego nawet nie zauważył. Nie miał w klasie żadnych przyjaciół i uważał, że to ogromne nieporozumienie. Nie dbali o Tosia – to jasne, Tosia była nudna. Ale Tosiek? Tosiek nie lubił siedzieć w cieniu. Tosiek domagał się uwagi.

– Skończyłam – obwieściła z ulgą Matylda. – Chyba wystarczy? Prawie dwie strony.

– Daj, sprawdzę ci to. – Tosiek chwycił za czerwony długopis. Myślami był wciąż daleko. Przygryzł obsadkę. – To nie był zakład – powiedział nagle.

– Co?...

– Nie było żadnego zakładu z Leonem – wyjaśnił znad kartki i poprawił literówkę.

Matylda pokręciła szybko głową.

– Nie chcę wiedzieć! To są twoje sprawy, nie wciągaj mnie w to!

– I tak już siedzisz po uszy – mruknął i wykreślił jakieś powtórzenie. – Naprawdę ci się wydaje, że Emilia się nie domyśli, skąd masz to wypracowanie?

– Nie boję się Emilii – zaperzyła się Matylda. – Boję się tylko...

– No? – zainteresował się Tosiek, bo dziewczyna zacisnęła usta i wbiła wzrok w stół, po czym sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła komórkę.

– Tego – powiedziała i podetknęła Tośkowi telefon pod nos.

Zobaczył fotografię przystojnego młodego człowieka o jasnej fryzurze Legolasa i odętych ustach, który siedzi znużony przy stole w szkolnym bufecie i gapi się przed siebie. Zdjęcie było niewyraźne, zrobione komórką pod światło, ale na swój sposób całkiem niezłe. Poświata zza okna przysłaniała młodzieńca przydymionym blaskiem, przez co jego zgrzebne odzienie nie rzucało się tak bardzo w oczy. Tosiek wpatrywał się w swój wizerunek z pełnym uwielbieniem.

– To ty zrobiłaś? – spytał.

Matylda otworzyła szeroko oczy i oburzona potrząsnęła głową.

– Nie! Nikt nie wie, kto robi te wszystkie zdjęcia! Poczytaj sobie komentarze!

Teraz dopiero Tosiek zorientował się, że zdjęcie nie pochodzi z osobistych zasobów Matyldy, ale wisi w internecie, a podpis pod nim głosi: *Nasz szkolny Justin Bieber*. Przeciągnął palcem po

ekranie i odkrył z zakłopotaniem, że zdjęcie wzbudza gorące emocje w sporym gronie nieznanym mu osób.

*Jak żywy!*

*Daje autografy?*

*Co jeszcze daje?*

*Nie napalajcie się laski, to jest dziewczyna.*

*Żartujesz!*

*Co z nią jest nie tak?*

*Zgadnij! Napisała sobie LES na piórniku.*

Skonfundowany Tosiek zerknął na swój piórnik, na którym świeża wlepka z musicalu *Hedwig* częściowo przykrywała tę z Aaronem Tveitem i napisem *LES MISERABLES*.

– Kim są ci wszyscy ludzie?

– Nie wiem. Same fałszywe profile.

– Co to w ogóle za strona? – zdenerwował się Tosiek, przytłoczony własną popularnością. A więc jednak wzbudzał zainteresowanie wśród ludu! Nie tego się spodziewał.

– Działa już od jakiegoś czasu – wyjaśniła Matylda przez ściśnięte gardło i pokazała mu adres.

– Ktoś z naszej szkoły wrzuca tam zdjęcia różnych takich... dziwaków – przełknęła ślinę. – I masa ludzi to komentuje, ale nikogo z nich nie kojarzę. Ostatnio było sporo o tobie. Ten ktoś się chyba na ciebie uwziął.

– Na mnie? – prychnął Tosiek. – Przecież ja nikomu nie dokuczam. – Czując się odrobinę nieswojo, przewinął stronę i przejrzał pozostałe zdjęcia. Grubi, gorzej ubrani, okularnicy – właściciel strony nie oszczędzał nikogo. Zdumiał się, gdy na jednym ze zdjęć rozpoznał także Matyldę, konsumującą banana. Na zdjęciu wyglądała głupio, to fakt, ale komentarze pod spodem były wyjątkowo podłe.

– Nikt tego nie zgłosił?

– Gołych cycków nie ma, zdjęcia są niewyraźne, jak kogoś nie znasz, to nie rozpoznasz. Nie ma podstaw – powiedziała zdławionym głosem Matylda i wyłączyła telefon. – Emilia też się boi, że tam w końcu trafi.

W Tośku wzbierało oburzenie i poczucie krzywdy. Jakiś tchórzliwy łajdak narażał na szwank jego dobre imię, a on nie mógł z tym nic zrobić. Czuł się gotów do walki – prosił bardzo, nawet w tej chwili! – ale stał sam jak palec na placu boju. Nie był przygotowany na taki obrót sytuacji. Pożądał ostatecznej rozgrywki z siłami zła, nie mdlawego smaku wyższości moralnej. Co mu po świadomości, że stoi po właściwej stronie? Chciał ścigać, bić i kroić w plastry. Dobrze wiedział, że strachy, z którymi nie upora się szybko za dnia, będą go potem prześladować w nocy.

Zgnębiona Matylda wepchnęła telefon do torebki i nerwowym gestem odgarnęła włosy za ucho. Tosiek oderwał się od własnych myśli i posłał jej krzepiący uśmiech.

– Coś wymyślę – powiedział z przekonaniem. Fakt, że oto ma przed sobą klasyczne wcielenie damy w opałach, pobudził jego wyobraźnię. Matylda nie wyglądała na przekonaną, ale Tosiek wiedział lepiej. Wyprostował się i wypiął chudą pierś. – Jeszcze zobaczysz!

Na ostatniej lekcji nawet nie próbował nadażać za usypiającym głosem profesor Koziółek. Temat zajęć – anachronizmy w literaturze – wydał mu się, no cóż, anachroniczny. Tosiek od dawna mieszał swobodnie style, epoki i rekwizyty w swoich własnych utworach i nawet mu do głowy

nie przyszło, że istnieją w tej kwestii jakieś oficjalne wytyczne. Nie widział powodu, by zaśmiecać sobie nimi pamięć. Wyrozumiale przyjął do wiadomości, że oto szkoła raz jeszcze nie nadała za za rzeczywistością, i ukryty za plecami kolegów wlaźł do sieci. Zalogował się na swoje konto z fanikami. Grono fanów jego twórczości liczyło sobie już kilkaset osób z całego świata i domagało się nowych arcydzieł. Nie bardzo wiedział, jak ma im wszystkim wytłumaczyć, że ostatnie wydarzenia zbyt go rozproszyły, by mógł pisać. Kilka razy wystukiwał i kasował swój komentarz, zdenerwowany dodatkowo historią ze zdjęciami robionymi mu ukradkiem. Gdzieś – może nawet w jego własnej klasie – siedział jakiś zaburzony osobnik i z braku rozrywek umilał sobie czas ponizaniem innych. Ta świadomość działała na niego alarmująco, jak sygnał świetlny na Bruce'a Wayne'a. Musiał coś z tym zrobić. Obiecał!

Znów skasował swoją wypowiedź przed wysłaniem. Zastanowił się. Może fani coś wymyślą? Opisał im zwięźle sytuację. Gdy wreszcie wysłał komentarz w świat, zrobiło mu się dużo lżej, jakby zrzucił z ramion przynajmniej małą część odpowiedzialności za pomyślność wszechświata. Odetchnął.

Tymczasem profesor Koziółek zarządziła ćwiczenia praktyczne.

– Pomęczymy Tuwima – oznajmiła z dobrotliwym uśmiechem przedszkolanki. – Tu są fragmenty niektórych jego wierszy. Kto ma ochotę się pobawić? Proszę przekształcić któryś z utworów tak, by zawierał anachroniczne nawiązania do naszych czasów. Kto pierwszy?

Grono klasowych literatów wyraziło entuzjazm, pozostali uczniowie usilnie starali się być niewidzialni. Znudzony Tosiek oparł brodę na ławce i schowany przed wzrokiem profesor Koziółek sprawdził jeszcze pocztę i powiadomienia. Osowiwały odliczał czas do końca lekcji.

– Stoi na stacji ekspres do Wrześni, spóźnił się tylko minut trzydzieści?

– Bardzo ładnie, kto następny?

– Tak się zawzięli, tak się nadęli, że całą rzepkę na kredyt wzięli!

– Pięknie, kto jeszcze? Kto jeszcze? – profesor Koziółek odkryła w sobie powołanie kaowca.  
– Może Konrad?

Tosiek uniósł brew i zerknął ponad ramieniem na zdeorientowanego Konrada. Profesor Koziółek podała mu kartkę z wierszami. Chłopak odgarnął grzywę sprzed oczu, wyraźnie grając na czas.

– Lecz mama kocha swojego synka – wygłosił grobowo i urwał. – Kocha swojego synka – powtórzył i niespokojnie rozejrzał się po klasie w poszukiwaniu natchnienia. Jego wzrok zahaczył o Tośka, który przyglądał mu się z obłudnym współczuciem. Konrad zmrużył oczy i wypalił z triumfem: – Choć się urodził jako dziewczynka!

Huragan śmiechu rozniósł się po klasie i Tosiek nie musiał się nawet rozglądać, by wiedzieć, że wszyscy patrzą na niego. Zapłonęły mu policzki. Konrad usiadł, grzywa znów spadła mu na oczy i Tosiek nie mógł dociec, czy Konrad dokuczył mu celowo, czy po prostu nie mógł znaleźć rymu. Czy to ważne? Konrad nigdy nie wzbudzał jego sympatii, a teraz miał wreszcie powód, by wyrazić to otwarcie. Poczekał, aż ucichną ostatnie chichoty.

– Och, spadaj – powiedział bardzo głośno i wyraźnie. – Przecież wiesz, że ja nie mam mamy.

W klasie zapadła martwa cisza, jak przed wywołaniem do odpowiedzi.

– Konrad na pewno nie chciał cię obrazić – pospieszyła profesor Koziółek. – Prawda, Konrad? Zwrócił tylko uwagę na ten twój nowy... styl.

– Ja się jego grzywki nie czepiam – fuknęła Tosiek.

– Nie leż na ławce – zwróciła mu uwagę profesor. – Nie ma sensu brnąć w tę dyskusję. Przyjmijmy po prostu, że choć każdy może się ubierać tak, jak mu się podoba, musi też być

gotowy na konsekwencje. Wracamy do zajęć...

– Jakie konsekwencje? – rozległo się w klasie. Tosiek odwrócił głowę. Matylda! Nie wierzył własnym uszom, publicznie odważyła się na dywersję. – Przecież Tosia nie narusza regulaminu ani nic.

– Regulamin regulaminem, a zasady zasadami – wypowiedziała się z serca profesor Koziółek.  
– Ja was nawet rozumiem, dziewczynki. Moda. Też starałam się za nią podążać, gdy byłam w waszym wieku. Dziś nie mogę patrzeć na swoje zdjęcia z tamtego okresu. Nie popełniajcie tego błędu, dziewczęta. Jesteście piękne, ubierajcie się pięknie, bo teraz jest wasz czas.

Tośkowi, do którego skierowane było to przemówienie, zadymiło z uszu, ale nim zdążył się wypowiedzieć, do rozmowy niespodziewanie wtrąciła się Kaśka, przewodnicząca klasy:

– Przecież to jakieś... głupie. Głupie podejście. Anachroniczne. Gdyby Tuwim napisał coś takiego w wierszu, kazałaby nam pani wymyślać nowe wersy.

– O, właśnie – padło z sali.

– Nie wiem, o co wam chodzi – zirytowała się nieznacznie profesor Koziółek. – Przecież widzę, że jesteście wszystkie umalowane i poubierane jak na randkę.

– Ale to nie nakaz – odezwał się jeszcze ktoś. Tosiek zrobił wielkie oczy. Emilia też uznała za stosowne wypowiedzieć się w tej ważkiej kwestii! – Ja się maluję, bo tak lubię, ale jak któregoś dnia coś mi odbije i będę chciała przyjść do szkoły ubrana jak menel – tu Tosiek poczuł na sobie ukłucie jej drwiącego spojrzenia – to przyjdę i chciałabym bardzo, żeby się mnie wtedy nikt nie czepiał.

– Regulamin... – powiedziała zdenerwowana profesor Koziółek.

– Regulamin nic nie mówi na ten temat – powtórzyła Matylda. – Przeczytałysmy cały w zeszłym roku.

– A, tak – przypomniała sobie Kaśka. – Kiedy Urszula złamała sobie nogę na schodach.

– Dyrektor chciała wtedy zakazać noszenia wysokich obcasów.

– Pisałyśmy petycję z tej sprawie.

– Że to by była dyskryminacja.

– Słucham? – wyrwało się profesor Koziółek.

– A co, jeśli ktoś ma w domu wyłącznie, ale to wyłącznie buty na obcasie? – spytała retorycznie Emilia. – Musiałyby sobie kupować nowe, a może go na to nie stać!

Profesor Koziółek przestała nadążać za dyskusją. W ogólnym hałasie, który się podniósł, ponieważ nagle każdy chciał się wypowiedzieć, tylko Tosiek siedział cicho. Nie był na tyle głupi, by przypuszczać, że dziewczęta wzięły go w obronę z sympatii – ot, miały okazję wykazać profesorce błędy w rozumowaniu, więc to robiły, dla czystej satysfakcji płynącej z pogębienia nauczyciela. Ledwo wyjdą z klasy, zapomną o całej sprawie i znów zostanie sam. Ale jakoś lżej zrobiło mu się na sercu.

Zerknął na Konrada, który ponuro wpatrywał się w blat ławki. Nie lubił typka – teraz wiedział, że z wzajemnością. Może to dlatego, że odwiódł Leona od pomysłu z przeprowadzką?...

– Mieszkaś z tym ponurakiem Konradem czy nie? – spytał Tosiek bez ogródek, gdy tylko udało mu się przydybać Leona. Musiał w tym celu porzucić swoje rzeczy i przepchnąć się przez pół szatni, gdy głowa Leona mignęła mu gdzieś w oddali wśród tłumu.

Leon rzucił dwa szybkie spojrzenia na boki.

– Skąd – wyszemrał. – Nie miałem głowy do tego. O co chodzi? Chyba nie łazisz za nim i nie

męczysz go tą sprawą?

– Nie.

– A jak leci ogólnie?

– Wywiad cię jeszcze nie poinformował?

Leon posłał ciężkie spojrzenie.

– Ciebie pytam.

Tosiek już otwierał usta, by opowiedzieć o zdjęciach w internecie, gdy przemknęła mu przez głowę szybka, niepokojąca myśl. Ponury, zawsze skwaszony Konrad. Zjadliwe komentarze pod zdjęciami. Czyżby?... Ależ bzdura, Leon nie zadawałby się z psychopatą. Zmieszany Tosiek stracił wątek i zamruczał coś pod nosem.

– Słucham?

– Myślę, że ogólny bilans wychodzi na zero – powiedział ostrożnie. – Jestem dobrej myśli. Wracasz już do domu?

– Nie, tylko przyszedłem po telefon, bo zostawiłem w kurtce. Mamy dziś próbę aż do wieczora.

– Jakoś nie tryskasz entuzjazmem.

– Nie było mnie na próbach przez cały tydzień – wyjaśnił Leon sucho. – Witold wyrzucił wszystko do góry nogami, po naszej koncepcji nie ma już czego zbierać. Czekam tylko, aż będzie po wszystkim i będziemy mogli mu powiedzieć, żeby spieprzał.

– Ale za to spędzisz pół dnia na płąsaniu z chłopakami, nawet przyzwoitki ci nie potrzeba!

Znów to ostrzegawcze spojrzenie.

– Przymknij dziób.

– Wiem, wiem, cześć – zagderał Tosiek i przepchał się z powrotem przez rzedniejący już tłumek po swoją kurtkę i torbę. Przyszło mu do głowy, że świat byłby doprawdy znacznie piękniejszy bez osobników takich jak Konrad. I Emilia. I profesor Koziołek. Zawahał się przez moment, nim doliczył ciocię Idalię. Była diabłem wcielonym, ale obiady gotowała pyszne.

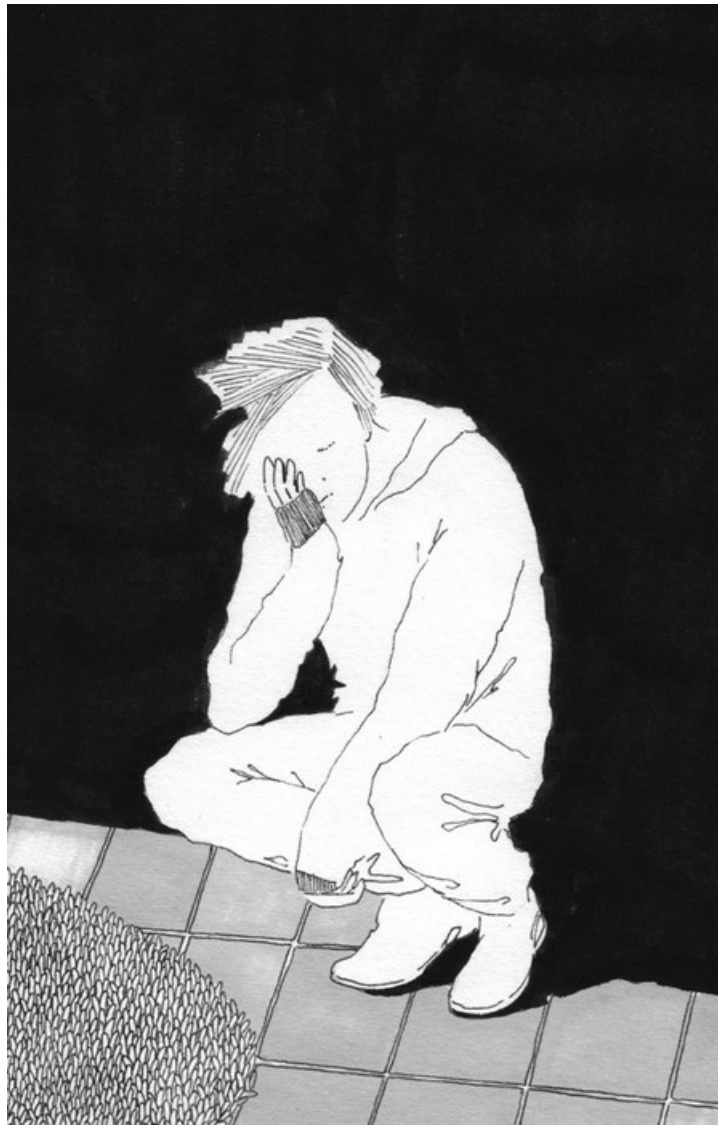
W spożywczym za pieniądze od taty kupił chleb, paczkę pierogów ruskich i solidny kawałek boczku na skwarki. Kiedy stał z koszykiem w kolejce do kasy, pomyślał przelotnie, że mógłby się kiedyś przemóc i przygotować tacie prawdziwy obiad, taki z przepisu. Tata tyle ostatnio przeszedł. Należy mu się.

Ledwie wyszedł ze sklepu, zapomniał o swoim pomysle, pozwalając, by fantazje przejęły nad nim kontrolę. Musiał w końcu rzucić czytelnikom jakiś nowy fanfik na pożarcie. Z słuchawkami na uszach, pieśnią na ustach i głową w obłokach pomknął do domu. Jego wyobraźnia, przytłoczona ostatnio rzeczywistością i skurczona jak orzeszek, działała znów na pełnych obrotach. Zatopiony w fantasmagoriach przewijających mu się w głowie dotarł do domu, rzucił torbę na ziemię i odniósł pierogi do kuchni. Tą częścią świadomości, która działała na autopilocie, przypomniał sobie, że ma gdzieś w torbie niedojedzone resztki śniadania, więc jak we śnie wrócił, przykląkł i otworzył ją.

Jego palce ugrzęzły w dziwnej, białawej mazi.

Wydał z siebie stęknienie pełne obrzydzenia. Całe wnętrze torby zalane było tym czymś, wszystkie książki i zeszyty. Zamrugął, z trudem powracając do rzeczywistości. Co to miało być, u diaska? Przyjrzał się z bliska i wtedy zauważył krzywy napis na wewnętrznej stronie skórzanej klapy, nagryzmołony niebieskim długopisem:

CHCESZ TEGO WIĘCEJ W SOBIE, MAŁA?



## ROZDZIAŁ XIV

Tosiek z osłupieniem wpatrywał się w napis. Spojrzał na własne dłonie. Znowu na napis. Wreszcie z opóźnieniem pojął, na co patrzy, i rozcapierzając palce, wrzasnął ze wstrętem. Popędził do łazienki i hamując atak mdłości, wsadził ręce pod strumień gorącej wody. Wyszorował je mydłem. Wydawało mu się, że śliska maź wciąż lepi mu się do palców, więc wyszorował je jeszcze raz, szczoteczką do paznokci. Oddychał ciężko, serce obijało mu się w klatce piersiowej jak bęben w zepsutej pralce. Przekręcił zamek w drzwiach, usiadł na skraju wanny i zacisnął dłonie w pięści. Drżały. Zacisnął je mocniej.

Siedział tak dłuższy czas, sparaliżowany obrzydzeniem. Błoto z jego śniegowców spływało na podłogę i rozlewało się brudnymi strużkami wzdłuż fug. Oszołomiony myślał tylko o tym, że pierogi rozmrażają się na stole w kuchni, a żadna siła na świecie nie zmusi go teraz, by wyszedł z łazienki. Wyobrażał je sobie z hiperrealistyczną dokładnością, bo to był jedyny sposób, żeby nie myśleć o torbie z książkami i jej aktualnej zawartości. Starał się uspokoić oddech i opanować mdłości.

Już lepiej. Już prawie dobrze.

Nie, wcale nie.

W końcu Tosiek ochłonął na tyle, by trzepnąć się mentalnie po twarzy i nakazać sobie spokój. Głupia Tośka i jej paniczne odruchy. Dość już tego, dość. Wciąż drżały mu ręce, gdy otwierał drzwi, ale nie pozwolił sobie na wahanie. Ostrożnie wystawił nos poza łazienkę. Zdawał sobie sprawę z tego, że zachowuje się irracjonalnie – był przecież w domu, bezpieczny.

Tylko czy naprawdę? Dotąd zdawało mu się, że jest nietykalny, że jedyną osobą, która może mu naprawdę zaszkodzić, jest on sam. Szepty za jego plecami, chichoty i plotki psuły mu humor, owszem, komentarze w internecie rozżłościły go, ale ani przez chwilę nie obawiał się, że ktoś mógłby go naprawdę skrzywdzić. Aż do teraz.

Zdjął śniegowce i odstawił na półkę. Znalazł szmatę i wytarł podłogę w łazience. Schował pierogi do zamrażarki. Zebrał się w sobie i podszedł wreszcie do torby, która wciąż stała na podłodze przy drzwiach wejściowych. Przemógł się i przykląkł przy niej. Spojrzał jeszcze raz na krzywe kulfony na kłapie. Ktoś się bardzo spieszył.

Tosiek ostrożnie wyjął jeden ze zniszczonych zeszytów. Maź zapachniała dziwnie znajomo. Przemógł się i powąchał ją, przełykając łyzy wstrętu i upokorzenia.

Jogurt. Zwykły jogurt. Ktoś zalał mu książki jogurtem. Ktoś zrobił mu obrzydliwy dowcip. Komuś bardzo zależało, by poczuł się właśnie tak jak przed chwilą – słaby i upokorzony. Komuś nie wystarczało już dokuczanie na odległość.

Wciąż klęcząc na podłodze, Tosiek wyciągał z torby kolejne zeszyty i kartka po kartce ostrożnie osuszał je papierowymi ręcznikami. Notatki na szczęście ocalały, ale same zeszyty, spuchnięte i pofalowane, wyglądały, jakby się z nimi kąpał. Skończył z nimi i zabrał się za podręczniki. Wycierał kolejne strony i z każdą kartką jego wzburzenie coraz bardziej krzepło, krystalizując się w zimny gniew. Ciocia Idalia wpajała mu zawsze szacunek do książek. Nie pamiętał już, ile razy oberwał po łapach z powodu zaginania rogów, ilu kazań wysłuchał, przyłapano na czytaniu podczas jedzenia. Oczywiście nadal zaginał rogi i czytał przy jedzeniu, ale chodziło o zasadę. Nie robiło się takich rzeczy książkom, nie i już. Kto mógł być aż takim psycholem, by dla

rozrywki niszczyć mu podręczniki? Dotychczas wydawało mu się, że to on jest najbardziej postrzelonym osobnikiem w całej szkole; najwyraźniej doczekał się mocnej konkurencji.

Bał się tego pomyśleń, ale jeszcze bardziej własnego strachu. Kiedy się bał, nie panował nad sobą, a kiedy ostatnim razem przestał nad sobą panować, wylądował na parapecie okna. Pilnował więc oddechu i trzymał krótko swoją wybujałą wyobraźnię, nie pozwalając sobie na wymyślanie żadnych paskudnych scenariuszy. Czas mijał, zegar tykał, Tosiek niecierpliwie wyczekiwał powrotu taty i zastanawiał się, czy powiedzieć mu o wszystkim. Tak byłoby pewnie najlepiej, tylko...

Oparł się plecami o ścianę przedpokoju i otoczył kolana ramionami.

...tylko że się wstydził.

Po dziecinnemu wstydził się prostackiej sugestii zawartej w gryzmołach na torbie. Osobiście nie przejmował się nią aż tak bardzo. Gdy już minął mu szok, natychmiast spostrzegł tanią teatralność triku z jogurtem. Ktoś chciał go przestraszyć i wykoncypował sobie, że w ten sposób zrobi to najskuteczniej. Punkt za pomysłowość, Tosiek jednak nie miał zamiaru poddawać się hysterii. Miał za to stuprocentową pewność, że po zapoznaniu się z materiałem dowodowym tata dostanie co najmniej migotania przedśionków. Zawsze podczas wspólnego oglądania filmów tata w panice szukał pilota, gdy leciały „momenty”. Podczas zakupów mówił „te twoje przybory”, bo straszne słowo „podpaski” nie mogło mu przejść przez gardło. W oczach Tośka, który z niejednego źródła fanfiki czerpał, tata jawił się jako istota, której niewinność i cnotę należy chronić w pierwszej kolejności.

Tosiek westchnął ciężko. Znów wszystko na jego barkach. Przyszło mu do głowy, że mógłby porozmawiać z Leonem, ale zawahał się tuż przed wybraniem połączenia. Leon na pewno spyta, kogo Tosiek podejrzewa w pierwszej kolejności. Tosiek mu odpowie, Leon się obrazi, po co to komu?

Dioda w komórce zamigotała znacząco. Sprawdził powód – skrzynkę zalewała fala powiadomień o nowych komentarzach pod ostatnim fanfikiem. Czytelnicy najwyraźniej przejęli się jego kłopotami, wyrażali współczucie i oburzenie, żądali nowych szczegółów. Tosiek był wzruszony. Ktoś jednak przejmował się jego losem! Po namyśle wkleił im link do zdjęcia, które pokazała mu Matylda. Komentarzy i tak nie przeczytają, bo nie znają języka, a co do zdjęcia... Skrycie uważał, że wygląda na nim nader korzystnie. Jego znękana duszyczka łaknęła bardzo odrobiny ciepła, a cóż może być przyjemniejszego niż komplement albo dwa?

Kiedy Marcin wrócił z pracy, zastał Tośka zroszonego potem, wijącego się na dywanie w swoim pokoju.

– Skurcz mnie złapał – wyjaśnił Tosiek przez zęby, rozmasowując łydkę.

– Aha. Co tam w szkole?

– Nic – burknął Tosiek. – Czy mamy w domu hantle? Dałbym głowę, że mieliśmy.

– Są w piwnicy. Chcesz wyglądać jak enerdowska pływaczka?

– Jak co? – spytał rozkojarzony Tosiek. – Dlaczego w piwnicy? Dlaczego ty nie ćwiczysz? To dobre dla zdrowia.

– Muszę zjeść obiad – powiedział szybko Marcin. – Kończ już te wygibasy i siadaj do lekcji.

Poszedł do kuchni i ugotował pierogi, a obok na patelni podsmażył sobie skwarki z cebulą. Jego myśli tęsknie nawracały do telefonu, który wyłączył zaraz po wejściu do mieszkania. Już kilka dni temu postanowił, że nie będzie więcej przynosił pracy do domu, nie przewidział tylko, że po tygodniowym urlopie z jego firmy pozostaną popiół i zgliszczka. Nie skończył remontu na



czas i klient kazał mu się wynosić, ekipa się rozpadła, kolejnych zleceń nie było. Wiedział, że wszystko jest jeszcze do uratowania, gdyby tylko mógł usiąść i spokojnie podzwonić do swoich ludzi. Już pewnie byli w domach; inaczej się rozmawia, gdy człowiek nie przerywa im w robocie. Gdyby tylko mógł...

Już chciał sięgnąć do kieszeni, gdy w drzwiach kuchni stanął Tosiek, zwabiony zapachem skwarek.

– Ja też jeszcze nie jadłem – wyjaśnił i wyciągnął sobie talerz z szafki.

– Po prostu nie chciało ci się samemu gotować, co?

Tosiek prychnął z oburzeniem i wytrząsnął sobie na talerz dwie trzecie pierogów z durszlaka. Sięgnął po patelnię ze skwarkami.

– Weź wszystkie – mruknął Marcin. – Ja i tak nie powinienem tego jeść.

Tośkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Marcin z rezygnacją wygarnął na swój talerz resztę pierogów i usiadł przy stole.

Tosiek zasiadł po przeciwnej stronie i zaczął zmiatać obiad z talerza z imponującą szybkością, ale bez szczególnej uwagi. Znów nad czymś rozmyślał, spojrzenie miał szkliste. Marcin zanotował w pamięci, by na przyszłość gotować wszystkiego dwa razy więcej. Podsunął Tośkowi kubek z kwaśną śmietaną.

– Chcesz też?

Tosiek spojrział na śmietanę i jakby wzdrygnął się nieco.

– Ble. Nie, dzięki.

Marcin nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś nie jest w porządku. Do dziecka bujającego w obłokach był przyzwyczajony, ale z reguły dziecko zdawało się wtedy przebywać w jakimś lepszym świecie, uśmiechało się do własnych myśli i nuciło sobie pod nosem. Gdziekolwiek przebywał dziś Tosiek, było to miejsce ponure i przygnębiające. Tosiek wzdychał, krzywił się i nerwowo drapał po nosie.

– Coś cię gryzie? – spytał w końcu Marcin, odsuwając pusty talerz.

Tosiek zerknął na niego z popłochem.

– Życie – wyjaśnił oględnie. – Poniedziałek.

– A, rozumiem. – Z tym rodzajem bólu istnienia Marcin jak najbardziej się utożsamiał. Sam też był zmęczony i zaczynała go boleć głowa. – Jakiś sprawdzian? A może ktoś ci dokuczał?

Tosiek zatrzepotał powiekami i wepchnął sobie kawałek pieroga w usta.

– Wszyscy wszystkim dokuczają – wybełkotał. – Na tym polega szkoła, tato. Zostały jeszcze jakieś pierogi?

– Nie. – Marcin natychmiast zapomniał o temacie rozmowy, zdjęty poczuciem winy, które z różnym nasileniem dokuczało mu, odkąd stał się osobą odpowiedzialną za aprowizację. – Mogę zrobić jajecznicę albo naleśniki.

– Ych, nie. Pójdę się uczyć.

– Talerz – przypomniał mu Marcin.

Tosiek zawrócił już od drzwi i z wymownym milczeniem niewolnika zabrał swój talerz ze stołu. Upchnął go w przepełnionej zmywarce i chyłkiem przemknął do wyjścia.

– Widziałem to – odezwał się Marcin, masując sobie skronie. – Miałeś opróżnić zmywarę zaraz po przyjściu ze szkoły. Umawialiśmy się.

Tosiek zamruczał pod nosem jakieś niezidentyfikowane wyrazy i zaczął wyładowywać czyste naczynia do szafek, robiąc przy tym ogromnie dużo hałasu. Marcin usilnie starał się to ignorować. Kiedy jednak Tosiek trzasnął drzwiami od szafki tak, że zadźwięczała w niej cała

zastawa, Marcin nie wytrzymał.

– Głowa mi pęka, możesz to robić odrobinę ciszej?

– Staram się – fuknął Tosiek ze złością. – Im bardziej się staram, tym bardziej mi wszystko nie wychodzi.

– Wszystko?

Tosiek łupnął garnkiem o dno szuflady i zamknął ją z hukiem, którym przyprawił Marcina o małą eksplozję wewnątrz czaszki.

– To do niczego nie prowadzi – wycedził Marcin, z trudem hamując gniew. – Nie możesz po prostu powiedzieć, o co chodzi? Mnie też nie jest łatwo. Dorośnij wreszcie.

Wydawało mu się, że rozgrywa ten konflikt jak podręcznikowy rodzic, spokojnie i bez krzyków, cóż jednak z tego, skoro Tośkowi daleko dziś było do podręcznikowego dziecka. Poczzerwieniał ze złości i nadął się jak balon.

– Kiedy wszyscy dorastali, ja brałem prochy, wiesz – wyjaśnił wściekłym falsetem. – Może dlatego jestem trochę opóźniony.

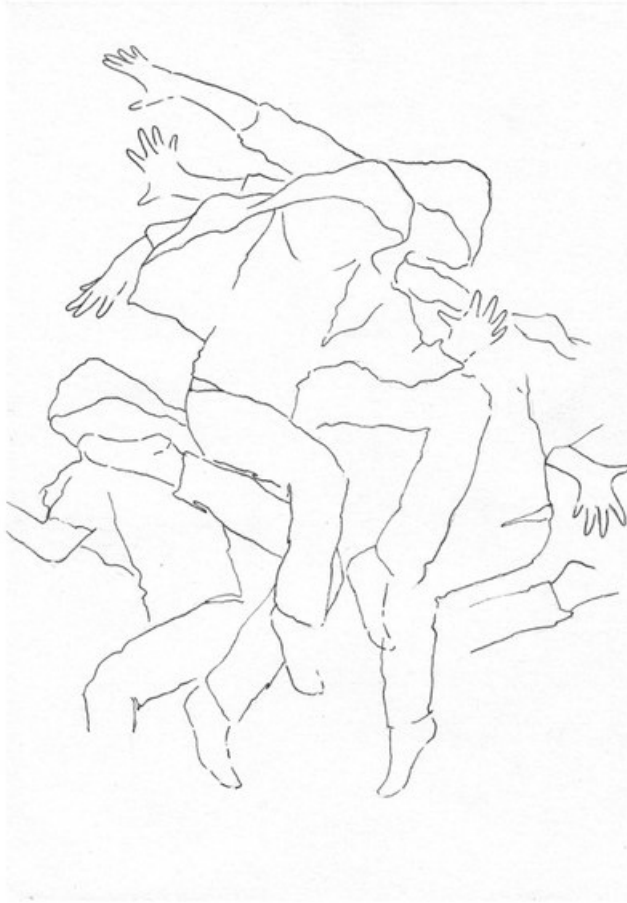
Marcin skrzywił się, jakby mu ktoś przyłożył w żołądek. Tosiek zagryzł wargi.

– Idę odrabiać lekcje – wymamrotał i podejrzenie szybko opuścił kuchnię.

Marcin miał wielką ochotę zostawić go w spokoju, ale wewnętrzny przymus, ten, który kazał mu wstawać co noc i sprawdzać, czy Tosiek śpi, ten sam imperatyw nakazał mu teraz wstać z za stołu i pójść za dzieckiem.

Dziecko tkwiło za biurkiem naburmuszone i gniewne, z nosem w wymiętym zeszyście.

– Jestem, jestem – powiedziało ze złością. – Nigdzie nie wyskakuję. Jeśli będę chciał wyjść, wiem, gdzie są drzwi.



## ROZDZIAŁ XV

Następnego poranka Tosiek wygrzebał z dna szafy plecak rowerowy, a na jego miejsce upchnął zniszczoną torbę, woniejącą przetrawionym nabiałem. Spakował zeszyty i z plecakiem na ramieniu poszedł przygotować sobie drugie śniadanie. Słyszał, że tata krząta się po kuchni, więc człapał powoli, a zaspana głowa ciążyła mu bardziej niż plecak.

Słabo spał tej nocy. Jego myśli krążyły wokół anonimowego wandalę i sprzeczki z tatą. Głupio zrobił. Musiał przyznać sam przed sobą, że wyżył się na tacie z powodu przykrości, której doznał od kogoś zupełnie innego. Postąpił niehonorowo i w dodatku lekkomyślnie, ryzykując naruszeniem tego kruchego stanu równowagi, który udało im się wypracować. Tata przynajmniej próbował zachować spokój, a on sam znowu nie panował nad sobą, jak dziecko! Z drugiej jednak strony świadomość, że tata tak się stara, działała na niego kojąco. Przynajmniej wiedział, że tacie wciąż na nim zależy. A Tosiek potrzebował tej pewności jak tlenu.

Był już właściwie zdecydowany, by wybąkać jakieś niezobowiązujące przeprosiny. Trochę nie wiedział, jak się za to zabrać, bo nigdy dotąd tego nie robił. Wszedł do kuchni i zdumiał się, widząc, że tata upycha solidne pajdy chleba w jego własnym pojemniku.

– To moje pudełko!

– I twoje kanapki – mruknął tata, wyraźnie speszony. – Mogą być?

– Chyba tak – Tosiek nie był do końca pewien, czy wypada mu zgłosić weto wobec pomidora. Nie znosił go w kanapkach, robiły się od niego niedobre i rozmiękle. – Hm. Dzięki, tato.

– Pakuj je i znikaj – powiedział tata. Odchrząknął. – Wiesz, wczoraj byłem trochę zmordowany pracą. Przepraszam.

Tosiek podskoczył, jakby go ktoś ukłuł w tyłek.

– Weź przestań! Nie ma o czym mówić!

– To idź, bo się spóźnisz.

Tosiek wepchnął pojemnik do plecaka, ubrał się i wyszedł, bardzo zdenerwowany. Wyszło jakoś inaczej, niż zamierzał – tata go przeproszał! Za co, u licha? Tylko go tym rozzłościł, teraz Tosiek czuł się jeszcze gorzej niż przed chwilą, jakby kogoś oszukał albo okradł z czegoś. Wygrzebał z kieszeni słuchawki i wetknął je w uszy. Ta cała skomplikowana sfera relacji międzyludzkich z wszystkimi jej subtelnościami zaczynała go nieco przerastać. Odetchnął, gdy kaskada znajomych dźwięków zalała mu uszy, skutecznie blokując galop myśli. Oszołomiony lamentem Fantine kluczył między blokami na pół przytomny i przeżywał jej historię tak, jak nigdy nie przeżywałby własnej. Szczególnie teraz, gdy usłużna wyobraźnia podsunęła mu nowy pomysł na fanfik – o Cosette, która w jakiejś alternatywnej rzeczywistości mogła być przecież chłopcem!

Ledwo zarejestrował, że dotarł już do szkoły i że po raz trzeci przemierza bez celu korytarz.

– Co z tobą? – przestraszył się Leon, kiedy zderzyli się przed pracownią chemiczną.

– Fantine znowu umarła – wyjąkał Tosiek, przecierając mokre oczy. Zdjął słuchawki. Kakofonia krzyków, śmiechów, pisków i tupania natychmiast zaatakowała jego uszy.

– Moje kondolencje. Z tego, co się orientuję, masz teraz biologię na drugim piętrze, więc zasuway na górę.

Tosiek posłusznie powłókł się w stronę schodów. Było już po dzwonku, ale tabuny uczniów

wciąż ganiały w tę i z powrotem, wypełniając korytarze jazgotliwą wrzawą, zupełnie nieprzystającą do jego elegijnego nastroju. Natychmiast też przypomniał sobie o psychopacie, który zniszczył mu książki. On gdzieś tu był, wśród tych tłumów, może właśnie przebiegał obok.

Tosiek przysnął na bok przed hordą maturzystów, którzy przed chwilą dowiedzieli się, że czeka ich zastępstwo, w związku z czym powzięli nagły zamiar ucieczki z lekcji. Przepuścił grupkę rozchichotanych pierwszaków, zszedł z drogi chłopakom dźwigającym projektor. Nie czuł się dziś jak bohater, o nie. Dotarł pod drzwi sali od biologii i jedyne, o czym marzył, to zniknąć; założyć znów słuchawki, ustawić maksymalną głośność i dać się pochłonać uderzeniowej dawce decybeli.

Chwilowo musiał się jednak zmierzyć z tym, że wszyscy na niego patrzą. Nie, to nie było złudzenie. Najpierw kilka par oczu, potem coraz więcej, jedni uczniowie szturchali kolejnych i nim minęło kilka sekund, cała klasa gapiła się na niego mniej lub bardziej nachalnie. Zdezorientowany Tosiek potoczył wzrokiem po tych wszystkich twarzach, które naraz zwały mu się w jedną przerażającą plamę spojrzeń. O co im chodziło? Przecież nie widzieli go po raz pierwszy! Odnalazł wzrokiem Matyldę. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Co jest?... – zaczął podenerwowany.

– Pod twoim zdjęciem... – zdążyła tylko powiedzieć Matylda, zanim Emilia wciągnęła ją do sali za rękaw. Wciąż nieco zmieszany Tosiek wszedł do sali jako ostatni i znów zostało dla niego tylko puste miejsce w pierwszej ławce. Usiadł. Prawda, zdjęcie. Zdjęcie, które pokazał wczoraj swoim czytelnikom. Co z nim? Korciło go strasznie, żeby sprawdzić, ale w pierwszej ławce nie miał takiej możliwości. Gdy biolog Kowalczyk, odwrócony plecami, zaczął smarować coś na tablicy, Tosiek ostrożnie obejrzał się za siebie. Prawie wszyscy siedzieli z nosami w komórkach. Emilia czytała coś z takim przejęciem, że aż uszy płonęły jej na czerwono, ktoś chichotał, przewijając ekran. Tośka zdjął lęk. Może pojawiły się jakieś nowe, gorsze zdjęcia? Strach ścisnął mu gardło niewidzialną ręką. Do czego jeszcze zdolny był tajemniczy prześladowca?

To było najdłuższe czterdzieści pięć minut w jego życiu. Ręka go mrowiała, by sięgnąć po komórkę, Kowalczyk jednak wciąż kręcił się po klasie i rzucał podejrzliwe spojrzenia. Też wyczuł zmienioną atmosferę i bez skutku walczył o uwagę – w końcu zagroził sankcjami wszystkim, u których zauważył telefon. To jednak nie uspokoiło szeptów i szelestów. Nim zabrzmiał dzwonek, Tosiek zdążył spocić się jak mysz i kilka razy niemal zemdleć, bo serce biło mu tak, że aż ciemno robiło mu się przed oczami. Równy z dzwonkiem zerwał się z krzesła i wypadł z sali, jakby zależało od tego jego życie. Bo może i zależało? Popędził prosto do łazienki. Tylko tam, przy odrobinie szczęścia, może zdoła być choć przez chwilę całkiem sam. Udało mu się, znalazł wolną kabinę i zatrzasnął się w niej, po czym usiadł na zamkniętej klapie sedesu i wyszarpnął z kieszeni telefon.

Mylił się kilka razy, nim wpisał właściwy adres, lecz w końcu zniecierpliwiona strona załadowała się i mógł się na własne oczy przekonać, że nic się na niej nie zmieniło, nie przybyło nowych zdjęć, zamyślony efeb w aureoli światła widniał na froncie tak jak przedtem. A jednak coś było inaczej – Tosiek zauważył to dopiero po chwili.

Liczba komentarzy. Już nie kilkanaście, jak jeszcze wczoraj. Kilkaset.

Zawahał się jak przed skokiem w przepaść. Westchnął i usłyszał histeryczny szloch w tym westchnieniu.

Kliknął.

Nieprzebrane grona jego fanów obwieszczały wszem i wobec, że osobnik na zdjęciu jest ich królem. Że jest *beautiful*, *wonderful* i *awesome*. Tosiek zamrugnął z wysiłkiem, bo ściana nazwisk

z całego świata zaczęła rozmywać mu się przed oczami. W zalewie nowych komentarzy wypowiedzi anonimów rozplynęły się jak psie odchody w potokach deszczu. Tosiek przełknął łyżę wzruszenia. Może i czuł się dziś podle, ale przynajmniej miał za sobą cichą armię przyjaciół, którzy choć nigdy nie widzieli go na oczy, byli w stanie wygrywać dla niego bitwy, przynajmniej na tym jednym froncie. Podniesiony na duchu, odetchnął i przymknął oczy. Nie jestem sam, nie jestem sam – inkantował w myślach, aż wreszcie prawie w to uwierzył.

Otworzył oczy i natychmiast zobaczył na ich wysokości znajome kulfony. Naskrobane długopisem na drzwiach kabiny, układały się w krzywy napis:

SMAKOWAŁO?

Tosiek odczekał, aż zabrzmiał dzwonek na lekcje, i gdy łazienka opustoszała, upewnił się, że taki sam napis widnieje na drzwiach wszystkich kabin. Nie miał sił, by sprawdzać inne łazienki, ale mógłby się założyć, że na pozostałych piętrach zobaczy identyczne bazgroły. Zapomniał całkiem, że powinien wrócić na lekcje. Miotał się po łazience jak ćma, walcząc z natłokiem myśli i zastanawiając się, co dalej. Nie miał dokąd pójść – tylko do Leona. Wiedział, że w auli odbywa się dziś próba generalna przed Dniem Niepodległości. Tylko sprawi wszystkim kłopot, ale musiał tam iść. Pewnie siedział tam też Konrad, ale nie obchodziło go to w tej chwili, chciał do Leona.

Wyszedł z łazienki i ciągnąc ręką po ścianie jak dziecko, podążył chwiejnie w stronę auli. Pchnął ciężkie drzwi i wślizgnął się do środka. Spodziewał się scen zbiorowych i rozbuchanej dramaturgii, ale jak na próbę generalną atmosfera w auli wydała mu się drętwa. Pośrodku sceny zobaczył Witolda, który dukał z pamięci jakiś dłuższy tekst. Po lewej stronie, za kolumną głośnikową siedzieli Leon, Darek i Artur i gapiąc się w kartki, z rzadka wypowiadali swoje krótkie kwestie. Wyglądali na sennych i znudzonych. Po prawej stronie podestu siedzieli naburmuszony Konrad i Sebastian z kółka historycznego.

Artur pierwszy zauważył przybysza i szturchnął Leona łokciem. Tosiek skrzywił się przepaszająco, pewien, że przeszkadza, ale Leon już szedł w jego stronę. Na scenie wszyscy się ożywili, Sebastian przeciągnął długie cielsko, Artur wyciągnął telefon i dzwonił do kogoś, Darek zaczął ukradkiem jeść batona. Tylko Konrad siedział bez ruchu i przeszywał Tośka nieprzyjaznym wzrokiem. Zirytowany Witold przerwał swój monolog.

– Ty już po lekcjach? – powiedział Leon.

– Możemy się chwilę pomigdalić? – spytał Tosiek płaczkliwie.

– Zawsze – odparł Leon i zdawkowo poklepał go po łopacie. – Muszę przejrzeć twoją playlistę, robi ci złe rzeczy z głową.

Zgnębiony Tosiek oparł czoło o jego ramię i pozwolił sobie na kilka sekund złudnego wrażenia, że ktoś inny weźmie jego smutki i przetrzuci na własne barki.

– Tośku?...

– Pójdę już – wymamrotał Tosiek. – Ale nic się nie martw, będę słuchał tylko marszów.

Ręka Leona wciąż przesuwiała się kojąco po jego plecach.

– Możesz zostać – usłyszał. – Tylko błagam, nie wchodź Witoldowi w drogę, bo ci zrobi przewrót majowy.

Wciąż nieco oszołomiony Tosiek pozwolił się zaprowadzić na proscenium. Witold rzucił mu złe spojrzenie znad kartki.

– Możemy kontynuować?

– Tak – odparł Tosiek potulnie. Usiadł na podeście obok Leona, ze szczerym postanowieniem

niezwracania na siebie uwagi. Witold podjął monolog. Miał dobry, radiowy głos, poprawną dykcję i w zasadzie na tym kończyły się jego zalety performerera. Przemówienie, nudne jak czytanka, ciągnęło się bez końca, a Witold nie miał żadnych pomysłów na jego urozmaicenie, poza rozognionym wzrokiem i mentorskim akcentowaniem każdego zdania. Tosiek ziewnął ukradkiem. Zauważył, że udział pozostałych aktorów w przedstawieniu jest czysto symboliczny. Co parę akapitów Witold dramatycznie zawieszał głos, a wtedy któryś z chłopaków znudzonym głosem zadawał retorycznie brzmiące pytanie, na które Witold z namaszczaniem odpowiadał przez kolejne kilka minut.

– Czy nie na próżno oddaliśmy swoje życie? – wyziewał Leon, a Tosiek wyszperał z plecaka telefon i słuchawki. Wetknął je w uszy, ale zanim na powrót oddał się Schönbergowi, jeszcze raz sprawdził komentarze pod zdjęciem. Nadal ich przybywało, a kiedy zaczął się tak w nie wczytywać, poczuł, że znów się poci. Nagle zrozumiał chichoty w klasie i płonące uszy Emilii.

Któryś ze szczególnie oddanych fanów wkleił w komentarzu link do jego fanfików.

Zmartwiały Tosiek pojął, że już nigdy w życiu nie wróci do klasy, nie spojrzy w oczy tym ludziom. Przeczytali jego opowiadania! Łudził się, że bariera językowa okaże się nie do przeskoczenia dla jego kolegów, ale w końcu umieli chyba używać translatorów? Siedzieli sobie teraz gdzieś i na pewno szydzili z niego, z jego naiwnych snów o potędze i nieobyčajnych romansideł.

Otworzył usta, żeby poskarżyć się Leonowi, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że po pierwsze miał nie przeszkadzać, a po drugie Leon nic nie wie o jego ostatnich przygodach. Może lepiej mu nie mówić? Tosiek był już wystarczająco zakłopotany swoim zachowaniem. Przed chwilą prawie całkiem się rozkleił na oczach całego zespołu i to z powodu głupich gryzmołów w łazience. Powinien raczej wziąć się w garść i sam rozwiązywać swoje problemy, a nie co chwila wyplakiwać się komuś na ramieniu, jak baba.

– Czy przyszłe pokolenia będą o nas pamiętać? – wydukał Leon.

– Co za bełkot – szepnął Tosiek.

Leon zeszywniał nad kartką.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– O czym był wasz scenariusz, zanim Witold namieszał?

– O rogalu. Bądź cicho.

– Słucham?

– Świętomarcińskim. Który leży samotnie na talerzu w pokoju nauczycielskim i martwi się o swoją niepodległość.

Tosiek przyswoił tę informację bez zdziwienia. Nie takie fabuły konstruował na poczekaniu.

– Ty to wymyśliłeś?

– Skąd. Artur wymyśla takie rzeczy, ja jestem tylko wierszokletą do wynajęcia. Chciał mieć pretekst, żeby sparodiować kilku nauczycieli. Głupie, ale ludziom by się podobało.

– No myślę, że bardziej niż to głędzenie. Jak mogliście w ogóle pozwolić...

– Cicho – burknął Leon, bo Tosiek szeptał już zbyt świszcząco. – Nie było mnie na próbach przez cały tydzień, a Artura łatwo przegadać. Teraz już za późno, żeby to wszystko odkręcić.

Tośkowi wydłużyła się twarz.

– Więc to przeze mnie.

– Będą inne przedstawienia – Leon zakosami umknął przed odpowiedzią. – Trzeba to po prostu przeżyć i iść dalej.

– Czy ja wam przeszkadzam? – spytał Witold, zaglądając za kolumnę.

– Już nie będziemy – zaszemrał Leon ugodowo.

– Skąd – zawtórował mu Tosiek, wzburzony w jego imieniu. – Tak się tylko dopytuję o różne rzeczy, bo nie do końca rozumiem koncepcję. Waga tematu trochę mnie przerosła.

Witold przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Możesz wziąć część tekstu, jeśli chcesz – powiedział. – Brakuje nam kogoś do roli sanitariuszki.

– Po moim trupie!

– Wszyscy i tak jesteśmy trupami – wyjaśnił z boku Artur. – Polegliśmy w obronie ojczyzny, a Witold podnosi nam pośmiertnie morale.

Tosiek zagapił się na Witolda z pewnym śladem szacunku w oczach.

– Wystawiacie spektakl o zombie? – zapytał oczarowany, ignorując fakt, że Leon szarpie go za rękaw. – Wiem, że już za późno... Ale to by tak świetnie wyglądało, gdyby chłopaki na koniec zatańczyli w tle do *Thrillera*, a ty byś wyszedł i zaśpiewał *Pusty stół i puste krzesła*!

Witold przez chwilę milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Skończmy to wreszcie – odezwał się w końcu.

– To byłby hit – szepnął Artur.

Leon milczał.

Tym razem Tosiek karnie odczekał, aż Witold do końca swojego monodramu. Kątem oka widział zasępiiony profil Leona pochylającego się nad kartką. Współczuł mu bardzo z powodu zepsutego przedstawienia i nie bardzo mógł się pogodzić z faktem, że to z jego powodu Leon opuścił tyle prób, nade wszystko jednak mierzła go pojednawcza postawa i łatwość, z jaką Leon zaakceptował porażkę. Niby wiedział, że Leon nade wszystko pragnie być lubiany i gdy tylko może, unika konfliktów, nagle jednak zaczęło mu to przeszkadzać. Leon zasługiwał na więcej.

Witold wypowiedział swoje ostatnie zdanie, położył rękę na sercu i utkwiał natchniony wzrok w zielonym oznaczeniu drogi ewakuacyjnej przytwierdzonym nad drzwiami auli. Za jego plecami rozległy się gorące oklaski Konrada.

– A ten znowu co? – zirytował się Tosiek. – Czy on sobie kpi z niego, czy z nas?

Leon zerwał się z miejsca i pobiegł za kulisy, skąd po chwili wrócił z butelką wody mineralnej. Pociągnął spory łyk. Tosiek zauważył, że paznokcie Leona są połamane i jakby brudne, co sugerowało naprawdę głęboki kryzys.

– Pokłóciliście się? – spytał z nadzieją.

Leon wytrąbił pół butelki, odstawił ją i wytarł usta.

– O co? – dopytywał się Tosiek.

– O nic.

– To czemu on siedzi tam, a ty tu?

– Taka koncepcja reżysera.

– Witold was rozsadził?

Leon zwrócił się ku Tośkowi tak, jakby chciał go udusić i w ostatniej chwili zmienił zdanie. Rozejrzał się niespokojnie.

– Przymkniesz paszczę?

– A tak, już... Zapomniałem, że jesteś w partyzantce.

– Wbij sobie to do głowy raz na zawsze.

Tosiek pokiwał głową. Witold wprowadzał właśnie jakieś ostatnie poprawki do tekstu, bazgrząc ołówkiem po scenopisie. Artur i Konrad zaglądali mu przez ramię, Sebastian z Darkiem



mocowali się ze statywem mikrofonu. Nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje pod kolumną głośnikową, i to zapewne ośmieliło nieco Leona, bo wypowiedział się wreszcie zamierającym szeptem:

– To on się pokłócił. Dał mi na urodziny śpiewnik The Clash, ale nie dałem rady niczego zagrać. Struny w tej jego gitarze były przełożone. Próbowałem mu wyjaśniać, że to dla ciebie je przełożyłem i zapomniałem zmienić, ale nie chciał mnie słuchać. Wściekł się. Musiałem je ekspresowo przekładać z powrotem. – Spojrzał z niechęcią na swoje połamane paznokcie. – Więc przepraszam cię, ale chyba nie dostaniesz gitary na weekend.

– Nie zależy mi. – Tosiek próbował jakoś oswoić się z faktem, że życie osobiste Leona właśnie legło w gruzach poniekąd z jego powodu. Nie lubił Konrada i nie potrafił powstrzymać się od podejrzwania go o różne brzydkie sprawy, z drugiej jednak strony widok Leona w tak podłym nastroju rozdzierał mu serce.

– Miałeś urodziny? – spytał miękko.

Leon nastroszył się jak wróbel na deszczu i schował głowę w ramiona.

– Dzisiaj mam.

– Dzisiaj! Wcale się nie chwaliłeś. Przygotowałem coś dla ciebie.

– Nie trzeba.

– Ale planujesz coś? Jakies przyjęcie?

– Już nie – warknął Leon ze złością.

Zaskoczony jego reakcją Tosiek skulił się i odsunął. Z Leonem było gorzej, niż przypuszczał. Co robić? Przyzwyczał się, że to on zazwyczaj jest tym nieszczęśnikiem, który potrzebuje wsparcia, opieki i rady. Wobec rozterek uczuciowych Leona był całkiem bezradny. Powinien go pocieszać? Czy pozwolić mu siedzieć w tym zajadłym milczeniu i dusić w sobie złość? I w milczeniu pogodzić się z faktem, że Leon nie zaprosił go na swoje własne urodziny, bo wolał je spędzać z potencjalnym psychopata?

Poczuł lekkie szturchnięcie w żebro.

– Przepraszam – mruknął Leon. – Trochę dziś nie jestem sobą.

– Wszyscy mnie dzisiaj przepraszają – nie wytrzymał Tosiek. – Czy ja mam „nie drażnij mnie, bo wyskoczę przez okno” wypisane na czole? Nie chcesz przyjęcia? To nie, siedź sobie w domu sam i rozpaczaj, nic mnie to...

– Przyjdiesz? – spytał Leon.

Po drugiej stronie sceny Konrad demonstracyjnie łąsił się do Witolda, wypytywał o jakies nieistotne fakty historyczne i dodatkowe wyjaśnienia. Tosiek w imieniu Leona był tym oburzony. Uważał, że Konrad powinien ponieść zasłużoną karę.

– Mogę wpaść – oznajmił łaskawie.

– Świetnie.

– Zjem obiad w domu i przyjdę, tylko... och.

– No?

Tosiek łypnął okiem pełnym rozpacz.

– Tata dał mi szlaban... i ciągle go nie odwołał. Nie wiem, czy mogę wyjść.

– Zadzwoń i zapytaj.

– A jak powie, że nie?

– To nie przyjdiesz. Ale ja mogę przyjść do ciebie.

– To może tak zrobimy...

– Dzwon – powiedział Leon, przyglądając się Toškowi podejrzliwie. – Dlaczego nie

dzwonisz?

Tosiek niechętnie wyciągnął telefon.

– Przecież dzwonię – zagderał. Co miał powiedzieć? Że ściał się wczoraj z tatą jak dziecko i nie mógł znieść myśli, że znów jak dziecko zostanie potraktowany? Westchnął i wybrał numer.

– Co jest? – tata odebrał już po pierwszym sygnale, co dodatkowo wytrąciło go z równowagi.

– Nic... To znaczy, Leon ma urodziny.

– Przekaż mu życzenia ode mnie. Coś jeszcze? Bo jestem w trasie.

– To mogę iść dziś do niego?

W słuchawce zapadła cisza, która w odczuciu Tośka przeciągnęła się zdecydowanie poza jego wytrzymałość.

– Wpadłeś do rowu?

– Bez żartów – głos taty był chłodny i daleki. – Czy na tych urodzinach będzie alkohol?

– Nie – odpowiedział Leon, nachylając się do słuchawki.

Znowu chwila ciszy.

– Przyślij mi jego nazwisko, adres i telefon kontaktowy – powiedział w końcu tata. Tosiek poczerwieniał jak rozwścieczona poziomka i już miał odpysknąć, co myśli o przejawach tak daleko posuniętej inwigilacji, ale Leon szarpnął go za łokieć i przekazał wymownym grymasem, by się uspokoił.

– Dobrze – prychnął Tosiek.

– I lepiej, żebyś punkt dziesiąta był w domu, z serca ci radzę.

– Dobrze.

– I lekcje odrób przedtem.

– Tadoo...

– I niech cię Leon potem odprowadzi albo wróć taksówką. Do widzenia wieczorem – powiedział tata i rozłączył się.

– Co za zgred – spienił się Tosiek.

Leon zachowywał dyplomatyczne milczenie, ale zaciśnięte usta drgały mu podejrzenie.

– Cieszę się, że humor ci się poprawił – fuknął Tosiek i wrzucił telefon do plecaka. Za drzwiami auli znów zabrzmiał dzwonek, i natychmiast wzmożła się wrzawa godna bandy Hunów. Tośkowi wróciła pamięć o wszystkich jego dzisiejszych nieszczęściach. – Pójdę już do domu.

– Nie masz dziś więcej lekcji?

– Nie... – skłamał i uciekł wzrokiem w stronę wielkich, zakurzonych okien auli. – Do zobaczenia wieczorem.

Tego samego dnia w okolicach piątej po południu Tosiek zmierzał w kierunku mieszkania Leona z niewielkim pakunkiem pod pachą i gotował się w środku jak mały parowóz.

Marcin wrócił wcześniej z pracy. Zjedli razem obiad, po czym rodzic oznajmił, że ma chwilę wolnego, więc odprowadzi Tośka do Leona pod same drzwi. Nie zmienił zdania, choć Tosiek, pokrzykując i prychnając, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce być traktowany jak smarkacz.

– Nie jestem żadną cholerną małą dziewczynką! – wrzeszczał z łazienki, przekrzykując szum suszarki do włosów.

– Buty wyczyść – powiedział tylko tata, gdy Tosiek, ufryzowany na sztywno pianką i wykonturowany jak adonis objawił się w progu pokoju.

– Byłem tam już miliony razy – pieklił się Tosiek, oskrobując śniegowce z zaschniętego błota.  
– Trafie bez prowadzenia za rączkę.

Tata zerknął na niego znad gazety i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Sprzątnij to potem – mruknął z roztargnieniem.

– Do szkoły też mnie będziesz odprowadzał?! – darł się chwilę potem Tosiek, przekrzykując odkurzacz, którym wyciągał resztki błota z dywanu. – To może jeszcze lekcje za mnie odrób?!

Tata, niewzruszony jak jogin, doczytał artykuł do końca i uciał sobie krótką drzemkę, a gdy Tosiek, tym razem bardzo cicho, zaczął przygotowywać się do wyjścia, tata jak duch pojawił się w przedpokoju i spokojnie sięgnął po buty.

Tosiek z zaciętą miną chwycił swój prezent – spore pudełko owinięte papierem w bałwanki – i bez słowa zbiegł schodami na dwór. Tata niespiesznie podążył za nim, zapinając po drodze kurtkę.

Szli teraz w zmierzchu przez osiedle, Tosiek nabzdyczony jak ropucha, tata dwa kroki za nim, sprężystym krokiem sportowca. Lekarz zalecił mu więcej ruchu, to prawda, ale czy ten ruch musiał się koniecznie odbywać po Tośkowej trajektorii?

Owszem, ostatnio zdarzały się Tośkowi różne nieprzyjemności. Owszem, czasem czuł się niepewnie. Był już krok od tego, by opowiedzieć tacie o wszystkim, w nadziei, że może on wymyśli jakieś dobre rozwiązanie. Aktualne zachowanie taty utwierdziło go jednak tylko w przekonaniu, że lepiej nie mówić nic. Tata nic nie rozumiał. Odprowadzał go do Leona. Do Leona! Jak by to Leon stanowił jakiegokolwiek zagrożenie. Strach pomyśleć, jakby zareagował, gdyby dowiedział się o tym głupim żarcie z jogurtem albo o zdjęciach w internecie. I fanfikach. Tosiek poczuł, jak na samą myśl o tym jego zmarznięte policzki znów powlekają się rumieńcem. O nie. Tatę trzeba trzymać z daleka od tych spraw, dla jego własnego dobra. Tylko się bardziej od tego pochoruje. Trzeba go oszczędzać.

Ogarnięty obłudną troską Tosiek postanowił ostatecznie przebaczyć ojcu i nie denerwować go więcej. Zaprowadził go pod sam domofon i zaanonsował się gromkim „Sto lat!”. Miał nadzieję, że tata wycofa się wreszcie do domu, ale ten, zamiast taktownie powrócić do własnych spraw, pchnął drzwi z brzęczykiem, uprzejmie przepuścił Tośka przodem, a potem podążył za nim w stronę windy.

– O, dobry wieczór panu – powiedział Leon, uchylając drzwi. Przeniósł wzrok na zaczerwienionego Tośka i drgnęły mu usta. Wessał policzki, by się nie roześmiać.

– Tylko go odstawiam – odezwał się tata i postąpił krok naprzód. Obrzucił cały pokój jednym szybkim spojrzeniem, jakby spodziewał się co najmniej kontenerów whisky poupychanych po kątach. – Przyjdę po niego przed dziesiątą.

– Tato!

– Mogę go odprowadzić – zaofiarował się Leon.

– Noż do ciężkiej cholery...

– A więc tu wylądowały moje meble – zauważył nostalgicznie tata. – Mam nadzieję, że dobrze ci służą.

– O tak – Leon bez mrugnięcia okiem podjął lekki konwersacyjny ton. – A Tosiek przykręcił mi tamten regał. Nadal stoi.

– Naprawdę? – tata się zainteresował i podszedł bliżej. Przyjrzał się uważnie wkrętom, potem zerknął na Tośka. – Sprawdziłeś oczywiście, czy tu nie biega jakieś kable?

– Co?...

– Wbiłeś się w ścianę między dwoma gniazdkami. Następnym razem sprawdź przewody, z łaski swojej, chyba wiesz, gdzie trzymam miernik.

Z tą poradą na ustach tata wycofał się za drzwi i poszedł sobie wreszcie.

– On się dziś na mnie uwziął – oświadczył Tosiek i odwiesił kurtkę. – Co za dziad upierdliwy. Nie śmieję się!

– Troszczy się o ciebie, to źle? Doceń to wreszcie.

– Ale nie musi mi robić obciachu przy ludziach! – burknął Tosiek i wyciągnął przed siebie pakunek. – Proszę. Wszystkiego najlepszego. Serwis gratis. Dożywotnio.

– Hm, dziękuję? – zaintrygowany Leon obejrzał paczkę ze wszystkich stron. Była owinięta kilkoma grubymi warstwami papieru i zabezpieczona szczerze taśmą samoprzylepną. Z pewną obawą odłożył ją na stolik. – Zaraz otworzę, tylko wstawię wodę.

Tosiek podniósł z fotela zmięty zeszyt i usiadł. Nareszcie w domu! Żadnych kazań, wymówek i tortur! Jakże w tej chwili zazdrościł Leonowi niezależności. Może chodzić, gdzie chce, robić, co mu się podoba, choćby to było... no, co właściwie? Zerknął na zeszyt. A, tak. Kuplety na Dzień Niepodległości. Zachichotał nad pierwszym z brzegu, opatrzonym wskazówką MÓWI MIELNIK.

*Zgodnie z zaleceniem MEN-u  
Każdy uczeń oraz rogal,  
Aby nie marnować tlenu,  
Ma być czymś na kształt pieroga.*

*Sama słodycz, garnir z krost,  
Jedna waga, jeden wzrost,  
Pulchne lico, grzbiet garbaty,  
W środku pulpa i opiaty.*

– To jest dużo lepsze niż smęty Witolda!

– On mówi, że nie na temat.

– Jak to nie! A kto miał grać rogala?

– Ja – westchnął Leon nad czajnikiem. – Siostra Artura zrobiła mi taki fajny kostium. Z posypką.

– Na pewno wyglądałbyś bardzo apetycznie! – zapewnił go Tosiek i zagłębił się w inne wierszydła. Niektóre były poprzekreślane ręką Artura i opatrzone komentarzami w rodzaju „mowy nie ma” albo „wylecimy za to ze szkoły”. Chichrał się do łez nad bonusem w postaci zjadliwych rymowanek o Witoldzie, które znalazł na końcu zeszytu. Och, dlaczego Witold musiał wszystko popsuć! Tosiek nie wątpił, że oryginalne przedstawienie okazałoby się wielkim sukcesem, a związany z tym splendor wynagrodziłby Leonowi wszystkie smutki.

– Może kiedyś zmienimy trochę tematykę i wystawimy te skecze przy innej okazji. – Leon zrobił jeden długi krok z kuchni do pokoju i przysiadł na brzegu tapczanu, który jęknął pod nim jak skrzynia pełna potępieńców. – No dobrze. Co my tu mamy.

Zaczął ostrożnie odwijać paczkę z papieru. Tosiek natychmiast zapomniał o wierszykach. Rzucił zeszyt w kąt, poderwał się i usiadł obok Leona, zaplatając uroczyście palce.

Leon wyłuskał z papieru pudełko po butach i podniósł pokrywkę. W środku leżał stosik małych pakunków, wykonanych z serwetek deserowych pozawijanych jak cukierki.

– Aleś się napracował – mruknął Leon i wziął do ręki pierwszy pakunek. Tosiek z emocji zacisnął dłoń w pięści. Miał ochotę piszczeć jak pensjonarka.

– Wypełniacz do paznokci – objaśnił głosem urywanym z wrażenia. – Do połowy wychlapany, ale jeszcze na trochę starczy.

Leon rzucił mu szybkie, spłoszone spojrzenie i nic nie powiedział. Z wahaniem sięgnął po następną paczuszkę.

– Paski do frencza – wyjaśnił Tosiek ochoczo. – No otwieraj, otwieraj.

Jubilat nic nie mówił, tylko jego oddech brzmiał jakoś ciężiej, Tosiek natomiast nieprzerwanie nadawał z offu, starając się powściągnąć ogarniający go entuzjazm:

– Kostka do polerowania. Nieużywana. Odżywka. Lakier. To też lakier. To też. Jak ja się cieszę, że już nie muszę tego używać!

– A ja muszę? – spytał stłumionym głosem Leon, przyglądając się pod światło opalizującym drobinkom brokatu przelewającym się w buteleczce.

– Tylko jeśli chcesz.

– Nie chcę.

– Nie chcesz czy nie umiesz? Bo ja umiem, wiesz. Ciocia prowadzi różne szkolenia i zgadnij, na kim zawsze trenowała w pierwszej kolejności. Co wybierasz?

Leon podskoczył cały, aż tapczan pod nim jęknął. W jego wzroku był i gniew, i panika, i nade wszystko błaganie o litość.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy...!

Tosiek uśmiechnął się pod nosem. Był to uśmiech pełen życzliwej wyrozumiałości, ale i kpiny.

– Nie ma mowy – burknął Leon.

– Leon, Leon. Tylko my tu jesteśmy. O, a tu masz zmywacz. Zmyjesz wszystko, zanim wyjdę. Leon spuścił głowę i pokręcił nią, zaciskając powieki.

– Ble, aceton – skrzywił się Tosiek i zakręcił buteleczkę. – Zawsze mnie od niego mdli. No, popatrz na to inaczej. Ja naprawdę nienawidzę tego robić, a jednak zrobię to specjalnie dla ciebie.

– Wolałbym bombonierkę albo jakąś głupią laurkę, dziękuję – wymamrotał Leon, chowając głowę głęboko w ramiona.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że przez krótki moment Tosiek miał wrażenie, że trochę przeholował. Że Leon nie wytrzyma psychicznie i zacznie płakać albo się kiwać, albo po prostu wyprosi go za drzwi. Skonsternowany potrząsał butelką ze zmywaczem, tymczasem woda w czajniku zaczęła bulgotać i pstryknął wyłącznik. Leon podniósł głowę. W jego spojrzeniu była rozpacz i udręka chorego zwierzęcia. Wyciągnął przed siebie rękę, odwracając wzrok.

– Zaraz będzie po wszystkim – pocieszył go Tosiek i z zapalem zabrał się do pracy.

Najpierw opiłował wszystkie nadłamanie, wyciągając z przejęcia język, co jest, jak wiadomo, powszechnie przyjętym sposobem na poprawienie małej motoryki. Nie odzywał się więcej. Coś mówiło mu, że Leon, którego nieco przyspieszony oddech słyszał tuż za swoim uchem, potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie. A ciocia Idalia zawsze powtarzała, że klient przychodzi do salonu przede wszystkim po to, by się zrelaksować, i w związku z tym jego samopoczucie jest absolutnym priorytetem.

Mijały minuty i Leon stopniowo się uspokajał. Ledwo wyczuwalne drżenie jego dłoni ustąpiło. Gdy Tosiek, zezując ze skupienia, zaczął nakładać bazę pod lakier, Leon sprawiał wrażenie wręcz zainteresowanego całym procesem. Oparł brodę na ramieniu Tośka

i zafascynowany wpatrywał się w końcówkę pędzelka.

– Wybierz sobie kolor – odezwał się Tosiek. Jego głos zabrzmiał jakoś nienaturalnie w tej absolutnej ciszy, w której siedzieli razem przez dłuższy czas. Odkasznął. – Bordowy może być podeschnięty.

Leon jakby obudził się ze snu. Spojrzał z wahaniem na buteleczki, które równym rzędem stały na stole pośród zwitków serwetek.

– Może tamto takie przezroczyste?

– Przestań mnie denerwować – nie wytrzymał Tosiek. – Dawaj ten brokat.

Leon nie protestował.

– Zaczynasz mnie przerażać – wyznał, przyglądając się jak Tosiek fachowo rozprowadza mu lakier na paznokciu kciuka, tak jak uczyła ciocia Idalia: kropelka tuż u nasady, minimalny ruch pędzelka w dół, potem na górę, wykończyć boki. – Co jeszcze o mnie wiesz?

– Prawie nic.

– Więcej niż ktokolwiek inny.

– Nawet Konrad? Nie ruszaj się, bo rozpaprzesz!

Leon zastygł w trakcie wzruszania ramionami, co wyglądało trochę tak, jakby nagle złapał go skurcz w barku.

– To już historia. Nie ma o czym mówić.

– Nie dziwi mnie to – paplał Tosiek jak profesjonalna manikiurzystka. – Od początku wiedziałem, że to się tak skończy.

– Mądrała.

– Bez urazy, ale równie dobrze ja mógłbym się upierać przy związku z kimś tylko dlatego, że ma, dajmy na to, blond włosy tak samo jak ja.

– Filozof.

– No i nie wypieraj się, leciałeś na jego gitarę. Obaj to wiemy.

– Skończyłeś?

– Tak. Gotowe – Tosiek odchylił się nieco i z dumą podziwiał swoje dzieło. – Sobie bym tak ładnie nie umiał. Nie dotykaj niczego na razie.

Zakręcił buteleczkę i odstawił ją na stolik.

– Zostawiam to wszystko u ciebie – zaznaczył. – Jeśli będziesz mnie znów potrzebował, puść sygnał i przylecę. Jak Batman.

Leon go nie słuchał. Poruszał palcami, jakby grał kołysankę na niewidzialnym pianinie. Brokat mienił się tęczo w świetle lampy.

Tosiek zaparzył herbatę w dzbanku cioci Idalii i wytrząsnął na talerz krakersy z pudełka. Wylał błat z okruszków i wypłukał ścierkę. Powinien teraz przenieść dzbanek i kubki na stolik, ale guzdrał się jeszcze, wycierając po raz kolejny czysty jak lustro zlew, potem kran i znowu błat. Nie chciał zakłócać magii, która działała w pokoju.

Leon tańczył.

Tańczył do złotych przebojów z radia na tym miniaturowym kawałku przestrzeni między kanapą i regałem. Dokonał się w nim jakiś trudny do opisanego przełom. Jego ruchy nabrały kociej miękkości i wdzięku; z barków zniknęło napięcie, a z twarzy – zwykły wyraz czujności. Tańczył, cudem nie wpadając na meble, nucił pod nosem z Freddie Mercury i słał Tośkowi filuterne spojrzenia spod rzęs. Jego paznokcie przecinały powietrze jak stado opalizujących motyli.

Tośkowi trochę brakowało oddechu. Poza tym czuł się dobrze. Mógłby tak stać za tym blatem i patrzeć całą noc. Sapał porytowany, gdy muzyka urwała się, ustępując hałaśliwemu dżinglowi. Leon zatrzymał się w pół obrotu. Tosiek nagrodził go oklaskami.

– Jeszcze, jeszcze!

– Długo to schnie? – Leon poruszył palcami.

– Pół minuty. Już możesz przestać uważać.

– To chodź tu.

– C-co? – Tosiek podskoczył, bo wydało mu się, że się właśnie oblał wrzątkiem. Ale to nie był wrzątek, tylko nagły wzrost temperatury w nim samym. – Mowy nie ma!

Z radia popłynął tęskny baryton Krzysztofa Krawczyka.

– To poniżej mojej godności – oświadczył Tosiek i schrupał krakersa.

Leon wyłączył radio, a Tośkowi przyszło do głowy, że właśnie taka cisza musi panować w kosmosie. Słyszał w uszach łoskot własnej krwi. Przełknął ostatnie okruszki.

– Włączę ci coś z laptopa – zaproponował Leon, wciąż w swoim frywolnym wcieleniu. – Gdzieś mi się tu zachowała twoja playlista...

– Mowy nie... – Tosiek przerwał, słysząc pierwsze takty *Maskarady z Upiora w operze*.

– Chodźże – Leon nadpłynął lekkim krokiem i pociągnął go za rękę. – No dalej, ty snobie.

Tosiek miał bardzo, bardzo złe doświadczenia z tańcem. Poprzedniego roku jeden z maturzystów zaprosił go – to znaczy Tosię – na swoją studniówkę. Nieznana muzyka, pierwsze w życiu wysokie obcasy, splątane fałdy sukienki plus zdenerwowany, spocony osiemnastolatek pod krawatem – to było zdecydowanie za dużo jak na jednego człowieka. Tosia uciekła wtedy po pierwszym tańcu. Zostawiła biedaka samego na parkiecie, a potem unikała go aż do końca roku szkolnego.

Tym razem było inaczej. Po pierwsze, ta muzyka, powiew absolutu o hipnotycznej mocy, który w mgnieniu oka zniewolił mu wyobraźnię i zaludnił ją wirującymi parami. Po drugie, taka rzecz jak odzież, niby drobiazg, a znacznie ułatwiała aktywność fizyczną. I wreszcie Leon, uśmiechnięty szelmowsko i zarazem taki odległy. Choć ujął Tośka w tali z niczym nieskrępowaną swobodą, wydawał się ledwie go dostrzegać, uśmiechając się do siebie ponad jego ramieniem.

Tosiek oddychał szybko i płytko. Starał się nie wpaść na żaden mebel, co samo w sobie było trudnym zadaniem. I nie chciał spłoszyć Leona. Bał się go wytrącić z tego magicznego nastroju. A przecież wiedział, że to się stanie lada moment. Że najpóźniej jutro Leon będzie znów pełen rezerwy, ostrożny i zestrachany. Tosiek wpił wzrok w jego twarz, zauroczony i zarazem pełen nieokreślonego żalu, jakby patrzył na tęczę, która trwa na niebie tylko kilka minut, a potem znika.

Leon mrugnął i gdy podniósł powieki, patrzył już prosto na Tośka.

– Dobrze? – spytał.

– Chy-chyba – wyjąkał Tosiek, któremu chóralny finał utworu zmieszał zmysły. Dałby głowę, że od sopranów zaczęło mu się kręcić w głowie, a partia smyczków przesywa jego ciało gorącym prądem. – Ale nie chcę... Nie jestem dziew... dziewczyną.

– Wiem – mruknął Leon i zmrużył oczy w złośliwym uśmiešku. – Poprowadź.

– Ale... Co? Nie umiem!

– No, dalej, dalej, już nie bądź taka trusia.

Spłoszony Tosiek zamrugał, usiłując objąć wyobraźnią tak karkołomne przedsięwzięcie. Po namyśle ujął Leona w pasie i wszystko zrobiło się odrobinę prostsze. Leon, zaskakująco giętki

w jego ramionach, uśmiechał się z ciepłą drwiną w oku, i było mu z tym tak bardzo do twarzy, że Tosiek przepadł. Nie chciał już niczego więcej, niż tańczyć do samego rana, nawet jeśli to miało oznaczać regularne obijanie się o regał i stolik.

Zmylił krok, kiedy poczuł, że telefon wibruje mu w tylnej kieszeni portek. Walczył z pokusą, by zignorować ten sygnał, ale to mógł być tata. A Tosiek już dobrze wiedział, czym się może skończyć ignorowanie telefonów od niego. Z żalem się zatrzymał.

– Telefon – wyjaśnił słabym głosem. – Pewnie tata. Słowo daję, ten człowiek szpieguje mnie nawet na odległość! – Wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzął na ekran. – O. To Matylda – zdziwił się i przyłożył komórkę do ucha.

– Czemu nie było cię na lekcjach? – usłyszał jej głos i nim zdążył odpowiedzieć, Matylda już nadawała dalej: – Dostałam pięć! Z eseju! Tylko ja! Czemu nie było cię na angielskim?

– Bo nie.

– Żałuj, czytaliśmy na głos twoje opowiadania!

– Co? – Tośkowi nogi ugięły się w kolanach i z cichym jękiem usiadł na wykładzinie. – Jakie opowiadania?

– Z internetu! Czemu nikomu nie mówisz, że piszesz takie rzeczy? Borowska chce cię zgłosić do olimpiady!

– Jakie opowiadania – powtórzył tępo Tosiek i rozpiął bluzę, bo w pokoju zrobiło się zbyt gorąco.

– No, takie... krótkie. Na sto słów. Ja nie bardzo rozumiałam, ale Borowska...

Matylda trąkotała dalej, a Tosiek niewidzącym wzrokiem błędził po grzbietach książek na regale. Ach, więc czytali drabble, krótkie scenki, które pisał dla wprawy i czytelnikom na uciechę. Nie umieścił w nich chyba żadnych kompromitujących wątków?

Leon nalał sobie herbaty do kubka i przypatrywał się Tośkowi z namysłem. Psotny uśmieszek nie schodził mu z ust.

– To była Matylda – wyjaśnił niepotrzebnie Tosiek, gdy wreszcie udało mu się przerwać połączenie.

– Aha.

– Dostała pięć z wypracowania, które pomogłem jej napisać.

Leon oparł się łokciem o blat kuchenny.

– Pomagasz jej w lekcjach? – spytał z zaciekawieniem.

– No.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Bezinteresownie?

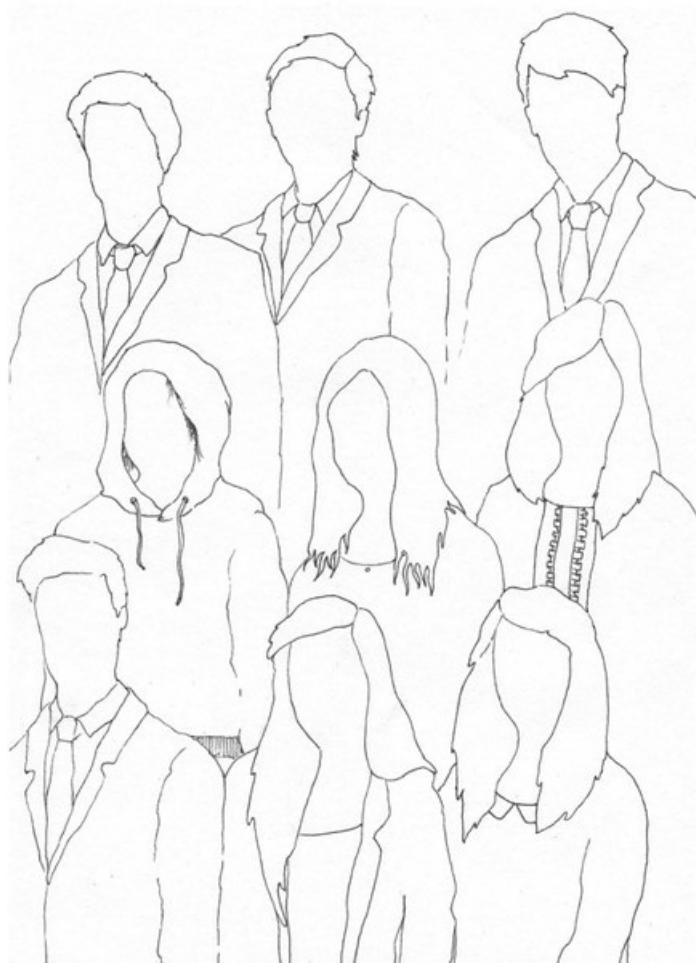
– Tak, co w tym dziwnego?

– A nic, nic. – Leon nalał herbaty do drugiego kubka i podał Tośkowi. – Po prostu nie spodziewałem się tego po tobie.

– Czego niby? – spiął się Tosiek, podenerwowany już trochę tym przesłuchaniem. Leon potrząsnął głową, jakby odganiając od siebie jakąś niedorzeczną myśl.

– Okrucza dobra w twoim czarnym serduszku – wyjaśnił wymijająco.





## ROZDZIAŁ XVI

No nie, tego się nie da wytrzymać na trzeźwo.

Tosiek pochłonął tabliczkę czekolady, paczkę delicji, pół słoika dżemu, cztery łyżki miodu i wygrzebał wszystkie duże kawałki kruszonki ze słoika z granolą. Zapił gorzką herbatą, bo go zemdliło, i padł na łożo boleści.

Była jedenasta wieczór. Punkt dziesiąta zameldował się w domu, tak jak to zostało ustalone, pożegnał się z Leonem, który jeszcze przed samym odejściem wdał się z tatą w kurtuazyjną rozmowę o przykręcaniu karniszy, i nawet zdążył odrobić jakieś lekcje, zanim dopadł go przejmujący weltszmerc. Nie mógł dociec jego przyczyny. Wieczór należał przecież do udanych. Odkrył, że umie tańczyć. Odkrył też przypadkiem, że można zmusić Leona do obejrzenia dowolnie długiego musicalu pod warunkiem, że w warstwie dźwiękowej pojawią się gitary. Odpalili więc *Hedwig* i obejrzeni razem połowę, po czym Tosiek się rozryczał. Leon przyniósł mu chusteczki, podrygując w takt gitarowych riffów z głośniczka.

– Rock też cię rozstraja? – dziwował się. – Jak tak dalej pójdzie, zostanie nam do słuchania tylko ambient.

– Nic mi nie jest – wściekł się Tosiek, rozmazując łzy po policzkach. – Oczy mi się zmęczyły i tyle.

Potem już wszystko było dobrze, odgrywali scenki z zeszytu Leona (Tosiek odkrył, że jest bezkonkurencyjny jako Mielnik), snuli plany przyszłych przedstawień, a gdy zrobiło się późno, Leon odprowadził Tośka na przełaj przez osiedle.

Teraz Tosiek leżał na łóżku w bluzie i kapciach, z nosem w poduszce. Na uszach miał słuchawki. W słuchawkach panowała martwa cisza, bo nawet nie podłączył ich do telefonu.

Tata wetknął głowę do pokoju.

– Nie kładziesz się jeszcze spać?

– Już zaraz – wymruczał Tosiek w pościel.

Tata wycofał się o krok i przystanął z wahaniem. Tosiek nagle usiadł, obejmując poduszkę ramionami. Znad pasiastej powłoczki spojrzwały na Marcina smutne oczy.

– Tato.

– Tak?

– Jak to było, kiedy poznałeś mamę?

– O Boże – powiedział tata i przysunął sobie krzesło spod biurka. Usiadł na nim okrakiem i oparł ramię na oparciu. – A co chcesz wiedzieć?

– No, skąd wiedziałeś, że chcesz być z nią, a nie z jakimś... kimś innym.

– Aż takie masz powodzenie? – spytał Marcin kąśliwie i zmieszał się, widząc że Tosiek zaczyna mrugać podejrzenie szybko. – Nie to chciałem powiedzieć. Oczywiście, że masz... że mógłbyś...

– Wiesz co, idź już sobie – powiedział Tosiek i dramatycznie opadł na wznak, naciągając poduszkę na głowę.

– Nie, możemy rozmawiać, naprawdę.

– Idź, zanim dostaniesz nowych wrzodów – doleciało spod poduszki, po czym ciało leżące pod nią znieruchomiało i przestało reagować na bodźce.

Marcin upewnił się, że Tosiek mimo wszystko wciąż oddycha, a nawet cicho posiąkuje nosem, i speszony wycofał się do swojego pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

Nazajutrz Tosiek postanowił, że jednak wróci do szkoły. Skoro już namieszał Leonowi w głowie i prowokował na wszystkie sposoby, by ten wyjrzał wreszcie ze swojej skorupki, nie mógł być teraz hipokrytą i siedzieć w domu jak tchórz. Nie będzie się przecież bał grupki dzieciaków tylko dlatego, że przeczytali jego opowiadania. Poza tym po pierwszych trzech lekcjach miała się odbyć ta nieszczęsna akademka z okazji Dnia Niepodległości. Podejrzewał, że jeśli nie pojawi się na kolejnym z rzędu występie, jeden z aktorów nigdy mu tego nie wybaczy.

Gdyby jeszcze miał w sobie dość siły, by wkroczyć do szkoły z pełnym przekonaniem, jak król, jak bohater, jak... jak ciocia Idalia! Tak, musiał przyznać przed sobą, że ciocia Idalia nie miała sobie równych, gdy chodziło o narzucanie swojej woli otoczeniu. W jej obecności nawet czasoprzestrzeń zaczynała niepokojąco falować, fakty historyczne ulegały modyfikacjom, a przyszłe wydarzenia kształtowały się dokładnie według jej zamiarów. Tosiek bardzo jej dziś zazdrościł tych tajemnych mocy, obawiał się jednak, że jest tylko pozbawionym talentu epigonem, który nie ma szans jej dorównać.

Wślizgnął się nieśmiało do budynku szkoły, walcząc z pokusą natychmiastowego odwrotu, ale zaraz sam siebie skarcił za te histerie.

– Bądź mężczyzną – mruczał do siebie, prując korytarzem w stronę sali.

Na korytarzach panował jeszcze większy chaos niż zazwyczaj o tej porze. Grupki chłopaków w garniturach nawoływały się na schodach, tuż przed jego nosem przebiegło na obcasach kilka spóźnionych dziewczyn. Stropiony Tosiek wyglądził zszarganą bluzę. Całkiem zapomniał, że powinien przyjść w odświętnym przyodziewku. Zresztą, nawet gdyby pamiętał, i tak niczego by to nie zmieniło, bo nie posiadał żadnego wykwintnego odzienia.

Odnalazł swoją klasę i zagadnął Matyldę:

– Czy wszystkim dziś całkiem odbiło?

– Zdjęcia robią! – wyjaśniła Matylda, szcztokując włosy, aż iskry szły. – Wszystkie łazienki zajęte. Nic nam nie powiedzieli.

– Teraz wy! – rozległ się jednocześnie ostry sopran tuż przy jego uchu. Jastrzębska pojawiła się znikąd i wymachiwała jakimiś papierami. – Szybko, szybko!

Zdezorientowany Tosiek pokłusował za swoją klasę. Po drodze Matylda wyjaśniła mu, że dyrekcji odwaliło. Dyrekcja bowiem postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i korzystając z tego, że uczniowie przybyli w strojach galowych, zaprosiła na ten dzień również fotografa. Nikt jednak nie pomyślał o tym, że obfotografowanie całej szkoły w ciągu niespełna trzech godzin będzie wymagać nadludzkich zdolności zonglowania czasem; dyrektor Jastrzębska i jej przybocznicy przeganiłi więc całe klasy z miejsca na miejsce, podawali sprzeczne informacje i tylko powiększali ogólny bałagan.

– Teraz mamy być na górze w sali od fizyki, bo tam robią te zdjęcia – sapała Matylda, gdy wspinali się po schodach. – Ale pierwsza A mówi, że też tam mają teraz być, więc nic już nie wiadomo.

– Aha – odparł Tosiek, w gruncie rzeczy zadowolony. To oznaczało, że wszyscy będą dziś zbyt rozproszeni, by zwracać na niego uwagę. Poczul się znacznie pewniej. Czyżby mu się upiekło?

Pracownia fizyczna jako jedna z nielicznych sal była wyposażona w ekran i rzutnik. Z tego też powodu przy oknach wisiały ciężkie, aksamitne kotary, które służyły do zaciemniania

pomieszczenia. Na tle jednej z nich zdenerwowany fotograf ustawił klasę do zdjęcia.

– Szybciej, szybciej – powtarzał z taką miną, jakby miał ochotę rzucić w diabły tę pracę. Do sali zajrzała dyrektor Jastrzębska.

– Czy następna klasa może już wchodzić?

– Pięć minut – odparł fotograf. – Już kończymy.

Tosiek był w siódmym niebie. Fotograf powiedział do niego „hej, ty, młody” i kazał mu się ustawić w ostatnim rzędzie na ławeczce gimnastycznej, między chłopakami.

– Nie ma Konrada – odezwał się ktoś z drugiego rzędu. – Pewnie siedzi już w auli.

– Niech ktoś idzie po niego – poleciała wychowawczyni, a fotograf sapnął histerycznie. – Tylko szybko!

– A wy się nie ruszajcie! – dorzucił fotograf bez specjalnej nadziei w głosie.

Dwa szeregi głów przed Tośkiem zafalowały jak oswobodzone z dybów. Nikt nie miał jeszcze ochoty wracać do sali na zajęcia. Trwała cicha dywersja – ktoś wyszedł do łazienki, ktoś wykonywał ważny telefon, ktoś koniecznie teraz musiał zjeść drugie śniadanie. Atmosferę pikniku wzmagał bałagan panujący w pracowni – ławki były poodsuwane do ścian, by zrobić więcej miejsca, krzesła stały w bezładzie, wszędzie leżały porzucone plecaki.

Nagle do sali wpadł nieduży, poirytowany człowieczek z przerzedzoną siwą czupryną i przeczesując ją palcami, wybełkotał do fotografa:

– Mam nadzieję, że to wszystko będzie załaz posprzątane! Nie chcę jutro zaczynać lekcji w tym śmietniku!

– Jutro jest święto – bąknął fotograf.

Siwy człowieczek się zapowietrzył.

– Płoszę pana, pan mi tu nie łezonuje, pan się zabierze do łoboty – zapieklił się i wypadł z pracowni, pozostawiając za sobą osłupiałego fotografa i chichoczących licealistów na ławeczkach.

Znudzony Tosiek kiwał się na piętach. Cały ten rytuał zdjęć grupowych wydawał mu się trochę śmieszny i archaiczny w czasach, kiedy każdy ma w telefonie aparat i może sobie robić tyle zdjęć, ile chce, i z kim chce. Czas włókł się niemiłosiernie; lepiej byłoby już iść do auli i sprawdzić, jak nastroje w zespole. W jakim humorze jest Leon? Czy wczorajszy wieczór, tak ważny dla Tośka, zmienił go choć troszeczkę?

Naraz z drugiego rzędu odwróciła się Matylda, oczy miała okrągłe.

– Jak ty to robisz? – spytała nabożnie.

– Ale co? – zaniepokoił się Tosiek. Nie podobało mu się, że Emilia też na niego patrzy, ściskając w rękę telefon. Znowu jakiś skandal z jego udziałem? Czy to się nigdy nie skończy?

– To! – odparła Matylda i podetknęła mu swoją komórkę pod nos. – Nie ma już tej strony ze zdjęciami! Zhakowana! Ty to zrobiłeś? – Zreflektowała się i wytrzeszczyła oczy. – Zrobiłaś? – poprawiła się z paniką w głosie.

Tosiek z osłupieniem wpatrywał się w pstrokaty komunikat widniejący na wyświetlaczu telefonu.

YOU SHALL NOT AFFRONT OUR KING.

– To n-nie ja – wyjąkał. Już nie tylko Emilia i Matylda patrzyły na niego. Wiadomość o przejściu strony w ciągu kilku sekund rozniosła się po grupie. Tosiek poczuł na sobie ciekawskie spojrzenia całej swojej klasy. Przypatrywali mu się z napięciem, ale i nadzieją, jakby zniecka objawił się im anioł stróż.

Wyprostował się. Najwyraźniej oczekiwano od niego jakiejś reakcji.

– To nie ja – powtórzył i tym razem jego głos brzmiał mocno i wyraźnie. – To moi ludzie!

Druga lekcja też się nie odbyła. Profesor Koziółek została odwołana do pracowni fizycznej, żeby ustawić się do zdjęcia ze swoją klasą maturalną. Z kolei trzecia lekcja, fizyka, z braku wolnej sali została przeniesiona do bufetu, gdzie wykład o cieczach umarł śmiercią naturalną, pogrzebany w ogólnym hałasie. Gdy zajęcia się wreszcie skończyły, Tosiek umknął na korytarz i dalej – do auli. Przedzierał się przez kolejne zastępy garniturów oraz białych koszul i rozmyślał nad tym, jak piekielnie zdolna i nieprzewidywalna okazała się społeczność jego czytelników. Trochę się jej obawiał. Z drugiej strony, dzięki niej przeżył dziś chwilę triumfu i chwały – cała klasa patrzyła na niego jak na zbawcę. Nie zamierzał ich zawieść! Chwilowo nie wiedział jeszcze, na czym ma polegać jego dziejowa misja, ale jedno było pewne – poczucie mocy i władzy nad tym wylęknionym tłumem uderzyło mu do głowy jak alkohol.

Drzwi do auli były szeroko otwarte i zapraszały do środka. Odziana wytwornie publiczność powoli napływała już na widownię i zajmowała strategiczne miejsca w ostatnich rzędach. Tosiek wszedł również, nieco skrępowany swoim ordynarnym przyodziewkiem. Miał nadzieję, że nikt go nie wyprosi. Odruchowo wygładził bluzę i kaptur, a potem przemknął pod oknami w stronę sceny.

Aula była świeżo wywietrzona i udekorowana patriotycznie styropianem i krepą. Poczet sztandarowy w osobie znudzonego maturzysty siedział w pierwszym rzędzie i wyskubywał luźne nitki ze sztandaru. W głębi sceny Konrad stroił gitarę, a Artur z Sebastianem, obaj w garniturach, pełzali po podłodze wśród kabli i szukali końcówki przedłużacza. Witold stał przy mikrofonie z ważną miną, pukał w niego palcem i powtarzał do znudzenia: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy – głośniki jednak milczały jak zakłęte.

Leona i Darka nigdzie nie było widać. Onieśmiałony Tosiek już chciał się schować za okienną zasłonką, gdy usłyszał za plecami znajomy głos:

– Witold, twoja kolej, idź do zdjęcia!

Leon i Darek biegli w stronę sceny, poprawiając mankiety i krawaty.

– Żarty sobie stroicie? – huknął Witold, a ponieważ Sebastian właśnie odnalazł wtyczkę i z triumfem wetknął ją do prądu, głośniki wydały z siebie przeraźliwy pisk i rozniosły głos Witolda po całej auli i okolicach. Zirytowany Witold zszedł ze sceny. – Przecież zaraz zaczynamy! – dodał wściekłym półgłosem.

– Jak się pospieszysz, to zdążysz.

Wkurzony Witold odmaszerował w stronę wyjścia, przeciskając się przez publiczność, coraz liczniej zdążającą w przeciwnym kierunku.

– Obłąd z tymi zdjęciami – wyjaśnił Leon, kiedy Tosiek wyplątał się z zasłonki i podszedł bliżej. – Żadnej próby nie zdążyliśmy zrobić, ciągle kogoś brakuje. Usiądź gdzieś i nie wchodź nam w drogę.

Tosiek przycupnął obok sztandaru. Zerknął za siebie – widownia była już w połowie pełna, same garnitury, żakiety i białe koszule. Czuł się w tych swoich łachmanach jak wyrzutek. Wyrzutek w typie Clarka Kenta, rzecz jasna, skrywający pod zgrzebnym odzieniem swoje bohaterskie wcielenie, niemniej jednak odmieniec. Odsiedział jeszcze dziesięć minut, po czym zauważył, że nadchodzi Jastrzębska, poddał się i uciekł za kulisy.

Za przykurzoną kotarą panował półmrok. Pośród połamanych krzeseł i fragmentów starych dekoracji trwała burzliwa dyskusja.

– Co: bez niego, jak: bez niego, nikt nie zna tego cholernego tekstu na pamięć – wściekał się

Artur, szarpiąc krawat, jakby zamierzał się na nim powiesić.

– Jego telefon nie odpowiada – mruknął Sebastian z komórką przy uchu.

– Czekamy.

– Można zaczynać? – dyrektor Jastrzębska zajrzała za kotarę.

– Tak – odezwał się Tosiek i natychmiast poczuł na sobie ukłucia morderczych spojrzeń całego zespołu.

– Czy ciebie porąbało? – wysyczał Sebastian, kiedy głowa Jastrzębskiej zniknęła z widoku.

– No, ale ona zawsze gada godzinami – powiedział Tosiek słabym głosem. Odchrząknął. – Macie jeszcze dużo czasu.

– Gównu tam mamy.

– Chłopcy, mikrofon nie działa – poskarżyła się Jastrzębska przez kotarę.

Sebastian wypadł na scenę, przywitały go oklaski. Głośniki wydały z siebie kolejny przeraźliwy pisk, a chwilę potem głos dyrektorki rozniósł się po auli.

– Dno, dno, dno – ciskał się Artur, przytrzymując kotarę powracającemu Sebastianowi. – Jeśli on tu zaraz nie przyjdzie, po prostu powiemy wszystkim, że to koniec imprezy, spadajcie. Ucieszą się.

– I rozwiążą nam zespół – dorzucił ponuro Leon, skubiąc mankiet koszuli. Jego paznokcie były gładkie, czyste i lśniące odżywką.

Tośkowi było go strasznie żal. Tak bardzo, że wyłączył mu się zdrowy rozsądek, a mózg zaczął pracować na wolnych obrotach. Leon zasługiwał na więcej. Na dużo więcej...

– Przecież macie plan B – odezwał się nieśmiało.

– Tosiek, wracaj na widownię, ja cię proszę.

– Jaki plan? – zainteresował się Artur.

– Leon przecież może być rogallem. Pamiętajcie jeszcze scenariusz?

– Z grubsza – mruknął Darek.

– Ja wam mogę podpowiadać – zaofiarował się Tosiek, który miał bardzo dobrą pamięć do wierszy, fraszek, librett, piosenek i wszelkich innych odmian rymowanego tekstu.

– Bzdura, nie mamy kostiumów – zaczął Leon, ale Artur machnął ręką.

– Kostium nieważny.

– Można by spróbować – Darek zapalił się do tego pomysłu. – Witold się wścieknie, błagam, zróbmy to. Już nie mogę słuchać tych jego kazań.

– Jestem za – Artur podniósł rękę. – Konrad?

Konrad wzruszył ramionami.

– Ja się dostosuję.

– Ale... – zaprotestował lojalnie Sebastian.

– Nie należysz do zespołu, nie masz prawa głosu – przerwał mu szybko Artur.

– Ja też jestem za – wtrącił Tosiek, choć nikt go nie pytał.

Leon szarpał się z mankietem i z myślami.

– Nie powinniśmy tego robić – mamrotał. – Witold tak się namęczył nad tym swoim monologiem. Zaraz na pewno przyjdzie, poczekajmy...

Z widowni dobiegły oklaski – Jastrzębska zapowiedziała właśnie początek przedstawienia i znacząco zawiesiła głos, oczekując wejścia aktorów. Artyści za kulisami popatrzyli na siebie z paniką w oczach.

A Tosiek podniósł rękę i zamigotał Leonowi przed nosem swoimi krótko obciętymi paznokciami, jakby grał specjalnie dla niego zagrzewające do boju staccato na niewidzialnym

pianinie.

– Jestem za – powiedział grobowo Leon i wyszedł na scenę.

Zdobył publiczność w kilka minut. Wystarczyło, że się pokazał i zaczął przechadzać do scenie, deklamując z namysłem wers po wersie:

*Własnym oczom nie dowierzam,  
Gdzie są moi bracia?  
Samotny na bezkresach talerza,  
Odziany w lukrowany waciak*

*I orzechowym otulony gieźłem,  
Widzę, jak głodna tłuszczka ku mnie zmierza,  
Gdyż, przyznajcie, ciacho ze mnie niezłe.*

Leon okręcił się z leniwym wdziękiem wokół własnej osi, a z widowni dobiegły oklaski, gwizdy i popiskiwanie. Tosiek w pełni podzielał entuzjazm widzów. Ze swojego miejsca za kotarą miał doskonały widok na najbardziej smakowity delikates, jaki kiedykolwiek stąpał po tej scenie. Nawet brak kostiumu nie przeszkadzał w odbiorze spektaklu, wręcz przeciwnie, Leon w swoim garniturze zupełnie zahipnotyzował publiczność, zarówno tę na widowni, jak i za kulisami.

– Skończył już? – wysyczał Artur, gotowy do swojego wielkiego wystąpienia w roli profesor Koziołek. W rękę trzymał świstek papieru, na którym Tosiek wynotował przed chwilą wszystkie zapamiętane przez siebie wierszyki z zeszytu. – Gada i gada.

– Nie. – Tosiek zmarszczył brwi. – Coś teraz mówi od siebie... nie do rymu. Chyba improwizuje.

Umilkli i zaczęli słuchać uważniej.

– ...i choćby rozszarpali mnie na strzępy, nie pokonają mnie nigdy...

– To fragment przemówienia Witolda! – syknął z boku Sebastian.

– Dowcipniś – odezwał się z podziwem Darek, strosząc sobie włosy nad czołem. Miał zagrać roztargnionego profesora Zalewskiego.

– Popisuje się – burknął Konrad.

– ...ostatni bastion wolności jest w moim sercu... z białego maku... i póki sił mi starczy, będę go bronił... możecie uwięzić moje ciało... ciasto... ale mojego ducha nie złamiecie nigdy...

– Na głowę chyba upadł – złościł się Artur, przytłoczony podwójną rolą reżysera i aktora. – Wchodzę, ile można czekać. – I wypadł na scenę.

Spektakl potoczył się ustalonym torem. Artur w roli profesor Koziołek przeszedł samego siebie. Tak jak się można było spodziewać, formuła parodiowania kolejnych nauczycieli w ciągu kilku minut doprowadziła widownię do ekstazy. Po Arturze na scenę wyskoczył Konrad jako wyjątkowo ponury Mielnik, a potem Darek w roli popędliwego wuefisty. Obaj zebrali rzesiste oklaski. Wybitne zdolności aktorskie nie były do tego niezbędne – złośliwe wierszyki Leona wystarczająco celnie punktowały belferskie słabostki, by wywołać wśród publiki zbiorowe schadenfreude. Sebastian, którego nikt nie zaprosił do zabawy, kręcił się za kulisami i wzdychał.

– Witold wam tego nie wybaczy – mruczał z zazdrością, podczas gdy pozostali aktorzy tarzali się w blasku łatwej sławy.

– Chcesz też wyjść? – spytał Tosiek, który tkwił z nosem w szparze między kotarami, pełniąc zaszczytną, choć mało wyeksponowaną funkcję suflera. – Pamiętam jeszcze kilka kawałków.

Szybko nabazgrał na kartce dwa wierszyki, te, które Artur wykreślił z przedstawienia jako zbyt ryzykowne. Sebastian skrzywił się.

– Katechetkę mogę wziąć, ale Sokoła nie. To psychol, a ja mam u niego test w przyszłym tygodniu.

– Kto to? – spytał nieuważnie Tosiek, ścigając wzrokiem Leona, który znowu odstawiał te swoje piruety. Och, gdybyż jeszcze śpiewał!

– Sokołowski, od fizyki. Taki niski, z rozwianym włosom. Sepleni. „Masa obiektu jest miała zawałej w nim enelgii”. Ma świra na punkcie testów.

– Chyba już wiem. – Tosiek przypomniał sobie wzburzonego człowieczka, który obrugał dziś fotografa. – To co, wychodzisz? Bo Artur właśnie wraca.

Sebastian wystrzełił na scenę zza kulis. Artur nie był zachwycony.

– Wariackie papiery – burczał. – Ja nie biorę za to odpowiedzialności.

– Ludzie są w amoku – mruknął Darek, zerkając na scenę. – Nawet jak się zatnie, nikt nie zwróci uwagi.

Sebastian się nie zaciął, wywołał owacje na stojąco. Tosiek wzdychał z zazdrością. Też miał ochotę uszczknąć trochę chwały dla siebie.

– Może ja bym zrobił tego Sokołowskiego? – spytał z nadzieją.

Zrezygnowany Artur machnął ręką.

– Jak chcesz. Sokół cię weźmie na celownik, ale za to cała szkoła cię pokocha.

– On mnie i tak nie uczy – wymamrotał Tosiek, spragniony glorii, która tak szczerze promieniowała pozostałych aktorów. – Idę.

Ruszył na scenę i natychmiast zderzył się z Konradem, który zamierzał pojawić się teraz przed widownią jako dyrektor Jastrzębska. Tosiek był szybszy i miał sprawniejsze łokcie. Wypadł za kotarę i wyhamował przed samą krawędzią sceny. Ostatnie pół godziny spędził w półmroku za kulisami, więc natychmiast oślepiło go słońce, wpadające do auli przez wielkie zakurzone okna. Zamrugał. Zobaczył nieprzebraną, jak mu się wydawało, rzeszę zarumienionych, wyczekujących twarzy. Odetchnął kilka razy, skulił ramiona i przeczesał włosy nagłym, szponiastym gestem. Usłyszał śmiechy – rozpozнали go! Dobrze. Odwrócił się w stronę Leona.

– Cóż to za obiekt leży na samym środku klasy? – wyseplenił i zobaczył wyraz czystej grozy na twarzy Leona. Nie przypuszczał, że Leon jest tak świetnym aktorem. – Tak chętnie bym się dobił do jego środka masy! – sugestywnie wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał wyrwać z Leona wszystkie wnętrzności. Z zadowoleniem skonstatował, że przez aulę przeleciała kolejna fala śmiechu udręczonych humanistów. – Niedobły, mało słodki, dam mu najniższą z ocen, nie zdobył w moim teście nawet dziesięciu płocent!

Publiczność wydała z siebie chóralny ryk satysfakcji. Tosiek jeszcze raz przeczesał włosy i zegnany radosnym aplauzem wycofał się za kulisy. Na scenę wyprysnął teraz Darek, a Tośka nikt nawet nie pochwalił, bo za kulisami trwała pospieszna akcja ratunkowa. Konrad krwawił z nosa.

– Znokautowałeś go – fuknął Artur, podając poszkodowanemu chusteczkę. – Ktoś musi wziąć za niego Jastrzębską.

– Ja mogę! – pisał Tosiek.

– To leć, tylko nie zabij Darka.

Podekscytowany sukcesem Tosiek niecierpliwie ustawił się w kolejce na scenę. Serce biło mu mocno. Żałował, że dopiero teraz zainteresował się poczynaniami zespołu. Gdyby wcześniej przyjęli go do siebie, byłby już teraz najjaśniejszą gwiazdą, nie miał co do tego żadnych



wątpliwości.

Wyminął powracającego Darka i wyskoczył na scenę, pełen zapału. Nabrał powietrza w usta i już tak został, z nadętymi policzkami i paniką w oczach.

Zapomniał tekstu.

Jeszcze przed minutą potrafiłby go recytować w przód i wstyk, a teraz nic, kompletna pustka. Język mu skołowaciał, nogi drżały. Widział przed sobą ten sam wyczekujący bezlik spojrzeń co przed chwilą, ale tym razem wiedział, że to wzrok wilczej watahy, gotowej rzucić mu się do gardła, jeśli nie odezwie się w ciągu kilku sekund. Przeciągnął przerażonym spojrzeniem po gronie nauczycielskim, po dalszych rzędach, na końcu dostrzegł Witolda, stojącego pod ścianą razem z całą swoją spóźnioną klasą. Tosiek nie musiał wyostrzać wzroku, by wiedzieć, że miota nim furia.

Jakaś klapka przeskoczyła mu w głowie, z pustki wydobył się pierwszy rym, a zaraz za nim reszta nieuwzględnionej w scenariuszu fraszki z ostatniej strony zeszytu Leona. Naśladując afektowany głos Witolda, wyskandował z emfazą, grożąc publiczności palcem:

*Koniec żartów! Dość zabawy!  
Wschodzi słońca okrąg krwawy.  
Tu oświata, tam kaganiec,*

*Tu matura, tam powstanie,  
Czas przypomnieć naszej trupie,  
Żeśmy wszyscy w czarnej dupie!*

Rozochociona widownia nagrodziła go dzikim aplauzem. Zarumieniony z emocji Tosiek już otwierał usta, by wygłosić drugą część, tę o napalmie, ale wtedy poczuł, że czyjaś ręka chwytą go za ramię i bezceremonialnie ciągnie do tyłu za kulisy.

– Ale dlaczego nie – zaczął, ale Leon z kamienną twarzą wepchnął go za kotarę i jak gdyby nigdy nic zwrócił się z powrotem w stronę publiczności.

– Mogłeś sobie darować – syknął Artur. – Ja nie biorę odpowiedzialności! Leon miał rację.

– Rację w czym? – spytał Tosiek, zerkając zza kotary na scenę, gdzie Leon wygłaszał ostatni monolog. Znowu cytował Witolda.

– Że jesteś nieobliczalnym smarkiem.

– Leon tak powiedział?

Artur zignorował pytanie.

– Chłopaki, wychodzimy zaraz i się kłaniamy. Konrad, już wszystko okej? Weź czystą chusteczkę. Darek, ty pierwszy.

Chłopcy gęsiego wymaszerowali na scenę, witani owacją. Sebastian też dołączył się do pochodu, a skoro jemu było wolno, to i Tosiek niepytany wyszedł tuż za nim jako ostatni, zbierając najwięcej oklasków. Widownia wyła i klaskała, grono pedagogiczne prezentowało szerokie spektrum reakcji – od posępnego milczenia profesora Sokołowskiego, poprzez uprzejme klap-klap profesor Koziółek, aż po entuzjastyczne okrzyki grupki stażystów. Dyrektor Jastrzębska, której się dziś upiekło, klaskała najgłośniej.

Zarumieniony Tosiek pokłonił się raz i drugi, przeczesał palcami czuprynę – dziki wrzask na widowni – i o mało nie pękł z dumy, słysząc, jak gromkimi brawami nagrodzono Leona. Jedyne, co go martwiło, to fakt, że Leon zdawał się zupełnie nie cieszyć ze swojego powodzenia.

Uśmiechał się z przymusem, ledwo patrzył w stronę widowni i gdy tylko oklaski zaczęły cichnąć, czmychnął za kulisy.

– Zęby cię bolą? – spytał Tosiek.

Leon wykrzywił się i nic nie powiedział.

Ostatni widzowie opuszczali aulę. Konrad poleciał do łazienki obmyć skrwawione oblicze. Artur i Sebastian ustawiali krzesła, Darek zwijał kable. Tylko Leon, jako gwiazda zespołu, lenił się na podeście, poprawiając kanty nogawek.

Tosiek przysiadł obok.

– Dobrze poszło – oznajmił. – Nawet Jastrzębskiej się podobało. – Bardzo sobie życzył, by ktoś wreszcie wprost mu powiedział, że był absolutnie doskonały jako Sokół. – A ty... w swojej roli... no brak mi słów, po prostu.

Leon podniósł wzrok.

– Zmiataj do domu.

– Mogę się jeszcze przydać. Do sprzątnia czy coś. Słyszałeś, jak klaskali? Na pewno nie oklaskiwali by tak Witolda.

– Spadaj, mówię – powtórzył Leon z wzrokiem utkwionym gdzieś ponad Tośkiem.

– No ale czego się pieklisz? To był bardzo dobry pomysł.

– Zjeżdżasz czy nie? – warknął Leon i Tosiek zdał sobie sprawę, że Leon patrzy na coś za jego plecami. Odwrócił się. Za ostatnim rzędem krzeseł stał czerwony ze złości Witold i wyjaśniał coś pucułowatemu facetowi z brodą.

– Kto to?

– Strojny, od historii. Prowadzi kółko historyczne.

– Idą tu – powiedział Tosiek.

– Widzę. Spieprzaj do domu.

– Ale co, będą kłopoty? Ja cię tak nie zostawię, nie bój się.

– Boję się tylko twojego niewyparzonego jęzora – syknął Leon. Wstał i pociągnął Tośka za łokieć do pionu. – Już cię tu nie ma.

– Ale...

– Spierniczaj – wyrzekł Leon straszonym głosem i obrażony Tosiek wyrwał łokieć z jego uścisku.

– Wydziwiasz jak primadonna – oświadczył z urazą. – Jak Witold. – Rzuciwszy tę ostatnią obelgę, oddalił się godnym krokiem w stronę drzwi.

Nikt za nim nie zawołał. Nikt go nie zatrzymał. Nikt go tu nie potrzebował! Rozżalony pchnął ciężkie drzwi i wymknął się na korytarz.

Powitał go wybuch śmiechu. Zaskoczony oparł się plecami o drzwi. Przed aulą stało mnóstwo ludzi. Teraz, gdy przedstawienie się skończyło i można było wreszcie iść do domu, nikt się już nie spieszył. Tosiek stracił rezon w obliczu tych wszystkich ciekawskich spojrzeń. I nie było żadnych kulis, za którymi można się schować.

Wtedy ktoś z tłumu krzyknął:

– Zrób Sokoła!

Pozostali podchwycili.

– Tak, zrób! Tośka, zrób Sokoła!

– Tosiek – poprawił Tosiek odruchowo i mocniej naparł plecami na drzwi.

– Zmieniła ci się końcówka?

Huragan śmiechu przeleciał przez korytarz. Tosiek poczuł ogień na policzkach.

– Moje końcówki to ty szanuj – burknął spode łba.

Znowu śmiech.

– Tosiek, zrób Sokoła, prosimy!

– Prosimy, królu!

Tosiek odrobinę odtajał. Ach, to tylko wielbiciele jego talentu. Nie odpuszczają, prawda? Chcąc nie chcąc, przygarbił się, przeczesał włosy palcami i huknął, wyciągając przed siebie palec:

– Dajcie mi przejść! Spieszę się na zajęcia! Włączajcie do sal albo powpisuję wam wielkie czarne kłopotki za spóźnienie!

Tłum zawył z satysfakcji.

Jakie to proste – pomyślał Tosiek, olśniony. – Takie proste, że aż głupie.

Wypatrzył w tłumie Emilię i Matyldę, Roksana też tam stała, i Kaśka, i inni. Zaśmiewali się do łez. Wyciągnął palec w stronę Emilii i zawołał:

– A panny mają u mnie wielki minus! Płoszę nie chichotać, tylko przygotować się do popławki!

Z przyjemnością zauważył, że Emilia się czerwieni. Wszyscy patrzyli teraz na nią. Emilia rozejrzała się spłoszona, odgarnęła włosy za ucho. Zadarła podbródek.

– Dobrze, panie profesorze – odparła z uśmiechem i nawinęła pasmo włosów na palec. – Będę już bardzo, bardzo grzeczna.

Koledzy nagrodzili ją oklaskami. Emilia ukloniła się z sarnim wdziękiem debutantki, a Tosiek widział w jej oczach to samo upojenie powodzeniem, które uderzyło mu do głowy tak niedawno.

– Całkiem nieźle – pochwalił ją łaskawie, gdy tłumek zaczął się rozchodzić. – Szkoda, że nie wpadłaś kiedyś na próbę. Może zostałabyś nawet sanitariuszką!

– Tak myślisz? – Emilia przyjęła to jak komplement. – Mogłabym grać? Z wami?

– To nie ode mnie zależy – Tosiek zachłystywał się władzą. – Ale mogę powiedzieć o tobie Arturowi słówko albo dwa...

– Jeśli znajdziesz czas – odparła Emilia z wystudiowanym brakiem zainteresowania. – Będę wdzięczna.

– Spróbuję...

Nie zaczepiany już przez nikogo Tosiek krokiem zwycięzcy udał się do szatni, zabrał kurtkę i wy dostał się na powietrze. Słońce świeciło jasno z nieba pełnego monumentalnych obłoków i odbijało się w kałużach, pozostałościach po nocnym deszczu. Tosiek owinął się szczelnie kurtką, bo mimo słońca nadal było zimno.

Nie do końca rozumiał, co się przed chwilą stało, ale wiedział jedno – wygrywał. Lubili go, a przynajmniej liczyli się z nim. I tak być powinno!

Skręcił za salę gimnastyczną i podążył wąską ścieżką, przeskakując przez kałuże. Często skracał sobie drogę w ten sposób, ale dziś szybko tego pożałował, bo zapadał się w błoto po same kostki. Już miał zawrócić, gdy usłyszał gdzieś za uchem furkot folii i spadła na niego czarna płachta.

Kwiknął z zaskoczenia i próbował zrzucić to z siebie, ale płachta owinęła mu się wokół głowy, słońce zgasło, poczuł na szyi zaciskające się więzy i stracił dech.

Ktoś go dusił.



## ROZDZIAŁ XVII

Ciemność, szelest folii, chemiczny zapach plastiku.

Tosiek szamocze się, próbuje złapać oddech, gardło ma zablokowane, nie może przełknąć śliny, krztusi się. Wymachuje rękami przed sobą, ale napastnik jest za nim; ciało Tośka wykonuje instynktowny półobrót, traci równowagę, przewraca się w błoto. Zapada się w wodnistej mazi.

Ucisk na szyi Tośka rozluźnia się i jego płuca spazmatycznie zasysają łyk powietrza pachnącego plastikiem. Folia przykleja mu się do ust. Nie zwraca na to uwagi, coś mu każe wyciągnąć ręce tam, skąd słychać chlupot błota, i w następnej chwili ściska w palcach jakiś miękki fragment odzieży, chyba szalik. Sięga dalej i łapie jakby płaszcz albo kurtkę. Jego przeciwnik wyrwa się. Obaj mocują się w błocie, Tosiek nie puszcza, słyszy zgrzyt suwaka. Gnój próbuje wyplątać się z kurtki! Tosiek nie zwalnia uścisku, znów nabiera w usta gorącego powietrza, które parzy mu płuca. Drugą ręką maca na oślep, chwyta za inny kawałek tkaniny, trzyma mocno. Tamten szarpie się, sapie. Tośkowi kręci się już w głowie, czuje się senny i lekki, jakby miał wzlecieć. Słyszy trzask rozrywanego materiału i upada na wznak. Napastnik się jednak wyrwał! A jemu w ręce pozostał tylko jakiś mokry strzęp.

Tosiek słyszy plusk szybko oddalających się kroków, ale nie ma siły wstać i biec w tamtą stronę. Nie może oddychać, wokół niego, w tej ciemności, nie ma już powietrza. Szarpie palcami więzy na szyi, ale nie może ich rozplątać. Sięga do ust i próbuje rozerwać czarną zasłonę, która okleja mu spoconą twarz. Jest bardzo zmęczony. Pierwszy raz w życiu żałuje, że nie ma dłuższych paznokci. W końcu udaje mu się wyszarpać mały otwór, potem większy. Łapczywie oddycha zimnym powietrzem. Szarpie dalej, rozrywa zasłonę.

Widzi słońce, oślepiające jak lampa nad stołem operacyjnym. Mruży oczy. Jego oddech przypomina łkanie. Płuca kurczą się spazmatycznie jak w ataku astmy. Powietrze jest jak piasek, drażni mu gardło. Kaszle. Kaszle aż do łez, łyż jak groch lecą mu po policzkach, ociera je brudnymi rękami, które ociekają szlamem.

Siada jak pijany. Opiera się plecami o mur. Wokół pachnie mchem i psim moczem. Tosiek siedzi w kałuży.

Odplątuje z szyi foliowe uchwyty worka na śmieci, ze wstrętem zdziera go z siebie i rzuca w błoto.

Siedzi. Oddycha. Widzi przed sobą swój plecak, mokry i zniszczony, a obok dostrzega strzęp materiału, który wyrwał napastnikowi. W głowie włącza mu się alarm, coś mu mówi, że to ważne, więc wyławia materiał z błota i upycha w kieszeni mokrej kurtki.

Potem wstaje. Ciężko mu skoordynować ruchy. Podnosi plecak, który ocieka wodą, i przerzuca przez jedno ramię.

Idzie do domu przez osiedle. Błoto z niego cieknie, zimno mu, ale jest wyłączony, nie myśli o tym. O niczym nie myśli. Ktoś pyta go o coś, oferuje pomoc; Tosiek nie odpowiada, idzie dalej na oślep, nogi same go niosą znajomymi ścieżkami.

Nagle jest już w domu, zatrząskuje drzwiami za sobą. Sam nie wie, kiedy rozebrał się i wrzucił ubranie do pralki. Nie wie, kiedy się wykąpał i przebrał w piżamę taty. Nagle już leży na kanapie i trzęsie się jak w febrze. Przykrywa się kocem, ale to nie pomaga, naciąga na siebie kołdrę,

drugi koc i narzutę, ale wciąż mu zimno, rzucają nim dreszcze, broda mu lata, przygryza sobie język.

Nie wie, jak długo tak leży. Zauważa upływ czasu dopiero wtedy, gdy w pokoju zaczyna robić się ciemno. W głowie ma pustkę, po której błąka się jak w pokoju bez klamek jedna samotna myśl, której jego umysł nie potrafi przyjąć od wiadomości i uparcie odrzuca od siebie.

Ktoś próbował go zabić.

Wrócił tata. Zapala światło w pokoju.

– O, pardon – mówi. – Śpisz?

– Już nie – mruczy Tosiek, który nie zasnął nawet na minutę. Chyba że snem można nazwać te majaki na jawie, urywane obrazy błota i worków, które przesuwiają mu się przed otwartymi szeroko oczami.

– Źle się czujesz?

– Tak – szepcze i gapi się przed siebie. – Brzuch mnie boli.

– Rozumiem – zakłopotany Marcin gasi światło, wycofuje się rakiem i przymyka drzwi.

Tosiek wie, że powinien mu o wszystkim opowiedzieć, ale nie potrafi się przemóc. Musiałby opowiedzieć o żalonym smarkaczu upaakowanym błotem, który siedział w kałuży i płakał z przerażenia. A Tosiek brzydzi się tym smarkaczem. Nie chce mieć z nim nic wspólnego. Chce o nim jak najszybciej zapomnieć. Zaciska powieki. Chciałby szybko zasnąć. Odespać koszmar i wstać rano, jakby nigdy nic się nie zdarzyło.

Ale sen nie przychodzi. Jego głowa buzuje jak wstrząśnięta butelka szampana. Jeśli tamto się zdarzyło naprawdę... a przecież się zdarzyło i na nic się zda oszukiwanie, że zmyślił to sobie tylko... więc jeśli naprawdę jest tym sponiewieranym, zasmarkanym oferumą... to znaczy, że jednak przegrał. Wydawało mu się tylko, że wyrwał się na wolność, pozostawiając za sobą Tosię jak pustą wylinkę. Ale wystarczyła chwila i pochwycono go brutalnie, i ciśnięto z powrotem tam, gdzie jego miejsce. Teraz już wie: jego nowe wcielenie jest równie kruche i bezsilne jak to pierwsze.

Tosiek popada w odrętwienie. Słyszy, że pod biurkiem, w mokrym plecaku, wibruje jego telefon, ale nie ma siły wstać i go wyciągnąć. Chce tylko tak leżeć, leżeć, leżeć. Aż umrze.

– Umarłeś czy co? – zżyma się Leon kilka godzin później, kiedy Tosiek wreszcie odbiera, i to tylko dlatego, że akurat wracał z łazienki. – Chciałem ci przekazać, że Strojny był zachwycony naszym przedstawieniem. Krzewimy wiedzę w nowatorski sposób, tak powiedział.

– Aha. – Tosiek gramoli się z powrotem pod kołdrę.

– Dziwny masz głos.

– Jestem trochę chory – wyjaśnia spod poduszki.

– A co się stało?

– Jestem niedysponowany – uściśla z niesmakiem. Jakże nisko upadł, skoro woli uciec się do tak upokarzającego kłamstwa, zamiast powiedzieć prawdę!

Leon reaguje tak, jak to było do przewidzenia: życzy zdrowia, żegna się z pośpiechem i przerywa połączenie.

Tosiek przechorował cały Dzień Niepodległości i długi weekend, który nastąpił po nim. Wychodził z łóżka tylko do łazienki i na posiłki, które ledwo tykał. Była to najdłuższa niedyspozycja, jaką zdarzyło mu się symulować. Tata popatrywał na niego podejrzliwie, ale

brakło mu śmiałości, by zakwestionować jego cierpienia. Tosiek przeleżał więc pełne cztery dni w łóżku, odmawiał kontaktu, zbywał telefony od Leona, gapił się w ścianę i milczał.

W niedzielę tata nie wytrzymał i zagonił go do składania prania. Tosiek wstał więc wreszcie i z miną cierpiętника zabrał się za zwijanie skarpetek w kulki i układanie koszul taty w niechlujne pakiety, a jednocześnie zastanawiał się, pod jakim pretekstem nie pójść jutro do szkoły. Tym razem zamierzał już nigdy nie wychodzić z domu, zostać pustelnikiem i oddać się medytacjom, czy co tam robią pustelnicy. W wolnych chwilach pisałby fanfiki i utwierdzał swoich czytelników w fałszywym przekonaniu, że jest królem, który ma u stóp cały świat. I, rzecz jasna, już nigdy, nigdy nie spotka się z Leonem. Nie mógłby mu spojrzeć w oczy.

„Jesteś silniejszy niż ja” – powiedział kiedyś Leon.

A Tosiek w to uwierzył. Tak go poniosło, że uwierzył nawet w to, że potrafiliby być silny za nich obu. Bezmyślnie prowokował Leona, skłonił do tego, by osłabiły się jego mechanizmy obronne, a teraz, kiedy Leon zadzwonił, słychać było w jego głosie te leniwe, szelmowskie nuty, które przywodziły na myśl wieczór urodzinowy i Leona wirującego w takt muzyki.

Ze złością rzucił zwitkiem skarpetek do kosza. Tego chciał, prawda? Żeby Leon przestał się bać, żeby przestał się oglądać na innych. Wydawało mu się, że chce dla niego tego, co najlepsze, i że te wszystkie zagrożenia, których Leon tak się obawiał, istnieją tylko w jego głowie.

Ale był głupcem, kompletnym baranem, który nie ma pojęcia o tym, jak wygląda prawdziwe zagrożenie i jak wysoka jest stawka. Teraz się bał, bał się panicznie, jak jeszcze nigdy w życiu. Bał się o Leona.

Wyciągnął ze stosu prania swoją własną kurtkę. Strzepnął. Z kieszeni coś wystawało. Wyciągnął z niej bury strzep materiału. Trzymał w ręku naderwaną kieszeń koszuli, kiedyś zapewne białą, teraz w kolorze wyblakłego błota. Na środku dyndał ozdobny czarny guzik.

Kieszeń, którą urwał tajemniczemu napastnikowi. Kto tamtego dnia przyszedł do szkoły w białej koszuli?

Wszyscy, Sherlocku.

Tosiek tępym wzrokiem wpatrywał się w strzep tkaniny. Jakoś nie bardzo wierzył, że można na jej podstawie zidentyfikować przeciwnika. Mówiąc ściślej, nie wierzył w to, że ktokolwiek przejmie się jego losem na tyle, by przeprowadzić szczegółowe śledztwo. Powiedzą, że sam był sobie winien. Na pewno tak jak kiedyś Leon dadzą mu do zrozumienia, że zawsze należy uważać, nie wychylać się i nie drażnić nikogo swoim zachowaniem. Ale coś się w nim zmieniło, kiedy tak obracał w rękach ten poszarpany kawałek materiału. Dotąd wydawało mu się, że napad za salą gimnastyczną ma w sobie coś z kary boskiej zesłanej na niego za wszystkie jego występki. Teraz uświadomił sobie, że to nie tajemna siła rzuciła go w błoto, ale jakiś człowiek, człowiek w koszuli z kieszonką (teraz już bez). Ktoś prawdziwy, z krwi i kości, kto też wrócił do domu brudny i poszarpany. A jeśli to tylko człowiek, można go pokonać.

Jak upiora z opery. Jak czarnoksiężnika z Oz.

Zmysł narracyjny podpowiadał Tośkowi, że to jeszcze nie koniec. Że w nieokreślonej przyszłości musi nastąpić coś w rodzaju ostatecznego starcia sił dobra i zła. Poczuł, że bicie jego serca przyspiesza. Wypiął pierś, napiął mięśnie. Będzie czujny, nie da się już zaskoczyć. Następnym razem to on odniesie zwycięstwo. Lub polegnie.

Ale jak bohater.

W poniedziałek nad ranem przyśniło mu się, że Leonowi działa się krzywda. Nie pamiętał dokładnie, o co chodziło, ale obudził się przerażony, że nie dobiegnie. Dokąd? Nie wiedział, ale

zrozumiał, że siedząc w pokoju, na pewno mu nie pomoże. Przełamał się więc i poszedł do szkoły, choć była to długa, męcząca podróż, w trakcie której nieustannie obracał się za siebie i podejrzewał o nieczne zamiary wszystkich, nawet drobną staruszkę, której ustąpił miejsca w autobusie. W szkolne podwoje wstąpił z zaciśniętymi pięściami, szedł bokiem, z plecami przy ścianie i rzucał groźne spojrzenia wyimaginowanym agresorom.

– Tośka! – przywołała go Emilia z drugiego końca korytarza. – Chodź no tutaj!

Tosiek obraził się z przyczyn gramatycznych i natychmiast zaczął podejrzewać także i ją. Emilia była jednak zbyt wzburzona, by to zauważyć. Otaczał ją wianuszek dziewcząt, wyglądały na rozeźlone.

– Zmienił nam plan, zobacz... Od przyszłego tygodnia chemia będzie na ostatniej lekcji, nie na pierwszej, bo Zalewskiemu coś nie pasowało... A teraz nam nie pasuje!

– Ja muszę zdążyć na korepetycje – wtrąciła Kaśka.

– Ja się spóźnię na basen.

– A ja na jogę.

– Skandal, żeby wszystkim rozwalać dzień, bo jednemu nauczycielowi coś nie gra!

– A co ja mam z tym wspólnego? – spytał ostrożnie Tosiek, kiedy już utwierdził się w pewności, że dziewczyny nie zamierzają go zbiorowo zamordować.

– Musisz iść do Jastrzębskiej i powiedzieć jej, co o tym myślimy.

– Ale dlaczego ja?

Dziewczyny patrzyły na niego jak na idiotę.

– Jeszcze się pytasz?

– Jak już się wydurniasz, to chociaż przydad się na coś.

– Każdy wie, że tylko chłopaków traktuje się tu poważnie.

Nie rozumiał.

– Ale jak to... tylko chłopaków. – Spojrzał na zadziorną Kaśkę, która zawsze kojarzyła mu się z małym czołgiem. – Ty też tak myślisz?

Kaśka zacięła usta i skinęła głową.

– Widziałam to setki razy.

Tosiek przeniósł wzrok na Emilię. Nawet ona uważała, że obdarty wariat będzie miał u dyrektorki większy posłuch niż reprezentacja zaciętrzewionych, pyskatek dziewczyn? Widział po jej twarzy, że tak właśnie jest. Powinien chyba czuć dumę i radość, że będzie mógł się wykazać, nie mówiąc już o tym, że kupiłby sobie ich przychyłność na wieki, ale coś się w nim burzyło – i nie było to lęk przed Jastrzębską. Potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– Odbiło ci? – fuknęła wściekła Emilia.

– Chy-czyba. – Tosiek cofnął się przed jej spojrzeniem, ale nie zmienił zdania. Nie wiedział, jak im to wytłumaczyć. Przecież znał te dziewczyny. Może się z nimi nie przyjaźnił, ale znał dość dobrze, by wiedzieć, że przynajmniej niektóre z nich są bystrzejsze i bardziej rozsądne niż on. Mimo to chciały go wybrać na swojego reprezentanta tylko dlatego, że chodził teraz w portkach i obciął włosy. Co u licha było z nimi nie tak?

Znów pokręcił głową.

– Poradzicie sobie same. Na pewno! A tamta petycja w sprawie obcasów? Dałyście sobie radę. Zobaczył, że dziewczyny popatrują na siebie nawzajem, czerwieni się i zagryzają usta.

– No bez jaj, wtedy też wysłałyście faceta?

Milczenie. Błagalne spojrzenia.



– Spróbujcie same – jęknął Tosiek, nie mogąc znieść tych spojrzeń. – Jak się wam nie uda, sam pójde, ale chociaż spróbujcie... Wiem, że czasem trzeba się namęczyć, żeby zaczęli słuchać. Ja w was wierzę.

Musiał brzmieć przekonująco, bo Kaśka powiedziała:

– Pójdziemy. Ale jeśli spóźnimy się na lekcję, powiedz proszę Zalewskiemu, że jesteśmy u Jastrzębskiej w tej właśnie sprawie...

– Udupi nas za to – doleciało z tłumu.

– Możesz nie iść. Wysłać Tośka nie problem, ale samemu nadstawić głowy już ci się nie chce?

– Ja tylko nie chcę mieć jedyńki na semestr!

Tosiek oddalił się dyskretnie i pozostawił sprzeczącą się grupkę własnemu losowi. Czuł się odrobinę nieswojo. Świat znów dał mu możliwość dokonania bohaterskiego czynu, a on odmówił. Dlaczego? Sam siebie nie rozumiał. Jakieś śmieszne poczucie lojalności wobec świętej pamięci Tosi sprawiało, że nie mógł się pozbierać; właściwie to trochę się obraził w jej imieniu.

Zamyślony wszedł do szatni i mijając labirynty regałów, dotarł do szafek należących do jego klasy. Pozbył się kurtki i już miał wracać, gdy w jednej z bocznych odnóg tego labiryntu spostrzegł Leona. Naprzeciw niego stał Witold i coś do niego mówił, przekrzykując tłum i wygrażając mu pięścią przed nosem.

Tośka zamurowało. Więc jednak! Leon naprawdę potrzebował wsparcia! A Witold... Jak on śmiał! Zamiast z godnością zaakceptować swoją porażkę, wrzeszczał jak obłąkany. Na Leona!

I jakby tego było mało, Tosiek zobaczył na własne oczy, jak Witold z wściekłością trzaska pięścią w szafkę tuż przed nosem Leona, i jak Leon odskakuje o krok.

Świat zawirował Tośkowi przed oczami i stracił kontury, jakby cała szatnia zniknęła i zostali tylko oni dwaj, on i ten zwyrodnialec, który wreszcie pokazał swoją prawdziwą twarz. Witold miał więcej siły, więcej wzrostu i zapewne więcej doświadczenia w zwarcich wręcz; Tosiek był skompresowaną furią.

Jak pocisk śmignął przez szatnię i w pełnym pędzie skoczył Witoldowi na plecy. Ten nie spodziewał się tego zupełnie, więc stracił równowagę i poleciał do przodu, rozbijając sobie nos o posadzkę. Zanim otrząsnął się z szoku, małe pięści były gdzie popadnie, głównie po ramionach. Tosiek szybko zorientował się, że boksowanie tego wysportowanego cielska tylko go zmęczy, więc płynnie przeszedł do szarpania za uszy i włosy, wywrzaskując cienkim głosem:

– Nie tkniesz go nigdy więcej! Bo zatłukę!

Witold jęknął i zaczął się podnosić, a Tosiek poczuł, że Leon chwyta go za łokcie i odciąga do tyłu.

– Zostaw! – zakwiczał i machnął pięścią na odlew. Usłyszał stęknienie.

Nareszcie czuł się silny. Nareszcie czuł, że panuje nad sytuacją, że może wszystko poustawiać po swojemu. Gołymi rękami!

– Spokój! – powiedział czyjś głos i Tosiek odczuł na własnej skórze, jak przykrym doświadczeniem jest bycie podciągany z parteru za ucho. Szarpnął się, ale to zabolalo, więc przestał.

– To przechodzi ludzkie pojęcie – wysapał profesor Sokołowski – żeby dziewczyna tak łobuzowała. Spokój, mówię! Wy tłumaczysz się przed panią dyłktoł.

Dyrektor Jastrzębska pożegnała delegację dziewcząt, obiecując im zajęcie się sprawą profesora Zalewskiego w nieokreślonej przyszłości, i z ulgą wróciła do poważnych spraw. Musiała jeszcze

oddzwonić do fotografa. Fotograf niestety był również jej szwagrem i z nietaktownym uporem dopytywał się, jakie kroki zamierza podjąć, by zachęcić uczniów do składania zamówienia na zdjęcia. Uważał, że mu się to należy w zamian za ciężkie warunki, w których przyszło mu pracować. Jastrzębska westchnęła ciężko i sięgnęła po telefon.

W tej właśnie chwili do drzwi zapukano, po czym otwarto je dość bezceremonialnie na oścież. Do gabinetu wkroczyło dwóch dryblasów. Jeden tamował sobie krwotok z nosa chusteczką higieniczną, drugiemu zaczynał wychodzić na skroni spory siniak.

Dyrektor Jastrzębska nieco się zdziwiła, nie na tyle jednak, by poczuć niepokój. Bójki w liceum się zdarzały. Nie tak często jak na wcześniejszych etapach edukacji, ale nie dało się ich całkiem uniknąć. W pewnych sytuacjach chłopcy zawsze pozostaną tylko chłopcami. Póki obie strony konfliktu były podobnej postury i skore do gestów pojednania, Jastrzębska zwykle poprzestawała na słownej reprimendzie.

Za chłopcami wkroczył do gabinetu profesor Sokołowski prowadząc za łokieć oporne blondwłose stworzenie płci nieokreślonej. Ponieważ stworzenie pyskowało głosem cienkim i piskliwym, dyrektorka przyjęła założenie, że to jednak uczennica. Wydawało jej się, że już rozumie sedno problemu. Awantura o koleżankę. Ot, młodzież. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

W tej właśnie chwili profesor Sokołowski zburzył spokój jej ducha, oświadczając, że pyskate stworzenie właśnie pobiło obu chłopców.

– Nikt mnie nie pobił! – zaprotestował chłopak z siniakiem. Wyglądał znajomo. Po krótkiej chwili szukania w pamięci Jastrzębska zidentyfikowała go jako Leona, ucznia, który brawurowo odegrał główną rolę podczas niedawnej akademii.

– Ani mnie! – dodał nosowo młodzian z chusteczką, czerwony jak burak ze złości.

– Właśnie, że tak! – pisnęło jasnowłose stworzenie, wyrывая się w jego stronę. – Masz za swoje! Może teraz zostawisz nas wreszcie w spokoju!

– Jezu, o co ci chodzi – ten z chustką cofnął się pół kroku.

– Próbowałeś mnie udusić! Zaraz po akademii!

– Co? – odezwał się Leon, a drugi chłopiec z oburzenia upuścił chusteczkę i dyrektor rozpoznała w nim Witolda z kółka historycznego. Witold zaświadczył przez nos, że nie ma pojęcia, o czym mowa; po przedstawieniu został w szkole i pomagał uporządkować pracownię fizyczną.

– Potwierdzam jako naoczny świadek – przemówił z patosem Sokołowski. – Fotogłaf pozostawił po sobie jeden śmietnik, krzesła poprzestawiane, jakieś papięty. Na szczęście znalazłem kilku ochotników do pomocy. Ładnie to tak zmyślać? – odwrócił się w stronę rozczochranego stworzenia, które nieco zdezorientowane umilkło i tylko rzucało wrogie spojrzenia spode łba. – Wśród ochotników był jeszcze jeden chłopiec, Konrad, też z łozbitym nosem. Mówił, że to twoja spławka. Ładnie tak bić wszystkich dookoła? I jeszcze kłamać potem?

– Ale on... – odezwało się stworzenie, wskazując na Witolda. – On uderzył Leona. No, prawie uderzył. Leona... – tu błękitny wzrok zaszklili się jak trawiony gorączką. – Dotknij go jeszcze choć raz, to ja cię, mendo, na śmierć zatłukę...



## ROZDZIAŁ XVIII

– No toś sobie nagrabił – wyrzekł Leon grobowo i wetknął nos w szalik, bo znów wiało.

Tosiek włókł się za nim chodnikiem, pochlipując w rękawiczkę. Przez ostatnie pół godziny przeżywał horror – wszyscy, nie wyłączając Leona, mieli mu za złe i nikt go nie chciał zrozumieć. Wobec nawału oskarżeń Tosiek zaciął się i odmówił składania wyjaśnień, wbijając wzrok w podłogę, a pięści w kieszenie bluzy.

– Nie chciałem cię uderzyć.

– Naprawdę? Dzięki, ulżyło mi. Kretyn.

Tosiek wytarł nos rękawiczką.

– Co teraz zrobisz? – spytał chłodno Leon. – Idziesz do domu?

– M-może chodźmy do ciebie?

– Powiedziała wyraźnie, że masz jutro wrócić z rodzicem. Lepiej się już nie włócz po mieście, tylko idź do domu i czekaj na niego.

– A jeśli z nim nie przyjdę? – spytał Tosiek ze słabą nadzieją.

– To cię Jastrzębska zawiesi albo wyrzuci.

– Ja mu nie mogę powiedzieć – rozkleił się znowu. – Dopiero co wszystko zaczęło się układać!

– Wiem – mruknął Leon w szalik, a głośniej dodał tylko: – O co ci chodziło z tym duszeniem?

Tosiek spuścił głowę. Leon miał go już za beksę i kretyna. Co za różnica, jeśli dowie się reszty? Zająkując się i nie spuszczać wzroku z własnych butów, opowiedział o zajściu za salą gimnastyczną.

Leon słuchał jak skamieniały.

– Czemu mi o tym nie powiedziałeś?

– Żebyś nade mną wisiał jak dron?

– To jest poważna sprawa, trzeba to zgłosić. Powiemy twojemu ojcu.

– Nie! – pisała Tosiek. – Pomyśli, że baba ze mnie!

– Bzdura. Słuchaj...

– Nie powiemy! Ja tego gnojka już prawie miałem! Następnym razem...

– Nie będzie żadnego następnego razu. Będę cię pilnować.

– Nie chcę, żebyś mnie pilnował! Nie potrzebuję! Co, mam chodzić po mieście z obstawą przez całe życie? To już niech mnie od razu zatłuką! – ryknął Tosiek na całą ulicę i nogi się pod nim ugięły, więc tam, gdzie stał, usiadł na krawężniku i ukrył twarz w ramionach, łkając rozpaczliwie.

Leon usiadł obok. Próbował zagadać, ale Tosiek tylko miotał się i złorzeczył. Wobec tego Leon wyjął z plecaka kanapkę z ogórkiem i zaczął chrupać. Tosiek zerknął na niego jednym okiem znad usmarkanego rękawa kurtki.

– Chcesz kawałek? – spytał Leon.

– Wsadź go sobie wiesz gdzie.

– Obrażaj mnie dalej. Obrażaj sobie wszystkich dookoła. To ci na pewno pomoże wyleźć z tego gówna. Ciocia cię nie nauczyła, że czasem oplaca się być grzecznym dla ludzi?

– Jasne, żeby wszyscy mogli mną poniewierać, jak Witold tobą.

– Nikt mną nie poniewierał. Nie zmieniaj tematu. Musisz iść do domu i powiedzieć o wszystkim ojcu, więc się u diabła uspokój i zacznij myśleć, jak to zrobić.

Tosiek rozważał słowa Leona z kwaśną miną człowieka cierpiącego na niestrawność.

– Pójdiesz ze mną? – spytał nieśmiało.

– Pójdę.

Tosiek się odrobinę rozpogodził.

– Ja mu zrobię obiad – wymyślił, szukając po kieszeniach chusteczek. – Jak mu przygotuję prawdziwy obiad, przebaczy mi wszystko. Ale nie będę robić surówki.

– Ja mogę zrobić surówkę.

– Ale nie z selera.

– Nawet mi to przez głowę nie przeszło.

– To chodźmy – Tosiek wstał i ze skrucną spojrział na okazałego siniaka rozlewającego się Leonowi nad okiem. – Ja naprawdę nie chciałem.

– Stul dziób, to może zapomnę...

W zamrażalniku znaleźli oszroniony kłęb kurzego mięsa, a w koszu z warzywami pół kilo ziemniaków. Tosiek nie bardzo wiedział, co dalej. Ponieważ Leon nie palił się z podpowiedziami i okładając sobie oko torebką z mrożoną fasolką szparagową zerkał na niego, oczekując jakiejś inicjatywy, Tosiek powlókł się do swojego pokoju, by wyszukać w sieci jakiś łatwy przepis. Po upływie kwadransa Leon odnalazł go z nosem w komputerze, smarującego komentarz pod fanfikiem.

Tosiek niechętnie odkleił się od monitora i wrócił do kuchni, skarżąc się, że przepisy z internetu są przedziwnie skomplikowane i wymagają różnych egzotycznych produktów, których on nie zna, nie ma albo nie lubi. Leon poddał się więc i sam usmażył kurczaka oraz ugotował fasolkę, a Tosiek, zasadzony do obierania ziemniaków, guzdrał się jak mucha w miodzie, popadając to w katatonię, to wydając z siebie przeciągłe westchnienia.

– Co ja mam mu powiedzieć? – spytał nagle, dłubiąc czubkiem noża w oczku ziemniaka.

Leon doprawiał sałatkę z fasolki i krzywił się.

– Że ci bardzo przykro, że przemyślałeś sprawę i odtąd będziesz już innym człowiekiem.

– No tak, ale zanim dotrę do tego kawałka, on może się znowu pochorować. Może mu lepiej za dużo nie mówić?

– A co konkretnie chcesz ominąć? Przecież już wszystko wie.

Tosiek wyprostował się gwałtownie i ściągnął brwi.

– Odłóż nóż, kiedy na mnie patrzysz – burknął Leon. – Jastrzębska mówiła wyraźnie, że będzie do niego dzwonić.

– Nie... nie słyszałem.

– No naprawdę?... On już wie. Pewnie już tu jedzie.

Tosiek poderwał się na równe nogi i z hałasem wyszarpnął z szuflady garnek do gotowania ziemniaków.

– Pospiesz się z tą fasolką – fuknął. – Mamy mało czasu.

Pół godziny później ziemniaki dochodziły do formy, sałatka czekała w salaterce, Tosiek w kulinarnym amoku ustrajał stół serwetkami deserowymi poskładanymi w łabądki. Leon degustował kurczaka w sosie curry.

– Niby dobre, ale jakieś takie... – skrzywił się. – Sam nie wiem.

– Daj – Tosiek zabrał mu łyżkę i wyłowił sobie kawałek mięsa z sosu. Przeżuł z namysłem. –

Wsypywałeś chili?

– No tak. Niedobre?

Tosiek żuł powoli, a jego oczy powoli wypełniały się łzami.

– Za ostre?

Tosiek płakał rzewnie.

– Tata nie może jeść ostrego. Piecze go potem w gardle i musi ssać tabletki. Wszystko na nic... – Spojrzał z żalem na serwetki i sałatkę. – Teraz pomyśli co najwyżej, że znowu robię mu na złość.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Nie pomyślałem.

– Nie pierwszy raz.

Tosiek przerwał wyławianie z sosu co smakowitszych kawałków i nachmurzył się. Leon odwrócił się do niego tyłem i przetaił blat ścierką.

– A jakby wyłowić te kawałki i je trochę... otrzepać? – spytał Tosiek z wahaniem.

– Sam się trzepnij – zasugerował Leon przez ramię.

Rozeźlony Tosiek cisnął łyżką w ronderek, rozpryskując sporo sosu na świeżo przetarty blat.

– A może ciebie trzepnąć, co? Zdaje się nie miałbyś nic przeciwko. Lubisz, jak się tobą wyciera podłogę, no nie?

– A ty uwielbiasz pakować się w kłopoty, no nie? Bo przecież zawsze znajdzie się ktoś naiwny, kto cię z nich wyciągnie.

– Wcale cię o to nie proszę! – wrzasnął Tosiek.

– Dobrze wiedzieć. – Leon wytarł ręce, odwiesił ręcznik i szybkim krokiem opuścił kuchnię.

Tosiek skłął, na czym świat stoi. Zjadł jeszcze trochę mięsa. Już dawno nie jadł dobrego obiadu i nie mógł się powstrzymać. Pycha. Jednocześnie było mu trochę głupio. Skoro zdołał się posprzeczać nawet z Leonem, niewyczerpanym, mogło by się zdawać, źródłem cierpliwości, jak u licha da radę porozumieć się z ojcem?

Wciąż nie zamierzał mu wspominać ani słowem o ataku za salą gimnastyczną, w związku z czym wyjaśnienie dzisiejszego zachowania stawało się nieco kłopotliwe. Miał do wyboru wyparcie się wszystkiego, ewentualnie upieranie się przy chwilowej niepoczytalności. Tata się wścieknie. Może nawet stwierdzi, że ma już tego wszystkiego dość? Po raz kolejny w życiu Tosiek wyobraził sobie siebie samego w roli bezdomnej, obdarłej sieroty, błąkającej się po mieście samotnie, bez celu, pieniędzy i przyjaciół. Po czym przypomniał sobie, jak zimno dziś na dworze, i postanowił, że chyba jednak pogodzi się z Leonem.

Ja go aż tak nie potrzebuję – wyjaśnił swojemu krzywemu odbiciu w łyżce. – Ale on potrzebuje mnie. Przecież go tak nie zostawię, biedaka.

Nakazał sobie spokój i opanowanie, wygładził bluzę i wytknął głowę z kuchni. Leon stał w głębi przedpokoju i kontemplował wieszak na ubrania.

– Słuchaj... – odezwał się Tosiek, ale już nie dokończył. Z głośniczka przy drzwiach wydobył się charakterystyczny podwójny sygnał domofonu. Tosiek struchlał. Usłyszał daleki odgłos kroków na schodach. Spojrzał na Leona błagalnie.

Leon nie patrzył na niego, brwi miał zasepione. Tosiek nie był pewien, czy ma w nim sojusznika, czy raczej buntownika, który w decydującej chwili wbije mu nóż w plecy.

Znów miał w głowie pustkę. Żadnego argumentu na swoją korzyść, żadnego wykrętu – biała ściana. Jedyne, co pozostawało, to spuścić głowę i w milczeniu zgodzić się ze wszystkim, co wściekły tata mu zarzuci.

Usłyszał za drzwiami jakieś szelesty. Trwało to dłuższą chwilę, ale nikt nie wchodził.

– Chy-chyba nie może znaleźć klucza – wykrztusił spięty do ostatnich granic. Podskoczył z przestrachu, gdy tuż obok jego ucha rozległ się przeraźliwy terkot dzwonka.

– To mu otwórz – zaproponował uprzejmie Leon.

Tosiek zawahał się, nim chwycił za klamkę. Zaciśnął powieki i szarpnięciem otworzył drzwi na oścież.

Cisza. Bardzo długa cisza. Nikt go jakoś nie zbluzgał na powitanie, więc Tosiek ostrożnie otworzył jedno oko i zaraz tego pożałował.

– Witajcie, chłopcy – powiedziała ciocia Idalia.

Tosiek gapił się na nią jak na ducha. Nic nie powiedział i nie poruszył się. Nie był w stanie. Znienawidzony zapach kwiatowych perfum owionął go i sparaliżował. Usłyszał za sobą szelest – Leon podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu. To go jakoś otrzeźwiło. Ręka Leona była gorąca, czuł jej ciepło nawet przez bluzę i wyobraził sobie, jak to ciepło rozlewa się po nim jak magiczne antidotum. Wtedy zrozumiał, że ciocia nie ma już nad nim władzy.

Ciocia cierpliwie stała w progu i uśmiechała się tym życzliwym uśmiechem osoby, która ma bardzo dużo czasu. Przez jedno ramię przewiesiła płaszcz, w drugiej ręce trzymała ciężką torbę z zakupami. Była starannie odziana w pastelowy żakiet, umalowana z niedoścignioną perfekcją i ostrzyżona z takim artryzmem, jakby do jej fryzury przyłożył się sam Edward Nożycoręki. Nic nowego, ale Tosiek odniósł dziwne wrażenie, że mimo tych wszystkich zabiegów ciocia wygląda jakoś inaczej. Jakby starszej. Pospoliciej. Smutniej.

– Przyniosłam sznycle – odezwała się ciocia i podniosła wyżej torbę, wypchaną jakimiś słoikami. Nie weszła jednak do środka. Czekala wciąż w progu, aż Tosiek cofnie się i ją przepuści, a jego bardzo korciło, żeby zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

Ale przecież przyniosła sznycle. I powiedziała „chłopcy”, choć Tosiek nie miał pewności, czy się jednak nie przesłyszał.

Bardzo powoli usunął się jej z drogi. Wciąż nie mógł wykrztusić słowa. Ciocia weszła do środka i odstawiła torbę na podłogę.

– Zanieś ją do kuchni, kochanie – poprosiła i odwiesiła płaszcz. – Tylko umyj ręce i możemy robić obiad.

Ponieważ Tosiek tkwił wciąż w miejscu jak słup soli, to Leon dźwignął torbę i zaniósł na kuchenny stół. Tosiek podążył za nim niepewnym krokiem.

– Ona coś knuje – wymamrotał i klapnął bezsilnie na zydelek.

– Może tak. A może nie. Daj jej szansę.

– Ty byś tylko wszystkim dawał szansę.

– Zejdź już ze mnie, dobrze?

Ciocia wkroczyła do kuchni i sięgnęła po fartuch.

– Co ci się stało w buzię?

– Tosiek mnie trzepnął, proszę pani.

– Ładne rzeczy. Czy już cię za to przeprosił?

– No skąd.

– Przepraszam – warknął Tosiek.

– Żeby to się więcej nie powtórzyło, kochanie. Czy tamten drugi chłopiec wygląda równie źle?

– Gorzej... – Tosiek urwał i zerwał się na równe nogi z zydelka. – Skąd wiesz o Witoldzie?

Ciocia skosztowała kurczaka.

– Kto to gotował?

– Ja – odezwał się Leon. – Ale wyszło gorzkawe.

– Następnym razem nie przesmaż czosnku i wszystko będzie dobrze, kochaneczku. Obawiam się jednak, że Marcin nie może jeść takich rzeczy. Tyle razy mu powtarzałam, żeby poszedł do lekarza, zanim się nabawi wrzodów żołądka.

– Już był – wyrwało się Tośkowi. – Bierze teraz lekarstwa. Skąd wiesz o Witoldzie, ciociu.

– Twoja pani dyrektor do mnie zadzwoniła. Nie przypuszczałam, że będę musiała wysłuchiwać takich rewelacji na twój temat.

– Zadzwoniła... – Tosiek zrozumiał. Ciocia zawsze wszystko załatwiała; płaciła składki, chodziła na wywiadowki. Naraz wydało mu się oczywiste, że to właśnie jej numer telefonu znajdzie Jastrzębska w jego papierach. – To znaczy... że tata jeszcze nic nie wie?

– No mam nadzieję! Tego jeszcze brakowało, żeby musiał tego wszystkiego wysłuchiwać. Serce by mu pękło.

– Z jego sercem wszystko jest w porządku – doniósł Tosiek. – Musi tylko dbać o żołądek, o kręgosłup, no i nie denerwować się.

Ciocia wyjęła z szafki czystą patelnię i wytrząsnęła na nią sznycle ze słoja.

– Poszedł jednak do lekarza, no no – mruknęła pod nosem. – To jasne, że nie będziemy go denerwować, kochanie. Pójdę jutro z tobą do pani dyrektor i wszystko jej wyjaśnimy.

– Co wyjaśnimy?

– Że zaszła pomyłka.

– Jaka pomyłka – zdenerwował się natychmiast Tosiek i spojrzał z rozpaczą na Leona. Leon stał przy oknie, gapił się w szybę i udawał, że go nie ma.

Ciocia zapaliła gaz pod patelnią.

– Pilnuj mięsa, a ja pójde przewietrzyć mieszkanie.

Kiedy ciocia pod pretekstem uchylania okien udała się na skrupulatny obchód wszystkich pomieszczeń, a Leon przewidująco przejął kontrolę nad sznycłami, wzburzony Tosiek zaczął się miotać od ściany do ściany.

– Co ona knuje? Ja jej nie wierzę. Zaraz zacznie mnie dręczyć.

– Czyś ty w ogóle sprzątał pod łóżkiem? – zakrzyknęła ciocia z głębi mieszkania.

– O, masz. Zaczyna się. To teraz taty łóżko, ciociu! Jego spytaj!

Ciocia wróciła ze swojego zwiadu ze stosem brudnych naczyń. Wyładowała je do zlewu i przejęła od Leona patelnię.

– Dziękuję, skarbie. Będziesz jadł z nami?

– Nie chciałbym przeszkadzać...

– Ależ nie ma problemu. Siadaj, siadaj. A ty podaj mi słoik z kompotem.

Tosiek był zły jak osa. Uważał, że należą mu się co najmniej przeprosiny i błagania o przebaczenie, tymczasem ciocia jak gdyby nigdy nic szarogęsiła się w kuchni i torturowała jego kiszkę smakowitymi woniami znad patelni. Oraz, co było już zupełnie nie do zniesienia, mamiła swoim urokiem Leona. Obejrzała z uwagą jego skroń i wyraziła nadzieję, że aż tak bardzo nie boli. Pochwaliła sałatkę z fasolki. Pochwaliła nawet ziemniaki, choć każdy głupek potrafi ugotować ziemniaki, jeśli bardzo chce. Nie minął kwadrans i ciocia z Leonem trajkotali sobie w najlepsze jak para przyjaciółek.

– Spirytus w żadnym razie, cała buteleczka będzie do wyrzucenia. Musisz kupić rozcieńczalnik. Przyjdź kiedyś do salonu, dam ci próbkę.



– Przyjdę. Tosiek mi pokaże drogę.

– Nie mam zamiaru tam nawet wchodzić – oświadczył krnąbrnie Tosiek, zbierając talerze ze stołu.

– Możesz poczekać na zewnątrz.

– Za długo by to trwało – syknął Tosiek, trzaskając talerzami dla zasady. – Głowę dam, że mógłbyś siedzieć godzinami na tych wszystkich zabiegach.

– Ależ nie ma problemu, Leonku, na pewno byśmy coś dla ciebie znalazły. Herbatki?

– Poproszę.

– Mam zaparzyć? – spytał zjadliwie Tosiek, z hałasem ładując talerze do zmywarki.

– Właśnie chciałam cię prosić, tylko nie potłucz filiżanek.

Zeżłony wstawił wodę w czajniku. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest celowo ignorowany, a przecież był osobą najbardziej w tym gronie poszkodowaną! Ciocia przeniosła całą swoją czułą uwagę na Leona, a Leon... podły zdrajca, w ciepłe jej słodkich słówek i komplementów rozkwitał jak kwiatuszek. Rozparł się wygodnie na kuchennym krześle, kiwał butem i potakując grzecznie, wyławiał truskawki z kompotu.

– Teraz też tak myślę, proszę pani, ale wtedy się za bardzo nie zastanawiałem. Spakowałem plecak i przyjechałem tutaj.

– Słoneczko, ale mogliście najpierw porozmawiać.

– Rozmawialiśmy. On powiedział, że przeze mnie wszyscy się z niego śmieją i nie będzie tego tolerował, a mama, że nie tak mnie wychowywała, więc powiedziałem, że zniknę, jeśli im będzie od tego lepiej, a oni nie powiedzieli, żebym został.

– Na pewno wszystko może się jeszcze ułożyć – powiedziała ciepło ciocia i poklepała Leona po ręce.

Tośkiem targnęła zazdrość. Uważał, że ktoś, kto zna Leona zaledwie od pół godziny, nie ma prawa go pocieszać i wspierać. Leon też mógłby trochę się powściągnąć z tymi zwierzeniami, dlaczego jemu nigdy się tak nie zwierzał? Tosiek wyjął z szafki puszkę z herbatą i z premedytacją trzasnął drzwiczkami.

Ciocia przeniosła na niego chłodne spojrzenie. Pokazał jej język.

– Żebym więcej nie widziała tych min, zwłaszcza jutro, w gabinecie pani dyrektor. Musisz zrobić dobre wrażenie, skarbie. A propos, czy ty nie masz żadnych innych ubrań?

Zrobiło mu się zimno, jakby go ktoś oblał kubłem kostek lodu.

– Tatuś nic ci nie kupił?

– Nie twoja rzecz.

– Pewnie o tym nie pomyślał. Nie możesz chodzić do szkoły jak obdartus. Musisz wyglądać przyzwoicie. Trzeba ci kupić...

– Nigdzie z tobą nie pójdę! – krzyknął Tosiek, gotów chwycić się pierwszej lepszej rzeczy, choćby kaloryfera, byle tylko nie dać się zaciągnąć z powrotem w świat falbanek i koronki.

– ...jakiś sweterek i przyzwoite spodnie. Myślę, że dasz sobie z tym radę beze mnie. – Ciocia sięgnęła do torby. Wyciągnęła portfel, a z niego kilka banknotów. – Pójdiesz zaraz na zakupy i kupisz sobie wszystko, co ci potrzebne. Tylko nie szalej. Szukaj przecen. A potem idź do fryzjera.

– Sam?

– Jak uważasz. Ja w twoim wieku chodziłam na zakupy z koleżanką.

Tosiek pomyślał przelotnie o dziewczynach, o Emilii i Matyldzie, i o tym, jak wyglądałyby ich wspólne zakupy. Zaśmiał się gorzko.

– Leonek na pewno chętnie pójdzie z tobą – powiedziała ciocia i poklepała swojego protegowanego po łopacie. – Bawcie się dobrze, kochani.

– Ona coś knuje – powtórzył Tosiek, wlokąc się za Leonem wzdłuż szeregu lśniących witryn.

– Przestań już biadolić – zbył go Leon, podekscytowany jak gimnazjalistka. Ciocia Idalia nakleiła mu na skroń spory plaster, żeby nie straszył ludzi siniakiem. – O, tam możemy wejść. Minus siedemdziesiąt procent na spodnie!

Tosiek prychnął pogardliwie. Ciuchy. Kogo obchodzą ciuchy? Miał poważniejsze problemy na głowie. Nie potrafił dociec, jakie są prawdziwe intencje cioci, ale czuł przez skórę, że coś tu nie gra. Może i wyglądała na dobrotliwą damę, ale gdy wyznaczyła sobie jakiś cel, parla do niego z przenikliwością szachisty. Zdołała już zbić z planszy Leona, a teraz usunęła na bok Tośka – dopiero wysiadając z tramwaju przed galerią handlową uświadomił sobie, że teraz ciocia będzie mogła sobie bez przeszkód porozmawiać z tatą. Celowo wysłała ich na miasto, by pozbyć się świadków!

Będzie próbowała przeciągnąć tatę na swoją stronę. Wykaże mu, że samowola Tośka prowadzi do coraz większych katastrof. Razem uradzą, jak to ukrócić. Namówią się przeciw niemu. Czy w ogóle będzie miał do czego wracać?

Zdenerwowany dał się wciągnąć do wnętrza sklepu. Leon zaprowadził go do męskiej przymierzalni i naniósł mu do kabiny stosy odzieży najrozmaitszego gatunku. Tosiek bez zapału przebierał się we wszystkie zestawy po kolei. Nie miał dziś do tego głowy. Leon był jedynym powodem, dla którego w ogóle zgodził się na tę eskapadę. Gdy tylko ciocia wspomniała o wspólnych zakupach, Leon rozjaśnił się jak niebo po burzy. Kto by pomyślał! Tosiek miał cichą nadzieję, że pochłonięty zakupami Leon zapomni o waśniach i przestanie się wreszcie bocyć – i rzeczywiście, Leon biegał w tę i z powrotem z coraz to nowym asortymentem w ramionach i zazdrośnie oganiał się od obsługi sklepu, która oferowała pomoc.

Tosiek nie miał serca psuć mu zabawy, ale gdy wbił się w ostatni z przyniesionych mu fatalasek, nie mógł już dłużej milczeć.

– Co to u diabła jest?

– Golfik.

– No widzę, ale czy on musi być w różowe paski?

– Czerwone. Może trochę malinowe.

– No mówię właśnie! Nie chcę tego wszystkiego.

– Czego?

– Wszystkiego. Odnieś to.

– Nawet ten niebieski sweter?

– Miałem kiedyś kieckę w tym kolorze. Ohydny.

– A właśnie że ci w nim do twarzy.

– Chyba tobie! Jak ci się to wszystko tak podoba, to sam sobie to noś.

Leon uśmiechnął się smutno i spuścił nos na kwintę. Tosiek wzniósł oczy ku reflektorom na suficie.

– Matko. To wszystko jest bardzo... ych... ładne. Naprawdę. Ale ja się w tym okropnie źle czuję. Trochę jak pajac.

– A w czym czułbyś się dobrze?

Tosiek rozejrzył się wokół, ale w zasłanej tekstyliami kabinie nie znalazł niczego dla siebie. Wychynął na zewnątrz i bez chwili namysłu wskazał palcem w stronę manekinu z wystawy. Manekin stał obok atrapy motocykla, miał na sobie skórzane spodnie i czarną kurtkę nabitą

ćwiekami.

– Serio? – zachichotał Leon. – Jesteś pewien, że to miała na myśli twoja ciocia, kiedy kazała ci ubrać się przyzwoicie? Poza tym, na pewno nie mają XS-ek.

Tosiek spojrział na niego łzawo, rozpaczliwie drapiąc się w szyję opiętą golfem w paseczki.

– Leonku, skarbie, no nie bądź świnia.

Leon wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

I przyniósł mu tę kurtkę.

– Emka – mruknął. – Utopisz się w niej.

Tosiek go nie słuchał. Wepchnął ręce w rękawy i ściągnął poły kurtki ciasno wokół siebie, jak szlafrok. Spojrzął w lustro i patrzył długo, długo i zachłannie, jakby chciał dobrze zapamiętać ten obraz. Ogarnęło go tkliwe wzruszenie, jakby spotkał członka rodziny, z którym nie miał kontaktu przez lata. Pociągnął nosem.

– To jest Daniel – wychrypiał głosem urywanym z tęsknoty i żalu. – Nigdy nie traci głowy i nie robi z siebie kretyna. – Przełknął ślinę i dodał z trudem: – Jest naprawdę *cool*.

Zobaczył w lustrze, że twarz Leona za jego plecami zmienia się. Zgryźliwy uśmiezek ustąpił zmieszaniu, jakby Leon niechzący poznał cudzy sekret i zawstydził się z tego powodu. I jeszcze coś się w nim zmieniło, choć Tosiek nie potrafiłby wyjaśnić różnicy; coś w jego oczach, w wystraszonej spojrzeń, jakby Leon odkrył nowy sekret także w sobie i nie wiedział, co z nim zrobić.

Przyszła wścibska ekspedientka i znów zapytała, czy może w czymś pomóc.

– Nie, dziękuję – odparł Tosiek. Z ociąganiem zdjął kurtkę i przycisnął do brzucha.

– Stać cię na to? – spytał nagle Leon.

Tosiek sprawdził cenę na metce i twarz mu się wydłużyła.

– No nie, zdecydowanie nie.

– Ja nie mówię o kurtce. – Wytracony z równowagi Leon przysiadł na ławeczce przed kabinami. – Mówię o tym, że... że trzeba ci w końcu coś kupić. Przeleć się po sklepie i sam sobie coś wybierz. – Otarł twarz dłońmi. – Ja tu poczekam.

Zakłopotany Tosiek pozostawił go samego i ruszył na obchód sklepu. Wybrał sobie bardzo czarne spodnie bojówki, kilka bardzo czarnych T-shirtów oraz rozpinaną bluzę w kolorze smoły. Zaniósł to wszystko do kabiny i zaciągnął zasłonkę, a gdy po chwili się zza niej wynurzył, Leon stał przed nim z błękitną bandaną w rękę i spoglądał żałośnie spod rzęs.

– Co to znowu jest? – fuknął Tosiek.

– Chustka taka.

– I co niby mam z tym robić?

– Zawiązać na szyi?

– Po co!

– Oczy – powiedział błagalnie Leon. – Skoro już musisz wyglądać jak trup w tych czerniach, niech to chociaż będzie żywy trup.

– Miałem kiedyś taką kieckę. To jest babski kolor.

– Wcale nie.

– Nie? Wiesz co? To kupmy dwie takie szmaty i jedną ty będziesz nosił.

– A-ale, ach. – Leon wahał się tylko przez sekundę. – Oczywiście. Jak sobie chcesz.

Tosiek wyszedł ze sklepu w nowym mrocznym przyodziewku (i bandanie) i nie mógł się

napatrzeć na własne odbicie w kolejnych witrynach sklepowych. W następnym sklepie kupił czarny sweter i bardzo mroczną, czarną kurtkę na suwak, a w jeszcze kolejnym – bardzo mroczne obuwie o wojskowym sznycie. I ruszył dalej, rażno wymachując zakupami w papierowych torbach. Za nim człapał Leon w bardzo mrocznym nastroju. Minę miał tak nieszczęśliwą, że Tośkowi serce się krajało, ale głośno nic nie powiedział. Dopiero u progu salonu fryzjerskiego przystanął i zlitował się.

– Fryzurę możesz mi wybrać sam – zaproponował. – Choć myślę, że i tak nic się nie da zrobić z tymi strzępami. Pewnie się skończy na objechaniu wszystkiego maszynką.

– Nie, nie, coś wymyślimy – ożywił się natychmiast Leon. – Ja już mam koncepcję.

Tosiek nigdy wcześniej nie był u fryzjera – ciocia sama podcinała mu końcówki długich włosów. Pośród luster, butli z różnymi specyfikami i szczebiotu personelu poczuł się nieswojo. Za bardzo to wszystko przypominało klimatem salonu urody „Idalia”. Pozwolił jednak umyć sobie głowę i usadzony na krzeselku, okryty pelerynką, z rezygnacją wysłuchiwał, jak Leon i fryzjerka debatują na temat jego skalpu.

– Tu trochę podgolić, a tu postrzępić i nastroszyć – tłumaczył Leon, wskazując palcem odpowiednie fragmenty. – A to takie długie niech pani zostawi i puści na oko.

– Odczepisz się wreszcie od moich oczu? – zawarczał Tosiek w pelerynkę.

– A co ci się w nich nie podoba?

– Są... są babskie! – nie wytrzymał Tosiek i łysnął ponuro błękitem spod grzywki. – Dobra, pani już wszystko wie, a ty spadaj stąd i poczytaj sobie gazetki.

Fryzjerka próbowała nawiązać przyjazną rozmowę, ale Tosiek milczał buntowniczo. Już on znał te podstępne strategie. Odpowiesz raz i ani się obejrzyś, opowiadasz kobiecie całe swoje życie. Przysłuchując się szcękaniu nożyczek i wpatrując się we własne nadąsane oblicze w lustrze, znów wrócił myślami do cioci Idalii. I do taty. Czy już doszło do wielkiej konfrontacji? Czy już się dogadali? Co teraz knują?

Myślał też o jutrzejszym dniu i o tym, co ciocia zamierza powiedzieć Jastrzębskiej. A jeśli nie zdoła jej przekonać, że Tosiek jest wcielonym dobrem i słodyczą? Jeśli go wyrzuci? Jak on to zniesie? Czy pójdzie do innej szkoły? Czy wszystko zacznie się od nowa? A co z Leonem?...

Uwaga Tośka samorzutnie przeskoczyła na Leona, którego widział w oddali w lustrze. Leonowi szybko znudziły mu się gazetki. Nie minęło wiele czasu i wdał się w żywą konwersację z kierowniczką lokalu. Sama atmosfera tego przybytku zdawała się działać na niego jak zabieg relaksacyjny. Jego gesty znów miały w sobie tę kocią miękkość, którą Tosiek dostrzegł tamtego wieczoru, podczas urodzin; przeczesywał włosy palcami, skubał bandanę, uśmiechał się łobuzersko i bezwiednie bębnił paznokciami o kontuar.

Telefon w kieszeni Tośka zawibrował. Spłoszony Tosiek wy dobył go spod pelerynki i odrobinę się zaniepokoił, widząc, że dzwoni tata. Czyżby już wszystko wiedział?...

– Halo? – odebrał telefon ku niezadowoleniu fryzjerki.

– Gdzie jesteś? – krzyknął tata.

– U fryzjera. A co się stało?

– Nic. Nic – tata starał się opanować. – Ciocia jest w domu, wiesz?

– Wiem. Nie denerwuj się tato, bo ci to szkodzi.

– Choć ty daj mi spokój!...

– A co, dostałeś opiernicz?

– Przestań się wyrażać. Mogłeś mi powiedzieć o twoim kieszonkowym. Nie przyszło mi do głowy... I o swoich wizytach u dentysty też mógłbyś już pamiętać sam!

- Tato, już dobrze, już dobrze. Byłem na zakupach. Ciocia mi kazała.
- Więc była dla ciebie miła, tak?
- Nie! Kazała mi sprzątać pod twoim łóżkiem. Miałeś tam straszny śmietnik, tato! Ale była miła dla Leona. To się liczy?
- Tata mrucał do siebie w słuchawce.
- Leon jest z tobą?
- Tak.
- Ciocia zaprasza go na kolację.
- A co gotujesz?
- Nie denerwuj mnie. Idalia szykuje coś w piekarniku.
- Przyjdziemy.
- To do zobaczenia.

Tosiek odłożył telefon na półeczkę pod lustrem. Wyglądało na to, że ciocia nie wspomniała tacie ani słowem o awanturze w szkole. Zakiełkowała w nim nieśmiała nadzieja. Może ciocia jednak ma dobre intencje? Problem polegał na tym, że zawsze miała dobre intencje, ale niewiele z tego wynikało jak dotąd korzyści dla Tośka.

Podniósł zamyślony wzrok i ciśnienie w nim wzrosło natychmiast.

- Co mi tu pani za loczek rzeźbi?!
- To taka naturalna fala – odparła obronnie fryzjerka. – Sama się zrobiła.
- Ja nie chcę żadnych fal! Leon, no powiedz!

Leon oderwał się od pasjonującej dyskusji na temat kremów zmiękczających skórki i nadciągnął z odsieczą.

– Kolega jest trochę nadwrażliwy – wyjaśnił nadąsanej fryzjerce. – Niech mu to pani jakoś zaczesze.

Fryzjerka zaczesła.

- O, nieźle. Trochę wczesny DiCaprio.

Z lustra spojrzął na niego wściekłym wzrokiem ulizany blondynek.

– Był taki młody nazista w *Kabarecie* – wycedził Tosiek, hamując się od dalszych porównań wyłączenie ze względu na fryzjerkę, po czym zażądał zmiany koncepcji.

Obrażona fryzjerka utrefiła mu nastroszony czubek tuż nad czołem, stosując się ściśle do wskazówek Leona i nie odzywając już ani słowem. Pół butelki żelu później z lustra wyjrzał zrezygnowany hipster.

- Tobie się to podoba? – upewnił się.
- O, tak – powiedział Leon z rozmarzeniem.
- Niech mnie pani po prostu dobije – wygłosił Tosiek i zwił bezwładnie na krześle.
- Ale może być?
- Wszystko mi jedno.
- Przejdzie mu – pocieszył Leon fryzjerkę. – Czasem tak lubi sobie poddramatyzować jak królowna.
- A w nos chcesz? – burknął Tosiek.
- To są groźby karalne, harcerzyku. Nie dość ci ich już jak na jeden dzień?

Tosiek cisnął pelerynkę na ziemię i zerknął w stronę lustra. Zobaczył w nim młodego człowieka odzianego w szlachetną czerń (i tę beznadziejną apaszkę), przystrzyżonego – musiał to niechętnie przyznać – całkiem fachowo. Młody człowiek wyglądałby bardzo przystojnie i po męsku, gdyby nie ten foch na twarzy. Tosiek rozciągnął usta w krzywym uśmiechu.

- Wreszcie można z tobą wyjść do ludzi – mruknął Leon.
- Liczy się wewnątrz – oświadczył Tosiek takim tonem, jakby nigdy nie przeglądał z tajonym požądaniem internetowych katalogów z odzieżą.
- Ta-ak – Leon odchrząknął z zakłopotaniem. – Masz jeszcze trochę czasu? Dasz się zaprosić do kawiarni?

Tosiek zgodził się w dobrej wierze, bo lubił słodyczne i trochę już był znużony tym dniem pełnym wrażeń, nie przewidział jednak, że Leon popadnie w taki amok. Że przeciągnie go przez wszystkie piętra w poszukiwaniu idealnego miejsca, że będzie tak marudził i kręcił nosem. Że brzydtko, zbyt tłoczno, nie ma klimatu, że w karcie nic ciekawego.

– Strasznie trudno cię zadowolić – pozałił się Tosiek i dodał z nostalgią: – Pamiętam czasy, gdy wystarczała ci paczka krakersów.

– Gdybym chciał zjeść byle co i byle gdzie, poszedłbym do domu – burknął Leon, rozglądając się niecierpliwie po całym rozległym kompleksie gastronomicznym. – Spadamy stąd. Znajdziemy coś na mieście.

Tosiek powlókł się za nim w stronę wyjścia, targając na ramieniu torby z zakupami. Miał już na sobie swoją nową kurtkę i obuwie, więc przeglądał się we wszystkich mijanych witrynach. Raz po raz przystawał, żeby przetrzeć butom lśniące czubki.

– Tak, piękny jesteś, piękny – popędzał go Leon, ciągnąc w stronę przystanku. – Widzę tramwaj, nie guzdraj się tak.

– Gdzie jedziemy?

– Na razie do Teatralki, a potem przesiądziemy się w coś do Starego Miasta.

– Ciocia zaprasza cię na kolację – przypomniał sobie Tosiek, kiedy wsiedli do tramwaju. – Więc musimy mieć jeszcze czas na powrót.

– Teraz mi to mówisz? – zirytował się Leon. – Nie mógłbyś raz skatalogować tego śmietnika w twojej głowie i powkładać wszystkiego do odpowiednich szufladek?

Tosiek zignorował meritum, gdyż zachwycił się metaforą.

– O, gdyby tak było można! Osobny folder „Leon” i powiadomienia co pół godziny! Powiedz mu coś miłego! Spytaj, co w zespole! Kup mu nowy lakier!

– „Przestań go wkurzać” – podpowiedział Leon i chwycił się mocniej żółtego słupka, bo tramwaj wjeżdżał w zakręt.

Wysiedli na zatłoczonym przystanku i przepchnęli się do przejścia dla pieszych.

– Wiesz co, nie przesiadajmy się już dalej – odezwał się Leon. – Tam w kamienicy jest knajpa.

– „Sweet Surrender” – odczytał Tosiek z daleka.

– Tak się nazywa, byłem tam kiedyś z... – Leon urwał i zmieszał się, ale niepotrzebnie, bo Tosiek nie zwracał na niego uwagi.

– „Sweet Surrender” – zamruczał. – Dałbym głowę, że słyszałem to w jakiejś piosence.

– O nie.

– Tak. Muszę sobie przypomnieć – mamrotał Tosiek, przełączony w tryb wyszukiwarki. – Będzie mnie to męczyć teraz...

Weszli po schodkach do lokalu zajmującego parter kamienicy. Tosiek przeszukiwał swoje bogate wewnętrzne zasoby i jęczał jak stary serwer.

– No mam na końcu języka!

Kawiarnia, przebudowana z czyjśgo mieszkania, składała się z kilku wysokich pomieszczeń

o łukowatych oknach wychodzących na trację tramwajową. Leon pociągnął Tośka za rękę do stolika pod jednym z nich. Tosiek mruczał coś pod nosem.

– Wyszukaj to sobie w internecie i wróć już na ziemię, dobrze?

– Na ziemię? – zaskoczył Tosiek i rozjaśnił się. – Armagedon! Aerosmith!

– Uff. Już myślałem, że będziesz tak biadolił przez cały wieczór.

Tosiek odetchnął i nieco przytomniej rozejrzał się dookoła. Dwa pozostałe stoliki były zajęte przez hufiec studentek i grupkę menedżerów w koszulach. Tosiek usiadł wygodniej w obitym pluszem fotelu. Spojrzał przez okno – niebo nad miastem szarzało już. Wysoka blondynka przyniosła karty menu, a gdy odchodziła, błysnął żyrandol i wszystko na zewnątrz zniknęło, ustępując odbiciu wnętrza kawiarni: stolika, foteli i dwóch młodych dżentelmenów w identycznych błękitnych bandanach.

– Teraz to już naprawdę będziemy musieli ze sobą zerwać – powiedział Tosiek z żalem.

– Dlaczego?

Skinął w stronę okna.

– Nie chcę ci robić kłopotu.

Leon zerknął znad karty na szybę okienną. Z wyraźnym zadowoleniem poprawił się w fotelu i podjął studiowanie listy deserów.

– Ja się nie skarżę.

– Ale ja się o ciebie boję! – wyrwało się Tośkowi.

– O mnie? – zdziwił się Leon. – Z jakiego niby powodu?

– Skąd mam wiedzieć! To ty zawsze chodzisz zestrachany! To ty mnie wciąż ostrzegasz! Nagle ci przeszło?

Leon wzdrygnął się i ściągnął łopatki, jakby mu kto wrzucił pająka za kołnierz. Zmieszał się.

– Tak, przeszło mi – odparł wyzywająco, drżącymi palcami zwijając kartę w trąbkę. – Już nie będę się tak przejmować.

– C-co ty mówisz – przeląkł się Tosiek. – A jeśli ktoś uweźmie się na ciebie? A jeśli ktoś ci zacznie dokuczać? Albo cię nawet uderzy!

– Bardziej niż tak? – Leon wskazał plaster nad okiem.

– To się nie liczy.

– Liczy się. Olśniło mnie właśnie wtedy, kiedyś mnie rąbnął. Tak naprawdę nigdy nie wiesz, kiedy oberwiesz, od kogo, z jakiego powodu i czy w ogóle. Nie ma co się martwić na zapas. – To mówiąc Leon rozwinął kartę i na powrót się w nią zagłębił, pogwizdując szlagier Aerosmith.

Tosiek nie miał głowy do deserów. Zupełnie stracił apetyt. Tak, jeszcze niedawno sam wykpiwał Leona i jego lęki, ale wtedy był naiwnym dzieciakiem i nie wiedział, co to prawdziwe życie. Miał ochotę potrząsnąć nim i wrzasnąć na niego, żeby się nie wydurniał. Jak on to sobie wyobrażał? Że będą teraz chodzić po szkole za rączkę i czulić się publicznie jak para degeneratów? Musieli ze sobą zerwać! Ich „związek” nie miał już żadnego sensu.

– Musimy zerwać – wypowiedział na głos swoje myśli.

– Cała szkoła już wie, że wpakowałeś się w kłopoty. Teraz mam cię zostawić? I wyjść na ostatnią szuję? Zapomnij. – Leon sprawiał wrażenie człowieka, który się doskonale bawi.

– Ale ja nie dam rady chronić nas obu! – wyjęczał Tosiek. Wychylił się do przodu, wpijając palce w poręczę fotela, i wlepił w Leona rozgorączkowany wzrok. – Nie potrafię...

W następnej chwili jego twarz znajdowała się w dłoniach Leona, a twarz Leona była tak blisko, że Tosiek zobaczył złotawe plamki na jego tęczęwkach i czuł na ustach jego oddech.

– Nie musisz, głupku – mruknął Leon. – Jest nas przecież dwóch. A z moim wybitnym

intelektem i twoimi pięściami możemy zejść naprawdę daleko.

Tosiek usłyszał kpinę w jego głosie i szarpnął się do tyłu. Wcisnął plecy głęboko w fotel i nastroszył się jak oburzony puchacz.

– To nie jest zabawne.

Leon mrugnął do niego jednym okiem.

– Nie jest. To w gruncie rzeczy tak smutne, że tylko śmiech nas może uratować...





## ROZDZIAŁ XIX

Tej nocy Tosiek znów przewracał się bezsennie w pościeli, poprawiał prześcieradło, trzepał poduszki, wszystko po to, by usnąć wreszcie, ale sen nie przychodził. Trema przed spotkaniem z Jastrzębską nie pozwalała mu się uspokoić, a migawki z minionego dnia wciąż do niego powracały. Bójka z Witoldem, powrót cici Idalii, zakupy, wreszcie Leon i jego niespodziewana zmiana przekonań, wszystko przewijało się w jego głowie jak niekończący się ciąg obrazów. Gdy przysnął na minutę, przyśniło mu się, że przewija je na ekranie monitora, przewija i przewija, a strona wciąż odświeża się na nowo, i tak się tym zdenerwował, że się obudził.

Natychmiast wziął go we władanie lęk, słyszał bicie swojego serca w nocnej ciszy i fale na przemian zimna i gorąca rozlewające się po ciele. A przecież niewiele wcześniej, gdy Tosiek i Leon wrócili z kawiarni, nieznacznie tylko spóźnieni, a zapach świeżo upieczonych przez cicię bułeczek z ziołami owionął ich od samego progu, wszystko zdawało się wracać do normy. Zasiedli do kolacji w czwórkę, jak przykładowa patchworkowa rodzina. Rodzina, której członkowie skrywają w sobie tyle sekretów, nieudomówień i wzajemnych pretensji, że jedynym bezpiecznym tematem staje się pogoda. Dyskutowali więc o pogodzie, a gdy zrobiło się już naprawdę późno, Leon pożegnał się i wyszedł.

Tosiek zamknął za nim drzwi, chwilę pokręcił się po domu. Narastał w nim niepokój, wyobrażenia zaczęła pracować. Zadzwoił.

– Gdzie jesteś?

– Idę na przystanek. Zapomniałem coś zabrać?

– Nie, nie. Jak będziesz już w domu, daj znać, dobrze?

– Dobrze. – Leon był rozbawiony. – Cześć.

Tosiek czekał. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Dziesięć minut później zadzwonił znowu.

– Czekam na przystanku – usłyszał. – Idź spać, histeryku.

Tosiek męczył się przez cały następny kwadrans, wreszcie złamał się i znów sięgnął po telefon.

– Wsiadam z windy – zameldował Leon. – Idę w stronę mieszkania. Otwieram drzwi. Jestem w środku. Zadowolony? Zaśniesz teraz?

– Chyba – odparł Tosiek, siląc się na obojętność. – Dobranoc.

Ale nie zasnął, oczywiście, bo lęk nadal trzymał go w swoich szponach. Lęk o Leona, który chyba całkiem zwariował. Prawie go pocałował tam, w kawiarni, przy tych wszystkich ludziach! Zrobiłby to dla żartu, rzecz jasna, ale skąd inni mieli wiedzieć, że to tylko taki żart?

Niespokojnie rzucił się na drugi bok.

Leon najwyraźniej postanowił porzucić swoją dawną lękliwą osobowość i płaść odtąd przez życie jak beztraska nimfa. Tosiek zrobiłby wszystko, żeby go w tym wspierać, kiedy cóż, był tylko chuchrem o chudych pięściach i choć Leon wyśmiewał jego obawy, Tosiek wiedział swoje. Leon stracił poczytalność i wszystko było teraz na jego, Tośka, głowie.

Mijała trzecia w nocy, gdy półprzytomny ze zmęczenia Tosiek zrozumiał, że jest tylko jedno dobre rozwiązanie. Zemdlilo go, gdy o nim pomyślał, ale wiedział od razu, że się nie cofnie. Przez następne pół godziny obmyślał szczegóły swojego planu. Jego umysł opanowała dziwna drętwość – już się nie bał, właściwie już niczego nie czuł. I pewnie nigdy więcej nie poczuje. Ale

za to Leon będzie bezpieczny.

– Wstawaj! – zawołała ciocia Idalia, jak mu się zdawało, zaledwie kilka minut później. – Idziemy do pani dyrektor na dziesiątą!

Tosiek otworzył oczy i natychmiast przypomniał sobie wszystko. Witold, Jastrzębska – zupełnie go teraz nie obchodzili. Nic go już nie obchodziło. Usiadł i ziewnął, a jego wzrok padł na stos ubrań, które wytrząsnął wczoraj z toreb na fotel. Trzeba się przygotować. Żadnych półśrodków, pełna gala. Przeczesał palcami krótkie włosy. Z nimi może być problem. Nie był pewien, czy potrafi wyczyniać takie cuda, jak fryzjerka.

Zamknął drzwi od pokoju i ubrał się z wyjątkową dbałością o każdy szczegół. Potem zasiadł do biurka przed lustro i za pomocą brzoźera oraz pudru wyrzeźbił sobie nową twarz z taką starannością, jak jeszcze nigdy przedtem. Włosy przyklepał na płasko do głowy, bo tylko tyle umiał z nimi zrobić, żeby nie sterczały dziwnie na wszystkie strony.

Rozejrzał się po pokoju. To już chyba wszystko.

Trochę się zawahał, gdy usłyszał za drzwiami głos Leona. Tego plan nie przewidywał. Co on tu robi, u licha?

– Pójdę z wami.

– Nic tam po tobie, Leonku.

– Ale ja pójdę. Też mam coś do powiedzenia!

– Nikt nie oczekuje, że będziesz się bawił w adwokata.

– Dzień dobry – powiedział ponuro Tosiek, wychodząc z pokoju. – Spadaj do szkoły, Leon.

Leon stał przy drzwiach wejściowych z plecakiem na ramieniu. Wytrzeszczył oczy i pobladł. Z ustami uchylonymi od szoku wyglądał dość głupio.

– Czyś ty...? Nie!

– Idź do szkoły – powtórzył Tosiek i mechanicznym gestem wygładził żółte fałdy swojej jedynej sukienki. – Zobaczymy się na dużej przerwie, jak zawsze.

Wstrząśnięty Leon pokręcił głową.

– Nie musisz tego robić! Niech mu pani powie!

Ciocia jak skamieniała stała przy szafce na buty, nic nie mówiła i patrzyła na Tośka bez jednego mrugnięcia.

– Daj spokój – powiedział on sennie. – Spełniam przecież jej marzenia. To co, idziemy? Nie będę jeść, nie jestem głodny... głodna – głos Tośkowi drgnął. Zatrzepotał mokrymi rzęsami, pociągniętymi hojnie maskarą. – Chodźmy, chcę to już mieć za sobą.

– Poczekaj. – Leon wsparł się plecami o drzwi, jakby zamierzał zablokować wyjście własną pierśią. – To dla mnie? Żeby nie gadali? W dupie mam, co mówią, zabraniam ci!

– Ciociu, powiedz mu, żeby się uspokoił, ty to umiesz najlepiej.

– Proszę pani...

– Idź już do szkoły, Leonku – ciocia odzyskała mowę. – Na pewno jesteś już spóźniony.

– W dup...

– I nie używaj takich wyrażen, nie w tym domu, skarbie.

– Pani nie może!

– Zaufaj mi, kochaneczku. Wszystko będzie dobrze. – Ciocia otworzyła drzwi i uśmiechnęła się łagodnie. – Nie możesz podejmować decyzji za innych, choćbyś bardzo chciał. Musisz to zrozumieć.

Wystawiła zdrętwiałego Leona za drzwi i przekreśliła zamek.

– No dobrze – powiedziała zupełnie innym, szorstkim tonem i odwróciła się w stronę Tośka. – A teraz proszę mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy.

– No co, nie widzisz? Tosia wraca do szkoły. – Tosiek niechętnie spojrzął w lustro i szybko odwrócił wzrok, bo z wrażenia zakręciło mu się w głowie. – Czy możesz to po prostu przyjąć do wiadomości i nie rozmawiać ze mną więcej na ten temat? Zaraz się chyba porzygam.

– Usiądź gdzieś – powiedziała machinalnie ciocia. Zaprowadziła go z powrotem do pokoju i usadziła przy biurku, a sama zrzuciła kłęb ubrań na ziemię i zajęła fotel. – To jest twój plan na dzisiaj?

– Na zawsze. – Tosiek wyobraził sobie wieczność w swojej obecnej postaci i znów poczuł skurcz żołądka. – Laleczka wszystkich ładnie przeprosi i znów nastanie pokój i ład na świecie.

– Czy ty się dobrze czujesz?

– Nie tak dobrze, jak na prochach, ale na pewno dasz radę załatwić jakieś nowe kapsułki i jakoś to będzie.

Ciocia podniosła z ziemi czarny T-shirt i odruchowo złożyła go w schludny kwadracik. Podniosła następny. Ręce jej drżały. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała gorycz.

– Myślisz, że do mojego gabinetu przychodzą tylko panie? – spytała. – Przychodzą różne... osoby. I niejedno od nich w życiu słyszałam. I to nie były łatwe historie. Nie dla dzieci. Czy to źle, że chcę cię chronić? Tak bardzo źle? Możesz mnie za to nienawidzić, ale ja zawsze chciałam tylko dobrze dla ciebie.

– Wiem – powiedziały usta Tośka, choć on sam nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czy to było możliwe, żeby ciocia płakała? Nie, to jakieś złudzenie, albo potrafiła opamiętać się w ułamku sekundy. – Jakie osoby?

– Nikt, z kim powinieneś się zadawać, Danielu.

Tosiek nie potrafił wyjść z podziwu, jak naturalnie zabrzmiało to w jej ustach. Może i miała w sobie bezwład i sterowność Titanica, ale kiedy już postanowiła skorygować kurs, pruła nową trasą z pełnym przekonaniem, nie pozostawiając sobie ani sekundy na wątpliwości.

– Ja już nie jestem dzieckiem, ciociu.

– Wiem.

– I mogę podejmować własne decyzje.

– Wiem.

– I to jest moja decyzja teraz. Leon mnie potrzebuje.

– Leon potrzebuje wielu rzeczy, ale na pewno nie twoich łez, kochanie – głos cioci znów nabrał ostrego zabarwienia. – Dość się nasłuchiwałam od klientek, żeby to wiedzieć. Kobiety, które się za bardzo poświęcają dla swoich mężczyzn, nie są szczęśliwe. Ich mężczyźni też nie są.

– Nie jestem żadną kobietą! – zaperzył się Tosiek, po czym się zreflektował i prychnął z urazą. – Do diaska, ciociu, ty zawsze człowieka skołujesz.

– No, to skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy, przebierz się i zmyj to z siebie.

Ciocia ze spokojem składała koszulki i tylko jedno małe mokre miejsce pod jej okiem świadczyło o przebytych wstrząsach. A może to była tylko drobinka brokatu z powieki? Tosiek nie mógł zebrać myśli, nie wierzył własnym uszom. Bezmyślnie bawił się zamkiem sukienki.

– Co powiesz Jastrzębskiej?

– Chciałabym, żebyś to ty mówił, skarbie, bo podobno nie mówiłeś nic. Musisz się nauczyć mówić w swoim imieniu. Nie szarp tak, bo zepsujesz. Zdejmij to już z siebie. Ach, i jeszcze jedno.

Ciocia Idalia odłożyła na biurko stos złożonych koszulek i wyszła z pokoju. Szukała czegoś

w torebce.

– Robiłam wczoraj po południu porządku w łazience! – krzyknęła zza ściany. – Z apteczki zniknęły wszystkie bandaże, czy ty masz z tym coś wspólnego?

– Nie twoja sprawa! – zdenerwował się Tosiek, ściągając z nogi pończochę.

– Nie moja? A kto cię będzie potem woził na ostry dyżur ze złamanym zębem? – Ciocia wróciła z niedużą płaską paczką. – W twoim wieku mógłbyś mieć już trochę więcej rozsądku, I podnieś tę pończochę spod kanapy, w tej chwili!

Tosiek wstał z podłogi czerwony i zły. Cisnął pończochę na biurko. Ciocia sapnęła przez nos i wcisnęła mu paczkę w rękę.

– O Boże wszechmogący, ciociu, kupiłaś mi binder?

W następnej chwili mocarna dłoń trzepnęła go w ucho. Zawył.

– Nie łamie się drugiego przykazania w tym domu, przynajmniej jak długo ja tu jestem, zapamiętaj to sobie. Nie wiem, jak to się nazywa, ale na pewno zrobi ci mniej krzywdy niż bandaż.

– Wiesz, że za bicie dzieci można dostać rok bez zawieszenia? – wrzasnął Tosiek do jej oddalających się pleców. Rozerwał paczkę. Kiedy parę minut później, już przebrany, wsunął się nieśmiało do kuchni, ciocia Idalia w swoim nienagannie czystym fartuszkowi krociła razowiec na desce.

– Niech ci się nie wydaje, że wyjdiesz bez śniadania.

– Więc ty mnie jednak lubisz, ciociu?

– Kocham cię jak nikogo na świecie – odparła spokojnie ciocia, nie odrywając wzroku od deski.

– I nie zależy ci na Tosi?

– Jeśli kiedyś dojdiesz do wniosku, że jednak jesteś Tosią, będę się bardzo cieszyć, bo to by znaczyło, że może będzie ci łatwiej w życiu. Ale tego w sumie nigdy nie wiemy. Na razie obędę się bez niej.

– Ona już nie wróci.

– Biorę to pod uwagę. A teraz, skarbie, wróć do pokoju, zabierz pończochy z biurka i wrzuć do kosza na pranie.

Leon siedział na schodku przed wejściem na klatkę schodową i czekał, wpatrując się posępnie w swoje buty. Gdy w drzwiach ukazał się Tosiek w bojówkach i kurtce, Leon zerwał się na równe nogi. Tosiek poczuł na sobie jego spojrzenie, taksujące go od góry do dołu, i spuścił rzęsy, czując rumieniec na twarzy.

Nie był w stanie wykrztusić słowa. Czyn, na jaki się odważył przed półgodziną, wyczerpał go nerwowo i trochę trwało, zanim całkiem wrócił do siebie. Ale choć odzyskał już spokój i jasność rozumowania, nic nie mogło zmienić faktu, że przed chwilą odsłonił się jak nigdy dotąd – zdradził, że dla dobra Leona jest gotów wyrzec się wszystkiego, nawet samego siebie. Wydawało mu się wtedy, że zdobywa się na niezwykły heroizm, ale teraz miał wrażenie, że się po prostu ośmieszył. Nie miał pojęcia, jak będzie w stanie żyć po czymś takim. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to zerwanie wszelkich kontaktów z tym człowiekiem, skoro nie potrafił nawet spojrzeć mu w oczy.

Ciocia Idalia pojawiła się za jego plecami. Wygladziła mu kurtkę na ramieniu i oderwała metkę z kaptura.

– Szybkim krokiem, chłopcy – zaleciła rażno, nie zwracając uwagi na ich pełne napięcia

milczeniu. – Jesteśmy już naprawdę spóźnieni.

Dojechali przed szkołę autobusem. Ciocia bajdurzyła w swoim najlepszym stylu o pogodzie, kulinariach, gwiazdach telewizji i trendach w makijażu. Leon i Tosiek nie odzywali się, każdy z osobna wdzięczny jej za ten słowotok. Dotarli przed gabinet Jastrzębskiej i Leon wreszcie przemówił.

– Ja też wejdę.

– Skoro musisz – mruknęła ciocia Idalia i zapukała do drzwi. – Ale dasz nam dojść do słowa?

– Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. – Można? Nie przeszkadzamy?

Tosiek wszedł za nią do gabinetu i zdjął kurtkę. Czuł się dziwnie zbędny. Ciocia natychmiast ustawiła przebieg spotkania na własnych warunkach, wyrażając pełne optymizmu przekonanie, że wszystko będzie trwać krótko, bo ona bardzo się spieszy.

– Ponieważ otwieram zawsze o jedenastej, rozumie pani – wyjaśniała wylewnie, odwijając szaliczek z szyi. – Leonku, przyniesiesz mi tamto krzeselko? Dziękuję.

– To z panią rozmawiałam wczoraj – odezwała się Jastrzębska, nieco zdeprymowana zamieszanym w gabinecie. Tosiek został usadzony naprzeciw niej, po obu stronach miał ciocię i Leona.

– Tak. Dziękuję za telefon. Czy tamci pozostali chłopcy też mogliby przyjść? Należą im się przeprosiny.

– Jacy chłopcy? – obudził się Tosiek. – Co, Konrad też? Za co ja mam przeproszać tego donosiciela?

– Oczywiście, że wszystkich przeprosisz, nawet się ze mną nie sprzeczasz na ten temat, rybko – oznajmiła ciocia Idalia, celując w niego ostrzegawczym spojrzeniem.

– Ale zaraz potem porozmawiamy o tym, jak Witold znęcał się nad Leonem, dobrze?

– Nikt się nade mną nie znęcał – obruszył się Leon.

Tosiek zapomniał, że miał zerwać z nim wszelkie stosunki, i spytał z furią:

– To co ja widziałem wczoraj w szatni?

– Witolda w swojej najlepszej formie?

Tosiek poczuł ciężką rękę cioci na ramieniu i w ostatniej chwili powstrzymał się przed obrzuceniem Leona słowem cierpkim i plugawym. Doprawdy, mógłby mu choć trochę ułatwić zadanie, zamiast demonstrować syndrom sztokholmski w pełnym rozkwicie!

– Co ty o nim wiesz? Nic – wymamrotał Leon w kaptur bluzy.

– Wiem, że jest nadętym bubkiem!

– Jest nadętym bubkiem. I co z tego? Przynajmniej mu zależy, naprawdę chce, żeby wszystko się jakoś toczyło w dobrym kierunku. A na czym zależy innym? Ja ci powiem. Na niczym. Rozejrzyj się. Po klasie. Po bufecie. Zobaczysz ludzi, którzy mają wszystko w dupie, byle internet im w komórce działał. Ile tak można... Jezu, nie jesteśmy już dzieciakami – Leon złapał się za głowę i rozczochrał fryzurę, co musiało oznaczać stan najwyższej desperacji. – Za chwilę wszystko będzie od nas zależeć. Witold przynajmniej coś tam robi w radzie osiedla, petycje wysyła, groby sprzęta na Cytadeli, kwestuje na Orkiestrę – przerwał na moment swój pean, bo powietrza mu zbrakło. Tosiek siedział jak wrośnięty w krzesło, bo go zupełnie zatkało. Leon podjął: – Łatwo się wkurza i czasem mu nerwy puszczają, ale co, może tobie nie? Bardzo jest czasem podobny do ciebie.

– O, przepraszam...

– Pewnie, jest nudziarzem. Ale miał rację, kiedy nam mówił, że to nie są czasy na głupie bajki o rogalach. Mogliśmy mu pomóc przygotować akademię z prawdziwego zdarzenia, zamiast się

nabijać. Wstydzę się tego, wiesz? – Leon już prawie krzyczał. – Teraz się obraził i już niczego razem nie zrobimy. Nie każdy musi być mądry i zabawny, żeby być przyzwoitą jednostką, nie każdy musi mieć skomplikowaną osobowość jak ty...

– Ja mam skomplikowaną osobowość? – przejął się Tosiek.

– ...żeby zasługiwać na szacunek. Nie musisz się z nim przyjaźnić, ale wtedy, na akademii, nie musiałeś go tak... gnoić. – Leon umilkł i już tylko oddychał ciężko. Odchylił głowę na oparcie krzesła i przymknął oczy.

– Ale on by cię uderzył – zauważył Tosiek z pretensją.

– Nie sądzę, żeby mnie uderzył – odparł Leon z zamkniętymi oczami. – Choć był naprawdę wściekły. A nawet gdyby, to co? To bym mu oddał. To byśmy się trochę poszamotali, a potem pogodzili, wielka rzecz.

Tosiek doszedł do wniosku, że pewne reguły męskiego świata na zawsze pozostaną dla niego tajemnicą.

– Też mógłbym kwestować na Orkiestrę – oświadczył z pewnym lekceważeniem. – To żaden wyczyn.

– Mógłbyś.

Dyrektor Jastrzębska i ciocia Idalia przysłuchiwały się całej wymianie zdań bez słowa, za to z najwyższym zainteresowaniem. Tosiek popatrzył smętnie na jedną i na drugą.

– Czyli jednak muszę go przeprosić? Znowu wszystko moja wina...

Nikt mu nie zaprzeczył. Dyrektorka i ciocia popatrzyły na siebie.

– Nie wiem, co miałabym jeszcze dodać – ciocia odezwała się pierwsza. – Można ich chyba odesłać z powrotem na lekcje?

– Nie, to nie wszystko – wtrącił Leon. – Ktoś naprawdę napadł Tośka. Tosiek myślał, że to Witold, co jest bzdurą. Ale ktoś to zrobił. No, powiedz im...

A więc jednak Leon okazał się podłym zdrajcą. Tak go wkopać! Osaczony z jednej strony przez niego, z drugiej przez ciocię, Tosiek wyśpiewał wszystko. O jogurcie w torbie, o napisach na drzwiach w łazienkach, o zdjęciu w internecie i wreszcie o napadzie za salą gimnastyczną. Opowiadał z przerwami i nie patrzył na nikogo. Skończył i zapytał, czy może wyjść do łazienki.

– Leon, jeśli mogę cię prosić... – odezwała się cicho ciocia, a Tosiek, obeznany w jej nastrojach, poczuł zimny dreszcz w okolicach karku. Niemal się ucieszył, że nie jest teraz w skórze Jastrzębskiej. Leon wyszedł z nim na korytarz i zamknął drzwi gabinetu. Trwały lekcje, na korytarzu nie było nikogo. Tosiek otarł pot z czoła.

– Trochę mi było niedobrze – wyjaśnił urywanym głosem. – Myślisz, że to miło o tym wszystkim opowiadać, ty... ty kablu?

– Ktoś musiał im powiedzieć. Teraz coś wymyślą.

– Co wymyślą? Że masz mnie wszędzie prowadzić za rączkę? Tylko spłoszą tego debila i już go nigdy nie dopadnę.

Leon uznał chyba, że jest bezradny w obliczu tak wysublimowanych argumentów, bo nie odpowiedział, tylko zacisnął pięści i ruszył przed siebie na powolny spacer korytarzem.

Tosiek przez chwilę walczył ze sobą, w końcu nie zdzierzył i pospieszył za nim.

– Leon!

– No?

– Naprawdę mi przykro z powodu akademii – jęknął. – To jakoś tak... samo wyszło.

Usłyszał własne słowa i zezłościł się na siebie prawie do łez. Czy już zawsze będzie takim

porywczym głupolem, który nabroi, a potem tłumaczy się jak przedszkolak? Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo braterski uścisk prawie pozbawił go tchu.

– C-co...

– Zapomnij o tym – usłyszał tuż przy uchu. – To już nie ma znaczenia. Teraz ty jesteś najważniejszy. Będę cię ochra... to jest, postaram się być zawsze gdzieś w pobliżu. Nie za blisko.

– Tak, właśnie – przytaknął czerwony jak burak Tosiek, który już na początku tyrady Leona odskoczył na bezpieczną odległość, a teraz rozważał ucieczkę korytarzem aż do wyjścia i obranie kariery kameduły.

– Bo ty przecież doskonale radzisz sobie sam.

– Dokładnie.

– I musisz cały czas prężyć te swoje muły, żeby ktoś aby nie pomyślał, że żaden z ciebie macho.

– Tak... Co?

– Jakie to męskie – westchnął obłudnie Leon i pokrywając zmieszanie złośliwym uśmiechem, dorzucił: – Obyś Witolda też dał radę przeprosić sam!





## ROZDZIAŁ XX

Dał radę, bez problemu. Zwlekał raptem trzy dni. W końcu wymógł na Leonie obietnicę, że jeśli puszcza mu nerwy i doprowadzi do kolejnej krwawej jatki, ten udzieli mu azylu w swoim mieszkaniu.

– Możesz mieszkać w łazience – zapewnił Leon, wobec czego Tosiek nie miał już innego wyjścia, niż dopełnić swojego przeznaczenia.

Odnalazł Witolda przy szkolnej gablocie. Wokół panował gwar jak w ulu, kohorty licealistów przewalały się w obie strony, a pośrodku tego wszystkiego Witold z ważną miną przypinał jakieś obwieszczenia i ulotki.

– Cześć – zaanonsował się Tosiek.

– Ffm – odparł Witold ustami pełnymi szpilek.

– Mam cię przeprosić – oświadczył Tosiek z wyniosłym spokojem. – Jastrzębska mi kazała.

Witold z morderczą precyzją wbił szpilkę w podkład z korka.

– Przepraszam, że cię tak przestraszyłem i zbiłem – ciągnął Tosiek tonem pełnym godności. – To się więcej nie powtórzy.

Witold wypluł szpilki w dłoń i zmierzył go z wysoką zimnym spojrzeniem.

– To o tobie mówią, że znudziło ci się być dziewczyną?

– Nigdy nie byłem dziewczyną – wyjaśnił chętnie Tosiek. – To było jedno wielkie nieporozumienie.

Witold prychnął i wbił kolejną szpilkę.

– Nigdy nie będziesz prawdziwym facetem, wiesz o tym, prawda?

Tosiek już miał na końcu języka szeroki wybór ripost, z których „Chyba ty!” była zdecydowanie najbardziej wytworna, dojrzał jednak Leona zapuszczającego żurawia z za węgła i się opanował. Zadarł nos do góry.

– Pozwolę sobie pozostać przy własnym zdaniu – oświadczył dystygownie. – Żegnaj.

– Czekaj, ty – burknął za nim Witold. – Leon mówi, że chcesz chodzić z puszką podczas finału Orkiestry, zgadza się?

– Może bym chciał – odparł Tosiek asekuracyjnie.

– Zgłoś się do mnie, jak już się namyślisz.

To powiedziawszy, Witold odmaszerował, ściskając pod pachą rulon ważnych papierów.

– Nie było tak źle – pochwalił Leon, wyłaniając się zza załomu ściany.

– Chyba się nie polubimy – mruknął Tosiek. Z zainteresowaniem przyjrzał się materiałom w gablotce. – Zobacz, zdjęcia z olimpiady fizycznej. Myślisz, że to będzie bardzo złe, jeśli domaluję Sokołowi dzióbek i skrzydła?

Tosiek nigdy się nie dowiedział, co dokładnie ciocia Idalia powiedziała pani dyrektor. Mógł się tylko domyślać, że w rozmowie padło wiele słów w rodzaju „sierotka”, „faza”, „parapet” i „kuratorium”, bo kiedy tamtego dnia wrócił do gabinetu, Jastrzębska wyglądała trochę tak, jakby właśnie rozważała opcję wcześniejszej emerytury; ciocia, spokojna i niewzruszona na swoim krzeselku, przeglądała informator z ofertą uniwersytetów i zakreślała co ciekawsze pozycje czerwonym długopisem.

Niedługo później musiał wrócić za salę gimnastyczną i opowiedzieć wszystko jeszcze raz, tym

razem profesjonalnie nieczułem policjantowi. Policjant przykroił jego barwną opowieść do formy suchego, rzeczowego zeznania, które Tośka zachwyciło surową wymową, ale nie śmiała spytać, czy pan władza w wolnych chwilach pisze może drabble.

W niedługim czasie spostrzegł wyraźną poprawę atmosfery wokół swojej skromnej osoby. Po pierwsze, nauczyciele przestali zwracać się do niego po imieniu. Po krótkim i kłopotliwym okresie gramatycznych wygibasów ustalił się zwyczaj używania raczej nazwiska, do czego Tosiek nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Pogodził się z tym, że na użytek szkolny będzie Graczykiem, w szczególnych przypadkach TYM Graczykiem, no wiecie, tym który ma coś nie tak z głową. Niektórym nowa forma z trudem przechodziła przez usta, ale nie oczekiwał cudów, zwłaszcza za strony Mielnika.

Druga zmiana była znacznie bardziej uciążliwa, spostrzegł bowiem, że rzadko kiedy jest teraz sam. Niechby tylko przycupnął samotnie w kącie pustego korytarza, by spisać na kolanie zadanie domowe, albo został w opustoszałej sali, by posłuchać przez chwilę muzyki! Z przedziwną szybkością pojawiał się nauczycielski patrol i już któryś z profesorów pytał go, czy aby na pewno nie powinien być zupełnie gdzie indziej. Bardzo go to złościło, z drugiej jednak strony doceniał ich wysiłki. Nie spodziewał się takiego nadmiaru troski. Ze zdumieniem odkrywał, że pewnych izolowanych warunkach dorośli potrafią być całkiem pożytecznym i dobrze zorganizowanym plemieniem.

Starał się im trochę odwdziżyć i przez większość czasu zachowywał się jak anioł, to znaczy nie odzywał się niepytany, chyba że już bardzo musiał, na złośliwe zaczepki reagował wyłącznie agresją słowną, pomagał w angielskim Matyldzie i w ogóle każdemu, kto okazywał mu życzliwość; gdy przyszły kolejne przymrozki, zgłosił się na ochotnika do otulania chochołami róz pod oknami sal i pobił się tylko raz, z Leonem. Dokładniej mówiąc, wepchnął go w zaspę i obrzucił gradem śnieżek. Miał jednak ważny powód. Na skutek jakiejś niepisanej umowy z cicią Idalią Leon zaczął regularnie jadać śniadania i obiady w domu Tośka, co ten z początku uznał za wielki bezinteresowny odruch serca cici. Dopiero poniewczasie zorientował się, że cały ten gastronomiczny przekręt służy głównie temu, by Leon mógł go co dzień odprowadzać do szkoły i później z nim wracać.

– Znowu spiskujesz za moimi plecami, ty źmijo?

– Jestem tylko słabym człowiekiem, a Idalia robi genialne krokiety – wyjaśnił Leon, gramoląc się na nogi. – Każdy by się złamał.

– A wiesz, że pasza, którą karmiono tego twojego gównianego krokietą, mogłaby wykarmić stu ludzi w Afryce? I od kiedy niby jesteś z nią na ty?!

Leon przerwał otrzepywanie spodni ze śniegu i zapatrzył się w Tośka, usiłując wyłuskać jakiś sens z jego burzliwej wypowiedzi.

– Przechodzisz na wegetarianizm? – zapytał z niedowierzaniem.

– Za jakiś czas – odparł Tosiek wyniośle, mając na tyłach pamięci schab ze śliwką, który ciocia zapowiedziała na niedzielny obiad.

– Upprzedź mnie. Chcę widzieć minę Idalii!

– Jeśli dalej będziesz z nią spiskować... – Tosiek urwał i zastanowił się nad dostatecznie złowieszczą pogrózką: – ...to odejdę z zespołu!

– To byłby cios, po którym mógłbym się już nie podnieść – przyznał Leon i strząsnął sobie śnieg z czapki.

Tosiek awansował bowiem do rangi współscenarzysty. Cierpiał co prawda na chroniczną nadpodaż wyobraźni i miał pewien kłopot z przyjęciem do wiadomości, że zespół liczy sobie

tylko kilku aktorów, w związku z czym wszystkie epickie sceny ze śpiewem, tańcem i ulatywaniem na miotle będą wycinane w pierwszym czytaniu. Za to kwestie podchmielonych aniołków na zbliżające się jasełka napisał prześliczne, nawet Artur prawie się popłakał. Ze wzruszenia.

Doceniał też fakt, że nikt mu nawet w żartach nie zaproponował przyjęcia głównej roli ciężarnej nastolatki.

– Może Witold by chciał? – zaproponował złośliwie, gdy podczas jednej z prób zespół debatował nad problemami z obsadą i kwestia parytetów w zespole wynikła sama przez się.

– Witold nie chce mieć z nami nic wspólnego i ja mu się nie dziwię. Skupcie się, ludzie – warczał Artur. – Znacie kogoś, kto zechciałby wziąć udział w naszych wygłupach?

– Emilia – powiedział natychmiast Tosiek. – Z mojej klasy. O niczym innym nie marzy.

– Chwileczkę, a nie powinniśmy zrobić jakiegoś castingu? – spytał Darek. – Musimy dbać o jakość!

– A ty brałeś udział w castingu?

– Ja jestem jednym z ojców założycieli. I jako ojciec tego cyrku domagam się przesłuchań! Nie możemy obniżać naszego wyśrubowanego poziomu i przyjmować każdego jak leci.

– Tak, tak, koniecznie – ucieszył się Sebastian. – Zaraz mogę napisać wstępne kryteria.

– Jeśli przyjmemy bardzo, bardzo dużo śnieżynek, będziemy mogli zrobić taką scenę zbiorową z padającym śniegiem, tylko musimy im kupić baletki – ożywił się Tosiek.

Zaraz po próbie pobiegł odszukać Emilię. Przydybał ją, gdy wychodziła wraz z innymi z sali po lekcji wychowawczej. Tosiek, jako wschodząca gwiazda estrady, korzystał z przysługujących mu przywilejów i kiedy tylko mógł, zwalniał się z obowiązku brania udziału w podobnych atrakcjach. Przekazał Emilii informację o castingu i zapewnił, że rolę ma praktycznie zapewnioną.

– Mogę się zgłosić – odparła Emilia niedbale. – Jeśli znajdę czas. Niedługo koniec półrocza.

– Oczywiście – zgodził się Tosiek.

– Idź po swoje zdjęcie.

– A, zdjęcie. – Dogonił wychowawczynię i pobrał od niej kopertę z własnym nazwiskiem. Wyciągnął ze środka dużą fotografię i zerknął bez zainteresowania na swoją twarz na tle kotary, otoczoną postrzępionymi kosmykami o przypadkowej długości. Odkąd zyskał osobistego stylistę w osobie Leona, zdążył już zapomnieć, że kiedyś tak wyglądał. Koszmar. W ogóle nie miał zamiaru odbierać tego zdjęcia, to ciocia Idalia odfajkowała go na liście chętnych podsunętej jej przez Jastrzębską. Ciocia z zamiłowaniem kolekcjonowała wszystkie jego zdjęcia grupowe, poczynawszy od tych z czasów przedszkolnych.

– Po latach to będzie dla ciebie miła pamiątka, zobaczysz!

Tosiek nie bardzo sobie wyobrażał, jak kompromitujący stos fotografii przedstawiających go w sukienkach kiedykolwiek będzie dla niego czymś więcej niż potencjalną rozpałką, przyjął jednak roztrofną zasadę niewykłócania się o drobiazgi. Oszczędzał siły na sprawy naprawdę wielkiej wagi, takie jak przymus odrabiania lekcji zaraz po szkole czy terror porządków.

Przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych ofiar fotografa. Emilia prezentowała uśmiech Mony Lisy, Matylda miała zamknięte oczy, Konrad z grzywą na pół twarzy wyglądał wyjątkowo głupio. Dobrze mu tak. Tosiek wciąż nie do końca pogodził się z tym, że to jednak nie Konrad okazał się tajemniczym psycholem-dręczycielem. Tak ładnie by pasował! Sokół jednak dał mu mocne alibi. A zatem Tosiek musiał Konrada przeprosić (choć nadal uważał, że to niesprawiedliwe) i znieść jego pełen wyższości uśmieszek. Tyle dobrego, że Konrad opuścił

zespół. Pewnego pięknego dnia zabrał gitarę i oświadczył, że ma wyższe ambicje niż uczestniczyć w tym cyrku pełnym dziwadłał.

– Was miał na myśli – oświadczył Artur w stronę Leona i Tośka, na wypadek, gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości.

– Też mamy odejść?

– Zgłupiałeś, nigdy w życiu! Mówią o was. Plotkują jak szaleni. Tak się buduje popularność. – Artur zatarł ręce z zadowoleniem.

Tosiek uśmiechnął się pod nosem i już miał schować zdjęcie do koperty, gdy jeden szczegół przykuł jego uwagę. Wydawało mu się, że to musi być przywidzenie, ale nie, widział wyraźnie, dobrze go rozpoznawał w szeregu białych koszul. Czyż nie przyglądał się mu dokładnie przynajmniej raz dziennie, nie nosił zawsze przy sobie w charakterze talizmanu, który miał mu przypominać, że zagrożenie wciąż gdzieś się czai za jego plecami? A teraz, choć powtarzał sobie w osłupieniu, że to przecież nie może być prawda, wiedział nareszcie, do kogo należał ten znienawidzony kawałek materiału z czarnym guzikiem.

Dzwonek już przebrzmiał i zaczęła się kolejna lekcja. Klasa Tośka skończyła już zajęcia, mógł się więc spodziewać, że jego koledzy i koleżanki znajdują się gdzieś w okolicach drogi do szatni, może też w bufecie i w toaletach. Wiedział też, że przed szkołą czeka już na niego Leon i że czynem roztropnym byłoby go odnaleźć, opowiedzieć mu o swoim odkryciu, po czym udać się wraz z nim prosto do gabinetu dyrektora Jastrzębskiej.

Ale coś w Tośku buntowało się przeciw temu rozwiązaniu. Zachowywał się w sposób rozsądny już tak długo, prawie dwa tygodnie! Lecz przez cały ten czas podświadomie zakładał, że gdy nadejdzie w końcu moment nieuniknionej, ostatecznej konfrontacji, rozegra ją na własnych warunkach. Inaczej być po prostu nie mogło. Musiał mieć pewność, stuprocentową pewność, że ta mała gnida więcej nie podniesie na niego ręki.

Udał się w stronę szatni, po drodze sprawdzając wszystkie łazienki i inne zakamarki, bez szczególnej wiary w to, że kogoś tam jeszcze napotka, ale nie chciał zostawić nikogo za swoimi plecami. I kiedy zaglądał do ostatniej z łazienek, tej na parterze, stanął jak wryty w progu, bo jednak ją tam zobaczył.

Stała samotnie przed wielkim lustrem i tuszowała rzęsy wokół swoich żabich oczek. Gdy Tosiek wszedł, z zaskoczenia poruszyła pędzelkiem i zjechała nim na policzek, pozostawiając czarną smugę. Nic nie powiedział, tylko wyciągnął strzęp materiału z kieszeni bojówek i cisnął go na brzeg umywalki.

Aż do tej chwili miał jeszcze nadzieję, że to pomyłka. Że Roksana spojrzy na niego jak idiotę, a potem pójdzie do ludzi i dorzuci jeszcze jeden kamyczek do kopca tych wszystkich anegdotek, które krążyły o nim po szkole. Ale Roksana wytrzeszczyła oczy i zobaczył w nich strach. To go zupełnie zbiło z tropu. Jednak ona! Liliput, sięgający mu ledwie do ramienia! Jak? Po co? Postąpił krok naprzód, a wtedy dziewczyna podskoczyła z przestachu, cofnęła się i wpadła na okienny parapet.

Tosiek wiele razy wyobrażał sobie tę scenę, ale teraz nie potrafił się w niej odnaleźć, bo wszystko było inaczej. Miał stanąć oko w oko z równym sobie przeciwnikiem, a nie takim pokracznym niziołkiem! Nie mógł znaleźć w głowie żadnej z tych okrutnie ciętych kwestii, których krocie wymyślał wieczorami przed snem. Stał więc tylko i patrzył, jak Roksana zamienia się w drżącą kupkę strachu.

– Więc to ty – odezwał się z niedowierzaniem. – Taki kurdupel.

Roksana wpiła w niego zwięzione źrenice, dwie kropki nienawiści w oprawie rozmazanego tuszu. Wtedy wreszcie Tosiek uwierzył, że to śmieszne stworzenie naprawdę byłoby w stanie go zabić.

– Próbowalaś mnie udusić – powiedział ze zdumieniem. – Dlaczego?

Roksana przełknęła ślinę i pokręciła głową.

– Nieprawda! To był tylko żart!

– Żart?! – Tosiek przypomniał sobie obrzydliwy zapach worka na śmieci i swój zwierzęcy, upokarzający strach; odruchowo zacisnął pięści. – Może ja też tak sobie zażartuję? Pośmiejemy się razem, chcesz?

Sam nie wiedział, kiedy znalazł się całkiem blisko niej, ale nagle widział jej skurczoną ze strachu twarz tuż przy swojej, a jego ręce zaciskały się na kołnierzyku jej bluzki. – No, dlaczego się nie śmiejesz? – wrzasnął. – Śmiej się teraz!

Roksana oddychała szybko, łyzy pociekły jej po policzkach. Widział w jej źrenicach swoje własne podwójne odbicie, triumfujące nad złem, zwycięskie. Chciał je widzieć lepiej, chciał zapamiętać je na zawsze! Odruchowo zerknął w bok, w lustro.

Ale nie zobaczył tam zwycięzcy, tylko wysokiego, wykrzywionego obłędem chłopaka ściskającego za kołnierz małą, przerażoną dziewczynę. Wrażenie było tak wstrząsające, że natychmiast zwolnił uścisk i cofnął się o krok. Teraz i on był sobą przerażony, choć starał się tego nie okazać. Zaplótł spoczone ręce za plecami, na wszelki wypadek. Roksana kulila się pod oknem.

– No dobra – powiedział szybko, na wydechu. – Powiesz mi teraz, dlaczego to zrobiłaś. Przecież ja do ciebie nic nie mam.

Roksana zacisnęła zęby.

– Mów albo powiem Jastrzębskiej.

– I tak powiesz.

– Może nie.

Roksana z uporem gapiła się na kran i kurki. Tosiek nie zamierzał jej odpuścić.

– Słuchaj, Roksana...

– Roksanna – poprawiła go ze złością. – Przez dwa „n”.

– Naprawdę? Co za różnica!

– Tak mam na imię – wycedziła Roksanna, ocierając policzki. – Od tego możesz zacząć.

– Mam nadzieję, że to nie z powodu tego debilnego imienia napadłaś na mnie, Roksanno – przemówił Tosiek z ironią.

– A twoje niby lepsze, Tosiu? Jakoś nie lubisz go używać!

– Koniec – zdenerwował się na nowo Tosiek. – Przestań kluczyć. Te zdjęcia w internecie i jogurt to też twoje pomysły? Pewnie tak, to mi pasuje do takiego małego tchórza, który w twarz niczego ludziom nie śmie powiedzieć.

Pyzata twarz Roksanny stężała w wyrazie bólu, jakby ją uderzył.

– Ty nie wiesz, jak to jest – wyszeptała. – Kiedy ktoś się boi.

– Ja nie wiem? – zapieklił się Tosiek.

– No, teraz już tak – prychnęła Roksanna pogardliwie. – Dzięki mnie.

Ta mała psychopatka miała rację. W końcu zanim zaczęła robić te wszystkie kawały, strach był mu obcy. Chyba po prostu nie leżał w jego naturze. Może dlatego, że rzadko kiedy myślał o konsekwencjach.

– Jesteś czubkiem – ciągnęła Roksanna z pasją. – Zawsze byłaś. Już wtedy, gdy chodziłaś

w tych swoich śmiesznych sukienkach. Kto normalny tak się dzisiaj ubiera? A teraz to ci już całkiem odwaliło.

– Jak ci to tak przeszkadza, to nie patrz – wkurzył się Tosiek, ale Roksanna go nie słuchała.

– Normalnego człowieka obchodzi, co inni o nim myślą. Normalny człowiek się tego boi. To jest normalne – powtórzyła z uporem. – A ty nic. Powinni ci pokazać, gdzie twoje miejsce.

– No, gdzie?

– Na końcu – warknęła Roksanna ze złością. – Za normalnymi ludźmi.

– Ale jakoś nie pokazali – zauważył Tosiek szyderczo. – Chyba nawet mnie lubią ostatnio. Może po prostu mają za co? Może jestem po prostu mądry i miły, nie tak jak co poniektórzy?

– Nie jesteś – wyrzuciła z siebie dziewczyna. – Już nie pamiętam, ile razy dostałam od ciebie z łokcia, jak się przepychałeś do sali. I nazwałaś mnie idiotką!

– Ja?!

– Kiedyś, w auli. Przy Witoldzie!

Tosiek nie bez trudu przypomniał sobie tamten dzień, kiedy niósł słowniki przez aulę. No, może i coś tam powiedział. Nie pamiętał już, co innego zajmowało wtedy jego myśli.

– Takie to ważne, że przy Witoldzie? – naigrawał się, usiłując zagłuszyć jakieś nieprzyjemne wrażenie, które pozostawiły w nim słowa Roksanny. No i co z tego, że się czasem przepychał. Nie jego wina, że ma łokcie na wysokości jej twarzy. Każdy się przepycha, jak może, takie jest życie! Roksanna poczerwieniała i zamachała tłustymi rączkami.

– Zamknij się! Nawet go nie wspominaj, nie masz prawa! – Zapowietrzyła się z tej złości, odetchnęła kilka razy i dodała ciszej: – Ty masz Leona. Nikt nie wie, co on widzi w takiej szajbusce, ale go masz... nadal. A przedtem też nie miałaś problemu, żeby chodzić z chłopakami. Nie wiesz, jak to jest... Kiedy... – głos się jej urwał i zamilkła, cicho sapiąc. Z jej okrągłych oczu znów popłynęły dwie łzy i zmieszały się tuszem.

Tosiek nie mógł zwalczyć męczącego uczucia, że coś nie jest w porządku. Stał przecież po stronie dobra, prawda? Skrzywdzono go i poturbowano, tak? To dlaczego nagle czuł się, jakby zrobił coś złe? Dlaczego zrobiło mu się żal tej małej idiotki? Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Słuchaj no – powiedział nerwowo. – Rozumiem, że masz jakiś problem ze sobą... – Zobaczył, że Roksanna znów się nadyma, ale nie dał jej dojść do słowa – ...ale co ja mam z tym wspólnego? Uwzięłaś się na mnie, bo mi zazdrościsz? Jakby było czego. Myślisz, że mi jest łatwo, do diaska?

– Polubili cię – szept dziewczyny był ledwo słyszalny. – Nie powinni... nie ciebie.

– Dlaczego nie powinni? Moja wina, że taki jestem zabawny i zdolny?

Zaśmiała się gorzko.

– Zdolny? Ty? Bo piszesz opowiadania o postaciach, które wymyślił ktoś inny? Bo przedrzeźniałaś Witolda, choć mu do pięt nie dorastasz? I lubią cię, bo się wyśmiewałaś z tego, jak Sokół sepleni, tylko dlatego. Wielki wyczyn... rzeczywiście...

– Wiesz co, przymknij się – zdenerwował się Tosiek, któremu nagle zabrakło argumentów. Musiał sobie specjalnie przypomnieć, że ta karlica na niego napadła, bo w przeciwnym razie czułby się już całkiem głupio.

Nie wiedział, co ma robić. Nie mógł tego tak zostawić. Powinien donieść Jastrzębskiej – i pewnie by to zrobił, gdyby gryzące poczucie winy nie uwierało go jak metka w swetrze. Żaden z jego postępów nie usprawiedliwiał napaści na niego, to jasne; przypomniał sobie jednak, jak sam, chory ze strachu, bez sensu napadł na Witolda; jak dokuczał wszystkim dookoła tylko

dlatego, że był w złym humorze; kto wie, do czego jeszcze by się posunął, gdyby nie wsparcie Leona i cierpliwość taty? Nawet ciocia Idalia ostatecznie przybyła z pomocą. Roksanna chyba nie miała nikogo, komu by na niej zależało. Wyobraził sobie siebie w takiej sytuacji i poczuł się, jakby otwarła się przed nim czarna otchłań.

Roksanna tymczasem łkała znów w rękaw, opierając czoło o ścianę.

– No już weź nie rycz – powiedział Tosiek z pretensją. Co miał z nią zrobić, do licha?

– M-możesz być t-taka ładna – wykrztusiła Roksanna pomiędzy szlochami. – Ale m-masz to zupełnie za nic... To n-niesprawiedliwe...

Skrzywił się z niesmakiem. Mógłby jej dużo opowiedzieć o tych wszystkich trikach, dzięki którym ciocia Idalia potrafiła każdemu namalować piękną twarz, o zestawach ćwiczeń w internecie. Coś mówiło mu jednak, że Roksanna o tym wszystkim już wie. Problem leżał gdzie indziej.

– Witold biega – powiedział zamiast tego. – W każdą środę, wokół Areny. Przed lekcjami.

Podejrzliwe spojrzenie żabich oczek.

– T-tak? Nie chwali się tym w sieci.

– Może biega bez czujnika, nie wiem.

– No i co z tego?

– To, mała debilko, że możesz sobie kupić jakieś trampki i wpaść na niego przypadkiem.

Roksanna wytarła nos w chustkę.

– To podstęp, tak? – spytała nieufnie. – Ja tam pójdę, a twój kumpel Leon już będzie na mnie czekał?

Tym razem brakowało naprawdę niewiele, by Tośkowi puściły nerwy, ale wtem jakiś nieużywany trybik jego wyobraźni ożywił się i wyprodukował mu przed oczami wizję tego wszystkiego, co może się z nim stać, jeśli straci głowę i naprawdę przyłoży Roksannie. Była to wizja przygnębiająca i groźna, choć w technikolorze. Cofnął się na wszelki wypadek i powiedział z godnością:

– Dlaczego miałbym nasyłać na ciebie Leona, skoro mogę cię osobiście sprać nawet w tej chwili? – Nie zabrzmiało to tak pokojowo, jak zamierzał, więc widząc, że Roksanna znów kuli się pod jego spojrzeniem, dodał pospiesznie: – Ale tego nie zrobię. Wiesz dlaczego? Bo jestem dobrym człowiekiem.

Bardzo chciał w to wierzyć.

– Powiesz Jastrzębskiej? – wyrzuciła z siebie dziewczyna.

Tosiek zawahał się.

– Nie, Roksanno – powiedział bez ironii. – Ale będę miał na ciebie oko. Jak usłyszę choć raz, że ktoś robi komuś jakieś śmieszne psikusy...

Roksanna westchnęła histerycznie, oderwała się od ściany i wybiegła z łazienki, wymijając go szerokim łukiem. Trzasnęły drzwi.

Stał chwilę bez ruchu. Potem się ocknął, podszedł do umywalki i umył twarz zimną wodą, unikając swojego odbicia w lustrze. W końcu jednak przemógł się i spojrzął.

– No, możesz być z siebie dumny – powiedział.

Ale nie był.

Nie tak miało być. Wydawało mu się zawsze, że któregoś dnia stanie sam na sam z całym złem tego świata, pokona je i nastąpi coś w rodzaju wielkiego finału, uderzenie w wielki gong, po którym nastąpi wieczna radość, taniec i śpiew. A zło okazało się jakieś takie małe i niepozorne. Zwycięstwo nad nim wydawało się rzeczą wstydliwą, osobistą i niegodną



wspomnienia. Tosiek nie miał nawet pewności, czy można w ogóle mówić o zwycięstwie.

Wyszedł z łazienki i ledwo uszedł kilka kroków, wpadł na Leona.

– Szukam cię wszędzie. Czemu nie odbierasz telefonu?

– Miałem wyciszony na lekcjach – wyjaśnił z roztargnieniem Tosiek. – Powiedz mi, czy ja jestem dobrym człowiekiem?

Nie spodobał mu się wyraz wahania na twarzy Leona.

– No, umiarkowanie – usłyszał. – Mieścisz się w dolnych granicach normy.

– Aha – powiedział Tosiek. Pomyślał chwilę. – Nie, to mi nie wystarcza. Będę gonił peleton. – Namyslił się jeszcze raz i dodał ze skruchą: – Przepraszam, no. Wiem, że miałem go włączać zaraz po dzwonku...

– Brzmi jak dobry początek – mruknął Leon.



## ROZDZIAŁ XXI

Grudzień zapisał się w rodzinnych annałach przede wszystkim wielką awanturą między Marcinem a Idalią. Po latach wzajemnych uprzejmości, nietykania spraw spornych i przemilczania pretensji Marcin wreszcie nie wytrzymał. Zaczęło się od tego, że dowiedział się przypadkiem o kłopotach Tośka w szkole i o interwencji szwagierki. Tosiek przypuszczał, że to Leon, nie do końca świadom pajęczyny nieudomówień spowijającej jego rodzinę, niechcący palnął o kilka słów za dużo. Tata zażądał szczegółów, a poznawszy całą prawdę, wpadł w szal. Ku uldze Tośka nie pieklił się z powodu jego postępów – ubodło go jedynie to, że nikt go o niczym nie poinformował.

– To był twój zaszary obowiązek, powiedzcie mi! – darł się na cicię, wymachując rękami. – Skoro już wpierdzielasz się bez przerwy w nasze życie, to przynajmniej nie każ dziecku łąć!

Ciocia siedziała wyprostowana na fotelu i ciskała z oczu skry.

– Ja robię, przepraszam, co? – spytała lodowato. – Jakoś nie zgłaszałeś uwag, kiedy latami wychowywałam dziecko za ciebie, żebyś sobie mógł sobie zarabiać te nędzne grosze. Choć też mam firmę i też zarabiam... – posłała triumfujący uśmiezek, który miał zapewne dać Marciniowi pewne wyobrażenie o stanie jej własnych finansów. Marcin się wściekł.

– Wychowywałaś? Wychowywałaś? Wodę z mózgu mu robiłaś i tyle! Dobrze, że poszedł swoją drogą, bo byś z niego zrobiła taką samą idiotkę jak ty!

Tosiek siedział cicho na kanapie, gryzł słonego paluszka i z zafascynowaniem przysłuchiwał się kłótni. Ciocia przeszła do ofensywy.

– Proszę, proszę, chętnie posłucham twoich koncepcji wychowawczych. No, co masz dziecku do zaferowania? Co ostatnio czytałeś? Oglądałeś jakiś spektakl? Albo chociaż film? No, czym się interesowałeś poza wbijaniem śrubek?

– Śrubek się nie wbija! – ryknął Marcin i huknął pięścią w biurko, aż podskoczyły na nim wszystkie długopisy.

– Nic nie masz do zaferowania. Nic poza wrzaskiem i tym wulgarnym językiem. Mojej siostrze też niczego nie dałeś, niczego wartościowego.

– Ej no – obraził się Tosiek. – A ja?

Spojrzeli na niego ze zdumieniem, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, że tu jest.

– Wyjdz, kochanie – powiedziała ciocia Idalia.

– Ani mi się śni – zaprotestował Tosiek. – Mówicie bardzo ciekawe rzeczy. Tato, ty naprawdę tak mało zarabiasz?

– A brakuje ci czegoś? – warknął tata, po czym gwałtownym gestem założył ręce na piersiach i wyjrzał przez okno.

– Nie... Tylko... Co z pieniędzmi na *Wicked*?

– Na co?

– Na Londyn – wyjaśnił Tosiek, odrobinę zaniepokojony. – Nie mów, że ich nie ma. Dostałem wczoraj cztery plus z geografii.

– Znajdą się – powiedział tata.

– Oczywiście, że są, kochanie – dodała Idalia i wygładziła poły zakietu. – O nic się nie martw.

– Aha. Ja tylko chciałem powiedzieć, że jeśli brakuje, no nie wiem, na jedzenie albo na twoje

lekarstwa, to możesz zużyć te pieniądze, tato – wyjaśnił rzewnie Tosiek, drapiąc się po policzku słonym paluszkami. – Ja i tak się będę uczyć. Tylko nie kłóćcie się już. I, ciociu, śrubek naprawdę się nie wbija, no. To są podstawy.

Powiedział chyba coś niestosownego, bo wybałuszyli na niego oczy jak na dziwadło. Ciocia Idalia przyłożyła dłoń do serca, tata miał minę, jakby się przesłyszał.

– Odwracasz się na chwilę, a gdy znów na nie patrzysz, są dorosłe – przemówiła cicho ciocia.

– No – dodał elokwentnie tata, jakby z żalem. Odchrząknął i uspokoił Tośka: – Nie jest tak źle, naprawdę. Jakoś sobie radzimy.

– Nie krusz na dywan, kochanie.

Tosiek spodziewał się, że po takiej awanturze ciocia już nigdy więcej nie przestąpi progu ich domu, ale o dziwo przychodziła nadal, a tata znów był dla niej uprzedzająco grzeczny. Jeśli wciąż istniały między nimi jakieś niesnaski, dobrze to przed nim ukrywali. Ciocia wyznała, że od lat marzy o rozbudowie salonu urody, ale nigdy nie miała na to czasu, tata zaoferował pomoc i siedzieli teraz razem nad rzutami pomieszczeń i planowali, jak połączyć salon i część jej mieszkania w jedną całość. On dowiadywał się, dlaczego gabinet masażu powinien mieć osobną łazienkę, ona musiała przyjąć do wiadomości, że nie da się przesunąć ściany nośnej budynku. Tosiek czuł się odrobinę zepchnięty na boczny tor.

– Ignorują cię? – zaniepokoił się Leon, kiedy Tosiek mu się pożalił.

– Tak całkiem to nie. Tata poszedł ze mną wczoraj na Avengersów. Ale zjednoczyli front. Konsultują się ze sobą. Cokolwiek bym chciał, zaraz słyszę: „Zapytam, co o tym myśli twój tata” albo „A ciocia ci pozwoliła?”. Szału można dostać.

Brnęli razem przez mokrą chlapę, w którą przemienił się niedawny śnieg. Wyszli do szkoły dużo wcześniej niż zwykle, bo Tosiek miał swoje powody, by iść dziś okrężną trasą. Nie chciał powiedzieć dlaczego.

– Może sam zobaczysz.

Leon kopał przed sobą bryłki lodu.

– Nigdy bym nie pomyślał, że byłbyś gotowy zrezygnować z Londynu.

– Nie zrezygnowałbym. Pojechałbym w końcu i tak, tylko później. Może za dwa lata albo za trzy. Bez obaw, Londyn na mnie poczeka.

Skręcili w stronę oblepionego mokrym śniegiem parku. Ponad nim wyrastała hala widowiskowa Arena, okrągły budynek z parasolowatym dachem, który zdawał się nie odlatywać tylko dlatego, że z wszystkich stron trzymały go na uwieczni betonowe przypory. Kiedy przechodzili obok, Tosiek zniechęca kwiknął i pociągnął Leona za jedną z nich.

– Schowaj się!

– Pełno tu błota...

– Cicho bądź!

Od strony parku nadchodziły dwie postacie. Wyższa, bardziej wysportowana, miała na sobie obcisły kombinezon do biegania i profesjonalne obuwie. Druga, niska, krępa i odrobinę utykająca – cienki dresik do fitnessu i przemoczone tenisówki.

– To twój pierwszy raz? – usłyszeli głos Witolda. – Nie przejmuj się, każdy kiedyś zaczynał. Nie trzeba się od razu rzucać na głęboką wodę.

Tosiek ostrożnie wyjrzał zza przypory. Roksana (Roksanna, do cholery) ociekała brudną wodą, jakby wpadła do kałuży, twarz miała czerwoną, upokorzenie w oczach. Była zbyt zasapana, by powiedzieć cokolwiek.

– Musisz sobie ustalić jakiś rozsądny plan treningów – wymądrzał się Witold, mijając przyporę. – Zobaczysz, kilka miesięcy pracy i bez trudu przebiegniesz półmaraton.

– Co? – sapnęła przerażona Roksanna, a Tośkowi wyrwał się z ust mściwy chichot.

– Potrzebujesz lepszych butów. Pomóc ci coś wybrać? Znam dobry sklep – usłyszał jeszcze, nim para oddaliła się na tyle, że nie było już nic słychać.

– Co ja właśnie widziałem? – chciał wiedzieć Leon, wyłaząc z kałuży błota.

– Być może twojego przyszłego premiera i jego przyszłą małżonkę – sarknął Tosiek. Miał wciąż w głowie słowa cioci o nieszczęśliwych kobietach, które poświęcają się dla swoich mężczyzn, i jakaś wredna, pamiętliwa część jego czarnego serduszka szczerze pragnęła, by to był właśnie ten przypadek. Nie zamierzał jednak powiedzieć tego głośno. – Chciałem, żebyś ich zobaczył, zanim coś ci powiem... tylko się nie denerwuj...

Ruszyli w stronę szkoły, a po drodze Tosiek opowiedział Leonowi o swoim samotnym spotkaniu z Roksanną i co z niego wynikło. Starał się opowiadać uczciwie, nie naciągać faktów, choć niektóre z zarzutów, które rzuciła mu w twarz Roksanna, wciąż go męczyły i przeszkadzały spać w nocy. Powstrzymał się jednak od koloryzowania.

– Więc nie powiedziałem nic Jastrzębskiej, ale zobacz, naraiłem Roksannie klawisza, który będzie dbał o jej pion moralny. To chyba nie jest takie złe rozwiązanie?

– Może i nie – powiedział ponuro Leon. – Czemu nie powiedziałaś policji o tej kieszeni?

– Bo by mi ją zabrali. A wiedziałem, że jeszcze mi się kiedyś przyda.

Leon jęknął.

– Miałaś cholerne szczęście, że to była tylko ta dziewczyna, a nie ktoś dużo groźniejszy, ty mały dupku. Przestaniesz wreszcie szukać guza? Co za kretyn z ciebie, rany boskie.

– Miałaś się nie denerwować.

– Jak ja mam się nie denerwować! – wściekł się Leon i zatrzymał pośrodku chodnika. – Martwię się o ciebie! Nic na to nie poradzę!

Tosiek przezornie ominął go bokiem i przyspieszył kroku. Nie miał zamiaru wdawać się w takie egzaltowane dyskusje. Był teraz poważnym człowiekiem, nie histeryzującą babą. Leon mógłby to wreszcie zrozumieć.

Stosunki między nimi były ostatnio napięte na całej linii, choć pozornie wszystko było w porządku. Rozmawiali jak dawniej, brali udział w próbach i wyklócali się o każde słowo scenariusza na szkolne jasełka. Nigdy jednak nie poruszali tematu wielkiego aktu poświęcenia Tośka, choć Leon miał na to wielką ochotę. Kiedy jednak próbował choć słowem dotknąć tej kwestii, Tosiek robił się agresywny i nieswój, prychał, zmieniał temat, uciekał, jeśli nie miał innego wyjścia. W końcu Leon przestał nawet próbować, ale Tosiek, wewnątrz zjeżony i nieufny, wciąż reagował alergicznie na każdy gest przyjaźni i troski. I tak obszar spraw, o których nie rozmawiali, w sposób nieunikniony coraz bardziej się rozszerzał, oddalając ich od siebie.

Tosiek wcale nie był z tego powodu szczęśliwy, ale co mógł zrobić innego? Jak miał wytłumaczyć Leonowi, że dla człowieka, który całe swoje życie przyjaźnił się jedynie z wirtualnymi znajomymi i wytworami własnej wyobraźni, ten poziom zażyłości, do którego dążył Leon, jest czymś przerażającym i zupełnie nie do przyjęcia? Tęsknił za Leonem przez cały czas, gdy nie miał go przy sobie, ale kiedy byli razem – obserwował go czujnie i nieufnie, dystansował się, odpychał od siebie. Ich tak czy owak fikcyjny związek praktycznie przestał istnieć, nawet w szkole wszyscy to widzieli. Podczas jednej z ostatnich prób przed jasełkami

Emilia próbowała wyciągnąć Tośka na spytki.

– Znam śnieżynkę, która byłaby zainteresowana Leonem, ale nie chce ci wchodzić w paradę. Moglibyście się wreszcie zdecydować.

– A niech próbuje sobie na zdrowie, powodzenia! – warknął Tosiek i wkopnął pod krzesło walające się po podłodze wiechcie jemioli. Ostatnio w całej szkole pełno było tego śmiecia. I świerku, i bombek, i sztucznego śniegu. Zbliżały się święta. Tosiek wiedział skądinąd, że Leon zamierza spędzić Wigilię samotnie we własnym mieszkaniu, i choć cała jego natura burzyła się przeciw takiemu okrucieństwu losu, nie śmiał proponować alternatywy. Wściekły był z tego powodu na siebie, los i wszystkich dookoła.

Przyglądał się bez zainteresowania, jak reprezentacja giętkich śnieżynek produkuje się na scenie pod bacznym wzrokiem reżysera Artura, asystenta Darka i młodszego technika Sebastiana. Tylko Leon siedział tyłem i powtarzał swój tekst. Gdyby ktoś w ogóle pytał Tośka o zdanie, powiedziałby, że po castingu atmosfera w zespole uległa nieodwracalnej korozji. Wraz z dziewczynami pojawiły się flirty, pierwsze fochy i animozje między aspirującymi diwami. A Emilia intensywnie zacieśniała związki z Arturem, co dawało jej pewną przewagę nad resztą, stała się więc z tego powodu jeszcze bardziej wścibska i zarozumiała – a przynajmniej tak się wydawało Toškowi, który miał ostatnio bardzo niską tolerancję na cudze romanse.

Emilia szarpała się ze swoją lipną ciężą z poduszki.

– Co za gówno – mruzczała, wyplątując się ze skomplikowanej upręży. – W życiu nie będę mieć dzieci, nie da się w tym nawet wyjść do kibla. Gdybym wiedziała, zostałabym śnieżynką.

Tosiek przypomniał jej, że zgodnie z scenariuszem śnieżynki nadużywają proszków i przez większość czasu snują się po scenie półprzytomne, ale Emilii to nie przekonało.

– Przynajmniej mają trochę zabawy. Nie to co ja. Ani jednej śmiesznej linijki. Nikt mnie nie zapamięta! Może chociaż w następnej sztuce będę miała coś lepszego do zagrania. Piszecie coś na walentynki?

– Absolutnie nie – przestraszył się Tosiek.

– Dlaczego nie? Wszyscy byliby zachwyceni.

– Na pewno nie.

– Zapytam Artura. Na pewno uzna, że to świetny pomysł.

Tosiek mruzczał pod nosem wszystkie te słowa, które ciocia Idalia kazała mu wykreślić ze swojego słownika.

– A skoro już mowa o walentynkach. – Emilia z ulgą cisnęła poduszkę wraz z uprężą na krzesło obok. – Tylko nikomu nie mów, bo to tajemnica. Ja wiem od Artura. Sebastian i Darek założyli się o to, czy ty i Leon zerwiecie ze sobą przed jasełkami czy nie.

– A co im do tego? – wkurzył się Tosiek.

– Śnieżynki ich podpuściły.

– Głupki – burknął. – Nie żeby mnie to obchodziło.

– Powinno cię obchodzić, bo ten, który przegra, będzie cię musiał pocałować podczas jasełek, w finale. Pod jemiolą!

– Chyba ten, który wygra!

– No, nie pochlebiaj sobie – zachichotała Emilia. – Żaden z nich nie chce się narazić na głupie plotki.

– Plotki srotki – spienił się Tosiek. – Przepraszam, muszę... coś poprawić w scenariuszu.

Zerwał się z krzesła i starając się zachować obojętny wyraz twarzy, minął scenę i schował się za kulisami. Usiadł w półmroku na jakimś połamanym krześle bez oparcia. Co za ludzie. Nigdy

nie dadzą mu spokoju. Choćby stawał na rzęsach, pisał im najlepsze teksty i sprowadzał do zespołu najbardziej utalentowane artystki. Wciąż pod górkę. Co za psi los.

Rozważał właśnie opuszczenie zespołu i uwolnienie się raz na zawsze od tych wszystkich złośliwych ludzi, gdy za kotarę zajrzał Leon.

– Nic mi nie jest, spieprzaj stąd i bądź sobie troskliwym misiem gdzie indziej – wypowiedział się Tosiek jednym tchem.

– Widzę, że opanował cię świąteczny nastrój – zauważył Leon i przysiadł na kulawej ławce. – Czy ma to coś wspólnego ze śnieżynkami? Strasznie się zrobiły przylepne ostatnio.

Tośka szlag trafił, ale się nie odezwał.

– No już, gadaj, bo zaraz zaczynamy próbę generalną, a nawet Artur zauważył, że wszystko się sypie. Jakież kłótnie w zespole? Tylko tego nam potrzeba teraz.

Wobec tak rozsądnej argumentacji Tosiek uległ i opowiedział mu wszystko.

– ...więc licz się z tym, że w finale będziesz mieć nadprogramową scenę przemocy, bo ja nie rękę za siebie.

– Porozmawiam z nimi.

– Tak, jasne, i Emilia się na mnie obrazi, bo powiedziała mi to w tajemnicy. Daj spokój. Przestań się mną przejmować.

– Nie mogę – odparł Leon, przyglądając się własnym butom, dyndającym nad podłogą. Tosiek nastroszył się natychmiast.

– Nie obchodzi mnie to!

– Ktoś cię w ogóle obchodzi? – spytał Leon głosem odrobinę zdławionym.

Tosiek w panice pokręcił głową.

– Nie! Nie!

– Aż dziwne – mruknął Leon kąśliwie.

Tosiek spiął się w sobie i zacisnął pięści.

– Ząbek jadowy ci się ułamał – syknął przez zęby. – Łatwo ci żartować. Przecież wiem, kim jestem. Dziwadłem. Świrem. Wybrykiem natury. – Gwałtownie potrząsnął głową, nie dając Leonowi dojść do słowa. – Ja to wiem. I w nosie to mam. Nie... nie przerywaj mi. – Pociągnął nosem. – Tylko że idą święta i wszyscy chodzą za rączkę pod tą cholerną jemiolą, i Emilia, i nawet ta idiotka Roksanna... Człowiek chyba ma prawo być odrobinę wkurzony? Mogliby się chociaż tak nie afiszować. Albo przynajmniej nie kpić sobie ze mnie. Myślałem, że mnie lubią. A prawda jest taka, że nikt mnie nigdy nie polubi, przenigdy.

– Ja cię lubię – wypowiedział się szybko Leon, kiedy Tosiek zamilkł dla nabrania oddechu.

– Wiesz, o co mi chodzi – prychnął Tosiek, rozdrażniony ponad wszelką miarę. – O ro-man-tycz-ne lubienie.

Ironia w jego głosie mogłaby skuć lodem ocean.

– Tak, chodzi mi właśnie o to – brnął Leon ostrożnym tonem człowieka, który właśnie zdał sobie sprawę z tego, że zatrzaskał się w klatce z rozwścieczonym tygrysem.

Tosiek zerwał się na równe nogi.

– Czy ciebie do końca popieprzyło?

– Może. – Leon oglądał z uwagą własne paznokcie. – Nie wiem, nic już nie wiem. Wiem tylko, że kiedy patrzę na ciebie, widzę go – tego zarąbistego chłopaka, Daniela – i nie mogę... już nie mogę przestać o nim myśleć.

Podniósł głowę i spojrzął na Tośka z oddaniem.

Wyglądał tak bezbronnie. Tosiek przestraszył się, że mógłby go skrzywdzić jednym

nieopatrzonym słowem. Odskoczył o krok. Wyznanie Leona zdumiało go i przejęło uczuciem dziwnej euforii. Więc to o Daniela chodziło... Postrzelony Tosiek żadnym sposobem nie był gotowy na ten diapazon emocji. Ale Daniel... Daniel to co innego.

– Też go lubię – wymamrotał w kołnierz. – Ale wciąż więcej we mnie tego głupiego Tośka...

– To się zmienia.

– T-tak myślisz?

– Czy ja mogę go pocałować? – upomniał się Leon z udręką w głosie.

Tosiek wytrzeszczył oczy.

– Nie wiem – wykrztusił. – Możesz próbować, ale głowy nie dam, czy ci Tosiek nie da w zęby...

Przez twarz Leona przemknął cień wahania, jakby pożałował własnej brawury, przemógł się jednak i zeskoczył z ławki. Podszedł bliżej i bohatercko złożył na ustach Tośka ostrożny pocałunek.

– Tak to możesz sobie całować ciocię Idalię – wymruczał Tosiek z pasją. – W fanfikach...

Leon desperacko chwycił go oburącz za twarz, przyciągnął do siebie i wpił się w niego jak w kubek herbaty w mroźny wieczór. Wizja Idalii w tak niestosownym momencie kompletnie go oszołomiła i był w stanie zrobić wiele, byleby tylko wymazać ją z pamięci.

– Chryste – wychrypiął Tosiek. – To... to jest straszne!

– Tak?

– Jak... jak ja to tacie powiem? Dopiero co się do mnie przyzwyczaił! – wyjęczał Tosiek, otumaniony koktajlem hormonów. – A ciocia? Będzie załamana! Jak ja mam im to powiedzieć!

– Ale co? – dopytywał się Leon, wpatrując się w Tośka jak w tęczę.

– Że wcale mi się nie podobają dziewczyny! – zawył Tosiek, rwąc sobie włosy z głowy. – W końcu i tak się dowiedzą!

– Ach – westchnął z ulgą Leon. – Coś wymyślimy. Przechodzimy przez to razem, pamiętasz?

– Razem – powtórzył Tosiek. – Tak, razem...

Uśmiechnął się kątem ust i przymrużył oczy jak kot.

Chwilę później gdzieś niedaleko dał się słyszeć szmer, za kulisy wlało się światło, po czym znów osnuł ich półmrok.

– To był Darek – mruknął Tosiek. – Zajrzał tu i zniknął. Przynajmniej jego mam z głowy, kijem nie dotknie niczego, co było przez ciebie całowane. Nikt do końca nie wie, co ty całował przedtem.

– Tośku, zaklinam się...

– Ja ci tylko wyjaśniam jego tok myślenia! I co Tośku, jaki Tośku, nie wycofuj się teraz. Za późno.

– Tak, wiem – Leon zajrzał mu głęboko w oczy i nieśmiało dotknął jego twarzy. Wyglądał jak człowiek, który tylko uchylił wieko skrzyni ze skarbem i trochę się lęka zajrzeć do środka. – Daniel. Cały czas go widzę, wiesz?

– Ciociu! – wrzasnęła Tosiek, wpadając do mieszkania. – Czy mogę zaprosić Leona do nas na święta?

Z rozpędu skierował się do kuchni, ale cioci Idalii tam nie było. Znalazł ją w swoim własnym pokoju, w fotelu, zaczytaną w periodyku o remontach.

– Buty zdejmij – odparła z roztargnieniem. – Do nas na święta? A nie powinien spędzić tego czasu z własnymi rodzicami?

Leon, który nadciągnął za Tośkiem, zrobił taką minę, jakby zamierzał wykonać w tył zwrot



i szybko opuścić lokal, ale ciocia przywołała go do siebie królewskim gestem.

– Chodź no tu, Leonku. Nie zamierzasz jechać do domu na święta?

– Nie mam o czym z nimi rozmawiać – wystękał Leon, uciekając wzrokiem na boki.

– Możliwe, ale uprzedzić ich trzeba. Ja mogę to zrobić, jeśli ty nie chcesz.

Leon posłał Toškowi spojrzenie wołające o pomoc, ale ten tylko wzruszył ramionami. Znał ciocię Idalię. Wiedział, kiedy poddać się od razu.

– Podaj mi swój telefon, skarbie – poleciła ciocia i Leon, nie wiedząc nawet kiedy, sam wybrał połączenie i oddał jej słuchawkę.

– Dzień dobry! – powiedziała pogodnie Idalia. – Jestem ciocią kolegi Leona. Chcielibyśmy zaprosić go do siebie na święta, czy państwo się zgadzają?

Leon stał zdrętwiały i blady jak papier. Tosiek ścisnął go ostrożnie za rękę, ale Leon nawet tego nie zauważył.

– Tak, dobrze go znamy, przychodzi co dzień, bardzo miły chłopiec, uczynny i ma same piątki w szkole – rozpląwała się ciocia. – Wiem, że państwo się z nim trochę poróżnili, więc... Co? Ach, nie odbiera telefonów? – podniosła wzrok i wpiła go w Leona, który odpowiedział jej wyzywającym grymasem. – Co dzień? Tak, stoi tu obok. Mogę spytać. Leonku – głos cioci był słodki jak miód – chcesz sam porozmawiać z mamusią?

Leon pobladł jeszcze bardziej. Ciocia wcisnęła mu telefon do ręki. Chwilę stał nieruchomo jak lalka, potem podniósł słuchawkę do ucha.

– Ha-halo – powiedział słabym głosem. – No cześć.

Chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju. Nogi zaniósły go w stronę kuchni. Zamknął za sobą drzwi.

– Ciociu – powiedział groźnie Tosiek. – Co ty odpierdziałasz?

– Odezwij się do mnie jeszcze raz w ten sposób, a następne kieszonkowe zobaczysz na Wielkanoc. To jego rodzina, kochanie.

– Ale oni go wyrzucili!

– Każdy czasem robi głupie rzeczy.

– Ale on powinien zostać tu z nami!

– Leon ma swój rozum, sam będzie wiedział, co powinien.

Tosiek nie był tego taki pewien. Usiadł ciężko na kanapie. Ciocia spokojnie czytała gazetę. Miał ochotę ją udusić. Snuł tyle planów na przerwę świąteczną. Z Leonem, rzecz jasna. Ale ciocia Idalia, wścibskie babsko, oczywiście znów musiała wiedzieć lepiej, co jest dla niego najlepsze!

– Byli dla niego niedobrzy – wymamrotał pod nosem. – A teraz będą chcieli, żeby przyjechał... I ty go będziesz w tym wspierać, przecież widzę!

– Leon cię nie wspierał? – dobiegło zza gazety.

Tosiek spojrzął na nią spode łba. Co za ironia losu, ciocia miała rację. Historia zatoczyła koło i teraz to on miał być tym mądrzejszym, bardziej poukładanym kompanem, który wspiera, doradza i zaparza herbatkę. Jakoś nie mógł się odnaleźć w tej roli.

Szczęknęły cicho drzwi kuchni i po chwili Leon zajrzał do pokoju. Uśmiechnął się jakoś niewyraźnie i usiadł obok na kanapie.

– I co? – spytał Tosiek niecierpliwie.

Leon krzywił się i wzdychał.

– Muszę pomyśleć – bąknął pod nosem. – Chyba pojedę. – Zerknął na Tośka przepraszająco. – Ale mogę też zostać.

– Jedź – fuknął Tosiek, żegnając się w myślach z urokliwą wizją Leona w świetle lampek choinkowych. Czytał kiedyś takie opowiadanie... Ale wiedział dobrze, że życie to nie fanfik. – Jedź, no – powtórzył, widząc wahanie w oczach Leona. – Będę czekać.



## EPILOG

Była już prawie dziewiętnasta, zapadł zmrok.

Światło ulicznych latarni oblewało chodnik poświatą w kolorze sepii. Chodnikiem szły dwie postacie. Pierwsza niosła w ręku puszkę z serduszkami. Druga, ta bardziej zmarznięta, wysiorbywała resztki herbaty z termosu.

– Jeszcze musimy iść pod kościół – przypomniał sobie Tosiek i zakręcił termos. – Ciocia powiedziała, że tylko nam wrzuci, bo innym nie ufa.

Leon skinął głową i skręcili w uliczkę prowadzącą na kościelny dziedziniec. Milczeli. Leon od powrotu z domu w ogóle był zamknięty w sobie i małowówny, Tosiek szczękał zębami.

Gdy Leon wyjechał, Tosiek snuł się po domu smutny i osowiały. Pod choinką znalazł skórzaną kurtkę, prawdziwą kurtkę motocyklową nabijaną ćwiekami, i domyślał się, że musiała zajść jakaś tajemnicza wymiana informacji między Leonem a ciocią Idalią, ale nie miał nawet komu podziękować. Leon przysłał wiadomość, że zostaje w domu na całą przerwę świąteczną i wróci dopiero po sylwestrze; Tosiek uznał, że życie jest pasmem cierpienia i rozpacz. Ożywił się dopiero wtedy, gdy mu obiecano, że będzie mógł wziąć czynny udział w remoncie u cioci Idalii. Pod warunkiem, że najpierw pomoże jej spakować dobytek. Ostatecznie spędził więc ferie świąteczne, pracując fizycznie, składając do kartonów niekończące się stosy spódnic i żakietów, roczniki magazynów branżowych, książki kucharskie i podręcznicze, albumy ze zdjęciami, płyty, kosmetyki i miliony innych drobiazgów zagracających pokój, który wkrótce miał się stać kolejnym przerażającym odgałęzieniem salonu piękności. Tak go to zajęło, że nieomal przegapił powrót Leona. Wpadł na dworzec zdyszany, w rozchełstanej kurtce, gdy pociąg wjeżdżał już na stację.

Wciąż czuł na twarzy ogień zachłannych pocałunków, których Leon nie szczędził mu w pierwszej chwili. Leon jednak szybko oprzytomniał, odsunął się, podniósł z ziemi gitarę i plecak wypchany nową partią książek, rozejrzał się jak tajniak i burknął:

– Trzeba uważać.

Od tego czasu nie było takiej siły, która mogłaby skłonić Leona do publicznego manifestowania uczuć. Nie złamały go ani niegodziwie zalotne uśmiešky, ani nawet kolejna sesja manikiuru. Leon tylko uśmiechał się krzywo. Milczał. Zamyślał się. Ciężko wzdychał. Tosiek musiał się pogodzić z tym, że nie będzie w tym związku jedyną osobą ze skomplikowaną osobowością. Pogodził się, ale to wcale nie oznaczało, że jest z tego powodu szczęśliwy.

Dotarli na kościelny dziedziniec, oświetlony tylko latarniami z ulicy. Tosiek trząsł się jak osika. Jego wspianiała nowa kurtka nie była niestety ocieplana. Nosił ją jednak prawie bez przerwy, nawet w domu, była dla niego jak talizman, który chroni przed popełnianiem głupstw. Leon wieszczył, że Tosiek w swoim mrocznym wcieleniu zejdzie na zapalenie płuc jeszcze przed wiosną.

Skrzypnęły ciężkie drzwi, ludzie zaczęli wychodzić. Tosiek poprawił fryzurę i zażądał puszeki.

– Znów cały splendor dla ciebie, co?

– Nic na to nie poradzę, że jestem taki uroczy – oświadczył Tosiek, który od rana zdążył rozdać setki nalepek, ale wciąż jeszcze nie miał dość.

– Ty jesteś po prostu zmarznięty. Ludzie litują się nad tobą do łez.

– Każda strategia jest dobra, jeśli działa. – Tosiek załśnił spod czapki łzawym błękitem. Przechodząca obok para wrzuciła mu datek do puszk.

– ...zgadzam się zupełnie – usłyszał namaszczony głos cioci Idalii. – Chodzą, afiszują się, żadnej elementarnej przyzwoitości. – Ciocia nadchodziła wraz z sąsiadką, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu portfela. – Wszystko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jak dzieci, jak dzieci. Niechże się już żenią między sobą i zajmą czymś pożytecznym.

– Ale z ciebie troll, ciociu – zauważył z potępieniem Tosiek, podczas gdy sąsiadka oddalała się z marsem na czole. Z zapalem zagrzechotał puszką.

– Nie hałasuj. Jak się masz, Leonku, dobrze spędziłeś święta?

– Bardzo dużo rozmawiałem o pogodzie.

– Doskonale. – Ciocia uroczyście wrzuciła swój datek. – Nie będziecie już chyba długo chodzić?

– Oddamy tylko puszkę i wracamy, zanim Mroczny Rycerz przymarznie do gruntu.

– Wpadnijcie potem, rozmroziłam resztkę makowca – rzuciła zachęcająco ciocia i odeszła ulicą.

Tosiek i Leon postali jeszcze chwilę, a gdy dziedziniec zaczął pustoszeć, wycofali się w ślad za innymi. Ulica była pusta i cicha, oblana żółtawym światłem lamp. Niespodziewanie Leon przyciągnął Tośka do siebie i pocałował w zimne ucho, a potem wypuścił i powędrował chodnikiem jak gdyby nigdy nic.

– Można by pomyśleć, że ktoś cię za to rozstrzela – zauważył Tosiek.

– Łatwo ci żartować.

– Łatwo – przyznał Tosiek. Jego głos, choć drżący z zimna, był pogodny i pełen optymizmu. Wierzył w to, że Leon, ostatnio trochę rozbity wewnętrznie, wkrótce się pozbiera i znów będzie sobą. Wierzył, że niedługo przyjdzie wiosna, a potem następne, każda wspanialsza od poprzedniej. Mieli siebie nawzajem, a ciocia czekała z makowcem.

Czy cokolwiek mogłoby pójść źle?

Poznań, 2016

Natalia Osińska, *Fanfik*  
Warszawa 2016

© Copyright by Natalia Osińska, 2016

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-65369-63-5

Korekta: Hubert Korczyc

Projekt okładki: Anna Pluta

Ilustracje: Olga Budzan ([cargocollective.com/olgabudzan](http://cargocollective.com/olgabudzan))

Układ typograficzny i łamanie: Katarzyna Błahuta

Redaktor prowadzący: Jaś Kapela

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Foksal 16, p. II

00-372 Warszawa

[www.krytykapolityczna.pl](http://www.krytykapolityczna.pl)

[redakcja@krytykapolityczna.pl](mailto:redakcja@krytykapolityczna.pl)

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w siedzibie Krytyki Politycznej (ul. Foksal 16, II P., 00-372 Warszawa) w Świetlicach KP w Cieszynie (ul. Zamkowa 1) i Gdańsku (ul. Nowe Ogrody 35) oraz sklepie internetowym KP ([wydawnictwo.krytykapolityczna.pl](http://wydawnictwo.krytykapolityczna.pl)), a także w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)